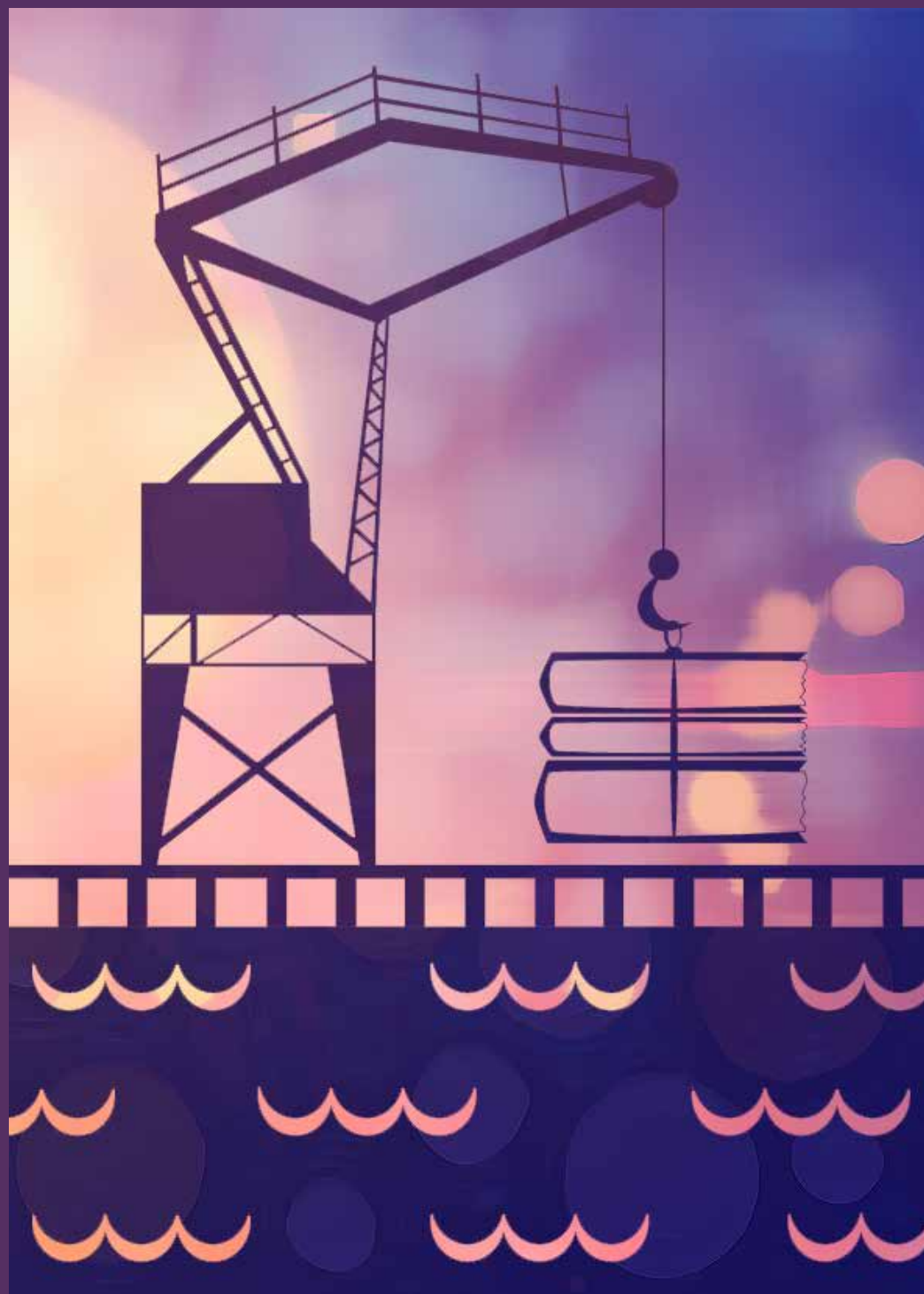


Pryzmat Literacki



ISSN 2719-6895

4/2023

Szczecin



Pryzmat
Literacki

2023

Pryzmat Literacki nr 4/ 2023

Wydawca:

Związek Literatów Polskich Oddział w Szczecinie
al. Wojska Polskiego 90
70-482 Szczecin

ISSN 2719-6895

Redakcja:

Leszek Dembek (redaktor naczelny), *Danuta Sepuco* (sekretarz redakcji)

Projekt okładki:

Adrianna Rauhut

Redakcja zastrzega sobie prawo do dokonywania zmian w tekstach zamówionych.
Niezamówionych artykułów nie drukujemy.

Kontakt:

kontakt@zlp.szczecin.pl

Druk:

printshop.szczecin.pl

Rocznik „Pryzmat Literacki” współfinansowano ze środków
Infra-Port sp. z o.o. oraz **Stowarzyszenia Rozwoju i Edukacji „Lider”**

Infra-Port | **sp. z o.o.**



Szanowni Czytelnicy!

Nasze kreowanie profilu pisma chyba dobiegło już do przysłowiowego końca, jeśli idzie o zasadniczy nurt naszego rocznika. Doptynęliśmy, można by rzec, do celu – dominujące bowiem w tym „Pryzmacie Literackim” są teksty zarówno prozatorskie jak i poetyckie, związane z naszym środowiskiem, a taki był pierwotny redakcyjny zamiar.

Proponujemy prozę: Józefa Gawłowicza, Marka Rudnickiego oraz Edwarda Siekierzyńskiego (1950-2022), któremu poświęcone jest specjalne wspomnienie. Zaprezentowani pisarze to autorzy już o ugruntowanej pozycji nie tylko na szczecińskiej scenie literackiej.

I poezję: Anety Gawriłow, Magdaleny Bukowskiej, Heleny Pilarskiej oraz Małgoszaty Nowak-Żukiel, poetek różnych pokoleń i poetyckich stylów. Ale to jeszcze nie wszystko w tym dziale, bowiem mamy twórczość Eugenii Karczewskiej z jej nieznanymi utworami, które w niedalekiej perspektywie mają się ukazać w jej pierwszym i jedynym tomiku (jedno życie – jeden tomik) już pośmiertnie. Znalazły się też strofy laureatki szczecińskiego Turnieju Jednego Wiersza „Od Morza do Tatr 2023” – Moniki Miłosz, która po wielu latach od debiutu powraca obiecująco do poezji.

Ważne miejsca zajmują również eseje. Róża Czerniawska-Karcz rozważa „Przy stole wiersza” o dylematach związanych z pytaniem: co to takiego poezja?, a które jest tylko wstępem do całego cyklu takich pytań. Na które też pojawiają się różnorodne odpowiedzi samych jej twórców. Natomiast Krystyna Rodzewicz w tekście „Nie tylko rzeczy” pisze o hybrydach międzygatunkowych. Autorka stawia pytania z gatunku: czy to jeszcze homo sapiens?

Zamieszczamy rozważania dotyczące refleksji o szeroko pojętej literaturze Andrzeja M. Dzierżanowskiego, uczestnika słynnej, szczecińskiej grupy poetyckiej „METAFORA”, obecnie mieszkającego we Wrocławiu.

Są także teksty wspomnieniowe o naszych szczecińskich nie tylko literatach, chociaż niekoniecznie też pióra naszych, rodzimych twórców. Mam tu na myśli refleksje lub swego rodzaju szkice do portretu: Marii Bonieckiej, Czesława Kuriaty, Erazma Kuźmy, Edwarda Siekierzyńskiego, Czesława Schabowskiego, Mariana Yopha-Żabińskiego, Stanisława Zajączka. Osobne miejsce w tym dziale zajmują na pewno teksty: Cecylii Judek o pobycie Konstantego I. Gałczyńskiego (1905-1953) w Szczecinie, Aleksandry Radeckiej o legendarnym pisarzu maryniście Janie

Papudze (1915-1974) oraz tekst wspomnieniowy o Wisławie Szymborskiej (1923-2012) pióra Tomasza Jastruna, który noblistkę znał osobiście. Przypomnijmy przy tej okazji, że Senat Rzeczypospolitej Polskiej ustanowił ten rok m.in. jej imienia.

Tekstem Wojciecha Krala „Poezja polska od powstania listopadowego do stycziowego – Wincenty Pol, Włodzimierz Wolski” upamiętniamy przypadającą w 2023 roku 160. rocznicę wybuchu tego wielkiego zrywu narodowego. Autor na przykładzie twórczości wymienionych poetów przedstawia, jak znaczącą rolę odegrało w polskiej literaturze samo powstanie stycziowe, ale też jak bardzo ten proces był związany z wcześniejszym o ponad 30 lat powstaniem listopadowym.

Szczególne miejsce w tej edycji „Pryzmatu Literackiego” zajmuje opracowanie Mariana Kalemby „Francuskie ślady piśmiennicze”. Autor mówi m.in. o listach z okresu napoleońskiego pisanych ze Szczecina przez „żołnierzy francuskiego garnizonu”, stawiając pytanie: „Dlaczego w mieście odległym o 1000 km od Paryża, szukamy śladów francuskiego piśmiennictwa?”. Warto podkreślić, że okres pobytu francuskich żołnierzy w Grodzie Gryfa od strony piśmienniczej jest u nas mało lub wcale nieznany.

Publikujemy również interesujący wywiad Artura Justyńskiego »W oczekiwaniu na cynamonowy „Cud”« z Dariuszem Bitnerem, prozaikiem, publicystą i krytykiem literackim. Autorem wielokrotnie nagradzanym i nominowanym m.in. do Nagrody Literackiej Gdynia za książkę „Fikcja”, Laureatem Nagrody Artystycznej Miasta Szczecina, którą otrzymał w 1999 roku.

Odnosimy się też do bieżącej sytuacji wojny w Ukrainie w kontekście rosyjskiej literatury w tekście Wojciecha Czaplewskiego, który w sposób interesujący i intrygujący pisze w szerszej perspektywie o aktualnym postrzeganiu tej literatury.

Jan Stolarczyk przywołuje z kolei niezwykłą historię spotkania dwóch wybitnych poetów Tadeusza Różewicza i Tymoteusza Karpowicza, jakie miało miejsce u podnóża Śnieżki w Karkonoszach.

Oddajemy też głos młodym twórcom, uczniom szczecińskich szkół, którzy z perspektywy swojego punktu widzenia wypowiadają się na temat literatury i to w sposób niebanalny, daleki od przyjętych schematów.

Stworzyliśmy nowy dział zatytułowany „Poetyckie impresje i interpretacje”, który ma na celu pokazanie własnej, autorskiej interpretacji wierszy, a z doświadczenia wiemy, że takie odczytania odbiegają nieraz od tzw. głównego nurtu interpretacyjnego. Znajduje się tutaj niestandardowa „analiza wiersza e.e.cummingsa” „may

i feel said he”, autorstwa Andrzeja Tchórzewskiego (poety, eseisty, krytyka literackiego, dramaturga), redaktora prestiżowego i cenionego czasopisma „Poezja”, ukazującego się w latach 1965–1990.

Ważną częścią tej edycji są także wydarzenia literackie naszego Związku, które miały miejsce w tym roku, jak po raz pierwszy organizowany Międzynarodowy Konkurs Poetycki im. Józefa Burszewicza „O Złotą Metaforę”.

Marek Stelar odpowiada na pytanie: dlaczego warto czytać kryminały, pokazując „spojrzenie na literaturę z nieco innej strony”, puentując swoje rozważania stwierdzeniem: „Bo to kontakt ze słowem pisanym, z opowieścią, z literaturą generalnie. Bo literatura to fascynujący świat, którego zwiedzenie kosztuje niewiele, za to daje wrażenia warte każdych pieniędzy”.

Mamy nadzieję, że Państwo odnajdziecie również w tej edycji „Pryzmatu Literackiego” chociaż jeden dla siebie interesujący wątek literacki, który na pokładzie naszego rocznika po raz już czwarty przyplłynął do portu swojego przeznaczenia, jakim jest Czytelnik.



Leszek Dembek
Prezes ZLP O. Szczecin

Spis treści

Leszek Dembek

Słowo wstępne...	3
-------------------------------	----------

HISTORIA I TERAŹNIEJSZOŚĆ

Marian Kalemba

Proweniencja francuskich śladów piśmienniczych w Szczecinie	13
--	-----------

dr Wojciech Kral

Poezja polska od powstania listopadowego do styczniowego – Wincenty Pol, Włodzimierz Wolski.	39
---	-----------

Wojciech Czaplewski

Słabość, czyli nie tylko o Moskalach gawęda dygresyjna	44
---	-----------

Andrzej Maria Dzierżanowski

ZWIĄZEK LITERATÓW 1922–1983	50
--	-----------

PORTRETY

Cecylia Judek

Konstanty Ildefons Gałczyński – mieszkaniec Szczecina	56
--	-----------

Aleksandra Radecka

Jan Papuga – życie jak wielki rejs.	70
--	-----------

Barbara Elmanowska

Maria Boniecka – rekonstrukcja subiektywna	83
---	-----------

<i>Prof. dr hab. Paweł Soroka</i>	
Wspomnienie Mariana Yoph-Żabińskiego	88
<i>Jan Stolarczyk</i>	
Spotkanie w górach	91
<i>Tomasz Jastrun</i>	
Szyborska osobiście	95
<i>Róża Czerniawska-Karcz</i>	
KOSMOSY wnętrza i zewnątrz POETY i MALARZA..., czyli próba portretu .	101
<i>Karol Czejarek</i>	
Erazm Kuźma	
Niezastąpiony wychowawca młodzieży (moim był też), ale przede wszystkim uczyony i znawca literatury (nie tylko okresu ekspresjonizmu)	112
<i>Anna Jakubczak</i>	
Czesław Schabowski prozaik (nie)zapomniany	115
<i>Aneta Gawriłow</i>	
Stanisław Zajączek	122

WYWIADY

[Czesław Kuriata] O dobro mojej liry	143
[Dariusz Bitner] W oczekiwaniu na cynamonowy „Cud”	149

REFLEKSJE

<i>Andrzej Maria Dzierżanowski</i>	
O literaturze	156

<i>Marek Stelar</i>	
Dlaczego warto czytać kryminały, czyli spojrzenie na literaturę z nieco innej strony	157
<i>Wiktoria Olecka kl. 6b Szkoła Podstawowa 56 Szczecin</i>	
Dlaczego warto/trzeba czytać	161
<i>Karolina Lasota, kl. 8c Szkoła Podstawowa TAK Szczecin</i>	
W puste ręce warto wziąć książkę!	163
<i>Jan Dębowski kl. 8c Szkoła Podstawowa TAK Szczecin</i>	
Nie rozstaję się z bohaterami	165
<i>Ewa Plitnik, kl. 8c Szkoła Podstawowa TAK Szczecin</i>	
Specyficzna literatura	168
<i>Andrzej Maria Dzierżanowski</i>	
O poezji	170

POEZJA EKSPERYMENTALNA

<i>Robert Rudiak</i>	
Interpretacja	172

ESEJ

<i>Róża Czerniawska-Karcz</i>	
Przy stole wiersza	179
<i>Krystyna Rodzewicz</i>	
Nie tylko rzeczy	195

PROZA

Edward Siekierzyński (1950-2022).....	200
Józef Gawłowicz.....	204
Adrian Pozarzycki.....	205
Marek Rudnicki.....	210

POEZJA

Aneta Gawriłow.....	221
Helena Jarska Pilarska.....	224
Magdalena Bukowska.....	227
Małgorzata Nowak-Żukiel.....	231
Monika Miłoś.....	234

RECENZJA

<i>Karol Alichnowicz</i> Przypowieść o Innym.....	238
--	-----

POETYCKIE IMPRESJE I INTERPRETACJE

<i>Andrzej Tchórzewski</i> Doświadczenie i posiadanie.....	244
<i>Edyta Rauhut</i> enter.....	255

<i>Robert Florczyk</i>	
Mare Dambiensis – impresja poetycka	258

<i>Magdalena Sowińska</i>	
* * *	260

NOWOŚCI WYDAWNICZE

<i>Leszek Dembek</i>	
Wyjątkowa książka poetycka Eugenii Karczewskiej	266

MINIATURY LITERACKIE

<i>Robert Florczyk</i>	
O syrenie z Goławia	269

<i>Andrzej Maria Dzierżanowski</i>	
Pod Mirosławcem	281

TŁOK	286
-------------------	------------

Polowanie.	287
-------------------------	------------

WYDARZENIA

<i>Róża Czerniawska-Karcz</i>	
Spotkania Literackie czas zacząć...	289

<i>Izabella Rewcio</i>	
Zaczęło się od wiersza, czyli 10 lat minęło	308

<i>Edyta Rauhut</i>	
Wiosenny konkurs „O Złotą Metaforę” nieco inaczej	315

<i>Małgorzata Hrycaj</i>	
Turniej Jednego Wiersza 2023	318
<i>Robert Florczyk</i>	
Daglezja TADEUSZ	325
<i>Edyta Rauhut</i>	
Ważne tematy wersów w Galerii Jednego Wiersza	328
<i>Małgorzata Hrycaj</i>	
Poszukiwanie Panny P.	332

HISTORIA I TERAŹNIEJSZOŚĆ

Marian Kalemba

Proweniencja francuskich śladów piśmienniczych w Szczecinie

Dlaczego w mieście odległym o 1000 km od Paryża szukamy śladów francuskiego piśmiennictwa? Przecież, według obiegowej opinii, wszystko to, co w Szczecinie ma więcej niż 80 lat jest „poniemieckie”. Nic bardziej mylnego – nie wszystko. Na przykład początki szczecińskiego przemysłu stworzyli przybysze z francuskim rodowodem. Może więc warto sprawdzić, czy pozostały po nich także „ślady” wymienione w tytule.

Niezbędna dawka historii

Pierwsi mieszkańcy pochodzenia francuskiego pojawili się w Szczecinie w 1721 r. Miasto było wówczas świeżą zdobyczą Prus. Hohenzollernowie, władcy pruskiego królestwa, zachęcili osiadłych od kilkudziesięciu lat na terenie Brandenburgii uchodźców religijnych z Francji do kolejnej zmiany miejsca zamieszkania.

Szczecinem wraz z częścią Pomorza Zachodniego, po wygaśnięciu dynastii Gryfitów, władali od 1648 r. królowie Szwecji. Kres ich panowaniu położył spryt polityczny władców Prus w czasie III wojny północnej¹. Choć Szczecin

¹ Trzecia wojna północna była toczona przeciwko Szwecji w latach 1700–1721 przez Danię, Norwegię, Rosję, Saksonię i Hanower, a od roku 1715 także Prusy. Doprowadziła m.in. do utraty Szczecina

oblegały wojska rosyjskie, które zmusiły we wrześniu 1713 r. szwedzką załogę twierdzy do kapitulacji, to „tymczasową opiekę” nad miastem przejęły, drogą zabiegów dyplomatycznych, neutralne na tym etapie wojny Prusy. Gdy dalszy przebieg wojny pozwolił zorientować się kto ją wygra, królestwo pruskie przyłączyło się do konfliktu po stronie zwycięzców, a podpisany w 1720 r. traktat pokojowy usankcjonował pruską aneksję Szczecina². Ówczesny król Prus Fryderyk Wilhelm I³ wydał w 1721 r. edykt sprowadzający na nowo pozyskane ziemie osadników francuskich (hugenotów). To działanie jest traktowane przez historyków jako zabieg stricte ekonomiczny, mający na celu poprawę stanu gospodarki tej części Pomorza. Nie był to nowy pomysł. Wcześniej, na terenie Brandenburgii, podobnie postępowali inni władcy z dynastii Hohenzollernów.

Osadnikami byli potomkowie uchodźców, którzy z powodu brutalnych prześladowań religijnych opuszczali Francję w drugiej połowie XVII i na początku XVIII stulecia. Podobnie jak niemieccy luteranie byli protestantami, ale stanowili odrębne wyznanie, zwane w Europie kalwinami, a we Francji hugenotami⁴. Szukali schronienia i dogodnych warunków do nowego życia w wielu krajach zachodniej Europy. Około 20-30 tysięcy spośród nich wybrało Brandenburgię (głównie okolice Berlina i Poczdamu), gdzie pozwolono im tworzyć autonomiczne gminy wyznaniowe w ramach francuskiego kościoła zreformowanego. Gdy Brandenburgia weszła w skład królestwa pruskiego, następne pokolenia francuskich uchodźców, zdomowionych już na terenach niemieckich, skorzystały z propozycji osiedlenia się w Szczecinie. Do relokacji szczególnie zachęcano rzemieślników, których wyroby stanowiły niezbędne zaopatrzenie dla tworzonego w mieście dużego, pruskiego garnizonu. W niedługim czasie indywidualne warsztaty rzemieślnicze hugenoci zaczęły przekształcać w pierwsze manufaktury. Wielu historyków (w tym także niemieckich) podkreśla, że przybysze z Francji byli głównymi inicjatorami tworzenia początków

i części Pomorza przez Szwecję. [Białecki Tadeusz: *Historia Szczecina*, Wyd. Ossolineum, Wrocław 1992, s. 161-162. Froese Wolfgang (tłum. z niem. M. Dorna, E. Płomińska-Krawiec, K. Śliwińska): *Historia państw i narodów Morza Bałtyckiego*, Wyd. PWN, Warszawa 2007, s. 191.]

2 Kucharczyk Grzegorz: *Prusy. Pięć wieków*. Wyd. Bellona, Warszawa 2020, s. 249-250. North Michael (tłum. z niem. A. Peszke): *Historia Bałtyku*. Wyd. Neriton, Warszawa 2018, s. 196. Wachowiak Bogdan: *Szczecin w okresie przewagi państwa feudalnego 1478-1713*. W: Labuda G. (red.): *Dzieje Szczecina*. Tom II. Wyd. PWN, Warszawa 1985, s. 433.

3 Fryderyk Wilhelm I (1688-1740), od 25 lutego 1713 r. był następcą króla w Prusach i elektora brandenburskiego Fryderyka I Hohenzollerna.

4 Bem Kazimierz: *Stawa i chwata mniejszości, czyli kalwinizm francuski*. Magazyn Teologiczny Semper Reformanda. 2005. Publikacja internetowa – wg stanu z 2023.05.14. <http://www.magazyn.ekumenizm.pl>.

pruskiego przemysłu⁵. Działali również w innych dziedzinach. Warto przypomnieć działającego przez 19 lat w Dąbiu i w Szczecinie wybitnie uzdolnionego architekta i budowniczego Davida Gilly⁶.

Ułatwienia w osiedlaniu się i prowadzeniu działalności gospodarczej oraz przyznana gminie wyznaniowej autonomia w zakresie sądownictwa i szkolnictwa spowodowały, że po trzech latach od przybycia pierwszego osadnika kolonia francuska w Szczecinie liczyła blisko 700 osób, a na przełomie XVIII i XIX w. stanowiła już niemal 8% szczecińskiej populacji.⁷

Osobiście uważam, że decyzja Fryderyka Wilhelma I miała także na celu łatwiejsze zarządzanie świeżo zdobytym terytorium. Mieszczanie szczecińscy, którzy byli dotąd poddani króla Szwecji, ostro kontestowali poczynania nowego monarchy. Aby ich wrogą aktywność skierować na inne tory, zaproszono do miasta obcych przybyszów, którym nadano przywileje ułatwiające bogacenie się. Uwagę szwedzkich dotąd (choć niemieckojęzycznych) autochtonów odwrócono od poczynañ nowej, pruskiej władzy usytuowanej daleko w Berlinie, lokując w Szczecinie konkurentów ekonomicznych – osadników hugenockich. Stara, rzymska metoda *divide et impera*, i tym razem okazała się skuteczna. Niechętny stosunek szczecinian do hugenotów, znalazł odzwierciedlenie nawet w mowie potocznej. Do dziś zachowało się w języku niemieckim słowo *Refugiés*⁸. Obecnie określenie to straciło swój stygmatyzujący, pejoratywny charakter.

5 Hornung Erik: *Immigration and the Diffusion of Technology: The Huguenot Diaspora in Prussia*. American Economic Review. Vol. 104 (2014). No 1, s. 84-122. Aubin Georg: *Die Bedeutung der Hugenotten für der deutsche Wirtschaftsleben*. Der Deutsche Hugenott. Jahrg. 21 (1957), Heft 2. s. 42-49.

6 Niestety nie przetrwały do dziś budowle zaprojektowane przez Gilly'ego w Szczecinie. [Gwiazdowska Ewa (red.): *David Gilly (1748-1808) i Friedrich Gilly (1772-1800). Pomorskie aspekty twórczości dwu pruskich architektów*. Katalog Wystawy. Wyd. Muzeum Narodowe w Szczecinie. Szczecin 2010. s. 41-45.]

7 Metcke Albert: *Die französische Kolonie in Stettin*. Jahresbericht der Bismarck-Oberrealschule zu Stettin. Jahrgang V (1913), Heft 1, s. 3-10. Verl.: Saran. Stettin 1913. Pawlik Radostaw: *Gmina francuska w Szczecinie (do końca XVIII wieku) w świetle materiałów z zasobu Archiwum Państwowego w Szczecinie*. Publikacja internetowa – wg stanu z 2023.05.15. www.szczecin.ap.gov.pl; Stanielewicz Józef: *Kosmopolityczny charakter Szczecina do końca XVIII wieku*. W: Bronk Hubert i Włodarczyk Edward (red.): *Kongres Pomorski. Od historii ku przyszłości Pomorza*. Wyd. Naukowe US. Szczecin 1999, s. 123-131.

8 *Refugiés* – słowo *refugie* w języku francuskim oznacza uchodźcę. Zostało przejęte do języka niemieckiego i odnosi się wyłącznie do francuskich hugenotów osiadłych na terenie Prus. Wyraz *der Refugie* jest odnotowywany do tej pory w słownikach [np. Piprek Jan, Ippoldt Juliusz: *Wielki słownik niemiecko-polski. Tom II*, Wyd. Wiedza Powszechna, Warszawa 1985, s. 297].

Poszukiwania „francuskich” autorów

Nie przypuszczam, by Hohenzollernowie, sprowadzając hugenotów do nowo pozyskanej prowincji, oczekiwali od nich inspirowania rozwoju życia umysłowego. Prusy na tle reszty ziem niemieckich nigdy nie były uważane za aktywne kulturotwórczo. Profesor Erazm Kuźma uważał nawet, że z tego powodu mieszkańcy tych terenów mieli wyraźny kompleks niższości⁹. Swoje kompleksy kompensowali sobie opinią, że są dobrymi żołnierzami. Jednak nie można powiedzieć, że pomorskie społeczeństwo nie miało na swoim koncie żadnego dorobku literackiego. Skrupulatne badania twórczości prozatorskiej i poetyckiej mieszkańców pomorskiej części Prus prowadzone przez niemieckich historyków literatury, pozwoliły ustalić, iż na przestrzeni ostatnich pięciu stuleci ukazały się drukiem utwory około 300 autorów¹⁰. Aby podreperować kiepską opinię o poziomie życia literackiego na pruskim Pomorzu, czyniono próby zinwentaryzowania i upowszechnienia opublikowanych „dzieł”. Metodologia prowadzonych badań nie gwarantowała kompletności. Jednakże, z braku innych źródeł posłużyłem się tymi opracowaniami, aby znaleźć tam francuskie ślady piśmiennicze – niestety bez rezultatu. Nie znalazłem też wzmianek o próbach literackiego przedstawienia codziennego życia w hermetycznym do pewnego czasu środowisku hugenockim.

Jak dotąd nie zostały odkryte utwory pisane przez *Refugiés*. Dlaczego w tak licznej (patrz przypis 7) grupie społecznej nie ujawniły się osoby z talentem literackim? Można zaryzykować stwierdzenie, że pierwsze 100 lat obecności w Szczecinie upłynęło osadnikom na budowaniu ekonomicznych podstaw bytu materialnego. Zabrakło im czasu i energii na upublicznienie twórczych dokonań artystycznych, bo nie sądzę, aby zabrakło wśród nich talentów literackich.

9 Kuźma Erazm: *Refleksje o kulturze pomorskiej na przestrzeni wieków*. W: Bronk Hubert i Włodarczyk Edward (red.): *Kongres Pomorski. Od historii ku przyszłości Pomorza*. Wyd. Nauk. US. Szczecin 1999, s. 59-74 (s. 65).

10 Gassen Kurt (Hrsg): *Pommersche Literatur von den ältesten Zeiten bis zur Gegenwart*. Ausstellung der Universitätsbibliothek Greifswald 1930. Verl.: Bamberg. Greifswald 1930. Gassen Kurt (Hrsg): *Pommersche Literatur der Gegenwart*. Ausstellung der Universitätsbibliothek Greifswald 1932. Verl.: Bamberg. Greifswald 1932. Guhlke Max: *Pommersche Dichtung. Grundriss der pommerschen Literaturgeschichte*. Verl.: Teetzmann & Randel. Stettin 1912. Guhlke Max: *Pommersche Lyrik. Eine Auslese aus der pommerschen Lyrik von den Anfängen bis zur Gegenwart*. Verl.: Mallin. Stargard Pomm. 1913. Koepen Arnold: *Auswahlliste von Pommerscher Heimatliteratur*. Verl.: Mallin. Stargard Pomm. 1916. Kuźma Erazm: *O pomorskiej literaturze przed 1945 rokiem*. *Pogranicza*. 1997, nr 4, s. 6-22. *Bucherverzeichnis der Volksbucherei Stettin*. Stettin 1930.

Osobą, która wywarła duży wpływ na życie kulturalne Szczecina w pierwszej połowie XIX wieku z całą pewnością była pani Tilebein¹¹. Stworzyła ona funkcjonujący w Szczecinie przez wiele lat salon artystyczny. Jednak wśród gości pojawiających się na prowadzonych przez nią spotkaniach nie odnotowano żadnego, francuskojęzycznego literata lub poety. Natomiast uważam, że bogata korespondencja pani Tilebein warta byłaby opracowania i opublikowania. Wykształcona poza Pomorzem potomkini francuskich emigrantów, gdy przybyła tu po zawarciu małżeństwa ze szczecińskim kupcem, długi czas czuła się źle w Szczecinie. W listach do przyjaciół pisała: *Stettin est devenu le tombeau de toutes mes facultés intellectuelles* (Szczecin stał się grobowcem wszystkich moich zdolności intelektualnych)¹².

Z moich ustaleń wynika, że dopiero epoka wojen napoleońskich przyniosła piśmiennicze ślady obecności Francuzów w Szczecinie. Ale z góry trzeba zaznaczyć, że są to ślady bardzo skromne i wszystkie powstały w 1813 r. Był to rok szczególny dla historii Szczecina. Po klęsce Napoleona w Rosji doszło do oblężenia miasta. Przez niemal 300 dni fortyfikacje szczecińskie były bronione przez napoleońskich żołnierzy przed atakami korpusu oblężniczego, złożonego głównie z wojsk pruskich, ale także rosyjskich i szwedzkich. 5 grudnia 1813 r. obrońcy skapitulowali. Tak dobiegła końca trwająca 7 lat okupacja francuska miasta i twierdzy¹³. Ten okres, zwany przez niemieckich historyków „Franzosenzeit”, był wstrząsem zarówno dla całego pruskiego królestwa jak i dla Szczecina. Został bowiem zapoczątkowany klęską pruskiej armii uważanej przez społeczeństwo za niezwyciężoną, a potem wiązał się z wysokimi obciążeniami finansowymi na spłatę kontrybucji.

11 Sophie Caroline Auguste Tilebein, z domu Pepin, primo voto Buyrette (1771-1854) – osoba o wszechstronnych zainteresowaniach artystycznych. [Kościelna Joanna A.: *Piękna Pani Tilebein. Francuzka w Szczecinie*. Publikacja internetowa – wg stanu z 2023.05.17.: <http://sedina.pl/wordpress/index.php/2014/07/09/piekna-pani-tilebein-i-francuzka-w-szczecinie/>]

12 Cytat wg Altenburg Otto: *Die Tilebeins und ihr Kreis. Stettiner Bürgerkultur im 18. und 19. Jahrhundert, vornehmlich in der Goethezeit*. Verl.: Saunier. Stettin 1937, s. 94.

13 Okupacja francuska w latach 1806 – 1813 była następstwem wojny, którą Prusy wypowiedziały napoleońskiej Francji. Zmagania militarne zakończyły się zwycięstwem Napoleona. Na mocy traktatu pokojowego z 1807 r. Prusy zostały obciążone wysoką kontrybucją, a w trzech pruskich twierdzach strzegących przepraw przez Odrę (m.in. w Szczecinie) przez 7 lat stacjonowały francuskie garnizony. W Szczecinie rozpoczął urzędowanie francuski gubernator wojskowy, a cywilne władze miasta musiały złożyć przysięgę wierności Napoleonowi. Przypomnę, że inną konsekwencją tej wojny było utworzenie Księstwa Warszawskiego na terenach zagarniętych przez Prusy w czasie rozbiorów Rzeczypospolitej.

W 1813 r. hugenoci w swej masie, podobnie jak reszta pruskiego społeczeństwa, byli lojalnymi, ale biernymi politycznie poddanymi króla Prus¹⁴. Natomiast ich elity rozpoczęły intensywną działalność propagującą aktywny udział w walce z oddziałami napoleońskimi, mimo oficjalnie trwającego sojuszu wojskowego Prus z Francją¹⁵. Decydował o takich zachowaniach fakt, że był to sojusz narzucony Prusom po przegranej w 1807 r. wojnie, a na terenie królestwa stacjonowały liczne oddziały napoleońskie – formalnie sojusznicze, a *de facto* okupacyjne. W roku 1813 już nikt w Berlinie czy Szczecinie „nie pamiętał”, iż agresorem w tym konflikcie były Prusy. Antynapoleońskich postaw, zniemczonych w większości hugenotów, nie zmieniło także wprowadzenie przez Napoleona „Kodeksu prawa cywilnego” (*Code civil des français*), przywracającego we Francji równe prawa wszystkim obywatelom i uwalniającego poglądy religijne obywateli spod kontroli państwa. Pojawiły się więc warunki do ewentualnych powrotów do dawnej ojczyzny, ale zabrakło chętnych do takich przesiedleń. Jak w każdym środowisku emigranckim, pozostającym w długotrwałym oderwaniu od kraju pochodzenia, także hugenoci szczecińscy przestali być jednorodną grupą społeczną. Od połowy XVIII w. coraz częstsze były małżeństwa francusko-niemieckie, a pod koniec tego stulecia 30 rodzin wystąpiło z prośbą, aby w kościele kazania były wygłaszane w języku niemieckim¹⁶. Trzeba jednak podkreślić, że choć w Szczecinie mieszkało już drugie i trzecie pokolenie hugenotów urodzonych poza Francją, to wielu z nich kultywowało postępowanie się językiem ojczystym. Dokumentację gminy wyznaniowej, księgi parafialne¹⁷

14 Wehrmann Martin: *Der Besuch des preußischen Königspaars in Stettin im März 1806*. Ostsee-Zeitung und Neue Stettiner Zeitung. Nr. 118 (Morgen-Aufgabe), Sonntag 11. März 1906, s. 1.

15 Oto dwa przykłady takich postaw hugenockich elit: 1) Jean Pierre Frédéric Ancillon (1767-1837) – hugenocki kaznodzieja i filozof, będący w 1813 r. jednym z politycznych doradców króla Fryderyka Wilhelma III [Clark Christopher (tłum. z ang. Jan Szkudliński): *Prusy. Powstanie i upadek. 1600-1947*. Wyd. Bellona. Warszawa 2009, s. 327]. 2) Franz Augustin Riquet (1778-1839) – pastor gminy hugenockiej w Szczecinie, który w lutym 1813 r. wygłosił płomienne, antyfrancuskie kazanie wzywające do wierności królowi i pruskiej ojczyźnie oraz do zbiórki pieniędzy na wyposażenie pruskich żołnierzy [Altenburg Otto: *Franz Augustin Riquet*, „Monatsblätter der Gesellschaft für pommersche Geschichte und Altertumskunde”, 1940, J.54, Nr. 7-9, s. 61-69. Gaebel Georg: *Die Belagerung von Stettin im Jahre 1813*. Verl.: Saunier. Stettin 1913, s. 3.

16 Kamińska Elżbieta: *Gmina francuska w Szczecinie*. Bibliotekarz Zachodniopomorski: T. XXXVI (1995). Nr 1-2, s. 96-100 (s. 99).

17 Na przykład francusko języczny wpis do *Księgi chrztów* dotyczący autora omawianego poniżej pamiętnika, można odszukać w aktach Archiwum Państwowego w Szczecinie, w Zespole archiw. 0040; Jedn. archiw. 49: s. 197, poz. 808. Dopiero od roku 1859, na zarządzenie władz pruskich, księgi parafialne gminy hugenockiej zaczęto prowadzić w języku niemieckim.

oraz część nabożeństw prowadzono po francusku. Funkcjonowała, wybudowana dużym nakładem środków finansowych, francuska szkoła¹⁸.

Znalezisko pierwsze – 28 stron prozy

Epoka napoleońska zastąpiła nie tylko z powodu zmagających militarnych na ogromną skalę, ale także ze względu na dużą ilość opublikowanych w Europie pamiętników. Dramatyczne przeżycia wojenne skłoniły również kilku mieszkańców Szczecina do chwycenia za pióro i opisywania życia toczącego się w oblężonej twierdzy¹⁹. Wśród tych relacji moją uwagę zwrócił dziennik prowadzony przez mieszkańca Szczecina o francusko brzmiącym nazwisku Villaret.

Oto jak autor wyjaśnia okoliczności wydania drukiem swojego pamiętnika:

Wprawdzie pamiętnik ten nie był początkowo do druku przeznaczony, jednak później pomyślałem, że dzięki jego sprzedaży zostaną zebrane drobne lecz za to liczne datki dla wsparcia okaleczonych dzielnych obrońców naszej ojczyzny, które dadzą w rezultacie znaczącą sumę, a także zapragnąłem aby przedstawione w tym dzienniku osobliwe zdarzenia nie zostały zapomniane, przeto postanowiłem, że zostanie on wydrukowany.

Dlatego w intencji tych cierpiących modłę się, aby każdy kupujący tę książeczkę, ofiarował swój mały datek, a wtedy jego dobra wola i mój zamiar sprawią, że cel szybko zostanie osiągnięty.

¹⁸ W roku 1813 szkoła ta znajdowała się na ówczesnej Frauenstraße 875 (obecna ulica Panieńska). Budynek stał mniej więcej naprzeciwko kościoła św. Mikołaja. Dziś obie budowle nie istnieją.

¹⁹ Lista odnalezionych i opublikowanych dotąd pamiętników i relacji: Fritz E.: *Aus schwerer Zeit. Erinnerungen an die Drangsale und Leiden der Stadt und Festung Altdamm aus der Zeit der Franzosenherrschaft in der Jahren 1806-1813*. Selbstverlag. Altdamm 1902. Geletneky (?): *Tagebuch*. Ostseezeitung 1913, Nr 147, 159, 171, 183; wg Gaebel Georg: *Die Belagerung von Stettin im Jahre 1813*. Verl.: Saunier. Stettin 1913. Grönlund Johann Gustav: *Tagebuch der Belagerung Stettins der 1813*. w: Wehrmann Martin: *Tagebuch über die Belagerung Stettins im Jahre 1813*. Baltische Studien N.F. Bd. 13. 1909, s. 69-113. *Tagebuch des Stettiner Ungenannten* s. 156, w: Altenburg Otto: *Stettin im eisernen Jahr. Zeitgenössische Berichte*. Baltische Studien N.F., Bd. 17, 1913, s. 149-232. Villaret Pierre Louis: *Tagebuch während der Belagerung oder Blokade von Stettin im Jahre 1813*. Verl.: Hessenland. Stettin 1913. Wächter August Wilhelm: *Mein Tagebuch, angefangen während der der Belagerung von den Preuß. Truppen in meinem 19. Lebensjahre. Stettin, d.29. April 1813*. Wg Altenburg: op. cit., s. 153. Wiadomo także o dwóch pamiętnikach kupców Berga i Wellmanna, ale jak dotąd nie odnaleziono tych dzienników – wg Altenburg: op. cit., s. 151.



Strona tytułowa pamiętnika P. Villareta oraz autorska przedmowa do pierwszego wydania w 1814 r.

Na koniec – nie należy szukać w tej opowieści uwag politycznych na temat postępowania Francuzów, albowiem powstrzymałem się od tego całkowicie.
Villaret.

Nie jest pewne, w jakim języku Villaret napisał oryginał swego dziennika. Nie można wykluczyć, że codzienne zapisy w pamiętniku dokonywane były po francusku i dopiero decyzja o przygotowaniu *Tagebuch'a* do druku sprawiła, że tekst został przetłumaczony na język niemiecki.

Jeśli relacje pamiętnikarskie mamy traktować jako źródło wiedzy historycznej, ich obiektywizm i rzetelność są wartościami nie do przecenienia. Gdy opisy wydarzeń autorstwa Villareta porównujemy z twórczością innych szczebińskich pamiętnikarzy z tego okresu, różnice są wyraźne. Niemiecki historyk Georg Gaebel²⁰, oceniając przydatność tych publikacji dla celów naukowych, napisał między innymi: *Pamiętnik urzędowego lekarza miejskiego, doktora Geletneky, zawiera wiele interesujących wiadomości, jednak jest przesiąknięty nienawiścią do Francuzów.* Ten sam historyk tak scharakteryzował diariusz Villareta:

²⁰ Georg Gaebel we wstępie do swej publikacji cytowanej w przypisie nr 15.

Przez swoją objętość i obiektywizm, bardzo wartościowy jest pamiętnik Villareta (w sposób wyraźny pisany przez osobę dobrze poinformowaną).

Po lekturze dziennika Villareta zgadzam się powyższą opinią – pamiętnikarz zachował obiektywizm w swoich relacjach, z godną odnotowania konsekwencją. Na kartach książki znajdujemy opisy zarówno pozytywnych jak i negatywnych zachowań francuskich żołnierzy. Oto tłumaczenie dwóch takich fragmentów pamiętnika

13 kwietnia 1813

...mieliśmy wkrótce (w mieście) smutny widok wielu rannych z obu walczących stron, a wśród niesionych do francuskiego lazaretu zobaczyliśmy dzielnego, pruskiego kapitana Berendt'a, który mimo wykonanej tam amputacji zranionej nogi, z powodu wielu innych odniesionych ran zmarł po kilku dniach. Został on z wszystkimi wojskowymi honorami pochowany w asyście francuskich oficerów, a do pogrzebu dotoczyło wielu mieszkańców miasta.

16 kwietnia 1813

...Wielki Piątek Wielkanocny, był dla nas jednym z najstraszniejszych dni, ponieważ Francuzi rozpoczęli go wcześniej rano od spalania wsi Unterwiek i tej części wsi Grabow²¹, która jest widoczna od strony rzeki. Ogień, z powodu silnego wiatru, szerzył się tak dalece, że zajął drewniane bale i inne drewno użytkowe zgromadzone w przyległych do wsi składowiskach, a tym samym nie tylko spowodował straty w wysokości około 100 000 talarów²², ale może również doprowadzić do ruiny niejedną firmę handlową. Mieszkańcy w pośpiechu schronili się na tratwach zacumowanych na rzece, a ich sytuacja była tym tragiczniejsza, że nie mogliśmy ich przyjąć (do miasta), ani zaspokoić ich potrzeb, ponieważ obowiązywał najsurowszy zakaz wpuszczania i wypuszczania kogokolwiek przez bramy twierdzy.

Pierwszy opis dotyczy wydarzeń po ostrej potyczce stoczonej w okolicy mostu Cłowego. Oddziały pruskie szturmowały szanice broniące dostępu do

21 Dwie wsie stanowiące najbliższe przedmieścia ówczesnego Szczecina, leżące na północ od murów twierdzy. Zabudowania Dolnego Wiku i Grabowa leżały wzdłuż drogi, której przebieg odpowiada dziś mniej więcej północnej części ulicy Jana z Kolna oraz ulicy Łady.

22 Dla orientacji jak duża to była kwota, podam, że w tamtych latach mieszkańiec Szczecina, aby uzyskać czynne prawo wyborcze w wyborach Rady Miasta, musiał wykazać, że jego roczne dochody wynoszą co najmniej 200 talarów. Dla mieszkańców mniejszych miast ten limit wynosił 150 talarów. [Eggert Oskar: *Die Einführung der Städteordnung in Pommern*. Verl.: Pomm. Zentralverb. Hamburg 1955(?), s. 5.]

przyczółku mostowego i zostały odparte przez Francuzów. Po zakończonej walce francuscy żołnierze zebrali z pobojowiska wszystkich rannych i niezależnie od noszonego munduru, przenieśli do swojego lazaretu celem leczenia.

Trzy dni później wojna znowu pokazała swoje okrutne oblicze, ale przebieg drugiego wydarzenia stawia napoleońskich żołnierzy w zupełnie innym świetle. Przy czym odnoszę wrażenie, że autor pamiętnika w swej relacji z początków francuskich oddziałów szczególnie podkreśla uniemożliwienie udzielenia pomocy ludziom uciekającym przed pożarem. Stanowi to kontrast z opisanym wcześniej szlachetnym zachowaniem wobec rannych przeciwników.

W wojskowych archiwach zachował się bezprecedensowy list wysłany przez napoleońskiego komendanta twierdzy do generała dowodzącego pruskimi oddziałami oblężniczymi. To niespotykany w czasie wojny przypadek tłumaczenia się przed przeciwnikiem. Gen. Dufresse wyjaśniał, że nie było zamiarem Francuzów wywołanie tak ogromnych zniszczeń. W wyniku ostrzeżenia wysłanego na przedpole twierdzy francuskiego patrolu, został ranny dowodzący oficer, zaś jeden z grenadierów zginął. W odwecie podpalono dom, z którego padły strzały, a reszty dokonał porywisty wiatr²³. Villaret nie mógł znać treści tej korespondencji. Przypisuje więc Francuzom odpowiedzialność za celowe podpalenie obu wiosek.

Kiedy niemal dwadzieścia lat temu zaczynałem zbierać materiały na temat napoleońskiego okresu historii Szczecina, *Tagebuch* Villareta był jednym z pierwszych źródeł dotyczących tamtych czasów, na jakie natrafiłem w Książnicy Pomorskiej. Po lekturze tej niewielkiej książeczki uświadomiłem sobie, że wiele dowiedziałem się o 300 ostatnich dniach szczecińskiego „Franzosenzeit”, ale zupełnie nic o autorze tego niezwykłego pamiętnika. Dzięki podpisowi pod krótką przedmową, poznałem tylko jego nazwisko. Nieznane pozostawało nawet imię.

Kim był autor pamiętnika? Jest postacią zapomnianą. Nikt dotąd nie publikował informacji o nim, choć jego *Tagebuch* był wydawany drukiem w naszym mieście trzykrotnie – w 1814, 1883 i 1913 roku. Na szczęście w Archiwum Państwowym w Szczecinie zachowały się oryginalne księgi ślubów, zgonów i chrztów, prowadzone przez pastorów gminy francuskiego kościoła zreformowanego.

²³ Böhmer Wilhelm: *Die Belagerungen Stettins seit dem Anfange des zwölften Jahrhunderts. Zur Feier des fünften Decembers*. Ver!.: Effenbart. Stettin, 1832, s. 111.

Pierre Louis Villaret, urodził się w Szczecinie 9 listopada 1760 r.²⁴ Był synem przybyłego z Poczdamu (ale urodzonego w Berlinie w 1713 r.) Louisa Villareta oraz Jeanne Boileau, urodzonej w Amsterdamie w 1717 r. Rodzice pana Piotra byli potomkami hugenotów, którzy opuścili Francję pod koniec XVII wieku z powodu prześladowań religijnych. W księgach parafialnych Pierre Louis Villaret jest wymieniany jako *maitre perruquier*, co dziś tłumaczymy po prostu jako mistrz fryzjerski, ale w tamtych czasach mogło to też oznaczać fachowca od produkcji peruk. Choć na początku XIX wieku barokowe, ozdobne peruki wychodziły już z mody, nadal byli chętni na produkty maskujące ubytki męskiego owłosienia²⁵. Prowadzenie działalności usługowej, polegającej na pielęgnacji fryzur, a także wąsów i bród umożliwiało liczne kontakty z mieszkańcami miasta, a zapewne i z oficerami napoleońskiego garnizonu. U fryzjera do dziś, umiejętnie słuchając, można wiele dowiedzieć się od gadatliwych klientów. W tamtych czasach nie mogło być inaczej. Zasługą pana Piotra jest to, że zapisywał skrętnie zasłyszane informacje w swoim pamiętniku. Zmarł w Szczecinie 9 lipca 1816 r. (prawdopodobnie na zawał serca), w niecałe dwa lata po pierwszej edycji pamiętnika.

W trakcie lektury dziennika Villareta, nie miałem wątpliwości, że autor był patriotycznie nastawionym obywatelem swojego miasta oraz kraju i mimo francuskiego pochodzenia, napoleońskie oddziały postrzegał jako okupantów. Jednak jest to tekst, który pomimo upływu ponad dwustu lat, może stanowić wzór profesjonalnej, wręcz dziennikarskiej relacji. Rzeczowo opisane są wydarzenia i wymienione z nazwiska osoby biorące w nich udział. Mój podziw dla autora wzrósł, gdy po pewnym czasie udało mi się zebrać informacje o nim i gdy zorientowałem się, jak starannie unikał eksponowania w *Tagebuchu* swojej osoby. Ustaliłem, że pan Piotr poniósł w 1813 r. straty majątkowe w wyniku francuskich działań bojowych na przedpolu twierdzy, w okolicy wioski Unter Wiek (Dolny Wiek). Jednak gdy w pamiętniku pisał o stratach materialnych mieszkańców Szczecina, skromnie pominął informację o spaleniu domu na jego prywatnej podmiejskiej posiadłości²⁶.

²⁴ Życiorys Villareta nie był dotąd przez nikogo publikowany. Sporządziłem go na podstawie ksiąg parafialnych gminy francuskiej, zdeponowanych w Archiwum Państwowym w Szczecinie.

²⁵ Kto dziś pamięta, że takiej maskującej peruki używał nawet piękny książę Pepi – chodzi oczywiście o naszego księcia Józefa Poniatowskiego (ale nie używał on peruk wykonywanych w Szczecinie).

²⁶ Z aktu notarialnego sporządzonego w Szczecinie 222 lata temu wynika, że od roku 1801, Pierre Louis Villaret był dzierżawcą ogrodu w Unter Wiek [Leliński S. (red.), Frankel M. (red.), Gaziński R., Grzelak J., Podrański J., Lesiński H.: *Regestry dokumentów miasta Szczecina z lat 1243-1856*. Wyd. Arch. Państw. Szczecin 1993, s. 239.] Na pocz. XIX w. wielu bogatszych mieszkańców Szczecina szukało

Znalezisko drugie – 40 wersów mowy wiązanej

Od czasów, gdy najwyższą władzą w Szczecinie był francuski gubernator minęło ponad 200 lat, w ciągu których ukazało się kilka opracowań historycznych, prezentujących okres „Franzosenzeit” z punktu widzenia niemieckojęzycznych mieszkańców miasta. To jednostronne spojrzenie próbował poszerzyć szczeciński historyk Wilhelm Böhmer. W jego monografii dotyczącej historii oblężeń Szczecina²⁷, w rozdziale poświęconym wydarzeniom z 1813 roku, znajdujemy unikalny rodzaj „ilustracji” do niektórych opisywanych wydarzeń – są to pisane w trakcie oblężenia francuskie wierszyki satyryczne, będące w istocie kupletami. W zestawie bibliograficznym do tego rozdziału Böhmer tak charakteryzuje źródło pochodzenia tych utworów:

Complainte de Stettin. Nach der Weise: *Or, écoutez peuple Chrétien*. 1813. Ein ungedrucktes Spottlied von 46 Versen. Verfasser ist ein Französischer Stabs-Offizier der damaligen Garnison. Co można przetłumaczyć: Pieśń ze Szczecina. Na melodię: *A teraz posłuchaj ludu chrześcijański*. 1813. Niedrukowana prześmiewcza pieśń licząca 46 wersów. Autorem jest francuski oficer sztabowy ówczesnego garnizonu.

Böhmer zaprezentował niemal całość piosenki. Podzielił tekst na pięć fragmentów i użył je, jako swoisty komentarz do niektórych prezentowanych epizodów trwającego niemal 300 dni oblężenia szczecińskiej twierdzy (na strokach: 106, 108, 111-112, 113, 117). Oto 40 linijek piosenki, przedstawione w takiej kolejności, w jakiej autor umieścił poszczególne fragmenty w swojej publikacji.

*Il falloit voir pendant ce temps,
Comme travailloient tous nos gens,
La place ils arrangèrent,
Si bien la retranchèrent,
Que tout le monde s'écrioit:
Le diable plus ne la prendroit.*

*Un certain soir dans la prairie
On crut voir une batterie,*

wytnienia od przeludnionego miasta i budowało domy poza murami twierdzy. Przypomina to trochę sytuację dzisiejszych szczecinian organizujących Rodzinne Ogrody Działkowe.

²⁷ Böhmer Wilhelm: *Die Belagerungen Stettins seit dem Anfange des zwölften Jahrhunderts. Zur Feier des fünftes Decembers*. Verl.: Effenbart. Stettin, 1832.

Soudain on fit vacarme,
Et l'on repand l'allarme.
Oh! combien l'on brula d'amorces
Sur un malheureux tas d'écorce.

Du beau jardin de Velthouse,
Dont ou aimoit tant la pélouse,
Arbres il abattit,
Maisons il détruisit;
Chose vraiment qui nous étonne,
C'est qu'il n'y perdit pas un homme.

On voyoit trois moulins â vent,
Toujours ayant le nez au vent,
Ce nouveau Don Quixotte
Les attaqua de sorte,
Qu'en une nuit ils disparurent,
Et jamais plus ne reparurent.

A la fête du Roi Prussien
De Stettin les bons Citoyens
Se réjouir osèrent.
Maisons illuminèrent:
En consience ils ne-savoient,
Quel gros péché ils commettoient.

A la main flamberge de bois,
Bien bonne pour gauler des noix,
Mon héros en fureur,
Signala sa valeur.
Vitres, lampions il fracassa
Et couvert de suif il rentra.

Mais le soldat voyant
Ce démenagement,
La Casematte le nomina,
Ma foi le nom lui restera.

Zaprezentowany utwór nie był dotąd publikowany w całości w Polsce. Jedynie trzecia zwrotka piosenki ukazała się w 1958 r. drukiem i została

przetłumaczona w artykule autorstwa profesora Alfreda Wielopolskiego²⁸. W piśmiennictwie niemieckim Georg Gaebel cytuje w 1913 r. wybrane cztery zwrotki tego utworu²⁹. Nikt nie podjął jednak próby ustalenia, kto jest autorem *Complainte de Stettin*³⁰.

W powyższym tekście brakuje dwóch linijek ostatniej zwrotki oraz refrenu liczącego cztery linijki. Böhmer nie wyjaśnił, dlaczego nie został podany pełen tekst piosenki, nie zdradził też nazwiska autora. Choć w opisie bibliograficznym zaznaczył, że treść piosenki jest prześmiewcza, nie podał, w kogo wymierzone jest szyderstwo zawarte w poszczególnych zwrotkach. Nie wynika to w jednoznaczny sposób z udostępnionych nam fragmentów utworu. Może brakujące linijki tekstu zawierały tę informację? Kolejne, nasuwające się pytanie dotyczy powodów krytycznego odnoszenia się wysokiej rangi oficera (będącego członkiem sztabu dowodzącego obroną) do współtowarzyszy broni. Spróbujmy rozwikłać te zagadki.

Już w pierwszej zwrotce, jedynej, która chwali działania francuskich obrońców Szczecina, zawarta jest wskazówka ułatwiająca wytypowanie autora piosenki. Przedmiotem pochwał są działania inżynierskie przy wzmacnianiu waloarów obronnych twierdzy. Z opracowań historycznych opartych na materiałach archiwalnych wynika, że oficerem kierującym modernizacją szczecińskich umocnień był major Chulliot. Z dużym prawdopodobieństwem można więc wysunąć przypuszczenie, że w myśl przysłowia „każda pliszka swój ogonek chwali”, na początku piosenki autor opiniuje własną pracę. Pozostałe zwrotki opisują w krytyczny, szyderczy sposób kilka wybranych wydarzeń z przebiegu oblężenia, które miały miejsce od kwietnia do końca sierpnia 1813 r. Krytyka dotyczy wydawanych rozkazów, a treść poszczególnych zwrotek ma wyraźnie na celu ośmieszenie osób dowodzących obroną twierdzy. Czytelnikowi

28 Wielopolski Alfred: *Szczecin w dobie wojen napoleońskich*. Szczecin (miesięcznik Pomorza Zachodniego). 1958, zeszyt 11/12, s. 65-75 [cytat na s.72]. Ten sam autor kilka lat później zacytował tę zwrotkę w opracowaniu popularnonaukowym: Wielopolski Alfred: *Wojska napoleońskie w Szczecinie*. W: *Dziedzictwo Gryfów*. (praca zbiorowa). Wydawnictwo Poznańskie. Poznań 1962, s. 105-109. [cytat na s. 108].

29 Gaebel, op. cit., s. 25, 56, 60. Cytowane fragmenty, podobnie jak u Böhmera, służą do ubarwienia treści publikacji z zakresu historii wojskowości, opartej głównie na materiałach archiwalnych.

30 Böhmer nie pozostawił informacji, kiedy i w jakich okolicznościach wszedł w posiadanie rękopisu. W jego spuściźnie przechowywanej w APS nie znalazłem notatek na ten temat ani oryginału piosenki. Nie przekazał także rękopisu *Complainte de Stettin* do zbioru dokumentów, jakie pozostały po Pomorskim Towarzystwie Historyczno-Archeologicznym [ustną informację o tym uzyskałem od dr. hab. Macieja Szukały; patrz także: Szukała Maciej: *Materiały źródłowe do historii Pomorskiego Towarzystwa Historyczno-Archeologicznego w zasobie Archiwum Państwowego w Szczecinie (1824-1942)*. Przegł. Zach-Pom. t. 38, 1994, z. 2, s. 143-153].

w pierwszej chwili może podobać się zwięzły styl, kąśliwe poczucie humoru i inteligentne pointy w poszczególnych strofach. Ale gdy uświadomimy sobie, że utworowi nadano formę piosenki o powszechnie znanej w tym czasie we Francji melodii, a więc łatwej do szybkiego rozpowszechnienia, przychodzi smutna refleksja. Na początku września 1813 r. sytuacja obrońców stała się bardzo trudna. W twierdzy zaczynał panować głód, a szanse na odsiecz spadały do zera wobec niepowodzeń głównych sił armii napoleońskiej na polach bitew. Morale załogi zaczęło spadać i nasiliły się próby dezercji. Oto w takim momencie wysokiej rangi oficer podejmuje działania osłabiające autorytet dowódców i prowadzące do obniżenia dyscypliny. W napisanej piosence posunął się nawet do podania nieprawdziwych informacji, kłamał, aby oczernić Gubernatora twierdzy (generała Grandeau). Jak widać, *fake newsy* były stosowane także dwieście lat temu. Ale honor oficera w tamtych czasach nie był pustym sloganem. Co mogło skłonić autora kupletów do postępowania pozostającego w głębokiej sprzeczności z kodeksem etyki żołnierza zawodowego?

Według informacji podanych przez Gaebela³¹, major Chulliot (awansowany w lipcu na pułkownika) był mocno skonfliktowany z Gubernatorem Szczecina oraz ze swoim bezpośrednim przełożonym generałem Chambarlhac (szefem wojsk inżynieryjno-saperskich w twierdzy). Nie poprzestał na pisaniu kąśliwych wierszyków, rozpoczął działalność szpiegowską, dostarczając informacje pruskim oddziałom oblegającym Szczecin. Czy prywatny konflikt mógł być na tyle silny, że oficer zaryzykował zrujnowaniem kariery zawodowej i utratą życia w razie dekonspiracji?

Dalsze próby wyjaśnienia, kto jest autorem napisanej po francusku „*Pieśni ze Szczecina*” ukazały, jak dramatyczne bywały losy ludzi uwikłanych w tzw. wojny napoleońskie. Po kapitulacji Szczecina, w grudniu 1813 r. pułkownik Chulliot, mimo otrzymanego awansu, porzucił służbę w armii francuskiej i został oficerem armii pruskiej. Zmienił przy tym nazwisko na von Plautzen. Pod pruskim dowództwem walczył przeciwko wojskom napoleońskim aż do 1815 roku, deklarując przy tym nienawiść do Napoleona³². Motywy postępowania Chulliota stały się dla mnie jasne, gdy nieoczekiwanie w jednej z publikacji³³

31 Gaebel: op. cit., s. 61.

32 Bernhardt (?): *Wittenberg vor fünfzig Jahren. Die Geschichte seiner Belagerung und Einnahme (13 Januar 1814.)* Verl. Vereins für Heimathkunde des Kurkreises. Wittenberg 1863, s.48. Niemeyer Christian: *Heldenbuch. Ein Denkmal der Großthaten in den Befreiungskriegen von 1808-1815.* Verl. Baumgärtner. Leipzig 1816, s. 221. Plotho Karl v.: *Der Krieg in Deutschland und Frankreich in den Jahren 1813 und 1814. Dritter Theil mit 25 Beilagen.* Verl. Amelang. Berlin 1817. Beilage XXV, s. 124-172.

33 Förster Friedrich: *Geschichte der Befreiungs-Kriege 1813. 1814. 1815. Zweiter Band.* Verl. Hempel. Berlin 1864, s. 1096.

znalazłem informację o jego holenderskiej narodowości. Zrozumiałem, iż w swoich zachowaniach kierował się pobudkami patriotycznymi, wynikającymi z zaszłości historycznych w stosunkach francusko-holenderskich³⁴. Można więc powiedzieć, że mamy do czynienia z niderlandzką odmianą wallenrodizmu.

A teraz kilka słów o treści kupletów dla czytelników nieznających języka francuskiego oraz kilka niezbędnych wyjaśnień dotyczących przebiegu oblężenia Szczecina.

Po pierwszej zwrotce zawierającej pochwałę pracy ludzi ulepszających szczecińskie fortyfikacje, następują wyłącznie kpiny z działań militarnych francuskich obrońców twierdzy. Najpierw oberwało się artylerzystom, którzy zmarnowali wiele amunicji, strzelając w nocy do źle rozpoznanego celu na przedpolu – spalono wówczas stertę kory (zgromadzonej zapewne w czasach przed oblężeniem przez jakiegoś właściciela garbarni), omyłkowo biorąc ją za świeżo wzniesiony pruski szaniec. W następnych zwrotkach wyłącznym adresem kpin staje się niewymieniony z nazwiska bohater. Strofy te są sukcesywnie cytowane w opracowaniu Böhmera, jako przejaw oburzenia w szeregach zwykłych napoleońskich żołnierzy na rozkazy francuskiego dowództwa. Trzecia zwrotka wyszydza bezzasadne rzekomo zniszczenie drzew i zabudowań w pięknych ogrodach na posiadłości kupca Velthusena. Czwarta porównuje spalenie wiatraków, znajdujących się w sąsiedztwie szczecińskich bastionów, do szalonych poczynań Don Kichota.

Wiatraki rzeczywiście spłonęły nocą 25/26 sierpnia 1813 roku. Przypisanie Francuzom sprawstwa tych zniszczeń wydaje się logiczne, bo taka akcja była uzasadniona z militarnego punktu widzenia. W tamtych czasach oddziały broniące twierdz zawsze niszczyły budynki i skupiska drzew na przedpolu, aby nie dawały osłony wojskom atakującym. Dlatego początkowo też sądziłem, że rozkaz „oczyszczenia” okolicy wydał francuski Gubernator, generał Grandeau. Tylko po co to oburzenie działaniami Francuzów? Taka krytyka tendencyjnie unika porównania działań francuskich władz Szczecina z poczynaniami pruskiej administracji wojskowej. Czym na przykład różni się wycięcie drzew w ogrodzie Velthusena (leżącym przecież na przedpolu bronionej twierdzy) w roku 1813, od wycięcia drzew rosnących na przedpolu Szczecina w roku

34 Na przełomie XVIII i XIX wieku Holandia utraciła na rzecz Francji niepodległość i odzyskała ją dopiero po upadku Napoleona. Od 1810 r. oddziały holenderskie wcielono do armii francuskiej. [Balicki Jan, Bogucka Maria: *Historia Holandii*. Wyd. Ossolineum. Wrocław 1989. Bielecki Robert: *Wielka Armia*. Wyd. Bellona. Warszawa 1995, s. 416-419].

1806? Wtedy to w czasie pruskich przygotowań do obrony przed Francuzami, poszła pod topór zabytkowa, czterorzędowa aleja lipowa, sadzona ponoć przez samego Fryderyka Wielkiego.

Wróćmy na chwilę do treści omawianego utworu. Pozwolę sobie żartobliwie przetłumaczyć czwartą zwrotkę, biorąc za wzór mickiewiczowskie strofy, opisujące czasy napoleońskie:

*Przez wieki pod Szczecinem trzy wiatraki stały,
które wiatru podmuchy ochoczo chwytały.
Lecz nowy Don Kichot w te strony przywędrował,
Za wrogów swych je uznał, więc zaatakował.
A gdy noc minęła wśród pożarów i trwogi,
już nigdy nie ujrzano ofiar tej pożogi.*

Satyryczna wizja autora piosenki mija się z prawdą. W rzeczywistości spalanie wiatraków nie miało nic wspólnego z szaleńczymi urojeniami rycerza z La Manchy. Było logicznym następstwem wojennej kalkulacji. Na rozkaz generała von Plötza, dowodzącego oblężeniem Szczecina, wiatraki zostały zniszczone w nocy 26 sierpnia 1813 r. przez pruskich artylerzystów kierowanych przez porucznika Zindela³⁵. Wykonany atak miał uniemożliwić wykorzystywanie młynów wiatrowych do produkcji mąki na potrzeby głodującej załogi Szczecina. Francuscy artylerzyści nie tylko nie strzelali do wiatraków, ale na rozkaz Gubernatora bronili je przed pruskimi żołnierzami.

Piąta i szósta zwrotka piosenki opisuje represyjne działania Francuzów wobec cywilnych mieszkańców Szczecina w dniu 3 sierpnia 1813 r. Był to dzień urodzin króla Prus Fryderyka Wilhelma III. Z tej okazji szczecińscy mieszkańcy przystroili drzwi domów wieńcami z kwiatów, a wieczorem oświetlili okna domów i lokali. Te iluminowane okna były tłuczone przez specjalnie wysłane na ulice patrole francuskich żołnierzy³⁶. Autor kupletów podaje, że bohater jego utworu osobiście uczestniczył w rozbijaniu szyb i lampionów. Wilhelm Böhmer uzupełnia tę relację, podając, że owym bohaterem był Gubernator Szczecina oraz że dokonał on zniszczeń między innymi w Hotelu de Prusse, w zajęzdzie Pod Żółtym Lwem i w lokalu cukiernika Regena. W żadnym innym

35 Ustalił to, ceniony za wiarygodność, pruski historyk Heinrich Berghaus [Berghaus H.: *Geschichte der Stadt Stettin, der Hauptstadt von Pommern. II Band.* Verl.: Riemschneider. Berlin und Wriezen n/O. 1876, s. 819.]

36 Böhmer: op. cit., s. 113. Także Villaret (op. cit., s. 22) potwierdza represyjną akcję Francuzów 3 sierpnia, ale nie wspomina o bezpośrednim udziale Gubernatora.

źródle nie znalazłem potwierdzenia bezpośredniego udziału generała Grandeau w tej ulicznej akcji.

W ostatniej zwrotce brakuje pierwszych dwóch linijek. Böhmer, z sobie tylko wiadomych powodów, zastąpił te wersy własnym opisem okoliczności powstania tej części utworu. Pisze on, że ostatnie dni sierpnia 1813 r. przyniosły wzmożony ostrzał artyleryjski Szczecina. Zdaniem tego historyka, generał Grandeau, w reakcji na zagrożenie, kazał przystosować dla swoich potrzeb pomieszczenie mieszkalne w kazamatach odpornych na bombardowanie³⁷. Jako poetycką ilustrację tego epizodu Böhmer umieścił cytowany powyżej czterowiersz, w którym jest mowa o przeprowadzce generała do kazamaty i o przydomku nadanym mu przez żołnierzy zdegrustowanych tchórzliwym zachowaniem przełożonego.

W moim tłumaczeniu zwrotka ma następujące brzmienie:

*A gdy zobaczyli nasi dzielni żołnierze
Jaką nową kwaterę pan generał bierze,
Także imię nowe mu podarowali
I „La Casemate” złośliwie nazwali.*

Jednak moim zadaniem, ważniejszym od przetłumaczenia tekstu, jest obrona honoru i dobrego imienia generała Grandeau³⁸. Pod koniec sierpnia 1813 r. nie było żadnej przeprowadzki – generał nie zmienił swojej kwatery. Jako Gubernator miał siedzibę w budynku, w którym dziś mieści się Muzeum Narodowe na pl. Żołnierza Polskiego. Po zintensyfikowaniu ostrzału artyleryjskiego przez wojska oblegające Szczecin, polecił dokonać inspekcji piwnic zamkowych oraz kazamat twierdzy pod kątem przydatności na ewentualne schrony dla żołnierzy. Dodatkowo, 1. września wydał polecenie oddziałowi saperów, żeby zbudowali solidną osłonę zabytkowego, marmurowego pomnika Fryderyka II Wielkiego³⁹, aby pruskie pociski nie uszkodziły monumentu. Ale jak wi-

37 Böhmer: op. cit., s. 117.

38 Louis Joseph Grandeau (1761-1832) – zanim trafił do Szczecina był przez 24 lata oficerem na pierwszej linii, m.in. w elitarniej dywizji gen. Frianta, gdzie dowodził brygadą piechoty liniowej. Brał udział w wielu kluczowych bitwach, był dwukrotnie ranny. Bohater kampanii moskiewskiej 1812 r., odznaczony Legią Honorową, 24 sierpnia 1812 r. ranny pod Smoleńskiem, za zasługi awansowany tego dnia na generała dywizji i mianowany gubernatorem zdobytego Smoleńska. Wrócił z Rosji chory i nie mogąc pełnić czynnej służby liniowej, został wyznaczony na stanowisko gubernatora Szczecina. [Six Georges: *Dictionnaire biographique des généraux & amiraux français de la Révolution et de l'Empire (1792-1814)*. Edit.: Saffroy. Paris 1934. T. I, s. 518-519].

39 Fryderyk II (1712–1786), król pruski od roku 1740. Znacznie poszerzył granice Prus. Był jednym z inicjatorów rozbiorów Rzeczypospolitej.

dać, nie uchroniło to generała przed próbą oczernienia przez pruskiego historyka. Czy był tchórzliwym człowiekiem? Można to ocenić na podstawie jego krótkiego biogramu zamieszczonego w przypisie nr 38.

Epistolografia – to też ślad piśmienniczy

Czytanie cudzej korespondencji wydaje się naganne, ale w pewnych okolicznościach staje się źródłem unikalnej wiedzy historycznej. Badacze dziejów, którzy chcieliby zgłębić specyfikę szczecińskiej gminy hugenockiej, powinni moim zdaniem zainteresować się treścią listów pisanych przez jej członków. Szeroką, korespondencyjną wymianę myśli i poglądów z wieloma osobami na terenie Europy prowadzili między innymi pastor Jacques de Perard⁴⁰ czy wspomniana już Sophie Tilebein. Ze względu na ilość materiału, próba analizy listów pisanych przez te dwie osoby daleko wykraczałaby poza objętościowe granice wyznaczone zarówno przez Redakcję czasopisma, jak i zaplanowane przez autora niniejszego opracowania. Ponadto nie byłoby możliwe dotarcie w krótkim czasie do poszczególnych listów rozproszonych wśród wielu depozytariuszy i kolekcjonerów⁴¹. Wreszcie, realizacja takiego zamiaru, w pewnej części dotyczyłaby materiału znanego i nie byłaby w pełni odkrywczą.

Natomiast francuskojęzyczna korespondencja żołnierzy szczecińskiego garnizonu z okresu napoleońskiego, zgromadzona przez prywatnego zbieracza⁴², nigdy jeszcze nie była publikowana drukiem. Spośród kilku listów z tej kolekcji, do omówienia wybrałem dwa, których treść zawiera informacje na temat bardzo rzadko poruszany w polskich opracowaniach historycznych. Powszechnie wiadomo, że kadre dowódczą armii napoleońskiej na wszystkich szczeblach hierarchii wojskowej stanowili żołnierze zawodowi. Jednak przemilczany jest często fakt, że pensje tych oficerów i podoficerów były wypłacane z wielomiesięcznymi opóźnieniami. Także szeregowcom (choć w większości nie trafili do armii na ochotnika) należał się żołd; oni również często nie dostawali pieniędzy w regulaminowym terminie. W krańcowych przypadkach zaległości wynosiły nawet 2-3 lata⁴³. Takie karygodne postępowanie miało miejsce w sytuacji, gdy

40 Jacques de Perard (Jacob Perard de Martingnicourt) (1713-1766) był pastorem francuskiej gminy hugenockiej w Szczecinie od roku 1739. [<https://pomeranica.pl>].

41 Wskazuje na to treść cytowanej powyżej pracy Otto Altenburga.

42 Kolekcjonerem tym jest Pan Ryszard Hałabura, który bezinteresownie udostępnił fotokopie omawianych listów. Pragnę jeszcze raz podziękować mu za ten wspaniały gest.

43 Lechartier Germain Georges Felix: *Les services de l'arrière à la Grande Armée en 1806-1807*. Wyd. Chapelot. Paris 1910, s. 141-144. Damamme Jean-Claude (tłum. z franc. A.K.Szymański): *Żołnierze*

zaopatrzenie wojsk funkcjonowało zupełnie inaczej niż dziś. Wiele elementów umundurowania i wyposażenia oraz wyżywienie powinni kupować z własnych pieniędzy zarówno oficerowie jak i zwykli żołnierze. To wyjaśnia, dlaczego znajdujemy opisy mówiące o żołnierzach maszerujących setki kilometrów bez butów⁴⁴, o rabowaniu żywności, o plądrowaniu zdobywanych miejscowości⁴⁵ i o wymuszaniu bezprawnych *don gratuit*⁴⁶ na ludności cywilnej miast zajmowanych bez szturmowania⁴⁷.

Napoleon zdawał sobie z tego sprawę, skoro napisał w liście do marszałka Berthiera: „wojna musi żywić wojnę”⁴⁸. Jednak nie tylko on ponosił odpowiedzialność za pozbawianie żołnierzy gotówki na bieżące potrzeby. Wykrywane były nadużycia, polegające na przywłaszczaniu pieniędzy z kas pułkowych i dywizyjnych, gdy oczekujący na zaległe wypłaty oficerowie i żołnierze ginęli w kolejnych bitwach. Można też podejrzewać, że już na szczeblu ministerstwa finansów prowadzono cyniczną politykę przekazywania z opóźnieniem środków finansowych do poszczególnych oddziałów wojskowych, w oczekiwaniu na zmniejszenie się liczby wierzycieli skarbu państwa w toku trwających kampanii wojennych. Jest niewiele relacji o tym, jak wojsko reagowało na takie praktyki. Co w takiej sytuacji robili szeregowi żołnierze? Część z nich funkcjonowała dzięki finansowemu wsparciu rodzin⁴⁹. Część oficerów pisała do przełożonych ponagląjące pisma, a część wojskowych działała na granicy prawa albo nawet tę granicę przekraczała. Te przekroczenia polegały niekiedy na wchodzeniu w porozumienie z dostawcami zaopatrzenia i naczepianiu zysków z prowizji lub wręcz z oszustw w dostawach dla armii⁵⁰. Natomiast przez wiele lat studiów nad epoką napoleońską, nie spotkałem się jeszcze z taką metodą walki o swoje prawa, jaką zastosował autor pierwszego z omawianych listów.

Wielkiej Armii. Wyd. Napoleon V. Oświęcim 2016, s. 159-160. Tascher Maurice de, (tłum. z franc. M. Türschmid): *Dziennik wojenny 1806-1813*. Wyd. Fundacja Historia.pl (d. Finna). Gdańsk 2020, s. 170.

44 Brandt Henryk: *Moja służba w Legii Nadwiślańskiej*. Wyd. Armagedon. Gdynia 2002, s. 99-100, 140.

45 Bielecki op. cit., s. 359-360. Białkowski Antoni: *Wspomnienia starego żołnierza*. Wyd. Armagedon. Gdynia 2003, s. 17-20. Grabowski Józef: *Pamiętniki wojskowe 1812-1814*. Wyd. Mówią wieki. Warszawa 2004, s. 120.

46 „Dobrowolnych darowizn” stanowiących w rzeczywistości wymuszony okup.

47 Np. mieszkańcy Szczecina zajętego w 1806 r. bez walki, zaptalili dwom francuskim generałom po 500 luidorów za gwarancję, że miasto uniknie grabieży. [Granier Herman: *Die Kapitulation von Stettin 1806 und der Staatsminister von Ingersleben*. Baltische Studien N.F. Bd. IV. 1900, s. 1-15 (S. 11)]. W przeliczeniu na obiegową pruską walutę, tysiąc tych złotych monet miało wartość co najmniej 5 tysięcy talarów.

48 *la guerre nourrit la guerre* Le Havre, 29 mai 1810 (*Correspondance* No 16521).

49 Mamy na to dowód w drugim z omawianych tu listów.

50 Bielecki, op. cit., s. 208.

Datowany 3 października 1808 r.⁵¹ list dowódcy 1. batalionu 46. pułku piechoty liniowej z 2. dywizji czwartego Korpusu armii napoleońskiej jest jednym z elementów trwającej zapewne od kilku tygodni korespondencji. Niestety, nie dysponujemy kompletem przekazywanych wiadomości i dokumentów. Autor listu, André Louis Jouy, koresponduje z panem Nicollon zamieszkałym w Paryżu na rue de l'Evêque nr 21. List napisany jest w zwięzłym, rzecz można w wojskowym stylu. Znaczenie niektórych francuskich słów przez dwieście lat uległo zmianie, więc pierwsze tłumaczenie tej korespondencji stworzyło wrażenie, że oficer 46. pułku napisał coś „między wierszami” do pana Nicollon’a w Paryżu (listy były cenzurowane przez żandarmerię i policję w poszukiwaniu śladów defraudacji). Zacząłem podejrzewać pana Jouy’a o jakiś nieczny proceder. Dopiero pomoc przyjaciół⁵² z Alliance Française pozwoliła mi na właściwe zrozumienie tekstu, a odnalezienie szczegółów biografii⁵³ pana André Jouy’a potwierdziło nienaganny przebieg służby wojskowej tego oficera.

Zorientowałem się, że przesyłka kierowana jest do prawnika⁵⁴ i dotyczy starań o odzyskanie zaległych wypłat. Najprawdopodobniej nasz bohater wynajął adwokata w Paryżu, aby tam w stolicy dochodził on roszczeń finansowych (*reclamations*) wobec Skarbu państwa, obejmujących zarówno okres służby w 46. jak i w 88. pułku piechoty. Mamy więc sensację! List odkrywa nieopisywaną dotąd przez historyków metodę postępowania zdesperowanych napoleońskich wiarusów wobec cynicznego aparatu administracji skarbowej⁵⁵. Szkoda, że nie dotrwał do naszych czasów wzór pełnomocnictwa, o którym pisze autor listu – mielibyśmy kompletny materiał historyczny.

Oto ostateczna wersja tłumaczenia listu widocznego na ilustracji:

*Szanowny Panie,
otrzymałem Pana list, a w nim wzór pełnomocnictwa, który Pan załączył.*

51 Po zakończonej kampanii 1806-1807, Napoleon 23 września 1807 r. na nagrody dla generałów i marszałków rozdysponował 11 mln franków [Vachée Jean-Baptiste (tłum. z franc.: Cezary Domalski): *Napoleon w czasie kampanii*. Wyd. Napoleon V. Oświęcim 2019, s. 98]. Kontrastuje to z mającą miejsce rok później sytuacją oficera piszącego list.

52 Teresa Kieling, Michał Sobiecki i Pierre-Frédéric Weber – niech przyjmą moje serdeczne podziękowania za bezinteresowną pomoc w rozszyfrowywaniu tekstu pierwszego listu.

53 Quintin Danielle et Bernard: *Dictionnaire des colonels de Napoléon*. Edit.: S.P.M. Paryż 2013, s. 452-453.

54 Wskazuje na to skrót przed nazwiskiem adresata listu: h.l. = homme de loi = prawnik.

55 André Jouy służył w 88. pułku od roku 1803 do lutego 1807, kiedy to został dowódcą batalionu w 46. pułku. Zaległości w wypłatach mogą więc obejmować okres nawet kilku lat. Trudno się dziwić, że po takim okresie stracił cierpliwość.

9^{em}
4. Division Mellin le 3 8^{bre} 1808.
4. corps d'armées

J'aurai l'honneur de vous adresser
à M. B. Nicollon à Paris

Monsieur

J'ai reçu votre lettre et avec elle le
modèle de procuration que vous y avez
joint
J'accepte l'offre que vous me faites des
vos services, et vous adresserai bientôt
la procuration que vous me demandez,
ayant encore quelques autres réclamations
à faire au 88^{em} rég^t j'en ai au quartier
même de ce corps. Surtout sa réponse
je vous prie de vous charger des autres
et des autres.

J'ai l'honneur de vous saluer
J. Jacqueta

Akceptuję usługi, które Pan mi zaproponował i wkrótce prześlę Panu pełnomocnictwo, o które Pan prosi; jako uprawniony do zgłoszenia jeszcze kilku innych roszczeń w odniesieniu do 88 regimentu, piszę do kwatery głównej tamtego⁵⁶ Korpusu Armii. W zależności od ich odpowiedzi poproszę Pana o zajęcie się jednymi i drugimi (roszczeniami).

Mam zaszczyt śłać Panu pozdrowienia.

A. Jouy

Drugi z prezentowanych listów, pisany pięć lat później, też porusza sprawę kłopotów finansowych napoleońskich żołnierzy. Jednak zawiera także inne interesujące wątki, więc omówię go w całości.

W zimny wieczór 4 lutego 1813 roku, marznący w swojej szczecińskiej kwaterze J. Jacquet, żołnierz z drugiej kompanii, 4. batalionu, 96. pułku piechoty liniowej, z 10. półbrygady 31. Dywizji, XI Korpusu Armii Napoleona, tak pisał do swoich rodziców:

Mój drogi ojcze i matko, cieszę się, że mogę znaleźć czas i napisać do was kilka słów. Chcę, żebyście wiedzieli, że opuściliśmy Berlin przed 18 dniami. W tej chwili jesteśmy w Szczecinie, mieszkamy od 14 dni u zamożnych ludzi. Pogoda w drodze nie była dobra. Chciałbym zostać w Szczecinie jeden miesiąc. Gdybyśmy jednak mieli dalej iść w kierunku Rosji, będzie ciężko, ponieważ już w Szczecinie jest bardzo zimno, [rzekę] można przejechać wozem po lodzie.

Zrozumiałe jest marzenie młodego żołnierza, który woli przetrwać na kwaterze złą do maszerowania porę roku. Ale pewnie zdziwiłby się on bardzo, gdyby powiedziano mu, że spędzi w Szczecinie nie jeden miesiąc, ale prawie cały rok, zanim rzeczywiście pomaszeruje w kierunku Rosji i do tego pomaszeruje jako pruski jeniec wojenny.

Czwarty batalion 96. pułku nie brał udziału w nieudanej wyprawie na Moskwę w 1812 roku. Pan Jacquet prawdopodobnie interpretuje wymarsz swojej jednostki z Berlina w kierunku wschodnim, jako przygotowanie do kontrofensywy, wobec zbliżających się oddziałów armii cara Aleksandra I. Píše więc dalej:

⁵⁶ 88. pułk piechoty liniowej wchodził w tym czasie w skład V Korpusu Wielkiej Armii [Arnold J.R., Reinertsen R.R. (tłum. z ang.: Mróz-Mazur K.): *Triumf Napoleona. Kampania frydlandzka 1807 roku. Wielka Armia przeciwko Armii Carskiej*. Wyd. Napoleon V. Oświęcim 2018, s. 323 i 328. Leśniewski Sławomir: *Jena i Auerstadt 1806*. Wyd. Bellona. Warszawa 2011, s. 83 i 205. Malicki Patrycjusz: *1806: Jena - Auerstädt*. Wydawnictwo Napoleon V. Oświęcim 2014, s. 156 i 264.].

Czekamy na Rosjan i Kozaków⁵⁷, jeżeli przyjdą, będziemy walczyć. Chciałem was jeszcze poinformować, że otrzymałem pieniądze, które mi wystaliście 5. stycznia. Sprawiliście mi tym ogromną radość, ponieważ bardzo ich potrzebowałem, jednak nie było tego wystarczająco, bo mogłem za to jedynie kupić parę spodni, a jeszcze potrzebuję getry, szalik i inne rzeczy. Wiecie przecież, że nie otrzymujemy tutaj zbyt wiele. Ponieważ nie jestem już kapralem, potrzebuję lepszych butów. Jak byłem kapralem, miałem za dużo pracy i za dużo kłopotów, [bo] wszystkie błędy były zrzucane na kaprala. Przyślijcie mi tyle samo pieniędzy, co ostatnio. Ucieszę się, ponieważ pieniądze, które zginęły, już nigdy nie przyjdą. Jak byłem na poczcie w Szczecinie, oni nie mogli mi nic powiedzieć.

4 lutego był chyba jednym z ostatnich dni 1813 roku, gdy prosty żołnierz, zapewne czytający regularnie Biuletyn Wielkiej Armii⁵⁸, mógł myśleć z umiarkowanym optymizmem o przyszłości. Prawda o rzeczywistej sytuacji zaczęła docierać do niego „za chwilę”. Rozmiarów i skutków poniesionej w 1812 roku klęski⁵⁹ Napoleona ex-kapral Jacquet jeszcze nie dostrzegał. Mimo trwającej wojny z Rosją⁶⁰, struktury napoleońskiego imperium działały w miarę sprawnie. Namacalnym tego dowodem były pieniądze, które wreszcie dotarły do niego od rodziców z dalekiego Stavelot⁶¹. W potężnej, szczecińskiej twierdzy zastał liczący kilka tysięcy ludzi garnizon. Dla przeciętnego obywatela

57 Pierwsze patrole kozackie dotarły pod Szczecin 27 lutego 1813 r., ale do starć z nimi nie doszło. [Gaebel, op.cit., s. 11. Villaret, op. cit., s. 9] Zauważono tych jeźdźców koło wsi Pommerensdorf (Pomorzany) na wzgórzu, które nazywano odtąd Kosakenberg (obecnie Wzgórze Hetmańskie) [Wielopolski, 1958, op. cit., s.73]. Patrole wystano z oddziałów gen. Hławajskiego lub płk. Jefremowa [*Новицкий Василий Фёдорович и др. (ред.): Военная энциклопедия. Санкт-Петербург.: т-во И. В. Сытина, 1912, т.10, с. 589. Prittwitz Karl, Ludwig v.: Beiträge zur Geschichte des Jahres 1813. Erster Band. Potsdam 1843. Verl. Riegel, s. 243. Osten-Sacken v. und v. Rhein Ottomar: Militärisch-politische Geschichte Befreiungskriege im 1813. Band 1. Vom Njemen bis zur Elbe. Verl. Vossisch. Berlin 1903. Beilage XII, s. 502.*] Regularne oddziały rosyjskie w 1813 r. pod Szczecin nie dotarły. Twierdza była oblegana przez oddziały pruskie i z nimi przyszło walczyć ex-kapralowi.

58 Biuletyn Wielkiej Armii – periodyk drukowany we Francji w celu informowania o przebiegu działań wojennych. W rzeczywistości było to wydawnictwo propagandowe, zamieszczające nadmierne optymistyczne wiadomości. We Francji funkcjonowało w tym czasie określenie osoby mijającej się z prawdą: *Kłamię jak Biuletyn*. Bielecki: op. cit., s. 374.

59 Najkrótsza ocena tej klęski opisanej w tysiącach ksiąg: Gdy Armia Napoleona wkraczała w sierpniu 1812 r do Rosji, liczyła około 400 tys. żołnierzy. Pod koniec grudnia tego roku opuszczało tę mroźną krainę ok. 50 tys. ludzi, w większości bez wojskowego sprzętu, bez artylerii i bez koni.

60 W tym momencie w skład koalicji anty-napoleońskiej wchodziły Rosja i Anglia (a na półwyspie Iberyjskim także Hiszpania i Portugalia). Dopiero w następnych tygodniach i miesiącach wystąpiła otwarcie przeciw Francji Prusy, Austria i Szwecja [Mikaberidze Alexander (tłum. z ang. Tomasz Fiedorek): *Wojny napoleońskie. Historia globalna. Tom II*. Wyd. Rebis. Poznań 2023, s. 295-313.].

61 Stavelot – miejscowość leżąca w 1813 r. w departamencie stanowiącym część Francji, obecnie miasto w Belgii. Odległość od Szczecina – około 1000 km.

nadchodzące zmiany w sojuszach politycznych nie były jeszcze widoczne. W Szczecinie, oprócz wojsk francuskich, napotkał także trzy sojusznicze bataliony holenderskie⁶². Więc na pozór wszystko było w porządku. To, że nie wyptacono mu odpowiedniej wysokości żołdu, nie wzbudza jego niepokoju⁶³.

Swój list nasz bohater kończy tak:

Napiszcie mi o nowościach z ojczyzny. Czekam na waszą odpowiedź. Mój przyjaciel Antoine de la Vau⁶⁴ pozdrawia również swoją rodzinę i informuje, że wystął certyfikat dla swojego brata. Kończę pozdrawiając was serdecznie i również całą rodzinę. Wasz oddany syn J. Jacquet.

Mój nowy adres: J. Jacquet, żołnierz 96. pułku piechoty liniowej, 2. kompania, 4. batalion, 10. półbrygada prowizoryczna, w Szczecinie, w Prusach.

Powyższy list pochodzi z prywatnej kolekcji⁶⁵. Jego odczytanie, a następnie przetłumaczenie sprawiło sporo trudności. Mistrzowie mowy francuskiej⁶⁶, którzy nadali listowi ostateczną, polską formę powiedzieli: „tekst ma dziwną stylistykę i jest w nim sporo błędów, a niektóre zdania rodowity Francuz napisałby w zupełnie innej formie.” W ten sposób usprawiedliwiali niepowodzenia translatorskie swoich poprzedników. Jednak trudności, które sprawiły tyle kłopotów tłumaczom, dostarczają nam garstkę dodatkowych informacji o autorze listu. W pierwszym odruchu można by zganić ex-kaprała Jacquet’a za błędy ortograficzne, ale taka ocena jest moim zdaniem zbyt surowa. Myślę, że edukacja młodego chłopaka została zbyt wcześnie przerwana przez powołanie do służby wojskowej⁶⁷. Nie zdążył nauczyć się dokładnie francuskiej stylistyki, ortografii i kaligrafii oraz nie nabrał wprawy w formułowaniu myśli na

62 Od 1795 r. Holandia była zależna od Francji, a w roku 1810 Napoleon włączył terytorium Niderlandów w granice swojego Cesarstwa, zaś oddziały wojskowe tego państwa wcielono do armii francuskiej. Trzy bataliony, o których tu mowa były częściami składowymi napoleońskich pułków piechoty liniowej o numerach 123, 124 oraz być może 126, a do Szczecina zostały skierowane na początku 1813 r. po wydzieleniu ze składu 31. dywizji piechoty XI korpusu. [Bielecki, op. cit., s. 415-419. Osten-Sacken op. cit., s. 267-268; Beil. XXIX, s. 522.]

63 J. Jacquet zapewne wierzy, iż otrzyma zaległy żołd i odda rodzicom przysłane pieniądze.

64 *Vau* – czwarta litera w tym słowie jest nieczytelna, dlatego trudno mieć pewność, czy chodzi tu o nazwisko czy o miejscowość, z której pochodził Antoine. Myślę, że może chodzić o miasteczko Vaux, ponieważ leży ono w tym samym regionie (Wallonia) co Stavelot, z którego pochodził J. Jaquet.

65 Ponownie mowa o kolekcji Pana Ryszarda Hałabury, który i tym razem bezinteresownie zezwolił na opublikowanie kopii listu.

66 Przez kilka lat treść tej korespondencji była przetłumaczona na język polski tylko fragmentarycznie. Ostatecznego polskiego tłumaczenia dokonali bezinteresownie Pani Karolina Morawska i Pan Yann Andréé, którym jeszcze raz serdecznie dziękuję.

67 W 1812 roku powoływano do armii francuskiej coraz młodszych poborowych. [Damamme, op. cit., s. 41.]

piśmie. Uważam wręcz, że pan J. Jacquet jest godzien podziwu, iż w tamtych czasach, gdy analfabetyzm nie był rzadkością, potrafił sprawnie korespondować z rodzicami. Wielu żołnierzom, zasłużonym na polu walki, brak umiejętności czytania i pisania uniemożliwiał awans na podoficerów i oficerów⁶⁸. Poza wojskiem też nie było lepiej z wykształceniem – miałem niedawno w rękę ręcznie pisane dokumenty kilku cechów rzemieślniczych w Szczecinie, pochodzące sprzed dwustu lat. Niektórzy „dygnitarze” cechowi podpisywali się pod dokumentami trzema krzyżykami!

Podsumowanie

Mimo istnienia przez około 150 lat licznej i silnej ekonomicznie grupy społecznej pochodzenia francuskiego, nie pojawiły się w Szczecinie istotne, piśmiennicze ślady jej obecności. Nie pomogły nawet tak sprzyjające czynniki, jak wspólna gmina wyznaniowa dbająca o edukację, czy istniejący wiele lat salon artystyczny prowadzony przez panią Tilebein. Z biegiem czasu grupa francuskich uchodźców wtopiła się w szczecińskie środowisko, stopniowo zanikło używanie języka przodków, a w efekcie nie doszło w Szczecinie do powstania prozy bądź poezji w języku francuskim.

W imieniu Zarządu Stowarzyszenia Alliance Française w Szczecinie dziękuję Redakcji za zaproszenie do zaprezentowania na łamach „Pryzmatu Literackiego” zapomnianych śladów francuskiej obecności w naszym mieście.

⁶⁸ Vachée, op. cit. s. 110-111.

Poezja polska od powstania listopadowego do styczniowego – Wincenty Pol, Włodzimierz Wolski

Wybuch powstania styczniowego w 1863 r. jest czasem uznawany za symboliczną datę końca epoki romantyzmu w Polsce. Wiąże się to ze stratą znaczenia idei romantycznych po klęsce powstania, a jednocześnie ze wzrostem popularności filozofii pozytywizmu na ziemiach polskich. Poezja romantyczna nie przestała jednak istnieć z roku na rok. Również myśl pozytywistyczna docierała do Polski przed powstaniem styczniowym i zaczynała wpływać na literaturę romantyzmu. Po roku 1863 sytuacja polityczna zmieniła się radykalnie. Zmieniły się oczywiście też nastroje społeczne, co odzwierciedliło się w odwróceniu od romantyzmu, zwłaszcza w prozie, a także w poezji.

W roku 2023 mija 150. rocznica powstania styczniowego. Mija również 140 lat od śmierci Włodzimierza Wolskiego (w 2024 minie też pełne 200 lat od jego urodzin), a w poprzednim roku minęło też 150 lat od śmierci Wincentego Pola. Te symboliczne rocznice pozwalają przypomnieć tych, trochę już zapomnianych twórców literatury polskiej, związanych też z ruchem powstańczym.

Wincenty Pol (1807–1872) był poetą romantycznym, na okres którego twórczości przypadły oba wielkie, polskie powstania narodowe XIX wieku



Wincenty Pol (zdj. [https://pl.m.wikipedia.org/wiki/Plik: Wincenty_Pol_1851-1862_\(31680077\)_cropped.jpg](https://pl.m.wikipedia.org/wiki/Plik:Wincenty_Pol_1851-1862_(31680077)_cropped.jpg))

– listopadowe i styczniowe. Studiował na wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Lwowskiego, jednak samodzielnie ogromną wiedzę zdobył w zakresie geografii. Był ceniony jako geograf i opublikował wiele prac na temat geografii i etnografii Polski. Pamiętać należy też o jego zaangażowaniu patriotycznym i literackim. Już w trakcie powstania listopadowego młody Wincenty Pol brał czynny udział w walkach, jako podchorąży 10. Pułku Ułanów Litewskich w Wojsku Polskim Królestwa Kongresowego i został ranny w czasie walk. W uznaniu zasług został odznaczony orderem *Virtuti Militari* i awansowany do stopnia podporucznika. Po upadku powstania, spod jego pióra wyszedł pełen żalu i melancholii wiersz *Leci liście z drzewa*. Ten nostalgiczny tekst Wincentego Pola nie zdobyłby zapewne takiej sławy, gdyby nie fakt, że muzykę do niego napisał sam Fryderyk Chopin.

Okres po upadku powstania to rozkwit polskiego romantyzmu. Również Wincenty Pol miał w tym swój udział. Jego *Pieśni Janusza* zostały wydane w 1835 r. w Paryżu. Jest to zbiór ok. 50 wierszy, sławiący bohaterstwo powstańców i opisujący sceny z powstania. Oprócz *Pieśni Janusza*, w tym samym czasie powstał chyba najśłynniejszy utwór poetycki Wincentego Pola, *Pieśń o ziemi naszej*. Jest to utwór trudny do zaklasyfikowania, jeśli chodzi o gatunek literacki. Można tu mówić o gatunku mieszanym, o charakterze bardziej epickim, gawędziarskim, mimo wszystko niepozbawionym romantycznego liryzmu. Dużo w nim elementów gawędy szlacheckiej, brak jednak zupełnie typowego szlacheckiego bohatera⁶⁹. Autor stara się często pokrzepić Polaków, pogrążonych w żałobie po klęsce powstania, stosując jednak bardziej optymistyczną poetykę. Zwraca się też często bezpośrednio do młodego czytelnika, opisując piękno krain geograficznych Polski, przypominając o historii miast i regionów, zwracając uwagę na piękno przyrody. Stosuje wprawdzie poetykę romantyczną, ale wykorzystuje też własną wiedzę w zakresie geografii i stara się ją w przystępny sposób przekazać czytelnikowi. Podróż ukazana tu nie jest już podróżą romantycznego pielgrzyma czy rycerza, ale podróżą krajoznawczą. Niektóre zwrotki nadają *Pieśni o ziemi naszej* wręcz charakter rymowanego podręcznika. Jednak właśnie te zwrotki zdobyły dużą popularność:

A czy znasz ty, bracie młody,
Te pokrewne twoje rody?
Tych Górali i Litwinów,
I Żmudź świętą, i Rusinów?

69 zob.: A. Witkowska, R. Przybylski, *Romantyzm*, Warszawa 2002, s. 484.

*A czy znasz ty, bracie młody,
Twoje ziemie, twoje wody?
Z czego słyną, kędy giną,
W jakim kraju i dunaju?*

*A czy znasz ty, bracie młody,
Twojej ziemi bujne płody?
Twe kurhany i mogiły,
I twe dzieje, co się ścmiły?*

*A czy wiesz ty, co w nich leży?
O, nie zawsze, o, nie wszędzie,
Młody orle, tak ci będzie,
Jako dzisiaj przy macierzy!*

Można zauważyć, że poezja Wincentego Pola często nie jest poezją wyszukaną czy wysublimowaną. Bywa prosta, przystępna, ale emocjonalna. Sam poeta pewnie zdawał sobie z tego sprawę i zachowywał dystans do swojego rytmotwórstwa. Już w pierwszych strofach *Pieśni o ziemi naszej* spotykamy takie wstawki narratora, jak:

*Gadu, gadu, stary dziadu!
Pleć, pleciugo, byle długo;
Bajże, baju, po zwyczaj
O tym naszym polskim kraju!*

Twórczość poetycka Wincentego Pola mieści się wciąż w epoce romantyzmu, dużo w niej jednak chęci zmian, edukacji, elementów pozytywizmu (pozytywizm jako filozofia stał się w Europie już popularny na początku XIX w., do Polski dopiero powoli dochodził). Jednak wraz z wybuchem powstania styczniowego w 1863 r. Wincenty Pol powrócił do idiomu romantycznego. Stał się autorem tekstu pieśni *W krwawym polu srebrne ptaszę*, która z muzyką Alfreda Bojarskiego zaczęła pełnić funkcję hymnu powstańczego. Straceńczy patriotyzm kontrastuje tu mocno z licznymi innymi utworami Pola, mającymi często charakter praktyczny i edukacyjny.

Innym ważnym poetą okresu międzypowstańczego oraz okresu po powstaniu styczniowym był Włodzimierz Wolski. Był czołowym twórcą literackiej grupy tzw. Cyganerii Warszawskiej. W młodości uczestniczył w środowisku konspiracyjnym Karola Levittoux, za co był później więziony w warszawskiej Cytadeli. Tworzył utwory wierszowane i prozatorskie, sławę zdobył jednak



Włodzimierz Wolski (zdj. https://pl.wikipedia.org/wiki/Włodzimierz_Wolski)

głównie jako twórca librett do oper Stanisława Moniuszki. Poruszał często tematy bardzo kontrowersyjne, jak na przykład w poemacie *Halka*, który był zbyt drastyczny i zupełnie burzył konwenanse społeczne, ukazywał zło i patologię. Dopiero złagodzona wersja *Halki*, pozbawiona takich drastycznych scen, została przerobiona na libretto opery *Halka*

dla Stanisława Moniuszki, początkowo w wersji krótszej (dwuaktowej), wystawionej w Wilnie w 1848 r., wreszcie w wersji dłuższej (czterooaktowej), wystawionej w Warszawie w 1858 r. W pierwotnej wersji, pod koniec poematu Janusz zabija swoją matkę (sprzeciwiającą się jego romansowi z Halką), a następnie popełnia samobójstwo, co było dla ówczesnych czytelników szokujące. Mimo tych zmian tekstowych, opera *Halka* bardzo silnie pokazuje ogromny dramat uwiedzonej i poniżonej przez panicza wiejskiej dziewczyny, śmierć małego dziecka i samobójstwo matki. Włodzimierz Wolski napisał dla Moniuszki też libretto do opery *Hrabina*, ukazujące konflikty i różnice stanowe i obyczajowe. Oprócz tego, podobnie jak Wincenty Pol, był autorem tekstów do moniuszkowskich pieśni ze *Śpiewnika domowego*.

Włodzimierz Wolski często krytykował ostro środowiska ziemiańskie, jednak sam pochodził z rodziny ziemiańskiej. Brał udział w zmasakrowanej przez wojska carskie wielkiej manifestacji patriotycznej w Warszawie w 1861 r. oraz w powstaniu styczniowym. Po upadku powstania wyemigrował i osiadł w Brukseli. Jeszcze w 1863 r. wydany zostały w Paryżu jego tomik *Śpiewy powstańcze*⁷⁰, zawierający patriotyczne wiersze, często przeznaczone do śpiewania z muzyką, np. *Marsz powstańców*, *Marsz kosiarzy*, *Marsz Żuawów*. Do

⁷⁰ Zob.: K. Kamiński, *Materiały do życia i twórczości Włodzimierza Wolskiego*, w: „Pamiętnik Literacki” LXV 1974, z. 1, s. 162.

dziś pamiętany jest zwłaszcza ten ostatni, który stał się sławną, polską pieśnią patriotyczną. Śpiewany był przez oddział tzw. Żuawów śmierci. Twórcą tego oddziału był generał François de Rochebrune, francusko-polski generał i powstaniec styczniowy. Również Włodzimierz Wolski, przebywający wówczas w Paryżu, w tekście *Marsza Żuawów* zaznacza polsko-francuskie braterstwo broni:

*Pamięta Moskwa, co Żuaw znaczy,
Drżąc żołdat jego wspomina imię:
Sporo bo nakłuł carskich siepaczy.
Brat nasz francuski Żuawek w Krymie.*

W 1864 r., w wydawnictwie Brockhousa w Lipsku ukazały się patriotyczne wiersze polskie w zebраниu *Lutnia. Piosennik polski. Zbiór pierwszy* (1864). W następnym roku ukazał się zbiór drugi *Lutni*. Wydano w nim m.in. wiele wierszy przedrukowanych z tomiku *Pieśni Janusza* (1835) Wincentego Pola, w tym słynny wiersz pt. *Mazur. Piękna nasza Polska cała*. Wydrukowano tam wiele wierszy powstańczych, niektórych anonimowych i ludowych, ale też znalazły się tam utwory nowe, napisane przez poetów polskich zaangażowanych w działalność powstańczą. Są wśród nich wymienione już wiersze powstańcze Włodzimierza Wolskiego, są również wiersze Wincentego Pola (wśród nich sławny hymn powstańczy *W krwawym polu srebrne ptaszę*). W lipskim wydawnictwie ukazały się ogółem trzy zbiory *Piosennika polskiego*. Niektóre z wierszy zostały zapamiętane jako pieśni patriotyczne, inne to piosenki ludowe albo napisane pod melodię znanych tańców narodowych (np. krakowiaka *Albośmy to jacy tacy*). Są też wiersze powstańcze z czasów powstania listopadowego, które po ponad 30 latach znów stały się bardzo aktualne.

Obaj poeci – Wincenty Pol i Włodzimierz Wolski byli autorami pieśni i wierszy powstańczych, pokrzepiających ducha narodowego, ale też wierszy opłakujących upadek powstania. Znaleźli się też w gronie autorów tekstów do pieśni z muzyką Stanisława Moniuszki, wydanych w *Śpiewniku domowym*, który to zbiór zawierał wiele ukrytych akcentów narodowych i zyskał, zwłaszcza po powstaniu styczniowym, rangę polskiego śpiewnika narodowego. Byli romantykami, ale okres po 1863 r. to w ich twórczości schyłek romantyzmu. Obaj mieli odmienne poglądy i temperamenty, lecz obu można uznać w pewnych przypadkach za literackich nowatorów. Wincenty Pol swoją poezję używał do celów edukacyjnych, do propagowania polskiego krajoznawstwa, geografii i wiedzy o kulturze narodowej. Włodzimierz Wolski ukazywał na

niesprawiedliwość społeczną, podziały stanowe, obłudę i hipokryzję. Jednak gdy wybuchło powstanie, obaj stanęli po stronie powstańców i wsparli ich swoją twórczością literacką.

Wojciech Czaplewski

Słabość, czyli nie tylko o Moskalach gawęda dygresyjna

Już w przedszkolu miałem do czynienia z tym radykalizmem, kiedy uczono nas piosenki: *zawsze niech będzie mama, zawsze niech będę ja...* (w oryginale: *pust wsiegda budiet mama, pust wsiegda budu ja* – starsi pamiętają). Ta obiecana przedszkolakom bratnich narodów socjalistycznych droga do nieśmiertelności została wyznaczona przez filozofa i herezjarchę Mikołaja Fiodorowa. W swojej „Filozofii wspólnego czynu” (1906) ogłosił on wizję samozbawienia ludzkości, która za pomocą nauki i technologii ma przeprowadzić wskrzeszenie wszystkich umarłych⁷¹. Na razie się nie udało. Konserwacja zwłok „wiecznie żywego” Lenina oraz pamiętne obrazy z ostatnich lat życia Leonida Breżniewa to jeszcze nie to⁷².

Pamiętam, jak w latach dziewięćdziesiątych pracowała w mojej szkole anglojęzyczna wolontariuszka, studentka Melissa z Ameryki. Uczyłem ją polskiego (znała już rosyjski, więc szło jak z płatka) i pewnego dnia przyniosłem jej numer „Zeszytów Literackich” z portretem Josifa Brodskiego. Rosyjski noblista,

71 Informację tę zaczerpnąłem z tomu *Historia filozofii rosyjskiej*, Wydawnictwo Antyk 2000; jego autor, akademik Mikołaj Łoski, w pierwszym rozdziale pisze między innymi: *kultura narodowa staje się znana w całym świecie jedynie wtedy, gdy rozwinięte przez nią wartości stają się dziedzictwem całej ludzkości. Piękno, bogactwo i wyrazistość języka rosyjskiego dają mu niewątpliwie prawo bycia jednym z języków międzynarodowych. W dziedzinie kultury politycznej (...) imperatorska Rosja stworzyła wartości, które staną się znane całemu światu, prawosławie w jego rosyjskiej formie dysponuje wyjątkowymi wartościami...*

72 w tym świetle trochę niepokoi mnie Mikołaj Kopernik, z którym można pogadać w pewnym warszawskim muzeum...

poeta, dysydent, zmarł w 1996 roku. Melissa na wieść o tym rozplakała się – był jej nauczycielem w tym jej Bostonie. Kochała go, tak jak się kocha mistrza. Nauczyciela.

Zawsze ją do nich mieliśmy, tę słabość, do Ruskich. Mickiewicz pisał: *Wasze cudzoziemskie twarze/ Mają obywatelstwa prawo w mych marzeniach.*

Tymczasem szlachetni *przyjaciele Moskale*, dekabryści, których w *Dziadach* opiewał i z którymi zdaje się współkonspirował mistrz Adam, oburzeni postanowieniami Kongresu Wiedeńskiego marzyli o *bezwarunkowem i wiecznym wytopieniu imienia Polski* i uważali, że groźba odbudowania Rzeczypospolitej będzie prawdziwym nieszczęściem Rosyji⁷³. A przecież ten sam Mickiewicz w *Reducie Ordon* pisał o rosyjskiej armii (jakby przeczuwając stalinowskie: *ludzie u nas mnogo...*): *Wylewa się spod skrzydła ściśniona piechota/ Długą czarną kolumną, jako lawa błota,/ Nasypana iskrami bagnetów, jak sępy/ Czarne chorągwie na śmierć prowadzą zastępy. (...) Pośtany wódz kaukaski (Kadyrow?!)* z *siłami półświata,/ Wierny, czynny i sprawny – jak knut w ręku kata.* Mrok, który spowija ten przedziwny naród, jest najważniejszym tematem *Ustępu* z trzeciej części *Dziadów*, ale też w tym samym *Ustępie* znajdujemy wyraz nadziei i mistycznej tajemnicy, kiedy wieszcz pyta o Rosję:

*Czyż na niej pisać będzie palec Boski (...)
Że miłość rządzi plemieniem człowieczem,
Że trofeami świata są: ofiary?
Czyli też Boga nieprzyjaciół stary
Przyjdzie i w księdze tej wryje mieczem,
Że ród człowieczy ma być w więzy kuty,
Że trofeami ludzkości są: knuty?*

I o Rosjan pyta, o ten lud rosyjski, który postrzegał jakby w stadium larwalnym, zamknięty w caracie jak w kokonie:

*...gdy słońce wolności zaświeci
Jakiż z powłoki tej owad wyleci?
Czy motyl jasny wzniesie się nad ziemię,
Czy ćma wypadnie, brudne nocy plemię?*

⁷³ cyt. za: A. Jabłonowski, *Dekabryści i ich stosunek do Polski*, „Przegląd Historyczny”, r. 1909, t. 9, n. 3, s. 299-324.

Tu bije źródło tego złudzenia, tej nadziei, tej naszej słabości, tych wszystkich widzeń księdza Piotra (*oto żołdak Moskal (...) On jeden poprawi się, i Bóg mu przebaczy*), tych fatimskich rojeń o nawróceniu Rosji.

Musimy się z tym mierzyć – z gigantomanią tego imperium, na której, jak na pożywce dla drobnoustrojów, wyhodowały się żywioły idei, kompleksów, chorób duszy i radykalizmów⁷⁴. Rosja? Przypomina mi się spektakl Wieniedikta Jerofiejewa: sala filozofujących schizofreników bez umiaru raczących się alkoholem metylowym.

W 1980 roku nakładem wytwórni płytowej „Melodia” (MinKult ZSRR) ukazała się płyta – na okładce dziewczyna z gitarą wśród zielonych liści, w długiej kolorowej sukni. Płyta bez tytułu, podpisana po prostu imieniem i nazwiskiem artystki, która wkrótce będzie gromadzić tłumy na koncertach w polskich i europejskich miastach. Nic dziwnego: Żanna Biczewska zaśpiewała pięknym, czystym głosem *duszeszczypatielnyje*, rosyjskie pieśni ludowe, z wirtuozerską wprawą, akompaniując sobie na gitarze. Też ją za to wszystko kochałem. I oto tuż przed aneksją Krymu, Biczewska nagrała pieśń *Kulikowe pole* (to tam, na Kulikowym Polu, Dymitr Doński w zwycięskiej bitwie otworzył Rosji drzwi do wyzwolenia z tatarskiej niewoli), w której zapowiedziała, że nie tylko Krym, ale też Jerozolima i Stambuł będą rosyjskie. A wcześniej pieśniarka zaangażowała się w walkę o kanonizację cara Iwana IV, twórcy rosyjskiego imperium i rosyjskiej odmiany tyranii. Tak, tego samego Iwana IV, zwanego „Groźnym”, który kazał w Dźwinie utopić wszystkich Żydów z Połocka. Chory na syfilis morderca własnego syna (podobno potem płakał), twórca opryczniny, odpowiedzialny za śmierć stu tysięcy poddanych – w końcu *ludiej u nas mnogo* – gwoli sprawiedliwości dodajmy, że również mecenas sztuki, który umarł podczas partii szachów.

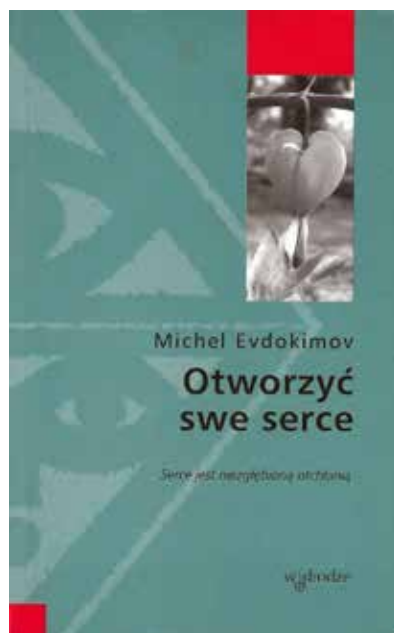
Tak rodziło się imperium. *Iwan Groźny to archetypiczna figura rosyjskiej historii (...), która wydaje mi się w dziejach najbliższa ideału* – tak w pewnym wywiadzie⁷⁵ był łaskaw się wypowiedzieć Aleksander Dugin, wpływowy rosyjski geopolityk, *kapłan Eurazji*, polityczny doradca i ideolog, przez pewien czas związany z Partią Nacional-Bolszewicką, z którą współdziałała również Żanna Biczewska. W tym samym wywiadzie Dugin powiedział jeszcze: *...z wielką nadzieją powitałem objęcie władzy przez Władimira Władimirowicza Putina. (...) Nie mogę*

74 To Józef Tischner dokonał dekonstrukcji klasycznej metafizyki, kiedy w swojej *Filozofii dramatu* użył Dostojewskiego, aby aksjologiczne idee piękna, dobra i prawdy zaliczyć w poczet „żywiołów”.

75 Czy Putin jest awatarem? Rozmowa z Aleksandrem Duginem, „Frona” 23/24, 2001, s. 158-169.

„Otworzyć swe serce” (zdj. <http://slubimyczytac.pl/ksiazka/14740/otworzyc-swe-serce>)

powiedzieć, czy stanie się on nowym Iwanem Groźnym, czy nie, ale z pewnością jego rzędy są krokiem w dobrym kierunku. To krok z ciemności w jasność, ze słabości do męstwa. Dodajmy, że słowa te padły w 2001 roku. I wyraziły to co zawsze: radykalizm, który żąda krwi i który pragnie zdobyć – i w jednym, i drugim jest nienasycony, tak samo jak w pożądaniu niczym nie ograniczonej władzy. Radykalizm, który nie uznaje kompromisów, nie waha się.



Za co my ich tak kochamy? Niedawno zdarzyło mi się w pewnej kołobrzeskiej knajpie poznać przy piwie Ukraińca – muzyka i poetę z Odessy. Dobrze toczyła się rozmowa. Kiedy dowiedział się, że uczę w liceum, Ukrainiec gorąco przekonywał mnie, żebyśmy nie skreślali rosyjskiej kultury. Odetchnął z ulgą, kiedy poinformowałem go, że na liście lektur wciąż figurują Czechow, Dostojewski i Bułhakow, a na śpiewankach, uprawianych w podziemiach tejże knajpy, wciąż słychać kawałki Okudźawy i Wysockiego. Dostojewskiego znamy lepiej niż Dostojewski znał sam siebie. Ten mistrz mrocznych węzłów w plątaninie swoich powieściowych wątków, kiedy zapragnął, aby bohaterka *Idioty*, piękna i wrażliwa Agłaja Iwanowna, skończyła w najgorszy możliwy sposób – uczynił ją żoną polskiego patrioty. A te Polaczki, co kradną sztuce na stypie Marmieladowa w *Zbrodni i karze*? Jasne, ważniejsze jest to, co uniwersalne. Oto w *Braciach Karamazow* Dymitr woła do Aloszy: *Znasz tę tajemnicę? To pojedynek diabła z Bogiem, a ludzkie serce jest polem bitwy. Sto lat później prawosławny profesor francuskiej uczelni Michel Evdokimov napisze: Myśl zachodnia jest myślą analityczną (...). Wschodnia tradycja chrześcijańska (...) jest spokrewniona z tradycją semicką, gdzie serce jest (...) miejscem ścierania się Ducha Świętego z szatanem.*⁷⁶

⁷⁶ Michel Evdokimov, *Otworzyć swe serce*, W drodze 2006, s. 64.

Dostojewski stał się prorokiem 8 marca 1880 roku w Moskwie. Wygłosił wtedy mowę z okazji odstonięcia pomnika Aleksandra Puszkina. Aleksander Puszkina to był wielki rosyjski poeta, romantyk, przez pewien czas uznawany przez mistrza Adama za jednego z *przyjaciół Moskali*. Ten, co odpokutował prześmiewczy wierszyk o cesarzu za pomocą lojalnego donosicielstwa, a potem zginął w pojedynku, w stosownym dla romantyka młodym wieku. Dostojewski, odstawiając pomnik Puszkina, ogłosił ogólnoludzką misję Rosjanina – *wszechczłowieka* – oraz jedność wykształconej inteligencji z mistycznym klejnotem rosyjskiego ludu. Zgromadzeni na odstonięciu pomnika zareagowali uniesieniem, zagorzali, odwieczni wrogowie padali sobie ze szlochem w ramiona, rozentuzjasmowany lud gonił pisarza (fakt, że długobrodego i odzianego w rubaszkę), krzycząc „prorok, prorok!”⁷⁷. Dziesięć miesięcy później umarł Dostojewski, nie skończywszy niestety genialnych *Braci Karamazow*.

Odnosząc się do Dostojewskiego, nasz świetny filozof i rusolog, Cezary Wodziński powiada o autorze *Biesów*: [Dostojewski] *przestrzega: „ruskie” wymaga się z każdej klatki pojęciowej ukutej na Zachodzie. Jeśli chcecie coś pojąć z tej niby „niepojętej” Rosji – to też przesąd! – przypatrujcie się bacznie ruskiej epilepsji, Rosji w transie...* Epilepsję owszem znajdziemy i w *Idiocie*, i w *Braciach Karamazow* (nie mówiąc już o jaskrawo barwnej biografii Dostojewskiego), wyjdźmy jednak poza dosłowność i poszukajmy przestrzeni, w których ucieleśnia się ta metafora. Oto serce wschodnich serc, kamień węgielny rosyjskiej duszy: rosyjskie prawosławie, i radykalna figura na rozstajach ruskiego bezkresu, jurodiwy opętany przez stada aniołów. Nie wystarczy być „głupim dla Chrystusa” jak święty Paweł – w warstwie werbalnej, w akcie modlitewnej bądź intelektualnej pokory, wplecionej w teologiczno-moralny dyskurs, tu trzeba spać z psami, chodzić nago, złorzeczyć księżom, rzucać kamieniami w cerkiew i modlić się w burdelu. Nocami dosiadać diabła i latać na nim do Jerozolimy. Jurodiwy: wprawiający tubylców w przerażenie przybysz z zaświatów, odmieniec, któremu świat oprzeć się nie może. Czczony przez lud, spod warstwy łachmanów i brudu potrafi na „ty” gadać do cara. Pojawia się znikąd, wyłania z tego bezkresnego, ruskiego „nigdzie”, na które patrzy urzeczony Raskolnikow w epilogu *Zbrodni i kary*, niesie świętość zepsutemu miastu, święty idiota⁷⁸, nowy projekt człowieczeństwa (czyż to nie Fryderyk Nietzsche powiedział: *człowiek jest czymś, co pokonane być musi?*), rewers nietzscheańskiego Zaratustry. Uprawia

⁷⁷ por. Fiodor Dostojewski, *Listy*, PIW 1979, s. 599-600.

⁷⁸ por. Cezary Wodziński, *św. Idiota. Projekt antropologii apofatycznej, słowo/obraz terytoria*, Gdańsk 2000.

śmierć ten nagi jurod nieodróżnialny od biesa, pragnie wywrócenia świata i wyrzeczenia się świata, coś w nim żyje zamiast niego, jakiś taki dionizyjski Jezus. Jakże blade wygląda nasz dzisiejszy zachodni, postmodernistyczny transgresywizm z jego „radykalną odmiennością” i „płynną tożsamością”. W 1988 roku Cerkiew Prawosławna kanonizowała ostatnią jurodiwą, świętą transwestytkę Ksenię Petersburską (vel Andrieja Fiodorowicza).

Ruskie sekty, ruskie schizmy i herezje⁷⁹... Radykalni *duchoborcy* – rozpuścili inwentarz, zaprzestali uprawiania ziemi i noszenia ubrań. *Chrystoiskatiele* na Syberii szukający Jezusa, który na bezludziu gromadzi hufce do walki z Antychrystem. *Chłyści* drwiący z sakramentów, za to wierzący w sąd ostateczny, który odbędzie się w Petersburgu pod przewodnictwem ich założyciela Daniły Filipowicza, wcielonego Chrystusa. *Skopcy*, którzy uważali, że kastracja uwalnia od grzechu i że wzorem najlepszym do naśladowania jest Judasz, bo zgrzeszywszy natychmiast się powiesił. *Morielszczycy* śpiący w trumnach, wreszcie *pomorcy* (uznający Piotra I za Antychrysta), *filipowcy* i *bezpopycy*, którzy w ciągu kilku wieków dokonali łącznie kilkudziesięciu tysięcy samospaleń. *Raskoł* – prawosławna schizma (czy kadzidło niesiemy przed czy za trumną? czy znak krzyża robią dwa czy trzy palce?) z jej falami prześladowań, z jej sojuszami i rozwodami z carskim despotyzmem. Jakieś takie dziwne chrześcijaństwo, bez wolnej woli, tylko los przeklęty. Utopia i radykalizm, które niosą śmierć. Dobrowolny obłąd w „trzecim Rzymie”, na którego końcu stoją Władimir Władimirowicz przed ikonostasem i moskiewski patriarcha Cyryl – przemytnik tytoniu i agent KGB.

W *Zimie Muminków* Tove Jansson stworzyła epizodyczną postać – pieska Ynka, który marzył o tym, by być wilkiem. Nasłuchiwał nocnego ich wycia, snił o braterstwie z ich dumną watahą. Zrozumiał swój błąd, kiedy otoczony zgrają na śniegu, na leśnej polanie, próbował na przywitanie zamerdać ogonkiem – i wtedy przypomniał sobie, że wilki nie merdają⁸⁰. Po co o tym opowiadam? Bo postawa Ynka jakoś mi się kojarzy z fascynacją, jaką darzyły rosyjskich tyranów zachodnie elity. Wolter, który dziękował carycy Katarzynie, że robi porządek z polską hołotą, George Bernard Shaw, który w 1933 pisał: *Nigdzie w Rosji nie widziałem gładnego człowieka*, Ernest Hemingway, który sowieckim agentem

⁷⁹por. Jan Gondowicz, *Najkrótszy słownik sekt i herezji Kościoła Wschodniego* [w:] „Literatura na Świecie”, nr 4 (213), Warszawa 1989.

⁸⁰Zaniepokojonym Czytelniczkom przypominam, że wtedy, w tej ostatniej chwili, jak kawaleria amerykańska pojawia się Paszczak ze swoją trąbą, za pomocą której przepędza wilki i ratuje nieszczęsnego Ynka.

został nie dla pieniędzy, lecz z potrzeby serca. Jean Paul Sartre, Noam Chomsky, André Malraux, Pablo Neruda (można by ciągnąć i ciągnąć – a na końcu tej przedziwnej kolejki ogłupiały adoratorów – papież Franciszek pełen podziwu dla „oświeconej” Katarzyny). *Rząd najprzebiegłęjszy i najlepiej na świecie obsługiwany przez swoich szpiegów* – tak w XIX wieku pisał Alphonse de Custine, jeden z nielicznych, którzy nie dali się skusić. Bo radykalizm kusi, radykalizm pociąga – może niekoniecznie do działania, raczej do podziwiania, do adoracji. A „homo sovieticus” to zaledwie inkarnacja projektu człowieczeństwa konstruowanego od niewoli tatarskiej przez carski despotyzm po bolszewizm i putinizm, projektu implementowanego skutecznie w Rosji i poza nią.

Za co my ich tak kochamy? Kołobrzaska poetka znowu płacze, oglądając *Lecą żurawie*, parafianie z katedry uczą się pisać ikony, a ulubioną piosenką Szprytka z Portowej są *Bięłyje rozy*. Za co ich kochamy? Za ten ich radykalizm w miłości i nienawiści? Może to zwykłe przyciąganie przeciwieństw, *coincidentia oppositorum*? My i oni jak yin i yang. Oni ze swoim radykalizmem i my z naszym „jakoś to będzie”. Tu, przy naszych grillach, im więcej piwa, tym głośniej kłócimy się o Tuska i reprezentację piłkarską, tam, im więcej wódki, tym głębiej, o czymkolwiek by się nie mówiło, schodzi na Boga, diabła i człowieka. Cóż... Kiedy jednak spojrzymy na historię, na minione stulecia, widzimy, że mamy też wiele wspólnego. Te góry. Góry trupów.

Andrzej Maria Dzierżanowski

ZWIĄZEK LITERATÓW 1922–1983

Związek Literatów zaczęto organizować już 1920 roku przy współudziale Stefana Żeromskiego, powstał on w końcu jako Związek Zawodowy Literatów Polskich w maju 1922 roku i był organizacją powołaną zwłaszcza do obrony praw autorskich, polepszenia warunków bytowych i godności zawodu pisarza. Tak się jednak stało, że prędko został zmuszony do obrony wolności słowa

i obrony swoich członków, gdy bywali represjonowani przez władzę, a zrzeszał pisarzy różnych kręgów i przekonań: katolików, protestantów, Żydów, ateistów, narodowców, socjalistów, zwolenników sanacji lecz i komuny. Faszyzujący pisarz, Ferdynand Goetel, interweniował w sprawie komunisty, Leona Pasternaka, zamkniętego w Berezie Kartuskiej. Pasternaka wypuszczono. Niekryjąca swej niechęci do Żydów Zofia Kossak-Szczucka protestowała przeciw ekscesom antysemickim. Pisarze wtedy kierowali się raczej etyką niż polityką. Taki też był ich związek działający (z przerwą wojenną) na zasadach demokratycznych aż do roku 1949, w którym to roku, na Zjeździe Szczecińskim, zmieniono jego charakter na związek twórczy i nazwę na Związek Literatów Polskich. Wprowadzono dodatkowo, jako obowiązujący, jeden styl literacki: realizm socjalistyczny. Pisarze znaleźli się w państwie totalitarnym, stworzonym na wzór sowiecki, które zawiadywało wszystkimi wydawnictwami, piśmami i radiem, które zapewniało tylko literatom zrzeszonym jakieś przydziały dóbr bytowych pod warunkiem jednak ścisłego podporządkowania ich twórczości głoszeniu wyższości socjalizmu i komunizmu.

Czy był to skutek strasznych przeżyć wojennych, czy inteligencki kompleks „dobrego urodzenia”, „ułatwionego startu”, „niezasłużonego przywileju” w stosunku do „mas proletariackich” – trudno powiedzieć, ale olbrzymia większość pisarzy zgodziła się na rolę janczarów partii. Nieliczni, niepodporządkowani pisarze, jak Aleksander Wat, Wojciech Bąk, Leopold Tyrmand czy Stefan Kisielewski byli uważani za dziwaków działających „na wariackich papierach”. Zapanowała cenzura, do której się oficjalnie nie przyznawano. Książki nieprawomyślnych pisarzy (najczęściej emigracyjnych) wycofywano z bibliotek. Zastępowano je szarzyzną produkcyjniaków. Pisarze bywali kierowani do fabryk. Nina Rydzewska, członkini grupy „Kwadryga”, zaczęła pracować fizycznie w kopalni. Wielu chroniło się na prowincji (Andrzejewski, Gałczyński, Wirpsza, Karpowicz w Szczecinie,



Stefan Żeromski (zdj. wkicytaty.jpg)

cały oddział ZLP w Jeleniej Górze). Panował ogólnie fałsz, przymus i nuda. Po śmierci Stalina, bardzo powoli zaczął się stopniowy odwrót od wszechwładzy partyjnego dogmatu. Po ujawnieniu zbrodni stalinizmu – prawdziwa odwilż. Rok 1956 stanowił przełom. W piśmie „Po Prostu” można było napisać prawie wszystko (z wyjątkiem ujawnienia sprawców mordów w Katyniu). Zarzucono socrealizm. Członkowie ZLP przestali się bać siebie nawzajem. Jan Józef Szczepański podaje w swej książce „Kadencja” charakterystyczną anegdotę: „W 1956 roku, na otwartym zebraniu POP Oddziału Warszawskiego, na którym doszło do gorzkich rozrachunków, Jan Kott, zaatakowany przez Wojciecha Żukrowskiego, że naganiał go do socrealizmu, odparł z właściwym sobie wdziękiem: *To prawda. Naganiałem wszystkich. Ale tylko durnie dali się nagonić.*”

Choć ta skromna pseudo wolność trwała tylko rok, dzięki niej wydano, przedtem zakazane, książki Witkacego, Gombrowicza i Schulza, pozwolono zadebiutować Herbertowi i Białoszewskiemu oraz sporej liczbie dzisiejszych seniorów literatury. Do oddziałów ZLP dzięki temu wpłynęła fala utalentowanej młodzieży, a prezesem związku został reemigrant – skamandryta Antoni Słonimski. Po jednej kadencji został zmuszony do ustąpienia na rzecz Jarosława Iwaszkiewicza, też skamandryty lecz konformisty, który wraz z takimi pisarzami jak Jan Maria Gisges, Jan Koprowski, Halina Auderska, Czesław Centkiewicz czy Kazimierz Koźniewski we władzach związku, często podporządkowywał się wpływowi partyjnych funkcjonariuszy w tychże władzach: Jerzego Putramenta, Zbigniewa Załuskiego, Janusza Przymanowskiego i wielu innych, także partyjnych prezesów oddziałów terenowych.

Stosunek Słonimskiego do Iwaszkiewicza ilustruje anegdota przytoczona przez Janusza Głowackiego w książce „Z głowy”: „w poemacie autobiograficznym [Słonimskiego] *Popiół i wiatr* w wersji

*Julku miły i Leszku, drogi Jarosławie,
Kaziu – wszystkich najczulej przyzywam z imienia –*

[autor] w wydaniu z 1973 roku przesunął do przodu jeden przecinek i wyszło:

Julku miły i Leszku drogi, Jarosławie...

Pisarze odcięci od kultury światowej (z wyjątkiem ZSRR), pozbawieni łączności z polską literaturą emigracyjną musieli swą uwagę skierować na sprawy krajowe. Domagali się zniesienia zapisów cenzury i zaprzestania pozbawiania pracy tych, którzy się władzom narazili, niewydawani pisarze, ale także wydawani, upominali się o papier, którego wydawnictwom skąpiono, także dla wydań

klasyków, słowników i encyklopedii. Zarząd ZLP upominał się w ich imieniu, wydając oświadczenia i rezolucje, które przechodziły bez echa. W 1968 roku związek protestował przeciwko represjom spotykającym studentów i nie usunął ze swych szeregów Stefana Kisielewskiego, Januarego Grzędzińskiego i Pawła Jasienicy, których usunięcia domagał się sam Gomułka.

W latach siedemdziesiątych w kulturze nacisk położono na niewybredną rozrywkę; w literaturze dopuszczono eksperymenty, forowano erotykę (Nienacki, Sokorski), wspomnienia wojenne (Moczar, Przymanowski, Kotowicz), a w poważniejszych książkach można było przemycać półprawdy pod warunkiem naginania ich do obowiązującej idei politycznej. Kwitła literatura aluzyjna (Bocheński, Andrzejewski), światowej rangi fantastyka (Lem) i bardzo nieczytelna poezja. Po proteście robotniczym Radomia (1976) rozwinęła się literatura podziemna. Był kolportowany miesięcznik literacki „Zapis” redagowany przez Wiktora Woroszyńskiego, Jacka Bocheńskiego i Jerzego Ficowskiego, Mirosław Chojecki założył nielegalne wydawnictwo „Nowa”. Większość pisarzy zrzeszonych w ZLP sytuowała się w opozycji do działań władz, protestowała przeciw wpisywaniu do Konstytucji przyjaźni do ZSRR, przeciwko niedemokratycznej zasadzie „kierowniczej roli partii”, stąd listy otwarte: „List 59” (profesorów, artystów, pisarzy) i następnie „List 34” (pisarzy, z których wielu niebawem zostało ukaranych zakazem publikacji). Rosła także opozycja spowodowana coraz gorszymi warunkami życia w całym narodzie. XX Walny Zjazd ZLP w Katowicach, w 1978 roku, stał się jednym wielkim forum krytyki polityki władz w dziedzinie kultury, którego kulminacją było wystąpienie Andrzeja Brauna przeciwko kłamstwu w literaturze i historii, mówił on o wieloletnim przemilczaniu wojny bolszewickiej 1920 roku i o prawdziwych sprawcach mordu katyńskiego. Przemówienie to podziało jak bomba na przedstawicieli wciąż zadufanych władz.

Na tym zjeździe wzruszony Iwaszkiewicz przyjął tytuł honorowego górnika, czako z piórami, lampkę i pyrlík, a wicewojewoda katowicki publicznie i niegrammatycznie zbeształ Andrzeja Brauna za jego warcholstwo. Po wielu targach wybrano nowy zarząd – w połowie partyjny, oczywiście bez Brauna. Za chorującego Iwaszkiewicza pracę prezesa przejął jedyny bezpartyjny wiceprezes, Janusz Krasieński. Z zarządu nie był zadowolony Wojciech Żukrowski. Napisał do Iwaszkiewicza (cytuję za Janem Józefem Szczepańskim): „Dziwię się Tobie Jarosławie, że godzisz się prezydować temu zarządowi, złożonemu z kosmopolitów i niedoszlachtowanych Żydów”. Wzburzony Iwaszkiewicz pokazywał ten list w redakcji „Twórczości”.

W owych czasach trzeba było mieć nie lada odwagę, by protestować przeciw nieprawości. W 1968 roku został pobity przez „nieznanych sprawców” Kisielewski, pisarz i poseł na Sejm. To samo spotkało w 1978 poetę, czynnego działacza opozycji, Witolda Dąbrowskiego, który pobicia nie przeżył. Przemysk, syn poetki Barbary Sadowskiej, został załuczony na śmierć przez milicję, ona sama pobita w Komitecie Prymasowskim w 1983. Setki członków ZLP było represjonowanych: pozbawianych pracy, obejmowanych zakazem publikacji, pozbawianych możliwości wyjazdów zagranicznych, przesłuchiowanych, straszonych i last not least niszczonej oszczerstwami i obelgami w prasie.

W 1980 roku zmarł Iwaszkiewicz, pierwszym wiceprezesem był Putrament, ale że po wylewie stał się półinwalidą, w zarządzie głównym ZLP panowało bezkrólewie. Do strajków na Wybrzeżu oraz solidarnościowych w całym kraju zarząd główny się nie odniósł, poparł je Oddział Gdański z Lechem Bądkowskim, który stał się rzecznikiem prasowym stoczniowców gdańskich i doradcą Wałęsy. Na warszawskim zebraniu Kazimierz Koźniewski przedstawił pogląd, że to właśnie partia jest inicjatorką tych ruchów społecznych i odnowy. W zebraniu uczestniczył Lech Bądkowski. Sala zgotowała mu owację na stojąco. Jeden tylko Koźniewski nie wstał, ale siedzący obok koledzy podnieśli go pod łokcie do góry.

Podobną historię pamiętam z naszego, wrocławskiego posiedzenia ZLP, na które przybył wysoko postawiony przedstawiciel partii (jeśli się nie mylę, dyrektor radia) i starał się przekonać zebranych, że partia wyraża dążenia mas robotniczych, którym przewodzi. Na to kolega Jerzy Pluta: – Niech pan przestanie gadać takie bzdury! I przestał.

W Warszawie trwały spory nad nowym kształtem Zarządu Głównego. Opozycja chciała demokratycznych wyborów, partia upierała się przy z góry ustalonym parytecie – połowa stanowisk dla partyjnych kolegów. Walny Zjazd odbył się z końcem grudnia 1980 roku. Prezesem został Jan Józef Szczepański, do rozszerzonego Zarządu wybrano 38 osób, w tym tylko sześciu partyjnych. Nie zostali wybrani dotychczasowi generałowie, pułkownicy, ani donosiciele. Przytoczę nazwiska tych sześciu partyjnych kolegów: Edward Balcerzan, Tadeusz Drewnowski, Marian Grześczak, Stanisław Misakowski, Tadeusz Nowak i Jan Pieszcachowicz. Zarząd zaczął nawiązywać stosunki ze związkami zawodowymi, szczególnie z „Solidarnością”, walczył o podstawy prawne cenzury (których nie było), co doprowadziło do zaznaczania jej ingerencji w druku, działał w porozumieniu z innymi związkami twórczymi i stowarzyszeniami, np. „Doświadczenie i Przyszłość”. Nagroda „Odry” za rok osiemdziesiąty została

nadana właśnie temu stowarzyszeniu, jednocześnie wręczono zaległą nagrodę Janowi Józefowi Szczepańskiemu za rok 1974., wręczenia której zakazał wtenczas sekretarz KC Łukaszewicz.

ZLP wraz z innymi związkami twórczymi zorganizował Kongres Kultury Polskiej, który miał nakreślić kierunek jej rozwoju. Zgromadził on w sali teatralnej Pałacu Kultury całą elitę polskiego życia kulturalnego. W czwartym dniu obrad został niespodziewanie przerwany. Ogłoszono stan wojenny, aresztowano i internowano wielu pisarzy. ZLP został zawieszony, władze związkowe przejął wyznaczony z urzędu komisarz. Wojskowe władze Jaruzelskiego i Kiszczaka nie pozwoliły na dalszą działalność związku, liczne negocjacje nic nie dały. Partia i jej pisarze postanowili siłą utrzymać zdobyte pozycje. Zacytuję tu fraszkę Herberta:

*Hołuj,/ Żukrowski/ Przymanowski,/ Lenart - / Czterej pancerni:/ Mierni,/ ale
ujdzie./ Na nowy serial/ byłby niezły temat/ Cóż - gdy za nimi/ żaden pies
nie pójdzie!*

Władze żądały dymisji „nieposłusznego” prezesa i zarządu głównego. Także we Wrocławiu Lothar Herbst, internowany, długo więziony prezes oddziału wrocławskiego, był zmuszany przez służbę bezpieczeństwa do emigracji do NRF, czemu się nie poddał. Jana Józefa Szczepańskiego usiłowano skompromitować, m.in. przez sfabrykowane listy. W końcu Związek Literatów Polskich został rozwiązany 19 sierpnia 1983 roku decyzją Prezydenta Warszawy, za którego podpisał ją niejaki Szewczuk. Jako główny powód podano nielegalne zebrania zawieszonych zarządu w prywatnych mieszkaniach.

Wkrótce partia wyznaczyła nowego prezesa – Halinę Auderską i nowy zarząd, pod władzą którego reaktywowano ZLP. Ogromna większość jego dotychczasowych członków opuściła jednak jego szeregi. Tak się złożyło, że byli to najbardziej znaczący pisarze polscy.

[Przy opracowaniu powyższego tekstu pomogła mi książka
J.J. Szczepańskiego *Kadencja*.]

PORTRETY

Cecylia Judek

Konstanty Ildefons Gałczyński – mieszkaniec Szczecina

Od dawna odnajduję w publikacjach różne, często sprzeczne opinie, jak długo mieszkał w Szczecinie Konstanty Ildefons Gałczyński, jeden z najbardziej popularnych i znanych poetów polskich. Na temat szczecińskiego epizodu, jak to wielokrotnie określano, w biografii Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego powielane są od kilkudziesięciu lat niesprawdzone (by nie użyć określeń: skłamane lub zafałszowane) informacje. Zaprzyjaźniony od lat krakowskich z autorem „Balu u Salomona” Franciszek Gil (1917-1960), znany od lwowskich czasów reporter i publicysta, stawiający Szczecin jako Wenecję północy, pisał w 1955 roku (dwa lata po śmierci Poety): *Przez dwa lata Gałczyński mieszkał w naszym mieście*⁸¹. Tymczasem w ostatnich dziesięcioleciach przeważała opinia o kilkutygodniowym zaledwie pobycie „srebrnego Konstantego” w Szczecinie. Sporo zamieszania w szczecińskiej gałczyńskologii wprowadził w 1974 r. lokalny dziennikarz, Tadeusz Karwacki swoim artykułem „Szczeciński epizod mistrza Ildefonsa”. Stwierdził w nim: „Cztery tygodnie tylko trwał jego pobyt nad Odrą. Już wcześniej b. dawało mu się we znaki serce, tu spadł na niego pierwszy zawał. Wywieziono go 3 czerwca [1948 r.] do stolicy. Uratowano. Wracał jeszcze do Szczecina kilkakrotnie, ale już tylko na krótko, by likwidować swe tutejsze sprawy”⁸².

81 F. Gil, *Był tu wśród nas...*, „Kurier Szczeciński” 1955, nr 296, s. 3.

82 T. Karwacki, *Szczeciński epizod mistrza Ildefonsa*, „Głos Szczeciński” 1974 (5 VII), s. 3.

Palców obu rąk starczyłoby, gdyby zliczać tygodnie stałego pobytu poety w Szczecinie – napisał Robert Cieślak⁸³, literaturoznawca, wówczas pracownik naukowy Uniwersytetu Szczecińskiego, a obecnie pracownik naukowy Uniwersytetu Warszawskiego. Janusz Ławrynowicz, dziennikarz „Kuriera Szczecińskiego” zrelacjonował wynik badań nieznanego z imienia i nazwiska studenta Wyższej Szkoły Nauczycielskiej w Szczecinie, który podobno dokładnie wyliczył, *ile to godzin mistrz Ildefons spędził podczas owych dwóch lat w Szczecinie. Zebrałby się w sumie niepełny tydzień...*⁸⁴. Znany wszystkim literaturoznawcom i powszechnie wykorzystywany jako źródło niepodważalnej wiedzy słownik biobibliograficzny „Współcześni polscy pisarze i badacze literatury” w haśle poświęconym K.I. Gałczyńskiemu informuje: *W maju 1948 przeprowadził się do Szczecina, a w czerwcu tegoż roku, po zawale serca, zamieszkał na stałe w Warszawie*⁸⁵. Bardzo podobnie okres ten przedstawiony został w „Kalendarium życia i prac Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego” w opracowaniu Kiry Gałczyńskiej: *W maju Gałczyńscy przenoszą się do Szczecina. Od wojewody K.I. G. otrzymuje willę na Pogodnie, na ulicy Curie-Skłodowskiej 17. 3 czerwca poetę dopada pierwszy zawał. Zostaje przewieziony do Warszawy. Tutaj otrzymuje mieszkanie w alei Róż 6. Jest to ostatni adres poety. Po parotygodniowej rekonwalescencji Natalia i Konstanty wracają do Szczecina, ale już po to, by stopniowo likwidować tamtejsze mieszkanie*⁸⁶. W 2003 r. podczas konferencji „Pomorze w literaturze po 1945 roku” Erazm Kuźma, literaturoznawca, profesor Uniwersytetu Szczecińskiego, orzekł: „Gałczyński zabawił w Szczecinie tylko kilka tygodni”⁸⁷. Kolejna biografka Gałczyńskiego, Anna Arno poświęciła w swej książce „Konstanty Ildefons Gałczyński. Niebezpieczny poeta” pobytowi K.I. G. w Szczecinie, co prawda, aż jedenastostronicowy rozdziałik, tytułując go wersem „Tutaj mój port”, pochodzącym z najbardziej znanego, szczecińskiego wiersza mistrza Ildefonsa pt. *Szczecin*. Przedstawiła w nim okoliczności związane z zamieszkaniem w mieście nad Odrą, omówiła nieco dokładniej, szerzej przebieg owego zawału serca, ale i ona ostatecznie skonstatowała jedynie *Poeta niedługo cieszył się Szczecinem*⁸⁸, nie precyzując, co znaczy owo „niedługo”. W biografii

83 R. Cieślak, *Spojrzenia (na) Gałczyńskiego*, „Pogranicza” 2003, nr 3, s. 23.

84 J. Ławrynowicz, *Gdyby Poeta miał czas*, „Kurier Szczeciński” 2007 (8 listopada), s. 13.

85 *Współcześni polscy pisarze i badacze literatury. Słownik biobibliograficzny*. Warszawa 1994, t. 3, s. 15. Natomiast Tadeusz Zwilnian Grabowski mylnie podawał w książce *Spod znaku gryfa* (Szczecin 2007), że Gałczyński przybył do Szczecina dopiero we wrześniu 1948 r. (s. 9).

86 K. Gałczyńska, *Kalendarium życia i prac Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego*. [W:] K.I. Gałczyński, *Dzieła wybrane*. Warszawa 2002, s. 494.

87 E. Kuźma, *Rozważania nad polskojęzyczną literaturą na Pomorzu Zachodnim po 1945 roku*. „Zeszyty Kulickie. Külzer Hefte” nr 4, „Pomorze w literaturze po 1945 roku”, Kulice 2005, s. 95.

88 A. Arno, *Konstanty Ildefons Gałczyński. Niebezpieczny poeta*. Kraków 2013, s. 293.

Leonarda Borkowicza, wydanej w 2020 r., jej autorka, Katarzyna Rembacka pisała: *Będąc w Szczecinie* [mowa tu o pierwszym mistrza Konstantego spotkaniu ze szczecińskimi czytelnikami i wojewodą Leonardem Borkowiczem w grudniu 1947 roku], w *młodym, wąsatym, pełnym entuzjazmu człowieku Gałczyński odnalazł bratnią duszę⁸⁹ i przyjął jego zaproszenie do osiedlenia się w mieście. Nie oznacza to jednak, że się w nim zadomowił. Przybył tu w maju 1948 r., a na początku czerwca przeszedł rozległy zawal i niemal natychmiast przeniósł się do Warszawy⁹⁰. Bliższe prawdy są ustalenia Jana Musekampa, niemieckiego historyka, autora książki „Między Stettinem a Szczecinem. Metamorfozy miasta od 1945 do 2005”: *Jego [KIG] szczecińskie intermezzo trwało z przerwami od 1948 do 1949 r. (...) ⁹¹. W Wierszach zebranych KIG. T. II. Portret muzy autor przypisu do wiersza „Spotkanie w Szczecinie” (dedykowanego Leonardowi Borkowiczowi, szczecińskiemu wojewodzie) stwierdził: Gałczyński przyjechał do Szczecina na wieczór autorski i był oczarowany pięknem miasta. Postanowił, że się tam z rodziną przeniesie, co uczynił w maju 19458 r. Wkrótce jednak otrzymał mieszkanie w Warszawie, w szczecińskim domu był więc tylko gościem. Trwało to rok, aż w sierpniu 1949 r. mieszkanie w Szczecinie zostało zlikwidowane⁹².**

Jak było więc naprawdę? Czy dwa lata, czy też trzy-cztery tygodnie, a może tylko jeden tydzień mieszkał Gałczyński w Szczecinie? Zagadnienie dla wielu badaczy zapewne nieistotne. Ważne jednak dla mieszkańców Szczecina i tu-tejszej legendy autora „Zielonej Gęsi”. Choć od śmierci Poety minęło blisko siedemdziesiąt lat, a o jego życiu i twórczości powstało wiele opracowań, wciąż brak precyzyjnej odpowiedzi na to pytanie. Mimo dużej popularności poety i dumy szczecinian, że wybrał właśnie ich miasto i – co jest wciąż podkreślane – pokochał je i sławił wierszami, nie zdołano dotąd opisać dokładnie tak krótkiego pobytu. Kilkutygodniowego? Kilkumiesięcznego? A może, jak sugerował Franciszek Gil, dwuletniego? Większość publikacji poświęconych życiu i twórczości K.I. G. traktowała zagadnienie marginalnie. Zastanawiałam się, dlaczego w opublikowanej w 1961 r., a więc 8 lat po śmierci Gałczyńskiego, książce *Wspomnienia o K.I. Gałczyńskim*⁹³ zabrakło relacji ze Szczecina. Odpowiedź przyszła zupełnie niespodziewanie. Podczas moich zabiegów o pozyskanie do

89 K. Gałczyńska, *Zielony Konstanty*, Warszawa 2022, s. 327.

90 K. Rembacka, *Komunista na peryferiach władzy. Historia Leonarda Borkowicza (1912-1989)*, Szczecin-Warszawa 2020, s. 311.

91 J. Musekamp, *Między Stettinem a Szczecinem. Metamorfozy miasta od 1945 do 2005*, Tłum. Jacek Dabrowski. Poznań 2013, s. 200.

92 K.I. Gałczyński, *Wiersze zebrane. T.II. Portret muzy*, Warszawa 2014, s. 941.

93 *Wspomnienia o K.I. Gałczyńskim*. Przedmowa i redakcja Anny Kamieńskiej i Jana Śpiewaka. Warszawa 1961.

zbiorów rękopiśmiennych w Książnicy Pomorskiej archiwum Franciszka Gila, pasierb pisarza, pan Teodor Kraszewski przekazał mi w darze adresowany do Gila list Natalii Gałczyńskiej, w którym zwróciła się do Franciszka Gila, cyt. *Czy nie zechciałby Pan przyłączyć się do tego wydania i napisać o Nim [K.I.G.] swojego szczecińskiego wspomnienia*⁹⁴. Niestety, ten „wściekle zdolny” reportażysta, jak określił Gila Zdzisław Nardelli, nie odpowiedział na prośbę żony Poety. Już wtedy zaczęła się jego choroba, zmarł w Szczecinie w 1960 r., w wieku 43 lat, jeszcze przed opublikowaniem tomu wspomnień o Gałczyńskim. Tak więc w tomie zawierającym wspomnienia 47 autorów oraz 21 wierszy poświęconych mistrzowi Konstantemu szczecińskie odwołania zawiera jedynie szkic Zdzisława Nardellego pt. „W życiu wszystko przemija” oraz wiersz Henryka Piotrowskiego (1925-2006), dziennikarza i poety, członka szczecińskiej grupy literackiej „Metafora”. Czytelnik, poszukujący informacji o szczecińskim przyśtanku w życiowej podróży Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego odnajdzie ich pewne okrucy w książce Andrzeja Drawicza⁹⁵, w książkach Kiry Gałczyńskiej, tu szczególnie w książce *Zielony Konstanty*⁹⁶, w opracowaniu Anny Arno⁹⁷ i innych publikacjach. Na całościowy obraz szczecińskich dni Gałczyńskiego (połowa maja 1948 r. – druga połowa sierpnia 1949 r.) trzeba zatem jeszcze poczekać.

Pierwsze szczecińskie spotkanie – kilka impresji

Konstanty Ildefons Gałczyński przyjechał po raz pierwszy do Szczecina w grudniu 1947 roku w ramach zorganizowanej przez Spółdzielnię Wydawniczo-Oświatową „Czytelnik” akcji pod hasłem „Autorzy wśród swoich czytelników”. Pisał o niej w „Przekroju” Jerzy Waldorff: *Tak nazywa się nowa akcja podjęta przez „Czytelnika”, któremu coraz to coś nowego wpada do sprytniej głowy. Polega na tym, że różnych autorów, współpracujących z wydawnictwami „Czytelnika”, wsadza się do aut i obwozi po różnych częściach kraju, gdzie autorzy ci czytają ludziom swoje utwory. W ten sposób Gałczyński przejechał miasta mazurskie, a potem zrobił stamtąd skok samolotem do Szczecina, podczas gdy równocześnie objeżdżał kraj, witany wszędzie z entuzjazmem, nasz świetny współpracownik*

94 List Natalii Gałczyńskiej, Warszawa, 10.05.1956 r. – archiwum autorki.

95 A. Drawicz, *K.I.Gałczyński*, Warszawa 1968.

96 K. Gałczyńska, *Zielony Konstanty*, Warszawa 2011, tu zwłaszcza rozdz. „Zakochany biegnę po Szczecinie”, s. 325-343.

97 A. Arno, *Konstanty Ildefons Gałczyński. Niebezpieczny poeta*, Kraków 2013, tu zwłaszcza rozdział „Tutaj mój port”, s. 285-296.

objaśnić - minimum od 1/2 do 1 rub.
Jeżeli Pan się zgodzi (proszę mi
kwater odpisać), „Czytelnik” naty-
chmiast wyśle do Pana numerów.
Łeżyłam serdecznie pozdrowienia
Natalie Górczyńskiej



(zdj. archiwum prywatne C. Judek)

– Janusz Meisner: *W ten sposób zjeździł ostatnio Pomorze Gustaw Morcinek. [...] Nie wiem nawet, czy sam „Czytelnik” zdaje sobie sprawę, jak ważną podjął akcję dla rozwoju naszej kultury? [...] Gałczyński po powrocie z objazdu powiedział: Nauczyłem się ważnej rzeczy, że Polska to jest trochę sztuki robionej w kilku miastach i ogromny, szary kraj, który dopiero musimy dla siebie zdobyć i wypracować sobie*⁹⁸. Gałczyński ocenił tę wyprawę w liście do Jerzego Borejszy, założyciela i prezesa „Czytelnika”: *Zdobyłem mnóstwo ciekawych doświadczeń i przeświadczenie, że z czasem będę umiał pisać wiersze naprawdę dla wszystkich, naprawdę dla całej Polski. I jest siła scalająca w poezji. To Panu dziękuję, że „Czytelnik”, dziecko Pańskiej energii, umożliwił mi ten pouczający objazd*⁹⁹. Wspominał też o serdecznym przyjęciu go w Szczecinie przez wojewodę Leonarda Borkowicza. Wojewodzie, jak wynika z wielu świadectw, marzyła się nie tylko odbudowa miasta (i regionu) z wojennych ruin, ale też przekształcenie go w aktywnie i prężnie działający ośrodek nauki i kultury (Jerzy Putrament nazywał go Wawrzyńcem Wspaniałym). Znakiem szczególnego uhonorowania wybitnego i popularnego poety był telegram wystosowany przez samego wojewodę, potwierdzający przygotowanie do wizyty twórcy „Listów z fiołkiem”, o dość swobodnej, jak na wojewodę, treści: *13 Grudnia czekamy. Forsa, hotel i niezbędne przynależności zapewnione – wojewoda szczeciński L.Borkowicz*¹⁰⁰.

Pierwsze spotkanie poetyckie Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego z mieszkańcami Szczecina odbyło się w sobotę, 13 grudnia 1947 roku o godz. 18. Pomimo późnej pory w sali Wojewódzkiej Rady Narodowej, wówczas przy Placu Niezłomnych¹⁰¹, nie mogły się pomieścić tłumy chętnych. Wieczór autorski K.I. G. zorganizował Klub Inteligencji, którego komitet organizacyjny tworzyli m.in.: dr Konrad Patek, przewodniczący WRN, kurator Ignacy Klimaszewski i publicysta, znany Gałczyńskiemu ze wspólnego mieszkania w Domu Literatów w Krakowie, Franciszek Gil.

98 J. Waldorff, „Autorzy wśród swoich czytelników”. „Przekrój” 1948, nr 146, s. 16; za: „Na rogu Stalina i Trzech Krzyży. Listy do Jerzego Borejszy 1944-1966”. Wybór, wstęp, opracowanie i przypisy: Grzegorz P. Bąbiak. Warszawa 2014, s. 166.

99 List do Jerzego Borejszy, Kraków, 20 XII 1947 r. w: „Na rogu Stalina i Trzech Krzyży. Listy do Jerzego Borejszy 1944-1966”. Wybór, wstęp, opracowanie i przypisy: Grzegorz P. Bąbiak. Warszawa 2014, s. 166. W lipcu 2023 r. korespondencja Jerzego Borejszy została przekazana do zbiorów Książnicy Pomorskiej w Szczecinie.

100 Archiwum K.I. Gałczyńskiego w Muzeum Literatury w Warszawie, inw. akc.II 1438.

101 Kolejnym patronem placu był przez wiele lat Feliks Dzierżyński, obecnie jest to Plac Armii Krajowej.

Stowarzyszenie zainauguowało swoją działalność zaledwie trzy tygodnie wcześniej, 24 października, spotkaniem dyskusyjnym na temat IV Rzeszy¹⁰². Prelegentem był wówczas sam wojewoda Leonard Borkowicz.

Wieczór autorski autora „Balu u Salomona” był częścią bardzo bogatego w wydarzenia kulturalne tygodnia. Walerian Lachnitt,¹⁰³ relacjonując jego przebieg, zdradził, jak bardzo był zaniepokojony tym nadmiarem programowym: *Kiedy afisze i komunikaty w prasie zapowiedziały trzy kolejno po sobie następujące wieczory autorskie: Koźniewskiego, Gałczyńskiego i Broniewskiego, poranek recytatorski Rychterówny¹⁰⁴, premierę „Głupiego Jakuba” Rittnera – wszystko zgrupowane w trzech dniach – pierwszą moją myślą była troska, czy Szczecin zda ten egzamin z kultury. Tymczasem zdał i to zdał dobrze. Okazało się, że nie brak już w Szczecinie publiczności, wypełniającej po brzegi równocześnie sale WRN i Teatru Polskiego.* ¹⁰⁵(...) 12 grudnia, a zatem w wieczór poprzedzający spotkanie z autorem „Zielonej Gęsi”, szczecinianie mogli wysłuchać odczytu Kazimierza Koźniewskiego (1919-2005), zatytułowanego „Człowiek ziemi nowej”. Dziennikarz, wówczas członek redakcji „Przekroju”, poświęcił go jednemu z elementów inżynierii społecznej, przeprowadzanemu wówczas procesowi tworzenia nowego człowieka na Ziemiach Odzyskanych. Publicysta, mimo skąpej dyskusji, zapewniał po spotkaniu, że dała mu ona możliwość uzupełnienia poczynionych dotąd obserwacji nad przebiegiem owych zmian.

Następnego dnia, na wieczór poetycki mistrza Konstantego licznie przybyła cała miejscowa śmietanka towarzyska. Naturalnie, także przedstawiciele władz z wojewodą Borkowiczem, który przecież był głównym organizatorem spotkania. Poeta zaintrygował publiczność swobodą i naturalnością. Podobno na początku słuchacze zachowywali się nieco sztywno, jakby zupełnie nieprzyzwyczajeni do owego braku dystansu, zwyczajności, co chyba trochę zadziwiło autora „Zaczarowanej drożki”. Ale nawet w tej sytuacji mistrz Ildefons doskonale umiał pobudzić emocje. Wszak był znakomitym recytatorem. Warto przypomnieć, że Gałczyński miał za sobą epizod teatralny; w 1925 r. związał się z „Redutą” Juliusza Osterwy, uczestnicząc m.in. w próbach spektaklu „Uciekła mi przepióreczka” S. Żeromskiego, dramatu „Mazepa” J. Słowackiego. Został wówczas nawet członkiem Towarzystwa Przyjaciół „Reduty”. Ze wspomnień

102 Zob. art. *Pierwszy wieczór dyskusyjny w szczecińskim Klubie Inteligencji*. Podp. A., „Głos Szczeciński” 1947 (25 XI).

103 Walerian Lachnitt (1913-1982), dziennikarz radiowy, publicysta, recenzent teatralny.

104 Kazimiera Rychterówna (1895-1963), aktorka, recytatorka, wykładowczyni Uniwersytetu Warszawskiego.

105 W. Lachnitt, *Tydzień imprez w Szczecinie*. „Ilustrowany Kurier Polski” 1947, nr 348 (22 XII), s. 11.

wiadomo, że miał *bezbłędny instynkt aktora i inscenizatora, był aktorem z urodzenia* (Marian Eile, redaktor naczelny „Przekroju”¹⁰⁶), *Dobrze mówił. Po swojemu, aktorsko, z pasją, przewrotnie* (Irena Kwiatkowska¹⁰⁷), ... *nie używał prawie gestu. Mówił głosem głębokim, niskim, logicznym, przekonywającym, a tak pięknie, że znikało wszystko dokoła, a zostawał tylko on i czysta wspaniała poezja, którą zaczarował zastuchaną salę* (Jan Ciecierski¹⁰⁸).

Jak jednak można różnie, w zależności od kompetencji czytelniczych, odbierać poezję, pokazują opinie szczecińskich recenzentów: Walerian Lachnitt zanotował: *O ile po referacie Koźniewskiego dyskusja niemal zawiodła, drugi wieczór K.I. Gałczyńskiego odznaczał się daleko cieplejszą i bezpośredniejszą atmosferą. Działał tu urok popularnego poety, autora „Zielonych Gęsi”, doskonałego interpretatora swych niepokojących, groteskowych, satyrycznych i lirycznych, zielonych i srebrnych wierszy*¹⁰⁹. W komentarzu Stanisława Szydłowskiego¹¹⁰ znajdziemy słowa: *okazuje się, że nie każdy może słuchać Gałczyńskiego. Niektórzy zieleńią z tego i robi się z nich „Zielona Gęś”. A z Gałczyńskim to było tak. Masa narodu na wieczorze. Za mną stał (zabrakło nawet miejsc siedzących) pewien młody, tudzież inteligentny człowiek, również parający się piórem, tylko w innej dziedzinie.*

– *Co to właściwie jest? Nic nie rozumiem – mówi młody oraz inteligentny człowiek. Gałczyński czytał akurat swój wspaniały wiersz, bodaj najlepszy w swym dorobku poetyckim – „Portret muzy” z powtarzającym się dźwięcznym i mocnym refrenem: Euterpe, Alleluja. Gdyby było „Zielona Gęś, Alleluja” na pewno wiersz zostałby zrozumiany*¹¹¹.

Poeta, jak zanotowali sprawozdawcy, recytował wiersze „Pieśń o flagach”, „Kraków 46”, „Mała symfonia świecznikowa” oraz groteskę z teatryku „Zielona Gęś”.

Stanisław Telega, wówczas dziennikarz literackiej redakcji Polskiego Radia w Szczecinie zauważył ze zdziwieniem, że podczas recytacji „Pieśni o flagach”

106 K. Gałczyńska, *Zielony Konstanty*. Warszawa 2011, s. 304.

107 R. Dziewoński, *Irena Kwiatkowska i znani sprawcy*. Warszawa 2004, s. 126.

108 Jak wyżej.

109 *Tydzień imprez w Szczecinie*. „Ilustrowany Kurier Polski” 1947 nr 348 (22 XII), s. 11.

110 Szydłowski Stanisław (1915 - ?) satyryk, publicysta, dziennikarz. Po kampanii wrześniowej wywieziony w 1940 r. ze Lwowa w głąb ZSRR. Od 1943 r. w Wojsku Polskim pracował w prasie wojskowej i organie ZPP „Nowe Widnokregi”. Od 1945 r. związany ze Szczecinem, członek redakcji „Kurieria Szczecińskiego”, współpracownik tygodnika „Szczecin”, redaktor naczelny „Głosu Szczecińskiego” (1949-50).

111 S. Szydłowski, *Ziarno do ziarnka*, „Szczecin” 1948 nr 1 (75), s. 8.

Konstanty pomylił się i zamiast „Monte Cassino” (jak jest w wierszu) powiedział „Monte Lenino”.

Zastanawiał się, czy chciał w ten sposób zaskarbić sobie przychyłność wojewody Borkowicza, uczestnika bitwy pod Lenino?¹¹².

Pobył Natalii i Konstantego Gałczyńskich w Szczecinie był wówczas krótki. Ale to, jak się okazało, wystarczyło. Szczecin, miasto o niezwyklej urodzie uwiodło Gałczyńskiego. Zapadł najwyraźniej, jak tylu innych, na chorobę, którą Lachnitt nazwał „szczecinką”¹¹³ – szczecinka, czyli oczarowanie Szczecinem. Wyraźnie pobrzmiewa nią pierwsza relacja Konstantego z miasta nad Odrą: *A na Wybrzeżu, Panie redaktorze, w sławnym portowym mieście Szczecinie spędziłem np. ostatnio z żoną i z Władkiem Broniewskim cały tydzień u wojewody Leonarda Borkowicza, który przy bliższym poznaniu okazał się aniołem. Gdyby wojewoda szczeciński Leonard Borkowicz nie był aniołem, czyż moglibyśmy się czuć u niego jak w niebie? Angelologia. W Szczecinie zresztą wszystko jest skrzydlate: morski wiatr, morska myśl, a przede wszystkim nazwiska podopiecznych poetów wojewody Janka Papugi¹¹⁴ i Franciszka Gila¹¹⁵. List kończy zapewnieniem: Każdy może zostać aniołem! Trzeba mieć tylko jasne serce, a w sercu pokorę. Amen¹¹⁶.*

Przez tydzień gościł ich wojewoda, pokazując niegdyś piękne, a wtedy, w końcu 1947 r., wciąż wypełnione wojennymi zgliszczami miasto nad Odrą. Konstanty oglądał zniszczone w ponad 60%, po kilkakrotnych alianckich nalotach, centrum miasta, przed wojną tchnące ładem i kupiecką skrzętnością. Czy w te zimowe dni mógł obserwować niezwykle szerokie ciągi alejowe i gwiaździste, o różnorodnych kształtach, place, które Szczecin zawdzięczał urbanistycznym wizjom zatrudnionego tu w latach 1862-1869 radcy budowlanego lamesa Hobrechta (1825-1902), kontynuowanym następnie przez jego następcę, Konrada Kruhla i nadburmistrza Hermana Hakena, skoro całe nieomal śródmieście przykrywały wszechobecne ruiny. Ugodzona podczas bombardowań, dwunastowieczna katedra, pozbawiona dachu, spoglądała w niebo ogromną wyrwą. Szesnastowieczny zamek książąt pomorskich, nazywany po

112 S. Telega, *W krajobrazie literackich lat 1945-48*. Kop. masz. Sekcja Rękopisów KP (dalej: SRKP), sygn. Inw. akc. 1611.

113 W. Lachnitt, *Szczecin, szaber i szczecinka*. SRKP, Rkps 579, s. 138-139.

114 W kolejnych przedrukach tego *Listu z flotkiem* zniknęła zdrobniata forma imienia. Papuga Jan (1915-74), pisarz marynista. Wydał m.in.: „Najpiękniejszy rejs” (1945), „Guadalajara! Guadalajara!” (1965), „Rio Papagaio” (1969).

115 Gil Franciszek (1917-60), pisarz, reportażysta. Wydał m.in. „Żniwo wielkiej reformy” (1946) oraz „Ziemia i morze” (1954).

116 K.I. Gałczyński, *Listy z flotkiem*. *Angelologia*. „Przekrój” 1948 nr 145, s. 15 (18-24.01).

wojnie piastowskim, straszyl poszarpanymi murami. Większość ulic wciąż zawałona była wysoko pozostałościami rozbitych budynków, poprzecinana gęstymi barykadami z cegieł, co utrudniało poruszanie się, a nawisy rozbitych murów groziły śmiercią. Zdarzały się przy silnych wichurach przypadki okaleczeń przechodniów. A jednak, mimo ogromu zniszczeń, miasto emanowało nieokreślonym urokiem. Secesyjna ornamentyka ocalałych domów wzbudzała zachwyt, a niektóre ulice przypominały poecie bliskie mu warszawskie zaułki. Podmiejskie dzielnice z domkami otoczonymi ogrodami zdawały się być nieknięte przez wojnę. A ponadto spotkał tu przyjaciół i znajomych, poznanych w obozach dipisowskich na terenie Niemiec.

Gałczyński dał się porwać entuzjastycznym wizjom i planom odbudowy miasta, które roztaczał sympatyczny, niezwykle energiczny i młody, bo zaledwie 35-letni wojewoda. Leonard Borkowicz (1912-1989), przedwojenny komunista, więziony za swe przekonania w okresie międzywojennym, m.in. w Berezie Kartuskiej, był w czasie wojny oficerem Armii Czerwonej, a następnie dowódcą pułku w I Dywizji Kościuszkowskiej. Lubiany przez żołnierzy energiczny dowódca uczestniczył wraz ze swymi podkomendnymi w bitwie pod Lenino. Zginął wówczas jego ukochany, młodszy o 8 lat brat, Zbigniew. Po tej stracie nigdy już nie będzie dobrze sypiał. I do końca życia będzie się obwinał o tę śmierć (za swe wojenne dokonania Leonard Borkowicz został odznaczony m.in. orderem *Virtuti Militari* V klasy). Na Pomorze Zachodnie przybył najpierw jako Pełnomocnik Rządu Polskiego przy Dowództwie I Frontu Białoruskiego, a następnie otrzymał stanowisko wojewody szczecińskiego¹¹⁷.

Kira Gałczyńska wspominała: *W Leonardzie Borkowiczu, młodym, wosatym, pełnym entuzjazmu człowieku, Gałczyński odnalazł bratnią duszę. Wojewoda pokazał mu morze gruzów – to, co kiedyś było portem – ale powiedział, że przy wielkich, pełnych słońca bulwarach już wkrótce staną szkoły, teatry, muzea, filharmonie, domy mieszkalne, że całe swe dawne piękno odzyskają prastare zabytki, z zamkiem i gotyckim Starym Miastem na czele, że równie szybko zostanie odbudowany port – polskie okno na świat... Że Szczecin w krótkim czasie stanie się nie tylko wielkim ośrodkiem przemysłowym, ale i kulturalnym. Ojciec równie szybko jak wojewoda Leonard Borkowicz ujrzał Nowy Szczecin, uwierzył, że odbudowa tego bardzo zniszczonego miasta to sprawa paru zaledwie miesięcy. Jego przy tym wydarzeniu nie może zabraknąć!*¹¹⁸.

117 Więcej zob. Katarzyna Rembacka, *Komunista na peryferiach władzy. Historia Leonarda Borkowicza (1912-1989)*. Szczecin-Warszawa 2020; *Pierwszy wojewoda szczeciński. Dokumenty i komentarze (1945-1949)*. Oprac. Zdzisław Chmielewski, Kazimierz Kozłowski. Szczecin 1986.

118 K. Gałczyńska, *Gałczyński*. Wrocław 1998, s. 151-152.

Bardzo podobnie opisuje swoją pierwszą rozmowę z Borkowiczem Edward Nevada, artysta-śpiewak: *Zaczął przede mną snuć wizję przyszłego Szczecina na polu kultury, w którym powstanie Teatr Polski, Filharmonia, biblioteki, wyższe uczelnie, a również i interesujący mnie Teatr Muzyczny, ale do tego są potrzebni odpowiedni ludzie. (...) Będziemy wspólnie budować wielki kulturalny Szczecin*¹¹⁹.

A przecież niełatwo było wówczas uwierzyć w tę świetlaną przyszłość. Serdeczny przyjaciel Konstantego, słynny „Dziadzia” ze „Wspólnego pokoju” Zbigniewa Uniłowskiego, będącego literackim portretem grupy literackiej „Kwadryga”, Stanisław Maria Saliński (1902-1969), często odwiedzający Gałczyńskiego w Szczecinie, wspominał: *miasto było ciężkie, ciemne, gruzy, gruzowiska, straszne gruzowiska*¹²⁰. Rzeczywiście, miasto, zwłaszcza zimą ogarniał wszechobecny mrok, który sprzyjał rabunkom i napadom. W grudniu 1947 roku, a więc wówczas, gdy w Szczecinie gościł Gałczyński, prasa alarmowała, że spośród 450 lamp ulicznych, jedynie połowa jest czynnych. Przyczyną był brak żarówek. Artykuł zapowiadający poprawę sytuacji dziennikarz zatytułował „Nowe latarnie rozproszą ciemności szczecińskie. Nadchodzi zły okres dla rabusiów i złodziei”¹²¹. W mieście obowiązywały kartki, brakowało wielu produktów codziennego użytku.

A jednak sugestywność wizji roztaczanych przez Borkowicza, żartobliwie nazywanego Leonardem I oraz Księciem na Pomorzu, musiała być istotnie niezwykła. A ponadto już rozpoczęła się realizacja planów nowego, urbanistycznego kształtu miasta, otwarcia go na Odrę, odsłonięcia Zamku Książąt Piastowskich (jak wówczas pisano), nazywanego Szczecińskim Wawelem. stworzenia szerokich bulwarów. Poeta zdecydował się przenieść z rodziną do Szczecina. A wojewodzie zadedykował swój pierwszy szczeciński wiersz:

Spotkanie w Szczecinie¹²²

Leonardowi Borkowiczowi

*Naprzeciw mojego okna
w mieście Szczecinie
złoci się w słońcu jemiota,*

119 *Pierwszy wojewoda szczeciński: dokumenty i komentarze (1945-1949)*. Oprac. Zdzisław Chmielewski, Kazimierz Kozłowski. Komentarzem opatrzył Leonard Bokowicz. Szczecin 1986, s. 119.

120 Archiwalna wypowiedź S.M. Salińskiego z maja 1967 r., zob. Audycja radiowa Agaty Rokickiej „Niech no tylko zakwitną... magnolie”, 30.04.2023; Online: <https://radioszczecin.pl/245,1063,30042023-niech-no-tylko-zakwitna-magnolie> (dostęp: 9.09.2023 r.).

121 *Nowe latarnie rozproszą ciemności szczecińskie. Nadchodzi zły okres dla rabusiów i złodziei*. Art. niepodp. „Kurier Szczeciński” 1947, nr 335 (10 XII), s. 3.

122 Pierwodruk: K.I. Gałczyński, *Zaczarowana drożka*. „Czytelnik”. Warszawa 1948.

*a obłok przy niej. A w dole dziewczyny idą
gwarząc wesoło -
lecz tylko śnieg je całuje
pod tą jemiółką. Ale jest jedna wśród dziewczyn,
wietrzna i morska,
ma takie niezwykłe imię:
Polska.*

*Na nią czekały usta. I dla niej
Chce wierszem płonąć.
Za Szczecin. Za Pierwszą Armię.
Za wolność.*

Wojewoda, po grudniowych obietnicach poety, kontynuował zabiegi o pozyskanie go dla Szczecina. Kilka tygodni później w liście do Natalii i Konstantego Gałczyńskich, z 20 stycznia 1948 r., informował o podjętych działaniach: *Szanowni Państwo! Z wielką zaiste radością stwierdziłem, że nie zapominacie Państwo o nas i trwacie nadal w zamiarze przeniesienia się do Szczecina. W ciągu najbliższych tygodni przeprowadzę „pewną akcję”, w wyniku której mam nadzieję uzyskania dla Was godnej willi. Pamiętam więc o tym i chcę, abyście Państwo koniecznie na wiosnę mogli „na swoje” przyjechać. Zanim to jednak nastąpi, zapraszam Was najserdeczniej do wzięcia udziału w imprezie „Wielkanoc w Szczecinie”. Organizuje ją prywatnie kilka osób z warszawskich, moich przyjaciół, którym sprawa wychylenia pewnej – zresztą ściśle nieokreślonej – ilości kielichów na prastarych piastowskich rubieżach już dziś spędza sen z powiek. Byłoby bardzo miło, gdybyście Państwo wzięli udział w tym zjeździe. Święta Bożego Narodzenia spędziliśmy w Krzyżatce na Dolnym Śląsku, a teraz po staremu siedzimy w Szczecinie, czego zresztą i Wam życzę... Wiem, że Wawel, że Brandstaetter, że Sukiennice, że gołębie, że Zawieyski, że „panie radco” – ale czy można tak długo? Za życzenia świąteczne i noworoczne serdecznie dziękujemy. Czekamy na wiadomości, serdecznie pozdrawiamy L. Borkowicz¹²³.*

Gałczyński, którego porwał entuzjazm wojewody, zdecydował się postąpić jak bohater scenki z jego Najmniejszego Teatryku Świata „Zielona Gęś”; scenki, zatytułowanej „Xiążę Józef Poniatowski ze stemplem 1946”. Otóż

123 List opublikowany w: „Poezja” 1987, nr 11/12, s. 168 oraz w książce: *Pozdrowienia dla czarodzieja. Korespondencja K.I. Gałczyńskiego*. Wybór listów, wstęp i komentarze Kira Gałczyńska. W-wa 2005, s. 105-106.



Natalia i Konstanty Gałczyńscy (zdj. <https://www.gosc.pl/doc/1802296>.)

xiążę zamiast rzucić się w nurt Elstery *zrzuca mundur, przebiera się w cywilne tacy i przenosi się na Ziemie Odzyskane* przy aplauzie Chóru Nowych Polaków:

*Pracować trzeba jak cholera.
Czyśmy to jacy tacy?
Więcej Osmańczyka, mniej
Grottgera
i wszystko będzie cacy.
To bardzo łatwo jest umierać,
żyć trudniej – rzekł Horacy?*

Wkrótce po osiedleniu się Gałczyńskiego w Szczecinie przy ul. Marii Curie-Skłodowskiej 17, zamieszkał w nim także Edmund Osmańczyk, wówczas korespondent zagraniczny Polskiego Radia, współpracownik „Odrodzenia”, „Przekroju”, a wcześniej sprawozdawca konferencji poczdamskiej i procesu norymberskiego. A ze swego domu (który nazywał od imienia żony Rutiądą) przy ulicy Jaworowej 34 na osiedlu Głębokie miał stosunkowo blisko do Gałczyńskich.

Appendix

Szóstego grudnia 2023 r. mija 70. rocznica śmierci Konstantego Ildelfonsa Gałczyńskiego (23 I 1905–6 XII 1953), wielkiego maga polskiej poezji, który swe utwory tworzył z szarych, zwykłych konkretów codzienności, z okrucich chwil, ulotnych nastrojów, dopełnionych uszlachetniającą je i uwznioślającą

mieszanką fantazji, niecodziennych skojarzeń, dowcipu, absurdu, mitologicznych, religijnych, muzycznych i wszelakich innych kontekstów. Według Julii Hartwig, był to *wielki cygan naszej poezji, ten nasz Villon, E.T.A. Hoffmann, Prévert i Burns w jednej osobie, potomek Reja i Kochanoviusa, (...) Gałczyński niepowtarzalny, choć tak często naśladowany, (...) poetycki szataput i ladaco*¹²⁴.

Autor „Niobe” zmarł w grudniową niedzielę po kolejnym zawale serca. Za kilka tygodni obchodziłby 49. urodziny. Pogrzeb odbył się 9 grudnia na Powązkach, w dzień wyjątkowo zimny i wilgotny. „Na koszt Państwa, ale nie w Alei Zasłużonych”¹²⁵. Jak zapamiętał Jerzy Waldorff: „Ludzi nie było zbyt wielu, ale cała literatura z Iwaszkiewiczem i Tuwimem na czele”¹²⁶. Przyniesiony przez ministra Włodzimierza Sokorskiego, przyznany pośmiertnie Krzyż „Polonia Restituta”, którym próbował udekorować trumnę, ześlizgiwał się po jej zimnym wieku. Sytuację uratował przyjaciel domu Gałczyńskich, poeta Jerzy Zagórski, przekazując niepokorny krzyż Natalii, która zerwawszy jedną różę z wieńca odeszła wraz z córką przed innymi żałobnikami.

Zaprzyjaźniony z mistrzem Ildefonsem, a czasem wadzący się z nim Julian Tuwim¹²⁷ stał na warcie honorowej przy trumnie Poety wraz z Jarosławem Iwaszkiewiczem, który zanotował: *Cywilny, zimny i niepogodny pogrzeb Gałczyńskiego. Julek czuł się źle i na warcie nie mógł stać długo. Umówiliśmy się z Andrzejewskim, że zastąpi go po paru minutach. Staliśmy twarzami do siebie i widziałem, że Tuwim jest bładny jak trup. Gdy Andrzejewski miał go zastąpić, zerwał laurowy listek z wieńca leżącego na trumnie i schował go sobie na sercu*¹²⁸. Julian Tuwim zmarł 27 grudnia 1953 r.

124 J. Hartwig, *Zaprzyjaźniony dom*, w: „Wspomnienia o K.I. Gałczyńskim”. Przedmowa i redakcja Anny Kamieńskiej i Jana Śpiewaka. Warszawa 1961, s. 564-565.

125 A. Arno, *Konstanty Ildelfons Gałczyński. Niebezpieczny poeta*. Kraków 2013, s. 418.

126 J. Waldorff, *Czarne owce dla Apolla*, Kraków – Wrocław 1984, s. 53-57.

127 M. Urbaneck, *Skumbrie w tomacie i ozór na szaro*. „Polityka” 2003, nr 49, s. 72-75.

128 J. Iwaszkiewicz, *Książka moich wspomnień*, Warszawa 2022, s. 425-426.

Jan Papuga – życie jak wielki rejs

Mówiono o nim, że jest „Nikiforem literatury”, „prekursorem powojennej marynistyki”, „polskim Jackiem Londonem”, pisarzem w „typie Himilsbacha”. Za życia już był legendą. Od początku, czyli od 1946 roku, w środowisku szczecińskich literatów uważany był za postać wyjątkową. Wybrał sobie to miasto do życia i związał się z nim na zawsze. W Szczecinie „uchodził za Londona do kwadratu” – napisze szczeciński dziennikarz Zbigniew Kosiorowski¹²⁹. Słuchano jego wojennych opowieści o pływaniu w konwojach. Słuchano go w Klubie „13 Muz”, w Klubie Marynistów, czyli w Bramie Królewskiej. Relacjonował to, co przeżył, bez patosu, prosto, dosadnie, prawdziwie. Był znany jako autor „Najpiękniejszego rejsu” – zbioru opowiadań wydanego w grudniu 1945 roku w Londynie (polskie wydanie „Szczury morskie”, 1946 r.).

Pierwsi na jego literackim talencie poznali się Antoni Słonimski i Mieczysław Grydzewski. Widzieli w jego utworach potencjał. To z ich inicjatywy wydano „Najpiękniejszy rejs”. Była to proza „uszyta bosmańskim ścięciem z żaglowego płótna” – jak ją obrazowo opisał Bohdan Czeszko, dodając: „nieporadna i surowa stanowiła na ówczesnym rynku wydawniczym dostatecznie zauważalny i oczywisty kontrast do prezentowanej powszechnie prozy profesjonalistów”¹³⁰.

Ten obiecujący początek wróżył Janowi Papudze kolejne sukcesy i awans społeczny. Papuga, wychowany bez matki (zmarła, gdy miał dziewięć lat), na łódzkich peryferiach, w robotniczych slumsach, sam siebie tworzył. Był niesytym wrażeń włóczęgą, ciekawym świata, marynarzem i pisarzem. Ukończył przed wojną jedynie szkołę powszechną. Mądrość Papugi brała się jednak nie z klasycznej edukacji, ale z miłości do życia, z nieustannego ruchu, z doświadczania, z czytania i słuchania. Ci, którzy uważnie mu się przyglądali, bez lekceważenia, wiedzieli o tym.

W 1949 roku Jan Papuga jako pierwszy ze szczecińskich pisarzy otrzymał Nagrodę Literacką miasta Szczecina, a jednym z jurorów, który mu ją

129 Z. Kosiorowski, *Rewersa!*, Szczecin, 2023 r., s. 231.

130 B. Czeszko, *Lania i laury. Rzeka Jana Papugi*, w: „Nowe książki”, 15 VIII-1969, s. 1040.

przyznawał, był Jerzy Andrzejewski. Literatura, pisanie, stały się dla Jana Papugi czymś, co, jak sam określał, usprawiedliwiało jego „frajerskie życie”, czyli całkowicie swobodne, bez miękkich bamboszy przy łożku i książeczki oszczędnościowej ukrytej w nocnej szafce. Pisał dużo. Ale w różnych gazetach publikowano jedynie jego okrojone teksty. Z wydaniem kolejnej książki Papuga musiał czekać aż 20 lat, chociaż zwracali na niego uwagę wybitni pisarze: Jarosław Iwaszkiewicz, Paweł Hertz, Tadeusz Konwicki czy Zofia Nałkowska.

„Guadalajara, Guadalajara!” – zbiór jego nowych opowiadań wydanych przez Wydawnictwo Poznańskie w 1965 roku, miał także drugiego bohatera – redaktora tej prozy, Michała Misiornego. Misiorny dał Janowi Papudze jako pisarzowi drugie życie. Czytał uważnie to, co Papuga napisał, i dokonywał niezbędnego szlifowania języka jego prozy, akceptując jednak wszystkie proponowane przez Papugę zmiany. W 1969 roku w Wydawnictwie Morskim ukazały się, jeszcze pod redakcją Misiornego, inne opowiadania Jana Papugi w zbiorze „Rio Papagaio”. Za życia Papuga mógł cieszyć się trzema swoimi książkami. Były to: „Szczyry morskie”, „Guadalajara, Guadalajara!” i „Rio Papagaio”. Pozostałe jego teksty przeleżały w szufladzie i do czytelników trafiły dopiero po śmierci pisarza. Opowiadania zawarte w zbiorze „Oceany, Oceany” w opracowaniu Stanisława Telegi, opublikowało Wydawnictwo Poznańskie (1975 r.), dwie powieści „Papierową dżunglę”(1982 r.) i „Okrutny świat” (1987r.) opracował Mariusz Czarniecki, a wydała Krajowa Agencja Wydawnicza. Warto jeszcze wspomnieć o opublikowanym przez Wydawnictwo Literackie w Krakowie zbiorze opowiadań Jana Papugi zatytułowanym „Singsiarz” (1983 r.). Ich opracowaniem zajął się Marek Halała.



Jan Papuga (zdj. Encyklopedia Pomorza Zachodniego)

Proza Jana Papugi to opowieść o Janie Papudze, ponieważ pisarz tworzył literacki świat ze swoich doświadczeń. Jest to literatura, w której razem z narratorem jesteśmy w przedwojennej Łodzi, Pucku, Gdyni. Podróżujemy do Konstancy, a także widzimy piekło II wojny światowej z perspektywy zwykłego marynarza pływającego w konwojach, by ostatecznie wkroczyć z nim do powojennej komunistycznej Polski.

Daty, daty są ważne, przypominają. Od niespodziewanej śmierci pisarza (Papuga uchorzył bowiem za okaz zdrowia) w szpitalnym łóżku na Pomorzanach, minie niebawem pięćdziesiąt lat. Zmarł 2 stycznia 1974 roku. Pochowano go w Szczecinie na Cmentarzu Centralnym w Alei Zasłużonych.

5 stycznia 1974 r.

„Dzisiaj żegnałem nad otwartą mogiłą Jasia Papugę. Nie udało mi się zaplanować nad głosem, a przecież jestem dość odporny w takich trudnych sytuacjach” – zanotuje w swoim dzienniku pisarz Ryszard Liskowacki i doda: „Był dziwakiem, nie dał się ująć w żadne karby, w żadne ramy. A przecież tacy są solą ziemi”¹³¹.

Od ponad trzech lat chodzę śladami Jana Papugi. Zbieram, układam, dopytuję. Próbuję zrozumieć, kim naprawdę był, chociaż to rzecz właściwie niewykonalna. Na moim biurku stoi jego maszyna do pisania, jej widok mobilizuje mnie do pracy w chwilach największego kryzysu. Piszę o jego życiu, o pisarskiej męce, o jego szaleństwach, o śmiechu i goryczy, o ludziach mu bliskich, o literackich nauczycielach. Opowieść biograficzna rozrasta się, a wskazówki zegara powoli się przesuwają.

I chociaż to nie rocznice powinny wydobywać z cienia niepamięci dawnych pisarzy, chciałabym, by rok 2024 był rokiem Jana Papugi. To dobry moment, by przedstawić tego pisarza nowym czytelnikom i ponownie wydać jego utwory!

Podróż do przeszłości, do korzeni rodzinnych Jana Papugi i miejsc szczególnie mu bliskich niech będzie początkiem odradzającej się o nim pamięci. To jest tematem drugiego rozdziału nigdzie jeszcze niepublikowanej opowieści biograficznej o Janie Papudze, nad którą pracuję. Zamieszczone poniżej fragmenty rozdziału „Skrzydłata wioska” pierwszy raz przedstawiam szerszemu gronu czytelników.

131 Archiwum prywatne Artura Daniela Liskowackiego.

Skrzydłata wioska

Początek niknie, maleje i zaciera się, zupełnie jak litery w jego najstarszych rękopisach. Nie ma bohaterów tamtych opowieści, tajemnice zabrali ze sobą, a z ich historii czas wypłukał smak i kolor. Zeszli ze sceny cicho. Nawet widowni, przed którą prężyli muskuły, marzyli i płakali, walczyli i kochali, jej też już nie ma.

Rzeka dzieciństwa Jana Papugi zaludniona licznymi krewnymi, migawkami wrażeń i obrazów nie chce płynąć jak dawniej. Trzeba ją wydobyć z niepamięci i wprawić w ruch. To znaczy zacząć żmudne poszukiwania i układanie puzzli z rozbitej całości.

Należy się pogodzić, że będzie błędzenie w docieraniu do właściwej ścieżki, że zostaną puste miejsca, że osvajanie nieobecnych to nie chodzenie po prostym dukcie. Niewielu zostało strażników przeszłości: syn, dalecy krewni, paru przyjaciół i znajomych. Najczęściej są to już dzieci tych, którzy go znali. Żyjący świadkowie chcą pomóc, ale to ćwiczenie okazuje się trudne do wykonania.

„Chciałbym poznać jego dzieciństwo i dom, bo z takim sposobem bycia i stosunkiem do świata nie rodzi się każdy, tam kryje się odpowiedź” – mówił do swojej żony przyjaciel pisarza, dziennikarz „Głosu Szczecińskiego” Zygmunt Dziuba. Zapamiętała to, tak jak inny dialog. Wiele razy pytali Jasia o rodziców i rodzinę, ale on te pytania od siebie odpychał. Pytali:

- To jacy oni byli?
- No tacy, wiesz... tacy.

Na tym kończył, jakby w tym, co powiedział, mieściła się cała prawda. Reszty kazał im się domyślać. W wywiadach do gazet, w listach do przyjaciół wyczytać można kilka zdań. „Papuga był oszczędny w słowach przy mówieniu o rodzicach i bliskich. Owszem, robiąc z nim wywiad dla <<Spojrzeń>>, spytałem o nich, ale Janek zbył mnie jakimś równoważnikiem zdania i skierował rozmowę na inne tory.” – wspominał Zbigniew Kosiorowski.

W swojej prozie Papuga przemyci więcej, ale tylko to, co uzna za najważniejsze. „Była to chłopska magma religijnych, nigdy nie karanych analfabetów, ciężko pracujących na swoje twarde życie i mgławicowo marzących o niebie” – napisze w „Początku topografii” ze zbioru „Guadalajara, Guadalajara!”,

a w opowiadaniu „Wybory” doda: „Ojciec, mimo że analfabeta, miał coś w sobie z tołstojowszczyzny. Tołstoj znajdował wyjście w uczuciu, ojciec w Bogu”¹³².

W liście do Pawła Hertza z 4 grudnia 1952 roku proponował: „Jak wydam książkę, to z Tobą i Gilem pojedziemy do mojej rodzinnej wioski, poznałbyś chamusiów na schwał, na pewno byś o nich napisał”¹³³. Ten wielopokoleniowy schemat chłopa – analfabety jako pierwszy w rodzinie przełamał.

Gniazdo Jana Papugi – wioska Zbyszek leży dzisiaj w powiecie betchatowskim i jest oddalona od Łodzi o ponad sześćdziesiąt kilometrów. Jadę tam w upalny sierpniowy dzień, mając w pamięci jego słowa: „Najmocniej ożywia mnie droga. Cały świat złudnie toczy się w głowie, ciśnie mocno i napełnia wiarą”¹³⁴.

Pierwszy przystanek robię w Parznie, w miejscu do którego prowadziły ścieżki z okolicznych wiosek: Roździna, Cisy, Firleja, Pustkowie, Zbyszka i wielu innych. Chłopi chrzcili tu swoje dzieci, brali śluby i żegnali zmarłych. Rodzina Jana Papugi wpisywała się w ten powtarzalny cykl. Dziadkowie, ojciec, wujowie, ciotki, kuzyni i kuzynki, a także on i jego siostra Janka – wszyscy w tych murach zostali włączeni do Kościoła. Zamiast wiejskiego, drewnianego kościółka widzę masywną świątynię otoczoną starymi drzewami. Oświetlona jaskrawym słońcem wygląda monumentalnie. Od XII wieku ludzie zostawiali tu ciężar swoich grzechów, wierząc w ich wybaczenie i siłę Opatrzności. Tu się spotykali, tu rozmawiali, tu kwitło życie towarzyskie. I chociaż starej świątyni już dawno nie ma, a obecną wybudowano na początku XX wieku, wciąż trwa w historycznym przekazie, w dokumentach i opracowaniach. Kronika parafialna informuje, że pierwszy kościół powstał tu w 1171 roku, a według niektórych źródeł nawet w 1161 roku. Drugi, modrzewiowy, spłonął w 1907 roku.

Wieś Parzno należy do najstarszych osad położonych na terenie dzisiejszej archidiecezji łódzkiej. Miejscowość ta, wraz z pobliskimi Klukami, wspomniana jest w bulli papieża Innocentego II z 1136 r. Wsie musiały już wtedy mieć swoje znaczenie, pokazując chrześcijańską tradycję tej ziemi.

Kościół w Parznie jest również sanktuarium świeckiej mistyczki – Wandy Malczewskiej, która spędziła tu ostatnie trzy lata swojego życia (1893-1896). Spokrewniona była z poetą Antonim Malczewskim, autorem „Marii” – pierwszej w naszej literaturze powieści poetyckiej i prekursorem polskiego

132 J. Papuga, *Wybory*, w: „Rio Papagaio”, Gdańsk 1969, s. 86.

133 Archiwum Pawła Hertza w Warszawie.

134 J. Papuga, *Jeszcze raz*, w: „Oceany, Oceany”, Poznań 1975, s. 197.

symbolizmu, malarzem Jackiem Malczewskim. Sama także zapisała się w historii jako spirytus movens nietypowych katechetów. Jej charyzmatyczną postać od początku otaczano kultem. Wawrzyniec Papuga, ojciec pisarza, mógł znać historie jej cudownych objawień i uzdrowień. Od dziecka wzrastał w otoczeniu, dla którego praktyki religijne były chlebem powszednim. Miał dziewiętnaście lat, gdy ta wybrana przez Boga sługa zmarła, żył wtedy jeszcze we wsi Zbyszek należącej do parafii w Parznie.

Urodził się dwudziestego czerwca 1877 roku jako trzecie dziecko z drugiego małżeństwa ojca Antoniego Papugi z Barbarą Pacholczyk. Pierwsza żona Antoniego Begina Kopczyńska poślubiona w 1853 roku, zmarła w 1872 roku.

Wawrzyniec miał czterech rodzonych braci: Andrzeja, Józefa, Wojciecha i Piotra, a także trzy siostry – Józefę, Annę i Cecylię. Razem z przyrodnim rodzeństwem było ich dziesięcioro. Jego ojciec Antoni urodził się w Zbyszku 30 maja 1833 r. Był synem Franciszka i Teresy z Gałkowskich. Rodzina utrzymywała się z uprawy ziemi. W archiwalnym spisie ludności sporządzonym w 1945 r. zanotowano, że Józef Papuga, brat Wawrzyńca, gospodarzący w rodzinnym domu, miał jej 10 hektarów. Ziemia nie była tu nigdy specjalnie

Józef Papuga, brat ojca Jana Papugi – Wawrzyńca, z żoną Antoniną, z domu Węglewską, przed domem, gdzie urodził się pisarz (zdj. archiwum prywatne M. Szcześniak)



urodzajna, za to łąki pozwalały na wypas zwierząt. I lasy, lasy były dobrodziejstwem: zwierzyzna, jeżyny, poziomki, jagody, grzyby, no i drewno. Najstarsi mieszkańcy okolicznych wiosek wspominają, że właśnie to była jedna z szans na przeżycie najgorszego głodu.

Warto dodać, że dziadek Wawrzyńca, Adam Papuga, (30 X 1776–30 IX 1849 r.) był młynarzem w Zbyszku. Pomiędzy dzieciństwem a młodością Wawrzyńcowi, ojcu Jana Papugi, czas upływał szybko i pracowicie. W domu rodziły się kolejne dzieci, wszystkie musiały walczyć o swoje miejsce w gromadzie. Nie było taryfy ulgowej, bo nie każdy mógł tu zostać, ale też nie każdy tego chciał. Wawrzyniec wyjechał ze Zbyszka do Łodzi, gdy miał 28 lat, pierwszy wpis w księdze meldunkowej miasta to rok 1905. Chłopskie życie go ukształtowało, z niego brała się jego siła i mądrość. Nie potrafił pisać ani czytać, za to był zahartowany i przyzwyczajony do ciągłej walki o byt. Stosował w życiu prostą zasadę, by oddać cesarzowi, co cesarskie, a Bogu, co boskie.

Łódź, choć niechciana, musiała mu zastąpić dom na wiele lat. Czuł w sobie gorycz wydziedziczenia, ona go motywowała do tego, by pokazać innym, że da sobie radę. Szukał w mieście jakiegokolwiek zajęcia, które przyniosłoby grosz. Był tragarzem, sprzedawcą, tkaczem w przemyśle włókienniczym, bywało także, że nie miał żadnej pracy.

„Ostatnio bywał bezrobotny. Powiedziałem bez natręctwa, że przez piętnaście lat pracował jako tkacz u Gayera. Był w bractwie kościelnym, a w kościele katedralnym dźwigał w procesjach największą chorągiew” – napisze o nim Jan Papuga w „Początku topografii”¹³⁵. O tym, jak Wawrzyniec poznał swoją przyszłą żonę, już się nie dowiemy.

O matce Jana Papugi wiem tyle, ile można wyczytać z zachowanych dokumentów. Niewiele. Syn wspomina ją rzadko, ale są takie obrazy. Na przykład w opowiadaniu „Korale dla Pelci”: „Widziałem w oczach matki, że nie zawahałaby się oddać życia w mojej obronie. Tak samo ja dla niej”¹³⁶.

„W którąś niedzielę, chyba miałem wtedy ze sześć lat, całą rodziną, z jedzeniem, wybraliśmy się do stawu Krauzego. Postanowiliśmy wykąpać się z ojcem, on w przydługich majtkach, ja nago. Ojciec pływał przy brzegu, ja pośrodku, a matka, jak wystraszona kwoka biegła hałaśliwie po brzegu. Jednak kiedy wyszedłem, była radosna i dumna”¹³⁷.

135 J. Papuga, *Początek topografii*, w: „Guadalajara, Guadalajara”, Poznań 1965, s. 9.

136 J. Papuga, *Rio Papagaio*, Gdańsk 1969r., s. 26.

137 J. Papuga, *Rio Papagaio*, Gdańsk 1969r., s. 29.

Matka Jana Papugi zmarła, gdy miał zaledwie dziewięć lat. Bronisława Troszczyńska, córka Franciszka i Konstancji Dratwickiej, urodziła się w Nowym Rokiciu pod Łodzią w 1888 r. Wawrzyniec ożenił się z nią w 1908 roku. Ślub był w parafii Świętego Krzyża w Łodzi. W akta Urzędu Stanu Cywilnego wkraść się błąd. Wszystkie pozostałe dokumenty, z aktem urodzenia i zgonu włącznie, wskazują, że Wawrzyniec urodził się 20 czerwca 1877 r, a w akcie ślubu jest odmłodzony o trzy lata. Według tego zapisu w 1908 roku na ślubnym kobiercu stanęli: dziewiętnastoletnia Bronisława i dwudziestoosmioletni (zgodnie z prawdą miał 31 lat) Wawrzyniec. W dokumentach zapisano, że zaślubiny zgodnie z tradycją poprzedziły potrójne zapowiedzi. Pisarz o matce napisze: „Matka wywodziła się ponoć ze szlachty.” Śledzenie linii jej rodu potwierdza te spekulacje.

Pierwsze lata małżeństwa Wawrzyńca i Bronisławy to próba utrzymania się w Łodzi. W rodzinnych archiwach nie ma ich wspólnych zdjęć. Brakuje także fotografii Bronisławy. Są za to dwie Wawrzyńca, które przechowuje jego wnuk, syn Jana. Dziadek nie jest już na nich młody, jego twarz o uwydatnionej szczęce i dużym nosie, tak charakterystycznym dla Papugów, budzi respekt. Łatwo zauważyć podobieństwo Jana do jego ojca Wawrzyńca. Układam obok siebie ich zdjęcia portretowe: eleganccy, „pod krawatem”, patrzą przenikliwie i poważnie, strój nieco fałszuje ich chłopskie pochodzenie, chociaż nigdy żaden z nich o swoich korzeniach nie zapomniał.

Jest jeszcze jedna – szczególna fotografia, zamykającą ziemską wędrówkę Wawrzyńca. Zrobiono ją prawdopodobnie w 1951 r. przy jego grobie w Szczecinie. Do tego miasta po wojnie przeprowadził się z Łodzi najpierw Jan Papuga, a później pomieszkiwał tu także jego ojciec. Uwagę przykuwają symboliczne detale: czarno-biała tablica z datami urodzin i śmierci, drewniany krzyż, który w geście rozpaczony obejmuje syn. Ręce Jana zostały uchwycone w żelaznym uścisku, a scena jest niemal teatralna. Z jakiegoś powodu Jan Papuga chciał to utrwalić. Może dlatego, że ojca pochował zaledwie jeden dzień przed swoim rejsiem do Chin, 11 października 1951 r.

Wawrzyniec był twardy, wydawał się niezniszczalny jak skała. Martwił się o jedynego syna, zbuntowanego trampa i niepoprawnego marzyciela. Najpierw czekał na niego w Łodzi, a później w Szczecinie, do którego pierwszy raz przyjechał w listopadzie 1946 roku. Tak wspomina jeden ze swoich powrotów do Łodzi Jan Papuga w opowiadaniu „Wybory”: „Po coś przyjechał, na tę bidę. Nic mu nie odpowiedziałem. Jego miłość była wprost niepojęta. Mógłby mnie już nie oglądać, wystarczyłoby mu pewność, że jest mi dobrze, że mam co jeść,

że uszedłem zagładzie, jaka mnie tu czekała. Wpatrywał się we mnie; małe, bure oczy jaśniały mu ciepłą radością, chwilami czytałem w nich dumę, że jego marnotrawny jeszcze się nie wykoleił zupełnie”¹³⁸.

* * *

Przed starą plebanią w Parznie chowam się w cieniu drzew. To krótka chwila. Moment oczekiwania. Zanim zajrzę w księgi metrykalne, rysuję w myślach drogę rodziców Jana do Zbyszka.

Był rok 1915, prawdopodobnie wtedy Wawrzyniec i jego ciężarna żona Bronisława opuszczają Łódź. Tego mimo starań nie udało mi się ustalić. Chcieli narodzin dziecka i chrztu w rodzinnych stronach Wawrzyńca, być może uznając je za bezpieczniejsze, może to była także ucieczka Wawrzyńca, ratunek przed powołaniem do wojska. Trwała pierwsza wojna światowa.

Warto wspomnieć, że od sierpnia 1914 r. był to największy konflikt od czasów wojen napoleońskich, a w okolicach Łodzi pomiędzy 18 listopada a 5 grudnia tego roku rozegrała się jedna z większych bitew tej wojny, której celem było przejęcie kontroli nad miastem. Ostatecznie władzę zdobyli Niemcy i niemal natychmiast zastosowali politykę rabunkową, wywożąc co się da dla potrzeb swojego przemysłu zbrojeniowego.

„Dachy domów ogołacano z blachy. W sklepach brakowało wszelkich gotowych wyrobów, wprowadzono reglamentację podstawowych produktów żywnościowych. Zimą, gdy nie starczało opału, mieszkańcy rozbierali i palili płoty, szopy, wycinali drzewa w parkach. Te trudne warunki spowodowały, iż prawie 200 tys. łodzian podjęło decyzję o opuszczeniu miasta”¹³⁹ – pisze Michał Koliński w książce „Łódź między wojnami”.

Statystyka, którą przytacza Koliński, pokazuje, że pomimo przyłączenia przez Niemców w 1915 roku do miasta podłódzkich wsi: Bałuty Stare, Bałuty Nowe, Bałuty Kolonia, Widzew, Zakrzew, Dąbrowa, częściowo Chojny, Rokicie Stare, Rokicie Nowe, Żabiniec, część Radogoszczy, Antoniew Stokowski, gęstość zaludnienia przewyższała inne polskie miasta. Tu wynosiła aż 114 osób/ha, gdy na przykład w Warszawie było 91 osób/ha, a w Poznaniu 35 osób/ha.

Jest jeszcze jedna wskazówka podpowiadająca, dlaczego mogli wyjechać. W Łodzi zmarła im dwójka dzieci. W 1909 roku, po sześciu miesiącach syn

138 J. Papuga, *Wybory*, w: „Rio Papagaio”, Gdańsk 1969, s. 86.

139 M. Koliński, *Łódź między wojnami. Opowieść o życiu miasta 1918-1939*, Łódź 2007, s. 8.

– Antoni, a urodzona trzy lata po nim Janina przeżyła zaledwie siedem dni. Rafał Papuga, syn Jana pamięta, że w domu mówiono o śmierci na szkarlatynę.

* * *

Jan Franciszek urodzi się w Zbyszku 16 lutego 1915 roku w rodzinnym domu ojca, w którym gospodarzył jego brat Józef. W chacie krytej strzechą już było rojnie: siedmioletnia Stanisława, pięcioletnia Bronisława, dwuletnia Zofia i dopiero co urodzona Józefa, równolatka Jana, słychać było dziecięcy śmiech i płacz. Było to potomstwo Józefa i Antoniny z domu Węglewskiej. W metrycy wystawionej przez parafię kościoła w Parznie (powtórzony błąd przy wieku Wawrzyńca, podobnie jak w akcie małżeństwa) zapisano:

Działo się we wsi Parzno dnia pierwszego/czternastego marca tysiąc dziewięćset piętnastego roku o godzinie pierwszej popołudniu. Stawił się osobiście Wawrzyńiec Papuga (Ławrentij Papuga), lat 35, robotnik we wsi Zbyszek zamieszkały, w obecności Adama Gaszewskiego (Gaszewskiego), lat 28, i Józefa (Iosifa) Papugi, lat 30, obaj rolnicy we wsi Zbyszek zamieszkali, i okazali Nam dziecię płci męskiej, oświadczając, że urodziło się ono we wsi Zbyszek szesnastego lutego tego roku o godzinie dziewiątej wieczorem z prawnej jego małżonki Bronisławy z domu Troszczyńskiej (Bronisława z Troszczyńskich), lat 25.

W przygotowanym przez ówczesnego proboszcza ks. Ignacego Lubeckiego dokumencie jest także informacja, że akt ten został niepiśmiennym ojcu i świadkom odczytany. Ks. Ignacy Lubecki był człowiekiem odczytanym i obdarzonym literackim talentem. Jego dzienniki portretujące ludzi i sytuacje w parafiach, którymi zarządzał, pisane są barwnym, wartkim językiem i zbliżają się do formy reportażu. Miał poczucie humoru i umiejętność opowiadania.

„Z racji imienin Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego, naczelnik Straży Pożarnej z Wielgomłyn z oddziałem swym wyjechał do Radomska, by wziąć udział z innymi oddziałami z powiatu w ogólnym pochodzie ku czci Solenizanta. Nasz oddział był ze sztandarem czerwonym. Niósł go niejaki D. – mieszkaniec Rożkowej Woli, nie wiedząc, że to kolor socjalistów”¹⁴⁰. Jest w tym znaczący akcent. To on, miłośnik literatury, tak chętnie opisujący świat, udzielił chrztu Janowi Papudze.

¹⁴⁰ Ks. Jacek Kapuściński, *Wspomnienia ks. Ignacego Lubeckiego (1860-1949) o pracy duszpasterskiej w diecezji włocławskiej i diecezji częstochowskiej*, w: „Zeszyty Radomszczańskie. Prace z dziejów Radomska i powiatu radomszczańskiego”, t. II, Radomsko 2008, s. 324.

Do Zbyszka droga prowadzi przez Roździn, Ciszę i Firlej. Osiem kilometrów. Za szybą mieni się zieleń drzew i łąk. Uchylam ją, by poczuć zapach nagrzanej słońcem przyrody. Wyobrażam sobie tamtą wyprawę, gdy Bronisława w błogosławionym stanie, może już wtedy rozpychał się w jej brzuchu ciekawy świata chłopiec, rozgląda się zaniepokojona wokół. Świat był wtedy groźny, prawa wojenne – śmierć i rozbój.

„Gwałtowne walki, jakie toczyły się w okolicach Bełchatowa jesienią i wczesną zimą 1914 roku pomiędzy wojskami niemieckimi, austriackimi i rosyjskim dotkliwie doświadczały ludność cywilną. Charakterystyczną cechą każdej wojny były rabunki i rekwizycje dokonywane na ludności okupowanych terenów. Żołnierze formacji pierwszoliniowych zabierali przede wszystkim żywność, inwentarz żywy oraz opał” – pisze Aleksy Piasta w „Zarysie dziejów Kluk i Parzna”¹⁴¹.

Zamiast asfaltowej drogi była polna ścieżka, w miejscu letniskowych willi z ogrodowymi basenami biedne drewniane chaty kryte strzechą. Dzisiaj tylko gdzieś tam migie ściana takiego, który może mieć ze sto lat, rzadkie perełki ukrywają się w gęstwinie swoich następców. Patrzą zza ich pleców wstydliwie, podszyte strachem mijającego czasu. Mieszkańcy Łodzi wśród sosenowych lasów szukają ukojenia, wakacyjnego oddechu, prowadzeni rodzinną ścieżką wracają do zapomnianego świata dziadków lub pradziadków.

O historii Papugów ze wsi Zbyszek i okolic rozmawiam z Izabelą Kacprzak. Mieszka kilka kilometrów od Zbyszka. Od paru lat układa rozbudowane drzewa genealogiczne, tworząc rodowód Papugów, z których pochodziła jej praprababcia. Podczas tych poszukiwań pojawił się Jan Papuga, jak się okazało, kuzyn drugiego stopnia jej pradziadka. O dwóch wsiach Zbyszku i sąsiadującej z nim Huty Strzyżewskiej zamierza napisać książkę „Śniade Papugi” (Papugowie jako tworzący wieś Zbyszek, Śniadzi jako właściciele Huty Strzyżewskiej). Połączyło nas barwne życie pisarza. Ustalamy powiązania. Wymieniamy informacje. Próbuje skrócić niekończące się łańcuszki krewnych do najważniejszych, do tych trzymających się razem. Inne odnogi pomijamy. Nieraz się zatrzymujemy, bo są opowieści fascynujące, jak ta o najbliższym kuzynie Jana Papugi, Leonie Marchwickim. Jego matka Józefa była rodzoną siostrą ojca Jana. To Leon podczas wojny polsko-bolszewickiej, w stopniu sierżanta, służył

141 A. Piasta, *Zarys dziejów Kluk i Parzna*, w: „Kluki, Parzna”, red. Łukasz Politański, Bełchatów, 2013, s. 53.

w szeregach 4. pułku piechoty Legionów i za swoje czyny otrzymał Order Virtuti Militari. Cała jego dalsza służba przyniosła mu awans na majora dyplomowanego piechoty Wojska Polskiego. Mimo różnic ideologicznych, Janowi od wczesnej młodości bliżej było do komunistów, wspomina go tak:

„ – To nie macie w Łodzi rodziny?

– Jest ciotka Marchwicka, jej syn jest kapitanem w Wojsku Polskim i ma Virtuti Militari”¹⁴².

Inny krewny, Wojciech Papuga, wuj Jana stanął po przeciwnej stronie niż Leon. Pod koniec 1918 r. w Jekaterynodarze została sformowana Czerkieska Dywizja Konna, nieformalnie była też nazywana Dziką Dywizją Konną. 18 listopada tego roku weszła w skład Armii Ochotniczej gen. Antona I. Denikina, w niej właśnie służył. A później związał się z bolszewikami i walczył z Nikołajem Nikołajewiczem Judeniczem, czyli jednym z najważniejszych dowódców Białych w wojnie domowej w Rosji po przewrocie bolszewickim.

„Przypomniał mi się wuj Wojciech, miał najwyższe odznaczenie carskie za front pod Krakowem, a później był u Denikina w dzikiej dywizji... Nie powiedziałem, że potem poszedł do bolszewików i że prał Judenicza pod Piotrogradem, a obecnie jest w partii”¹⁴³.

O Józefie Papudze, dalekim krewnym, mężu stryjecznej siostry, który uciekł z Auschwitz, pisarz nie wspomina. Prawdopodobnie nie utrzymywał z nim bliskiego kontaktu. Józef to jeden z bohaterów dokumentu „Podziemny schron”, pierwszego z cyklu filmów zrealizowanego w ramach szerszej opowieści „Ucieczki przez druty” w reżyserii Andrzeja Celińskiego. Akcja koncentruje się na losach więźniów: Kazimierza Andrysika (nr 89), Zdzisława Michalaka (nr 180), Ryszarda Kordka (nr 10291) oraz Józefa Papugi (nr obozowy 12049). W połowie lipca 1944 r. uciekli oni z terenu obozu Auschwitz II-Birkenau. Początkowo ukrywali się w przygotowanym wcześniej bunkrze wykonanym na terenie budowy odcinka BIII. Pomógł im łącznik, który przeprowadził ich do holownika „Piaś” zacumowanego na Wiśle w okolicy Gromca, niedaleko Oświęcimia. Polska załoga holownika ukryła zbiegów w specjalnym schowku i przewiozła ich do portu Dąbie pod Krakowem. Następnie dostali się do Nowego Korczyna, skąd przedostali się do oddziału Armii Krajowej.

Dzięki dociekliwości Izabeli Kacprzak dowiaduję się, że Józef Papuga został po wojnie oskarżony o to, że w obozie zagłady donosił na współwięźniów,

142 J. Papuga, *Początek topografii*, w: „Guadalajara, Guadalajara”, Poznań 1965, s. 9.

143 J. Papuga, *Początek topografii*, w: „Guadalajara, Guadalajara”, Poznań, 1965, s. 10.

a jego akta zgromadzone w gdańskim IPN świadczą, że toczyła się przeciwko niemu sprawa karna.

W stosie dokumentów i luźnych kartek, które zachowały się po śmierci Jana Papugi, znajduję taką:

Szanowny Panie!

Uprzejmie zwracam się do Pana, o możliwości skomunikowania się. Motywując tym, że poszukuje się swej rodziny tego Imienia i Nazwiska co Pan.

Zamieszkuję ulica Śląska 45 m.1

Papuga Józef

Trudno dzisiaj rozstrzygnąć, czy pisał ją wuj czy daleki krewny, którego za-
wiła, wojenną historię przytaczam. Czy Jan Papuga na list odpisał? Czy chciał
szukać takich kontaktów? To pytania bez odpowiedzi.

* * *

Mapa wiosek i miast ważnych dla korzeni rodziny: Rokicie Nowe – miejsce
urodzenia mamy Jana Papugi, Łódź, gdzie mieszkali jego rodzice i liczni krewni,
Parzno, gdzie urodziła się jego siostra – Janina i żyła rodzina ojca, i najważniej-
sze z miejsc, gdy myślimy o początku topografii, swoiste genius loci wszystkich
Papugów – wieś Zbyszek. Przestrzeń wyidealizowana. Gdy żyje się w niej po-
koleniami, w zgodzie z naturą, w przekonaniu, że świat to nieobjęta rozumem
tajemnica, łatwo taką opowieść – baśń wpisać sobie na stałe do serca. Mimo że
Jan Papuga spędził tu jedynie pierwsze trzy lata swojego dzieciństwa, a póź-
niej wracał tylko czasami na wakacje, zatrzymał w pamięci obrazy arkadyjskiej
przyrody.

To rzeka Pilsia, której nazwę błędnie zapisze w opowiadaniu „Korale dla Pelci”:

„Biegałem do uroczej rzeki o uroczej nazwie Pisia. Musieli mnie dobrze pil-
nować, bym nie wpadł do wody. Dziwił ich mój brak lęku, a ja – czując ich obec-
ność – nie miałem czego się bać.”¹⁴⁴

144 J. Papuga, *Korale dla Pelci*, w: „Rio Papagaio”, Gdańsk 1969, s. 26.

Maria Boniecka – rekonstrukcja subiektywna

To nie artykuł o bogatej biografii Marii Bonieckiej. Nie będzie to też analiza jej twórczości. Bardziej zachęta do zaprzyjaźnienia się z tą ciekawą i niejednoznaczną postacią, sięgnięcia po jej biografię, którą można złożyć z dostępnych źródeł, zbudowania własnej opinii. Wskażę archiwa, stronę internetową z bogatą dokumentacją, teksty, spotkania oraz reportaże o Marii Bonieckiej. Opowiem krótko o moim jej rekonstruowaniu. Ot, zarys z przynętą pobudzającą apetyt.

Szczecińska podróż

O Marii Bonieckiej dowiedziałam się od Pana Leszka Dembka, prezesa oddziału Związku Literatów Polskich w Szczecinie, związku, w zarządzie którego po wojnie działała Maria Boniecka. Zapytał, czy chciałabym o niej napisać. Zanotowałam nazwisko. W domu weszłam w internet, poczytałam wstępnie. Zaciekawiła mnie od razu. Wszystko nałożyło się na moją biografię, bo w Szczecinie mieszkam od niedawna, półtora



Maria Boniecka (zdj. Encyklopedia Pomorza Zachodniego)

roku zaledwie. Wciąż doświadczam konfrontacji miejsc, Szczecina i Świdnicy, Szczecina i Wrocławia, Szczecina i nadmorskich miejscowości, czyli Szczecina i wszystkiego, co znałam do tej pory dość dobrze. Wciąż odkrywam Szczecin dla siebie, architektonicznie, krajobrazowo, intelektualnie.

Maria Boniecka wydała mi się postacią, która może mnie również w tym mieście ukorzenić. Była pretekstem, żeby zajrzeć do miejsc, których jeszcze nie znałam. Pretekst – dość brzydkie słowo i nie do końca prawdziwe, bo cieszyło mnie, że Boniecka niejako mnie po Szczecinie oprowadza.

Wiedziałam już z krótkich artykułów w sieci, że urodziła się w 1910 roku w Warszawie. Czyli w momencie wybuchu II wojny światowej miała 29 lat, po jej zakończeniu 35. Zawsze to przeliczam, żeby móc sobie wyobrazić, w jakim wieku w życie postaci wkraczała wojna, na ile były wówczas ukształtowane, na ile świadome.

Maria Boniecka była bardzo świadoma. Przeżyła dwie wojny. Pierwszą w wieku dziecięcym. Pochodziła z inteligencji, jej ojciec był adwokatem. Została wychowana na osobę o zdecydowanym, silnym charakterze, o jasno sprecyzowanych wartościach, którym pozostawała wierna, nie licząc się z ceną, jaką będzie musiała za tę walkę zapłacić. Znakomicie wykształcona. Uczyła się w Seminarium Nauczycielskim Żeńskim Katolickiego Związku Polek w Warszawie. Po maturze zajęła się nauczaniem osób dorosłych oraz nieletnich kobiet odbywających karę więzienia. W 1934 roku ukończyła Wydział Pedagogiczny Wolnej Wszechnicy Polskiej, a w 1937 roku otrzymała tytuł magistra filozofii. W tym samym roku została uhonorowana Srebrnym Krzyżem Zasługi za jej pracę z dorosłymi analfabetami. Jej publikacje wyraźnie dzielą się na te wydane przed i po wojnie. W latach 30. XX w. zajmowały ją głównie tematy pedagogiczne i psychologiczne, jak „Synkretyzm myślenia dorosłego analfabety”, czy „Wpływ dziedziczności psychicznej na przestępczość nieletnich”. Po wojnie przeszła na stronę publicystyki kulturalnej, tworzenia literatury lub opowiadania o niej.

Pamiętam, że dość szybko napisałam do córki Marii Bonieckiej, Magdaleny Budzynowskiej. Facebook to jednak bardzo przydatne narzędzie. Można nawiązać kontakt z poszukiwaną osobą z prędkością światłowodowego osadzonego na dnie oceanu. Córka Marii Bonieckiej mieszka w Sydney w Australii, do której moja bohaterka wraz z rodziną wyemigrowała w 1965 roku. I właściwie mogłabym z powodzeniem pozyskać informacje wyłącznie ze strony internetowej, którą Magdalena Budzynowska zbudowała i nasyciła artykułami

oraz materiałami dokumentującymi życie swojej matki. To źródło bogate i na pewnym poziomie wyczerpujące. Ale dowiedziałam się też o archiwum Marii Bonieckiej w Książnicy Pomorskiej. Być może to dziwne i nie po kolei, bo lepiej zawsze zacząć od źródeł najłatwiej dostępnych, a do tych należała wspomniana strona internetowa. Ciągnęło mnie jednak do archiwum, namacalnej materialności.

Maria Budzynowska zdeponowała je w lipcu 1991 roku. Na stronie można przeczytać przejmującą relację z podróży z Sydney do Szczecina, dowiedzieć się o wątpliwościach związanych z przekazaniem pamiątek po matce zgromadzonych jakby symbolicznie w czarnej walizce oraz głębokiej żałobie po nich. Uroczystość tę Maria Budzynowska nazwała „drugim pogrzebem Marii Bonieckiej”. Strona powstała wiele lat po zdeponowaniu archiwum, jak pisze autorka, jako efekt odpowiedzialności wobec matki, jej trudnego powojennego życia i licznych przekłamań na jego temat.

Poszłam do Książnicy Pomorskiej. Pracownik przyniósł do mojego stolika spis zawartości archiwum. Kilkanaście punktów. Eseje, recenzje, listy, wspomnienia, rękopisy, fragmenty wydanych książek oraz kilka przedmiotów należących do autorki, jak np. czerwone korale. Zamawiałam po kilka teczek na kilka dni. Nie było w tym planu. Jedynie chęć doświadczenia Bonieckiej. Czasami czytałam tekst zapisany pismem odręcznym w szarym zeszycie, tekst, który powstał w szpitalu w Sydney, by po godzinie odnaleźć ten sam fragment w maszynopisie. Pismo odręczne nie ułatwia czytania, a ten sam tekst napotkany później w formie czytelnej, może rodzić żal. Nie miałam go jednak. O to przecież się rozchodziło, by doświadczać jej przedmiotów, pisma, skreśleń. Zobaczyć, jakim kolorem pisała, jak redagowała, jak przebiegał jej tok myślenia w pierwszym odruchu.

Przeczytałam fragmenty książek, trochę esejów o kulturze, jak również fragmentarycznie korespondencję Marii Bonieckiej. Korespondencji różnej, np. z wydawcami, bo będąc w Australii napisała książkę „Ucieczka za druty” i prowadziła korespondencję z potencjalnymi wydawcami. Fragmenty książki przeczytałam w maszynopisie. Dotyczyły ucieczki z Polski przez granicę z Czechosłowacją, tytułowe druty. To też przejmująca relacja z ostatnich lat w Szczecinie, gdy Marię Boniecką spotkała jedna z większych tragedii, prześladowanie przez Janusza Orzepowskiego, jego donosy, pobicia, w wyniku których doznała poważnego urazu kręgosłupa. Właściwie dopiero w Sydney mogła podjąć leczenie. Wszystko to podbijał trud uzyskania paszportu. Właściwie tragedia zaczęła się od pierwszej próby jego zakupu. W wyniku oszustwa

do willi Marii Bonieckiej przy jeziorze Głębokim w Szczecinie wprowadził się wspomniany Janusz Orzepowski, zawodnik motocrossu, zwycięzca plebiscytu na najlepszego sportowca ziemi szczecińskiej w 1961 roku, prawdopodobnie również agent UB. Sprawę o eksmisję nielegalnego lokatora ostatecznie Boniecka wygrała. Straty, które poniosła, były jednak duże. Liczne donosy Orzepowskiego spowodowały między innymi utratę renty.

Chciałam zobaczyć dom, w którym mieszkała Maria Boniecka. Był słoneczny, wiosenny dzień. Wracając z rowerowej wycieczki wokół jeziora Głębokiego wjechałam w osiedle willi. Byłam zachwycona. Wszędzie stare, potężne drzewa dające wytchnienie w upale, niewiarygodna cisza w kontraście do hałaśliwych plażowiczów z brzegu jeziora. Willa zgrabna, filigranowa, przypomina zakopiańskie domki. Przynajmniej w początkowych latach musiało być tam Bonieckiej miło i spokojnie.

Podobnie jak Magdalena Budzynowska, sprawdziłam dostępność książek Marii Bonieckiej w Książnicy Pomorskiej. Są w katalogu, ale fizycznie pozostają nieobecne. Być może zostały skradzione lub zaginęły. Nie ma. Wracalam więc do archiwum. Imponował mi życiorys Bonieckiej. Wojenny fragment biografii na przykład. Należała do AK, brała udział w powstaniu warszawskim. Pod koniec wojny trafiła do obozu pracy w Małszycach. Po wojnie zaś zaczęła prężnie działać, uczestniczyć w życiu kulturalnym. Początkowo w Sopocie, gdzie na antenie Polskiego Radia prezentowała swoje felietony. Po przeprowadzce do Szczecina w 1946 roku regularnie zapoznawała publiczność z fragmentami swoich opowiadań oraz przekazywała wiedzę podczas prelekcji, np. o literaturze amerykańskiej. Pracowała jako nauczycielka języka polskiego. W 1955 roku została redaktorką naczelną pisma „Ziemia i Morze”. Na jego łamach ukazywały się artykuły nieprzychylnie władzy, co było ostatecznie przyczyną zwolnienia Marii Bonieckiej z jej stanowiska. W piśmie zdążył się jeszcze ukazać jej artykuł „Kto ponosi odpowiedzialność?”. Tekst obnażał przeszłość Ireny Banach-Bochniak, pracownicy szkolnictwa, związanej w czasie wojny z hitlerowcami. Doszło do procesu dziennikarskiego, Boniecka go wygrała i została uniewinniona. Ten pozornie pozytywny finał okazał się początkiem jej prześladowań. To od tamtej pory była rozpracowywana przez SB. Jej sprawa została opatrzona kryptonimem „Kultura”. W 1963 roku doszedł do tego zakaz druku. Boniecka była stracona. Zaczęła się starać o paszport, który ostatecznie kupiła i w tajemnicy wydestała się z Polski przez Czechosłowację. Do śmierci w 1978 roku żyła w Australii, gdzie nadal pisała i starała się o publikacje swoich tekstów.

W dokumentach, które przejrzałam, znalazłam też akcent świdnicki, bardzo pośredni, ale jako lokalna patriotka nie mogłam go nie wyciągnąć. Maria Boniecka miała na koncie kilka prób ucieczek z Polski. Nieudanych. Raz jednak jednej z córek udało się przedostać do Afryki na pokładzie statku m/s „Świdnica”. Świdnica to miasto, w którym się urodziłam i mieszkałam przez 40 lat. Podczas wodowania statku w roku 1960 na pokładzie znalazła się pionierka Świdnicy, Danuta Sajdak, matka chrzestna statku, a Roman Łysakowski i Marian Ruszkiewicz, o których pisałam kilka lat temu w książce „Czarny pegaz”, namalowali kilkanaście obrazów z widokami Świdnicy. Prace te trafiły na m/s „Świdnicę”. Przedziwna sytuacja, jak nagle poprzez życiorys Marii Bonieckiej połączyły mi się dwa odległe miasta.

Któregoś dnia wjechałam rowerem na teren Cmentarza Centralnego w Szczecinie. Byłam go ciekawa od dawna. Krążyłam pomiędzy alejami. Czułam spokój. Wiedziałam, że gdzieś tam zostało posadzone drzewko pamięci Marii Bonieckiej. Cieszyło mnie to szukanie, więc też je wydłużałam, zwiedzając jednocześnie tę piękną nekropolię. A gdy dojechałam do alei drzewek pamięci, naprawdę zaczęłam błądzić. Błądzić w miejscu. Miałam mapę z zaznaczonym punktem, a jednak drzewka nie widziałam. Szłam ze wzrokiem wbitym w ziemię. W końcu się udało. Znalazłam tablicę i drzewko. Zrobiłam zdjęcie.

Gdzie szukać Bonieckiej?

Nie chciałam pisać biograficznego artykułu podlegającego pewnym rygorom, jak chociażby chronologia, czy wyczerpująca faktografia. Od wielu lat nie staram się już nawet o obiektywizm w pisanych przez siebie tekstach. Staram się szukać bliskości i w tym jeszcze widzę sens. Mam jednak świadomość i nadzieję zarazem, że Czytelniczki i Czytelnicy mogą zechcieć zbudować własną Marię Boniecką. Jest kilka źródeł wartych polecenia. Nie będę tworzyć obszernej listy. Zaproponuję kilka wybranych.

Zdecydowanie warto zapoznać się ze stroną internetową poświęconą piarsce: mab.budzynowski.info. Fragmenty książek Marii Bonieckiej, dokumenty, skany artykułów, szczegóły procesu dziennikarskiego to materiały, które między innymi można na niej znaleźć. Przytaczam dokładny adres strony, bo strona nie pojawia się po wpisaniu Marii Bonieckiej w wyszukiwarkę.

Oczywiście polecam odwiedzić w archiwum w Książnicy Pomorskiej, zwłaszcza jeśli ktoś ceni kontakt z rękopisami i maszynopisami.

W lipcu tego roku na YouTube ukazał się film dokumentalny o Marii Bonieckiej. Można go znaleźć, wpisując imię i nazwisko pisarki w wyszukiwarce

YouTube'a. Film zamieszczony na kanale CPTH, a w październiku na kanale Podcasty Wnet ukazała się również rozmowa z doktorem Wojciechem Lizakiem o Marii Bonieckiej.

Ze starszych rzeczy proponuję wykład dr Aleksandry Grzemskiej zamieszczony na YouTube'ie przez Miejską Bibliotekę Publiczną w Szczecinie. Jednocześnie polecam wyczerpujący i świetnie napisany artykuł tej samej autorki pt. „Kryptonim »Kultura«” w zbiorze „Literatura w Szczecinie 1945-2015. Książki siedemdziesięciolecia”. Pozycja ukazała się w 2016 roku nakładem Wydawnictwa Naukowego Uniwersytetu Szczecińskiego.

W artykule nie opowiadam o dziełach Marii Bonieckiej. Czytałam jedynie fragmenty. Dołączam adresy bibliograficzne:

„Nad wielkim zalewem”, Czytelnik, Warszawa 1951,
„Szkłane kulki”, Czytelnik, Warszawa 1955,
„Domy przy szosie” i „Na jarmarku odpustowym”, Czytelnik, Warszawa 1955,
„Księga miłości i cierpienia”, Czytelnik, Warszawa 1958,
„Ucieczka za druty”, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1975.

październik 2023 r.

Prof. dr hab. Paweł Soroka

Wspomnienie Mariana Yoph-Żabińskiego

Mariana Yoph-Żabińskiego poznałem w II połowie lat siedemdziesiątych ub. wieku, kiedy to przewodniczyłem Studenckiemu Centrum Literackiemu „Gremium”, mającemu swoją siedzibę w studenckim klubie „Ubab”, w akademiku przy ul. Kickiego w Warszawie. „Gremium”, które było kontynuatorem Kickiego Salonu Poetyckiego, powstało 19 czerwca 1976 roku i było wówczas jednym z najaktywniejszych środowisk w ruchu młodoliterackim w Polsce i stopniowo nawiązywało współpracę z grupami i klubami literackimi istniejącymi w innych

Po spotkaniu w Szczecinie Salonu „Gremium”. U dołu z lewej M. Yoph-Żabiński (zdj. archiwum prywatne P. Soroka)



miastach. Stosunkowo wcześniej nawiązaliśmy kontakty ze środowiskiem szczecińskim, w którym Marian był bardzo aktywny i ceniony. Był jednym z inicjatorów współpracy Szczecińskiego Oddziału Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy ze Studenckim Centrum Literackim „Gremium”. W ramach tej współpracy w Szczecinie powstał Salon Literacki „Gremium”, którego działaniami kierował Marian Yoph-Żabiński. W Salonie mieli swoje spotkania autorskie czołowi członkowie Szczecińskiego Klubu Młodych Pisarzy. Kilkakrotnie gościłem na spotkaniach w szczecińskim Salonie „Gremium”. Spotkaniom tym towarzyszyły bowiem ciekawe debaty o młodej literaturze.

Marian Yoph-Żabiński znalazł się także na początku lat osiemdziesiątych ub. wieku wśród założycieli Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury w Szczecinie. Popierał robotniczy ruch społeczno-kulturalny, ponieważ przez pewien czas pracował jako robotnik i stąd sytuacja i dążenia tej klasy społecznej były mu bliskie.

Nawiązanie przez niego współpracy ze Studenckim Centrum Literackim „Gremium” było dla nas ważne z uwagi na jego pozycję w środowisku literackim, którą wyznaczał jego dorobek twórczy. A był on znaczny. Warto przypomnieć, że wydał on następujące książki: *Starodrzew* (Iskry 1980), *Z żagli* (Iskry 1983) i *Zamiast wizytówki* (Akcydens 2008) oraz zbiór opowiadań *Palenie kotycki* (Iskry 1982). Po jego śmierci ukazał się tom poezji *W czótnie słowa* (hogben 2015-2017). Marian był laureatem kilkadziesiątu prestiżowych konkursów literackich, m.in. był laureatem IX Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Jana Śpiewaka w Świdwinie, otrzymując z rąk prezydenta tego miasta klucz do Zamku Świdwińskiego. Warto ponadto przypomnieć jego aktywny udział

w redagowaniu od 1982 roku miesięcznika „Okolice” – pisma literackiego ruchu KKMP, z którym „Gremium” współpracowało.

Jego twórczość poetycką zaliczam do poezji zaangażowanej – w dobrym tego słowa znaczeniu. Mocno wyrażał w swoich wierszach i opowiadaniach wyznawane przez siebie wartości, w znacznej mierze były to wartości lewicowe i plebejskie. W znacznym stopniu była ona odzwierciedleniem jego bogatego życiorysu.

Warto wspomnieć jeszcze jeden aspekt jego twórczej aktywności. Otóż był on wybitnym znawcą folkloru cygańskiego, jego wątki były obecne w jego twórczości. Był nawet redaktorem naczelnym cyganologicznego miesięcznika „Taboreska” i autorem opracowań poświęconych motywom cygańskim w literaturze polskiej. Dlatego uzasadnione jest określenie go mianem cyganologa.

Marian był prawdomówny i dotrzymywał danego słowa. Z natury był matomówny i raczej nieśmiały, mimo że często występował publicznie. Wypowiadał się syntetycznie, nie lubił długich monologów. Preferował wyrażanie swoich myśli i poglądów za pomocą pióra. Czynił to w formie poezji, prozy i publicystyki. Pisał również recenzje książek literackich. Miał temperament polemisty, stąd lubił pisać polemiki. Kiedy w drugiej połowie został kierownikiem szczecińskiego oddziału Studenckiego Centrum „Gremium” wypowiadał się na temat jego programu literackiego określonego mianem realnego romantyzmu. Był on próbą syntezy wątków i wartości romantycznych z pozytywistycznymi. Marian należał do osób mających największy wpływ na formułowanie tego programu, którego zarys został opublikowany w „Okolicach”, a w najbardziej dojrzałej postaci w antologii poezji i prozy „Gremium” pt. „Realni romantycy 1976-1980”, wydanym w 1981 roku. Wcześniej, w 1980 roku na spotkaniu w KMPiK przy ul. Bagatela w Warszawie, Marian Yoph-Żabiński w swoim wystąpieniu zaproponował włączenie postulatów autentyzmu do programu „Gremium”. Podczas organizowanych przez „Gremium” V Warszawskich Konfrontacji Poetyckich wygłosił referat pt. „Autentyzm w realnym romantyzmie”. Charakter programowy miało także jego wystąpienie podczas ogólnopolskiej imprezy zorganizowanej przez „Gremium” w Gorzowie Wielkopolskim pod nazwą Gorzowskie Spotkania Młodych Poetów „Poezja-tradycja-rzeczywistość”, która odbyła się w dniach 10-11 marca 1978 roku. Wkład Mariana Yoph-Żabińskiego w formułowanie programu realnego romantyzmu doceniła Ewa Głębińska w Leksykonie *Grupy Literackie w Polsce 1945-1980*, wydanej przez Wiedzę Powszechną w 1993 roku.

„Gremium” było ugrupowaniem atakowanym przez niektóre grupy literackie związane z przeciwstawnym nurtem tzw. nowej prywatności. Marian bardzo chętnie z nimi polemizował, zwłaszcza na łamach dziennika „Sztandaru Młodych”, w którym w II połowie lat siedemdziesiątych regularnie ukazywała się całostronicowa kolumna poświęcona młodej literaturze i jej reprezentantom. W jego wypowiedziach polemicznych dało się odczuć pasję i duże zaangażowanie w obronę tych elementów programu, z którymi się identyfikował. Wobec niektórych oponentów pozostawał wręcz bezlitosny, używając pod ich adresem ostrego języka. Ceniłem bardzo jego polemiki, lubiłem je czytać.

Jan Stolarczyk

Spotkanie w górach

Opowiem o niezwykłym spotkaniu dwóch wielkich poetów, jakie miało miejsce u podnóża Śnieżki w Karkonoszach.

W roku 2000, po 27 latach emigracji, poeta, dramaturg, emerytowany profesor chicagowskiego uniwersytetu, Tymoteusz Karpowicz zdecydował się odwiedzić Wrocław i swój wrocławski dom, którego wciąż był właścicielem. Kilka miesięcy wcześniej wydałem obszerny, oryginalny zbiór jego poezji *Stoje zadrzewne*, za który miesięcznik „Odra” przyznał dawnemu koledze redakcyjnemu doroczną nagrodę. Podczas którejś z licznych i długich rozmów telefonicznych na linii Chicago – Wrocław poeta zapytał, czy poszlibyśmy na Śnieżkę. Tę niespodzianą propozycję przyjąłem z radością. Przecież gnało mnie zawsze na górskie szlaki, no i byłem wydawcą pana Tymka, mieszkalem w jego domu, czułem szczególną z nim więź.

Ten wspaniały człowiek i twórca był miłośnikiem polskich gór. W latach 50. i 60. ubiegłego wieku razem z żoną corocznie odbywali długie i trudne, pielgrzymie w istocie wyprawy. W jednym z listów pisał: „wędrówce [...], bardzo męczącej, z ciężkimi plecakami, kiedy inni jadą na odpoczynek do pensjonatów

– poświęcamy jedyny miesiąc urlopu, by uczyć się trudnego alfabetu kraju i jego ludzi”.

30 czerwca 2000 roku jedziemy do Karpacza. Tam ruszamy żółtym szlakiem z Wilczej Poręby na Śnieżkę. Poeta idzie kilkadziesiąt metrów przede mną, mogę go dobrze widzieć i zarazem nie krępować sobą. Pamiętam o jego kłopotach z sercem, w grudniu skończy siedemdziesiąt dziewięć lat. Dzień jest słoneczny, poeta maszeruje nieśpiesznie, miarowo, czasem zsuwa rzemienie plecaka, aby złapać głębszy oddech. Znowu, jak przed wielu laty, wędruje górami, oczy młodzieją w uśmiechu. Może zapomnieć, choćby na krótko, o chorobach, utrapieniach. Dochodzimy do czerwonego szlaku. W schronisku „Nad Łomniczką” zjadamy duże porcje pierogów ze świeżymi jagodami i po krótkim odpoczynku wchodzimy wkrótce w Kocioł Łomniczki, gdzie podejście staje się strome, skalne. Przy cementarzu górskim odpoczywamy dłużej. Poeta w skupieniu czyta inskrypcje poświęcone zaginionym i zmarłym w górach, trochę rozmawiamy. Z Przełęczu pod Śnieżką wstępujemy na brukowaną odłatkami skał drogę, którą na wierzchołek wjeżdżają samochody dostawcze. Dopiero na szczycie odpoczywamy około godziny, ale przez dłuższy jeszcze czas pan Tymek stoi z plecakiem, jakby nie chciał zdjąć z siebie ciężaru wspinaczki, pragnął wchłonąć zdobyty krajobraz wraz z doznanym zmęczeniem. Z szeroko rozwartymi, opuszczonymi ramionami wygląda jak orzeł, który tylko na chwilę osiadł.

Później schodzimy stromo po ułożonych z odłatków skał schodach i niebieskim szlakiem kierujemy się w dół, ku schronisku Strzecha Akademicka, a stąd na nocleg do schroniska Samotnia, w którym 41 lat temu spał z żoną Marią.

Następnego dnia po śniadaniu obeszlśmy Mały Staw przy Samotni, pan Tymek położył się z szeroko rozrzuconymi nogami i rękami na stole z ostruganych żerdzi, sycąc się jak kocisko porannym, mocnym już słońcem. Tak mnie ten widok ujął i rozbawił, że zrobiłem zdjęcie.

Wychodzimy ze schroniska z plecakami, Karpowicz otwiera drzwi i zastyga w pół kroku, powoli odwraca się i niepewnie, pytająco spogląda na mnie. Zaledwie kilka metrów od nas stoi... Tadeusz Różewicz. Zaskoczony jego widokiem kiwam Karpowiczowi głową na znak, że wzrok nas nie myli. I słyszę: „Tymek?!”, „Tadzio?!”. Obaj poeci obejmują się, poklepują, nie widzieli się niemal 30 lat.

Zauważyłem przelotne zmieszanie Różewicza. Stary, równy mu wiekiem (obaj z rocznika 1921) Karpowicz wszedł tu z plecakiem, on przyjechał terenowym samochodem. Ale pan Tadeusz nie chodził nigdy po górach, tylko

okazyjnie w nich spacerował. Właśnie: był spacerowiczem, zaś Mistrz Mowy Polskiej (określenie Rafała Wojaczka) uosabiał wędrowca.

Mały Wielki Mistrz (tak nazywałem prywatnie Różewicza) do Karpacza zaczął przyjeżdżać dopiero w drugiej połowie lat 90. W poemacie *Gawęda o spóźnionej miłości* dokładnie określa czas i stan zauroczenia Karkonoszami:

*liczę sobie
75 lat
i wypisz wymaluj
zakochałem się w Karkonoszach
które mają
około 450 milionów lat*

W tym samym poemacie o swoich „osiągnięciach” górskich z dzieciństwa – co należy odnieść i do lat późniejszych – pisał żartobliwie:

*w dzieciństwie
zdobyłem tylko „psią górkę” koło
Radomska (25 metrów)
i „kocią górę”
w sosnowym lasku
koło Gabrielowa*

Wróćmy do sceny powitania starych poetów. Różewicz spogląda na mnie podejrzliwie i orzeka: „To jego sprawka!”. Karpowicz mu przytakuje. Rzecz w tym, że niewiele dni wcześniej pytałem, czy chcieliby się zobaczyć we Wrocławiu. Obaj skwitowali moje pytanie wykrętem, uśmiechem. Nie to, żeby nie lubili się albo nosili jakieś zadawnione urazy itd. To były dwa Bogi na przeciwnych krańcach poezji: Karpowicz – poeta doctus, syntetyk, poeta metafory

Spotkanie (od lewej) Tadeusza Różewicza, Jana Stolarczyka i Tymoteusza Karpowicza przy schronisku Samotnia nad Małym Stawem (zdj. archiwum prywatne J. Stolarczyka)



i Różewicz – analityk codzienności, stanu współczesnej kultury, poeta obrazu. A obaj wyszli z doświadczeń awangardy krakowskiej. Teraz zgodnie uznali, że zrealizowałem swój skryty, przemyślny plan ich nieuniknionego spotkania. I takie mniemanie zachowali. Słowo daję – to nie ja, to los tak chciał: jest przewrotny, a logika jego nieprzejrzysta. Wiedziałem, że w tym samym czasie Różewicz będzie w Karpaczu, ale nie przewidziałem takiego zbiegu okoliczności. Tego ranka pan Tadeusz chciał pojechać do źródeł Łaby po czeskiej stronie, ale nie wziął ze sobą dowodu czy paszportu, więc postanowił pospacerować nad Małym Stawem. Gdybyśmy wyszli na trasę kilka minut wcześniej, nie spełniłoby się (1 lipca 2000 r.) jedno z dziwniejszych, przypadkowych spotkań „góry z górą” – dwóch wielkich poetów XX wieku – na szczycie. Co prawda nie dosłownie na szczycie, boć Mały Staw leży w kotlinie, jednak wysoko w górach, pod Śnieżką. Może gdybym w porę przypomniał sobie przysłowie: „Góra z górą się nie zejdzie, ale człowiek z człowiekiem zawsze”, niepomiernie mniej byłbym zaskoczony „realną zjawą” pana Tadeusza u drzwi Samotni.

Spacerowaliśmy długo, szedłem osobno, aby obaj panowie czuli się swobodnie. Miałem pewność, że to ostatnie ich widzenie. Zdziwiło mnie, iż Różewicz, zawsze niechętny aparatom fotograficznym, kamerom, mikrofonom, zażyczył sobie, abym zrobił zdjęcie. Widocznie uznał niecodzienność zdarzenia.

Do Karpacza zeszedliśmy z panem Tymkiem niebieskim szlakiem. Dopowiem jeszcze, że trampki, w których dwa dni poeta wędrował, oddałem do Muzeum im. Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego w Praniu. Mistrz Konstanty lubił osobliwość, a owe trampki są przecież pamiątką niepospolitego spotkania „kolegów po piórze”.

*

wycieczka w góry AD 2000

*padały Karkonosze na śnieg po kolana
gdy patrzyło się na nie z młodości –
stare mięśnie widok przekreśliły
do wiatru w kości
przeszukiwane w szczytach okrucieństwo
obroniło się blendą z chryzantem:
przeniesioną na szczyt bez miłości*

Ten wiersz odnalazłem dziewięć lat później (5 lipca 2009 r.) w teczce chica-gowskich rękopisów Karpowicza. Na białej kartce A4 jedna wersja, z poprawkami w trzech różnych kolorach, jest przekreślona. Pod nią znajduje się wersja

w czystopisie, prowadzona równym duktem długopisu, jednym ciągiem. Nie znaczy to, że mamy przed sobą ostateczny zapis utworu. Cokolwiek rzecz, jest to artystyczny dokument konfrontacji dawnego, młodzieńczego wzruszenia z gasnącymi emocjami starego, strudzonego wędrowca, który poszedł ze mną w Karkonosze na ostatnią w życiu górską wyprawę (30.06 – 1.07.2000 r.).

Tymoteusz Karpowicz z żoną spoczywają na cmentarzu Osobowickim we Wrocławiu. Zgodnie z ostatnią wolą Tadeusza Różewicza pochowano go w Karkonoszach – na cmentarzyku przy Świątyni Wang w Karpaczu.

Tomasz Jastrun

Szyborska osobiście

Szyborska przyjaźniła się z moim rodzicami. Bywała w naszym mieszkaniu w warszawskim domu przy Iwickiej, pamiętam ją z dzieciństwa – siedzi na wygodnym fotelu dla gości. To dom, gdzie po wojnie mieszkało wielu znanych pisarzy, też moi rodzice (napisałem o tym niezwykłym domu książkę „Dom pisarzy w czasach zarazy”). Można powiedzieć, że po latach „odziedziczyłem” Wisławę po swoich rodzicach i byłem z nią serdecznie.

Zapisałem w dzienniku pierwszą wizytę u poetki w Krakowie, byłem z rodzicami i z moją narzeczoną – Ewą: „Pani Wisława mieszka w domu zbudowanym w latach 60. Jedziemy windą na czwarte piętro. Mieszkanie poetki jest małe. Jeden pokój, raczej pokoik, kuchnia i dziupla-łazienka. Książek niewiele, bo gdzie by się zmieściły. Zwraca uwagę kilka figurek i fotografii małych. Widać, że Szyborską fascynują, te zwierzęta, żywe karykatury człowieka. Dostajemy do jedzenia smaczną sałatkę. Rozmowy, mój Boże, znowu to samo, o sytuacji politycznej, potem na osłodę trochę o sprawach egzystencjalnych.

Potem tych spotkań było więcej, ale prawdziwe zbliżenie to jej podróż do Szwecji, do Sztokholmu. W roku 1993 Szyborska, na zaproszenie szwedzkiego tłumacza Andersa Bodegarda, odwiedza Sztokholm. Byłem wtedy



Od lewej: Wistawa Szymborska, Tomasz Jastrun, Jerzy Pomianowski, Barbara Rusinek (zdj. archiwum prywatne T. Jastruna)

dyrektorem Instytutu Polskiego w Sztokholmie i attaché kulturalnym. Nie było łatwo z tym przyjazdem, Poetka nie znosiła podróży i za Boga nie chciała jechać. „Po co ten stres podróży”, narzekała, ale najgorsze spotkania z ludźmi, ona lubiła się tylko spotykać w małym gronie przyjaciół.

W Sztokholmie zostałem „kierowcą” Szymborskiej, co bardzo mi odpowiadało, bo mogłem z serdecznym rozbawieniem obserwować, jak jej niezwykle delikatna prywatność jest szarpana przez publiczne obowiązki. Odwiedziła Akademię Szwedzką, ale jakże opornie, Akademię, która potem przyzna jej nagrodę. W Sztokholmie Szymborska miała kilka bardzo udanych, ale bolesnych spotkań publicznych. Zawsze cierpiała podczas publicznych wystąpień. Nie znałem jednak nikogo, kto cierpiałby z takim wdziękiem. I nie ma w tym żadnej kokieterii, ani gry. Mówiła: „Wiem, że na tego rodzaju spotkaniach wpadnąm nieuchronnie w jakieś kabotyństwo. Bardzo takiej siebie nie lubię. Zresztą trudno wtedy być naturalnym, zawsze gra się jakąś rolę. To ochrona, żeby nie odstąpić się za bardzo”. Ale przy tym Szymborska lubiła ludzi, potrafiła ich słuchać, przejmowała się ich losami. Bywała czasami trochę złośliwa, ale nawet wtedy była serdeczna. Jak serdeczna jest jej mała złośliwość wobec Uppsali, którą zwiedzaliśmy razem. Po tej krótkiej podróży w jednym z wierszy zamknęła miasto w dwóch wersach, najkrócej jak można i najtrafniej:

*Biedna Uppsala
z odrobiną wielkiej katedry.*

Świetny, zwięzły opis tego miasta, trochę prowincjonalnego, niskiego, z monumentalną, wielką katedrą.

Szyborska była mądra, ale dziecinnie. Poeta. Każdy artysta zawsze jest trochę dziecinny. Dar tworzenia sztuki, to umiejętność dziwienia się, a kto lepiej się dziwi od dzieci? Sztuka jest więc w dużej mierze „dzieciństwem odnalezionym”. Szyborska uwielbiała loteryjki, które urządzała dla znajomych. Zostałem zaproszony do jej wtedy malutkiego mieszkania w Krakowie. Był Staszek Barańczak, Karl Dedecius – wybitny tłumacz na język niemiecki, poeta Ryszard Krynicki, krytyczka Teresa Walas. Nagle okazało się, że mamy wziąć udział w loteryjce i że będziemy losować różne różności przygotowane przez gospodynię. Pamiętam, że Staszek Barańczak wygrał skarpetki, a ja tylko miniaturowy, wiklinowy koszyczek. Nie wiem, jaką miałem minę, pewnie smutną i nigdy nie zapomnę zmartwienia Szyborskiej: „Jest Ci przykro, że wygrałeś tylko taki koszyczek?”. Była ogromnie zatroskana. Ten koszyczek do dzisiaj służy mi, jako schowek na temperówkę, która mieści się w nim akurat. Po kilku miesiącach miałem wrażenie, że Szyborska nadal martwi się, że wylosowałem tylko koszyczek, więc napisałem w liście, że koszyczek rozwiązał wielki problem mojego życia, zawsze szukałem po całym mieszkaniu ostrzynki, co kosztowało mnie masę nerwów, a teraz zawsze wiem, gdzie ona jest.

Kiedyś zadzwoniła do mnie: „to działa... działa...” – zawołała, to była jej pierwsza rozmowa przy pomocy komórki, którą ktoś jej kupił. Zaprosiła nas wtedy do siebie do Krakowa, na kolacyjkę, był między innymi Jurek Pomianowski i Michał Rusinek. I też loteryjka, i zabawa z podrzucaniem balonika z napisem „Samobrona”, ta chłopska, populistyczna partia wydawała nam się wtedy groźna.

Gdyby ktoś mnie zapytał, kto ze znanych mi ludzi najbardziej nie lubił występować publicznie, był najwidoczniej zażenowany, gdy się o nim mówi, kto szczególnie obawiał się podróży, kto – chociaż jest człowiekiem wielkiej kultury – nie znosi muzeów.... Bez wahania odparłbym, że poetka Wisława Szyborska. Gdy więc dowiedziałem się, że otrzymała nagrodę Nobla, roześmiałem się serdecznie, bo wyobraziłem sobie Jej popłoch odpowiedni do gigantycznej skali tego wydarzenia.

Tego dnia Szyborska odpoczywała w Zakopanem, w domu pisarzy „Astoria”, w którym zachował się zapach przedwojennego sanatorium, nieświadoma, jaka burza zbiera się za jej plecami, nie burza, to będzie tajfun! Mogłem sobie dokładnie wyobrazić scenerię dramatu, bo w tym domu spędziłem wakacje swego dzieciństwa. Mój znajomy Michał Bron, polskiego pochodzenia pracownik naukowy akademii w Szwecji, zadzwonił do „Astorii” z wiadomością. I oto Szyborska w ciągu kilku sekund dostała się w smugę potężnego reflektora, zaskoczona, bez odpowiednich ubrań, nigdy nie dbała o stroje,

osaczona przez tabuny dziennikarzy i fotoreporterów z całego świata. Laureatka powiedziała Bronowi przez telefon, że nie wie, co ma robić w tej strasznej sytuacji: „nawet w Tatry uciec nie mogę, bo jest zimno i pada deszcz”. A to był dopiero początek „nagonki”

Poetka uwielbiała wycinanki, robiła poetyckie, surrealistyczne kolaże. Właśnie takie wycinanki dostawali wszyscy jej znajomi, zamiast tradycyjnych listów. Z dzieciństwa pamiętam kartki, które przychodziły do naszego domu. Na formacie pocztówki powycinane były ze starych pism i dowcipnie pozostawiane stare fotografie, napisy, tytuły, fragmenty tekstów, nawet w obcych językach. Wielce mnie to ekscytowało: „Czy ta pani nie jest trochę dziecinna” – zastanawiałem się poważnie, chociaż sam wtedy byłem dzieckiem. Nie mogłem wiedzieć, że po latach sam będę dostawał takie kartki. Trudno na nie odpowiadać konwencjonalnym listem, ale nie bardzo wypada małpować, chociaż poetka ma wielką słabość do małp, i też odpowiadać kolażem. Szyborska zwierzyła się: „Kiedy wyklejam pocztówki, czuje się „artystką”. To wcale nie jest łatwe”. Adam Ważyk przysłał mi kiedyś w odpowiedzi swoją wyklejankę, ale się marszczyła, wyrzuszała i odklejała. Przyznaje, że „lubi kiczowate przedmioty, więc wszyscy jej znoszą jakieś paskudztwa”. To dlatego przed laty otrzymaliśmy od niej w prezencie ślubnym właśnie takie dziwactwo, które zabawnie się zestarzało. Czy myśmy też tak zabawnie się zestarziali?

Szyborska w czasach stalinowskich, jak wtedy niemal wszyscy pisarze, uwierzyła w nową religię. Napisała nawet wiersz o Stalinie. Zawistnicy teraz jej to wypominają. Mówiła: „Wiersz o Stalinie napisałam ze szczerego serca, tego się nie da dziś zrozumieć”. Szyborska inaczej niż wielu naszych słynnych pisarzy, którzy wtedy niemal w komplecie podpisali „pakt z diabłem”, potrafi o tym, co się stało szczerze mówić, nie wykręca się, nie wybiela: „Ja wtedy uważałam, że komunizm to zbawienie dla Polski i ludzkości. [...] Ale dzięki temu dziś rozumiem pewne stany uczuciowe, wiem, co to znaczy wierzyć w coś tak mocno, że jest się ślepym na argumenty i fakty”. Po latach Szyborska odda partyjną legitymację. I będzie mogła powiedzieć: „Nie mam uczuć zbiorowych. Nikt nigdy nie zobaczy mnie w żadnym zbiorowisku. Może lekcja, którą otrzymałam, spowodowała, że już nigdy później nie potrafiłam nigdzie przynależeć? Mogę tylko sympatyzować. Przynależność jest dla pisarza utrudnieniem[...]”. Ale w czasach, gdy narodziła się w PRL opozycja, Szyborska sympatyzuje z nią aktywnie. Ale prawdą też jest, że żyła zawsze trochę z boku, skromnie, czasami niemal biednie.

Większości noblistów przewraca się w głowie od tej nagrody. Szymborskiej to nie groziło. Groził tylko ból głowy z powodu konsekwencji tego faktu. Dlatego wielu znajomych, z pewną przesadą, mówiło, że ten Nobel jest dla niej nieszczęściem. Lepiej powiedzieć, że zrujnował jej dotychczasowe, skromne życie, a na tych ruinach powstał „pałac”, w którym Ona nie chciała mieszkać. Najchętniej zamieszkałaby w jakimś małym pokoiku, gdzieś obok. Gdy widziałem ją kiedyś w Warszawie, mówiła: „nie wyobrażasz sobie, co ja przeżyłam, ale to się już chyba kończy to szaleństwo, bo przecież nie może tak trwać”. Zapraszała do Krakowa, ale nie obiecałem, że przyjadę, bo wiedziałem, że to tak łatwo się nie kończy.

A jednak czasami ją odwiedzałem. Byłem świadkiem, jak w Warszawie Szymborska brała udział w spotkaniu z Czesławem Miłoszem – oto dwóch naszych noblistów miało toczyć wielki dialog w złotej sali królewskiego zamku. Bardzo to było osobliwe spotkanie z różnych powodów, najpierw chcieli ich „zafleszować” fotoreporterzy, a chóry śpiewały po łacinie – patrzyłem, czy nasi nobliści się unoszą ku niebu, ale nadal stali, chociaż coraz mniej pewnie. Szymborska umierała ze wstydu, a Miłosz godnościowo się puszył. Potem laureaci nie mogli się zdecydować, kto ma usiąść, po której stronie zabytkowego stolika. Z niemożności podjęcia decyzji powstał „wiersz” nie w stylu Miłosza, nie w tonie Szymborskiej, a w stylu Białoszewskiego: „Ta ja tu, a ty tam, nie ja tam, a ty tu...”. Po kilku minutach takiego dialogu zdecydowała się laska Miłosza oparta o stolik i upadła, kończąc dramatycznym stukiem ten „wiersz”.

Nazajutrz obserwowałem, z jakim niepokojem Szymborska wybierała się na spacer po ulicach warszawskiego Starego Miasta, wstępowała na ulicę jak na nową i niepewną planetę, ukryta za ciemnymi okularami. A jednak stało się to, czego tak się obawiała. Była nieustannie rozpoznawana, ludzie dziwowali się, że chodzi tak sama. Przechodniom wydaje się, że noblista powinien sunąć w asyście licznych dworzan. Opowiadała potem z rozbawieniem, co kto jej powiedział, ale rozbawienie zmieszane było z niepokojem. Jak chodzić po ulicach, jak żyć, kiedy nieustannie idzie się szpalerem ludzkiego zainteresowania? A czy ja nie jestem, byłem wtedy kolejnym gapiem, który podgląda poetkę. To nie jest problem tylko Szymborskiej. Kiedyś Sławomir Mrożek powiedział mi, że tak naprawdę, to zawsze marzył by „przejść przez życie niezauważonym”. Mrożek, który po dramatycznych latach tułania się po świecie i po meksykańskich przygodach wrócił do Krakowa, gdzie chyba już nie każdy go rozpoznawał. Szymborska takiej szansy nie miała.

Czym jest wiersz, czym jest pisanie poezji szczególnie dzisiaj, w czasach tak mało poetyckich? Każdy poeta ma kłopot z odpowiedzią, bo wielka poezja właśnie tym jest silna, że wymyka się definicjom. Na spotkaniu w Instytucie Polskim w Sztokholmie Szymborska pytana, czym jest jej poezja, spojrzała na mnie okiem pełnym cierpienia. Na szczęście przypomniałem sobie aforyzm Tuwima, którym każdy poeta może osłonić się jak tarczą – „Znam się na poezji, tyle co ptak na ornitologii”. To wygodna odpowiedź, ale Szymborska jest poetką niezwykle świadomą swego rzemiosła. Na spotkaniu z tłumaczami na warszawskich targach książki niezwykle ciekawie mówiła o problemie ze słowem „ciało”, które w polskim języku jest takie nieapetyczne, wstydlive, a choćby angielskie „body” brzmi o wiele poważniej.

Wiersze Szymborskiej są świetnie opowiedziane i skonstruowane, pełnie niezwyklej ironii i dowcipu. Dlatego napisze w jakimś felietonie: „Poeta nie nadąża, poeta wlecze się w ogonie. Na jego obronę można rzec tylko, że przecież ktoś w ogonie wlec się musi. Już choćby dlatego, żeby zbierać rzeczy podeptane i pogubione w triumfalnym pochodzie praw obiektywnych”. Dla Szymborskiej, jak dla wielu artystów, sztuka jest ratunkiem przed życiem, które jest zbyt wielkie, płynie za wartko, budzi za wiele niepokoju. Najzwięźlej paradoksy sytuacji poety zamknęła sama Szymborska w słowach wiersza: „Wolę śmieszność pisania wierszy, od śmieszności ich nie pisania”.

Byłem na pogrzebie poetki, wielki mróz, potem stypa w pięknych Sukiennicach, w muzeum, w tle wielkie malarstwo. I pomyślałem, Wisława teraz woli śmieszność nieistnienia od śmieszności istnienia.

KOSMOSY wnętrza i zewnątrz POETY i MALARZA..., czyli próba portretu

Wspomnienie o Edwardzie Siekierzyńskim (1950-2022)

Malarz i poeta jaki jest, każdy widzi... słowem Artysta, ale to tylko te najbardziej eksponowane z ról. Natomiast w tym wspomnieniu pragnę naszkicować portret Człowieka, który był z nami, rozmawiał, śmiał się, smucił i martwił, cierpiał... a najbardziej pragnął dzielić się słowem... I to będzie ta Jego twarz.

Nieco faktów...

Edwarda Siekierzyńskiego poznałam... spotkałam (chyba) w 2005 roku, kiedy to pojawił się w domu Pracy Twórczej, wówczas siedzibie szczecińskiego Związku Literatów Polskich, przy ul. Łukasiewicza 8 w Szczecinie. Ówczesny prezes oddziału, kapitan Józef Gawłowicz przedstawił nam nowego kolegę po piórze, kandydata do naszego Stowarzyszenia. Przyjęto Go na członka rzeczywistego w 2008 roku.



Edward Siekierzyński (zdj. archiwum ZLP O. Szczecin)

Spotykaliśmy się sporadycznie, tym bardziej rzadko, gdyż na nasze spotkania i wydarzenia literackie Edward przyjeżdżał z nieodległego Stargardu, jeszcze wówczas Szczecińskiego. Druga kadencja prezesa Gawłowicza była już intensywniejsza, gdyż kapitan osiadł na lądzie. Spotkania literackie nabrały wtedy kolorów. Pojawiły się nowe miejsca dla wieczorów autorskich i promocji wydawanych książek. Patio przy ul. Podgórznej, a potem Klub pod Masztami w murach Akademii Morskiej, dzisiaj już Politechniki, na Wałach Chrobrego. Nowe klimaty sprzyjały tym spotkaniom. Zapamiętałam takie jedno z Edwardem Siekierzyńskim, właśnie w Klubie pod Masztami, przy okazji odsłonięcia Białego Wieloryba, którego podarował temu zacnemu miejscu kpt. Gawłowicz. To mógł być już ten 2008 rok. Podczas spotkania, gdzie grono pisarzy i zainteresowanych gości zasiadło przy dębowych stołach, na dębowych ławach, zaprezentował Edward swoje oryginalne opowiadania z tomu *Nadrodzaj – Opowiadki dla wypoczętych intelektualnie i bogatych*, który to wydał w 2004 roku, tak jak i tom wierszy *Tłó*. Wcześniej w Patio przy Podgórznej promował właśnie ten poetycki tom. Czytał swoje teksty niepowtarzalnie. Intonacja, akcent, interpretacja i ten specyficzny tembr głosu nadawały temu czytaniu teatralny charakter. Dodatkowo całą swoją osobą zaznaczał dystans do wyrażanych treści, w których tak w poezji jak i prozie dominował sarkazm, ironia, autokrytyczny stosunek do rzeczywistości... Komentował swoje pisanie tak: „...zawiera [ono] pewien rodzaj ekshibicjonizmu konstrukcji myślowych autora ze wskazaniem na ontologię, a konstrukcje owe traktuje on gnoseologicznie.”

I takie było to pisanie wierszy, opowiadań z bohaterem, panem eN. oraz innymi, rejestrowanie wewnątrz i zewnątrz... świetnie wybrzmiewały na kolejnych wieczorach mocno krytyczne pointy Jego tekstów zatrzymujących rzeczywistość i odsłaniające wizyty Poety w innych, galaktycznych wymiarach. Dowcipne scenki obyczajowe ze stargardzkiego podwórka, komentowanie rozpanoszonej technologii internetowej, czułe reakcje na zmieniającą się obyczajowość, karlenie ludzkości, na człowieka obok i w samym autorze też. Szczególnie w detalach odwzorowywał przyrodę, w swoim niepowtarzalnym zresztą stylu tak pisania jak i malowania. Iskrzyła się więc ironia, żartem wybrzmiewał akcent samokrytyki, zdumieniem, oburzeniem, rozgoryczeniem, zniechęceniem albo zrywem protestu wypełniał kolejne książki z wierszami i prozą. Był sobie sam autorem, redaktorem, korektorem, składającym i drukarzem, introligatorem, a także dystrybutorem, bo bibliofilskie egzemplarze rozprawdzał pośród zaufanych koleżanek i kolegów. Uzbierało się przez ponad 15 lat tych tomów i tomików ponad 30. Artysta liczył na to, że kiedyś

znajdą swoje miejsce w prawdziwym wydawnictwie. Domowe wydawnictwo \cup Object było bowiem takim etapem przejściowym i... jednocześnie realizacją wizji artysty. Tak było przez lata... dołączyłam i ja do grona obdarowanych tymi tomikami, w twardej lub miękkiej oprawie, z ilustracjami własnych dzieł malarza, medaliera, rzeźbiarza. Bowiem Edward Siekierzyński, jak wielu artystów – introwertyk i samotnik – długo nie ujawniał swoich licznych talentów i osiągnięć. Przez lata oswajał się z gronem literatów w oddziale i oswajał nas ze sobą. Niemal przypadkiem odsłaniał kulisy swojego artystycznego życia i twórczych osiągnięć. A przecież miał się czym pochwalić nie tylko jako poeta, ale jako malarz, rzeźbiarz, medalier. Jego prace – obrazy, rzeźby, medale – rozeszły się po świecie i trafiły w ręce prywatnych kolekcjonerów, do muzeów i galerii, także tych internetowych.

Niezwykle aktywnie zaczął pisać i malować z początkiem drugiej dekady XXI wieku. Także chętniej udzielał się w pracach naszego związku. Ogromnie sobie ceniłam i do dziś wspominam zaangażowanie i pomoc Edwarda w pracy nad tworzeniem nowego wizerunku szczecińskiego ZLP w środowisku podczas kadencji w latach 2011-2015. Na moją prośbę Edward Siekierzyński zaprojektował znaczek ZLP, którym chlubiłiśmy się przed innymi oddziałami w Polsce. Następnie podczas kadencji prezesa Leszka Dembka, z zaangażowaniem włączał się w kolejne działania, był nawet przez rok wiceprezesem. Nadal wykonywał artystyczne projekty i współpracował przy wykonaniu Medalu ZLP *Gloria Cultura* na 65-lecie ZLP w Szczecinie.

Projektował i wykonywał własnym sumptem okolicznościowe statuetki na Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Józefa Burszewicza „O Złotą Metaforę” oraz na jubileusze naszych pisarek i pisarzy: Leszka Dembka, Janusza Krzemińskiego, Józefa Gawłowicza, Heleny Pilarskiej, Róży Czerniawskiej-Karcz; ofiarował swoje medale i obrazy jako nagrody dla koleżanek Barbary



Rzeźba E. Siekierzyńskiego dla Róży Czerniawskiej-Karcz z okazji jej jubileuszu (zdj. Z. Jahnz, archiwum ZLP O. Szczecin)

Teresy Dominiczak i Róży Czerniawskiej-Karcz. Złożył też projekt medalu na 70-lecie ZLP w Szczecinie.

Kiedy powstała seria: akcent, z dofinansowaniami z Urzędu Miasta, mogliśmy Edwardowi Siekierzyńskiemu wydać, po dziesięciu latach od debiutu, tom wierszy – *Jak daleko jest blisko*, Szczecin 2014. Była promocja w Pałacu Młodzieży z wystawą obrazów w 2014 roku oraz jubileusz 65. urodzin z wieczorem autorskim, prezentacją multimedialną przygotowaną przez samego autora i z wernisażem w Inkubatorze Kultury (w nowej siedzibie oddziału) w marcu 2015 roku. Mogliśmy uhonorować Go Różą Poetów, Nagrodą im. Niny Rydzewskiej z nadania oddziału ZLP w Szczecinie, otrzymał też Medal *Gloria Cultura*, na 65-lecie ZLP w Szczecinie. Smaczkiem był projekt medalu właśnie Edwarda. Także otrzymał medal ZLP na 70-lecie oddziału za zasługi na rzecz literackiego środowiska w regionie. W roku 2020, już podczas pandemii wziął udział online w Turnieju Jednego Wiersza *Od Morza do Tatr* i... zdobył Statuetkę laureata, którą miałam przyjemność wręczyć Edwardowi w Stargardzie. Ogromnie się nią cieszył.

Malował i pisał. Publikował w wybranych czasopismach ogólnopolskich, m.in.: „Odrze”, „Nestorze”, „Niezwykłym Świecie”... Także w antologiach szczecińskich i polickich, np.: „W blasku świec”, „Przeptywający świat słowa”, w kolejnych rocznikach „Pryzmatu”.

Rozwijał skrzydła. Już w roku 2010 zaczął malować swój cykl obrazów *WIZYTY*, inspirowany odwiedzinami w wielu wymiarach wyobraźni. Był bowiem Edward Siekierzyński gorącym zwolennikiem teorii obecności Obcych w naszym, ziemskim świecie, jak i naszych wizyt w kosmosach. Temat UFO był jego nieustającą inspiracją zarówno pisarską jak i w uprawianych dziedzinach sztuki. Temat znalazł swoje materialne zaistnienie w postaci tomu prozy „*WSTĘP! CAŁE ZDANIE? I...*”. Książkę pięknie ilustrowaną obrazami z *WIZYT* (które były już na ukończeniu)... udało nam się wydać w serii: akcent i wypromować w Książnicy Pomorskiej tuż przed ogłoszeniem pandemii w 2019 roku. Marzenie spełnione.

Edward Siekierzyński prowadził swoje życie literacko-artystyczne na różnych płaszczyznach, nie tylko w Szczecinie w kręgu ZLP, ale też w swoim rodzinnym i ukochanym mieście, Stargardzie Szczecińskim. Książnica Stargardzka była takim miejscem, gdzie odbywały się Jego spotkania autorskie, na które jeździłam, a nawet prowadziłam jedno, na prośbę Poety.

Jaki był ten Malarz Kosmosów?

Poznawałam go bardzo powoli, małymi dawkami. Najbardziej zbliżają jednak wspólne prace przy wydawanych książkach, to dla mnie ogromny dar. Tak było i z Jego dwiema książkami w serii: akcent oraz z ostatnią – Albumem „WIZYTY”. Te rozmowy, wymiana myśli, pomysły, kompromisy, podpowiedzi w e-mailach, w listach, bo Edward należał do pokolenia piszących (!) i w końcu efekt tych kontaktów – książka – niezwykle zbliżają ludzi. Tyle się można o sobie dowiedzieć, zaobserwować reakcje, podpatrzyć emocje, te negatywne i pozytywne, i znaleźć porozumienie. Z tego wieloletniego obcowania jawi mi się zarówno sylwetka jak i człowiek. Edward Siekierzyński. Mój rówieśnik.

Mężczyzna przystojny, z wiekiem nabierający jeszcze tej patyny szlachetności człowieka z klasą. Szpakowaty, z takimż zarostem, starannie przystrzyżonym. Zawsze schludnie ubrany, z artystycznym sznytem... na zdjęciach melonik, na co dzień kapelusz à la angielski dżentelmen albo beret rodem z bohemy, laseczka, zawsze szalik wokół szyi, lubił chyba stylizacje i pozy... Miał coś z aktora nie tylko w wyglądzie, ale i w sposobie bycia... i ten głos modulowany, i ten gest, a nawet wyraz twarzy, z ironicznym półuśmiechem...

A za tymi rolami i maskami... Człowiek skromny, życzliwy, pracowity; człowiek wielu kontrastów, bo z jednej strony w wybranym towarzystwie, np. literatów, elokwentny, wiodący rozmowy na wysokim literackim poziomie, niezwykle czytany, dowcipny i otwarty w dyskusji, ale pewny swojego zdania, uprzejmy i pogodny, a z drugiej strony wycofany samotnik, zamknięty w swoim świecie artysta, samowystarczalny, niechętnie przyjmujący pomoc nawet od bliskich, pilnie strzegący swojej prywatności, dopuszczający do skrawka tej przestrzeni tylko nielicznych. Nieufny, najchętniej pozostający w zdystansowanej izolacji własnego domu, obcujący w nim z pamiątkami z przeszłości. Bliżej mu było do starych zdjęć, zabawek z dzieciństwa, mebli po rodzicach niż do ludzi z zewnątrz. Należał do świata, który odchodzi, przemija z książką, z listem pisanym zielonym atramentem! Nie chciał zaakceptować nachalnej presji Internetu, telefonii komórkowej, konsumpcjonizmu i roszczeniowych ludzi żyjących przed ekranem, a nie z książką. Sam czytał zachłannie i wciąż kupował nowe książki. Zamawiał je nieustannie w księgarni. Wypełniał przestrzeń pokoju, mieszkania, tak jak powstającymi kolejnymi obrazami...

Zawsze wierny sobie i pamięci, skodyfikowany według własnych zasad i przestrzegający rytmu dnia. Wierny słowu i obrazowi oraz oryginalnym

swoim dziełom... swojej misji odtwarzania świata z wyobraźni. Zawsze pełen wątpliwości, a jednocześnie przekonany o swojej wyjątkowości, którą realizował w obrazach o świecie w różnych wymiarach, np. w cyklach: *MORFY*, *PANSPERMIA*, *TERRA INCOGNITA*, *WIZYTY*...

Jednocześnie przecież wrażliwy obserwator codzienności, rejestrator najdrobniejszego szczegółu, skupiony na przedmiocie i na człowieku jako istocie wszechświata, werbalizujący emocje, które trafiały do Niego z impresji chwili porannej albo wieczornej, gdy w piecu grał teatr ognia... Oddany rytuałom czasu, chociażby porządkowi dnia, godzin przy sztalugach, czasu posiłków, a w zapisie notatek konsekwentnego datowania z zapisem temperatury włącznie. Ten rytm życia nastrojonego na twórczość przede wszystkim, objawiał jego indywidualizm i niewątpliwy talent... niestety niedoceniony, a nawet nieodkryty do końca. Inna rzecz, że nie zabiegał nigdy usilnie o to, nie domagał się laudacji, wręcz je powstrzymywał, ale też z nieskrywaną radością przyjmował pochwały swoich wierszy czy opowiadań. Obrazów był pewny, tutaj nikt nie mógł Mu powiedzieć nic przykrego, bo w tej przestrzeni był sobie sam autorytetem, samorodnym talentem, w niepowtarzalnym stylu czy malarskiej metodzie obrazowania.

Prywatność zachowywał aż do odrzucania cudzej obecności, bo o sobie opowiadał poprzez swoje dzieła – w tych nielicznych, skromnych wydaniach publicznych i tych zgromadzonych w domowym sanktuarium. W obrazach także zamkniętych w pokojach, w gromadzonych rzeźbach i projektach, tam przechowywał swój talent i ducha...

Był smakoszem, lubił wino i parzoną w imbryczku dobrą herbatę. Hodował kaktusy na parapecie okna, a o francie pisał wiersze, od jesieni do wiosny celebrował swój prywatny teatr ognia w rytuale ogrzewania wnętrza nie tylko pokoju, ale i siebie... Dbał o swój wygląd, stylizował się na nobliwego angielskiego dżentelmena... tweedowa marynarka, fular, melonik, laseczka... takim go widzę na schodkach u wejścia do pubu, gdzie spotykał się z Chudym (bohaterem swoich opowiadań) oraz innymi znajomymi, by dyskutować nie tylko intelektualnie... męski świat przecież. Z niego powracał do swojej samotni...

Intymny świat artysty, który więcej czasu spędzał w innych wymiarach, malując światy z wizji, odwołując się jedynie do utrwalonych wyobrażeń z ziemskiej rzeczywistości... Punkt wystarczył mu za portal do podróży w kosmosie, siatka nieba stawała się mapą tych podróży, odwiedzane światy pełne najdrobniejszych detali przestrzeni oraz istot podobnych i niepodobnych do

wyobrażeń z baśni, mitów, filmów... Światy, które wyszły spod pędzla i pędzelka Edwarda Siekierzyńskiego są niezwykle piękne, barwne i nade wszystko przyjazne... To w tych światach, wydobytych na płótno lub deskę, ukrył się cały geniusz niepoznanego Artysty. Tam też pozostał na zawsze Jego duch i nikły kształt cielesny, który widział, a może przeczuwał tylko i próbował zatrzymać na obrazie, czy pochwycić między słowami.

Artysta i Człowiek

Gdybym miała ująć w słowa, czego się o Edwardzie Siekierzyńskim dowiedziałam przez te 17 lat znajomości, a przez 10 ostatnich szczególnie, to niewątpliwie Artysta i Człowiek w najpiękniejszym wydaniu naszego gatunku... pełen pokory dla swojej niedoskonałości, a równocześnie samoświadomy swego talentu i oddany całkowicie Sztuce, która była dla niego niemal *Sacrum*, a którą pojmował jako przeznaczenie, misję, dążenie do odkrywania wciąż niepoznawalnego. Tak o tym mówił w wywiadzie:

W moim przypadku malowanie inspiruje pisanie, a pisanie malowanie... pisanie to czynność otwierania w sobie złożonych wcześniej projektów, powstałych ze wspomnianych tu wcześniej doznań déjà vu i innych. Gdybym nie mógł ich realizować na zewnątrz siebie, realizowałbym je tylko we wnętrzu, co na zewnątrz byłoby albo obrazem mej twórczej impotencji, albo cynicznym egoizmem, bądź efektem nieradzenia sobie z kalectwem...

Osobny, a jednak mocno związany z miejscem i czasem swojej ziemskiej egzystencji, wpisany w małą stargardzką ojczyznę, poszerzoną nieco o szczyńskie peryferie i to im dawał swoje artystyczne świadectwo.

W relacjach personalnych ostrożny, ale też pełen delikatnej uważności, aby nikogo nie urazić, stąd też często był niezdecydowany w wyborze zachowania w sytuacjach... wolał się wycofać po angielsku niż stać się kłopotliwym, w swoim mniemaniu, oczywiście.

Nieprawdopodobnie ciekawy świata, zgłębiający wiedzę we wszystkich jej aspektach, obracał się swobodnie w filozofiach wieków dawnych i współczesnej, tak samo jak w fizyce kwantowej, wczytywał się w historię i śledził meandry literatury współczesnej, o tej ostatniej chętnie chciał rozmawiać, bo uważał za kontrowersyjne zmiany w postrzeganiu i pisaniu poezji na przykład.

Teorię bytu i teorię wszechświata według Stephena Hawkinga roztrząsał iście naukowo.

Był samoukiem w tym najlepszym znaczeniu słowa. Łączył pasję badacza z talentem odkrywcy światów... swoją głodną ciekawość zaspokajał, czytając wszystko, co było tylko dostępne. Karmił się książkami, które kupował do ostatnich dni...

Ekscentryk do skrajnego indywidualizmu w obronie wizerunku i prawa do swojej odrębności pod każdym względem... i sceptyk... akceptujący harmonię artystycznego widzenia oraz poznawania świata i człowieka w indywidualnym wymiarze artysty...

Akceptujący potrzebę rozwoju technologii i postępu, ale negujący sposoby ich wykorzystywania przez korporacje i przez ludzi w ogóle, którzy stali się uzależnieni od gadżetów tychże...

A przecież i On dał się przekonać do zalet Internetu i smartfonu. I On poznał smak obecności wirtualnej, dał się uwieść na krótko Facebookowi, docenił możliwości szybkiego kontaktu na Messengerze... Wymiany myśli i poczucia bliskości przyjaznej. Świat zaakceptowany trochę wbrew sobie, który jednak pozwolił Mu odnaleźć też małe przyjemności... skrócenie odległości w czasie i przestrzeni; porozumiewanie się bezpośrednio i to z wymianą obrazu, okazało się wartością niezwykle cenną, zwłaszcza dla nas przy ostatniej książce, kto wie, czy nie najważniejszej, jak się okazało. Mimo niespełnienia w fizyczności Autora. A może jednak.

Album...

WIZYTY były myślane i realizowane przez ponad 10 lat. I spełnione – 30 obrazów skończonych. I zamkniętych w książce. Album od dawna planowany, przemyślany, jak to u Edwarda, w każdym szczególe, do kroju czcionki i kolorów włącznie. Książka wymarzona. Tutaj zapiski z naszego notesu internetowego...

...Jednak dla mnie są ważne inne sprawy – pozostawienie śladu, nie tylko węglowego, a czegoś co dokłada się do kultury istnienia. Może to górnołotne, ale chciałbym porzucić te strony Albumu... może nie zasługuję na ten

pomnik, niech on będzie bardzo kameralny, ale niech będzie zacytuję Wszyst-
ko trafi szlag...

3.11.2022, 13.53

Dlaczego mnie to wydanie porywa – chęć pozostawienia śladu...

4.11.2022, 21.12

...nie liczę na sponsorów, to wydanie Albumu jest trochę szaleństwem, ale
jeszcze to mi nie szkodzi. Dobranoc  

4.11.2022, 21.50

...Przyjrzałem się barwom reprodukcji w tomiku „Wstęp...” i jak takie wyjdą
w Albumie, to będzie dobrze, i papier niech będzie biały a nie żółtawy oraz
gramatura taka jak na albumy...

...Jeżeli możesz to popraw (zaktualizuj) dane w notce biograficznej.

8.11.2022, 14.00

...Myślę, że jakieś wrażenie Cię ogarnęło po obejrzeniu zestawu 30 obrazów,
wstępu i tekstów napisanych do nich ad hoc, może zamkniesz to wrażenie
w przedmowie...

Takie malowanie nastąpiło po mojej obserwacji nieba ok. 20:15 29 III 1997
roku... We wstępie załączone zdjęcie komety H.-B., które zrobił bratanek
tego samego wieczoru...

Spojrzałem za okno – w górze wrony a śnieg na dachu chyba będzie top-
niał...

19.11.2022, 10.27

...Dzisiejszej nocy myślałem o Albumie, już zaczynam się obawiać obsesji,
ale pomyślałem, że podpisy pod reprodukcjami (tytuł, wymiary, na czym
i czym malowane) niech będą cienkie (nie bold) i czarne – teraz są szare
i grube. Oczywiście ta sama czcionka i wielkość (old bookman style). Szare
podpisy łączą się trochę pretensjonalnie z tekstem do danej reprodukcji i po-
myślałem, że tekst tekstem, a techniczny opis reprodukcji to inna bajka...

23.11.13.14.09

...Dziękuję. Moje uwagi co do redakcji Albumu zakończyłem.

...Niech się wszystko uda!  

30.11.2022 15.04

I czy to nie *fatum* artystów, że wielu z nich nie doczekało wydania swojego
dzieła? Ileż to dzieł ukazało się *post mortem*? Niestety i Edward Siekierzyński

znalazł się w owym gronie. Zabrakło Mu pół roku, by wziąć do rąk swoją wymarzoną książkę.

„ALBUM WIZYTY Słowa i obrazy” został wydany w sierpniu 2023 roku nakładem ZLP Oddział Szczecin na życzenie Edwarda Siekierzyńskiego, który wraz ze mną rozpoczął przygotowanie książki do druku jesienią 2022 roku... a ukończyłam prace wydawnicze za zgodą Adama Siekierzyńskiego.

Pamięć i Obecność

Pozostaje pośród nas, wciąż w żywej pamięci obecny, ze swoim uśmiechem, żartem, ze swoją charakterystyczną swadą interpretacji napisanych tekstów, które czytał zawsze z wielką przyjemnością. Myślę, że to też był akt twórczy w Jego wykonaniu, wchodził bowiem w tekst, jak w swój wykreowany świat i przyjmował każdą rolę... Tworzył na moment nowego siebie, tak jak wtedy na Borchardzie, gdy wcielił się w podwójną rolę – kapitana Mamerta Stankiewicza i narratora Karola Borchardta. Cóż to był za popis aktorstwa! Szczęśliwie, zachował się zapis filmowy z wydarzenia... dzięki Januszowi Słowikowi, który nagrywał uroczystość Jubileuszu 100-lecia żaglowca SS Kapitan Borchardt i czytanie fragmentów książki *Znaczy kapitan*.

Obecność Edwarda Siekierzyńskiego to przede wszystkim nasza pamięć, Jego książki i obrazy, mnóstwo mniejszych pamiątek, kilka filmów z wydarzeń, trochę fotografii, może więcej w rodzinnych archiwach... i nie sposób w jednym wspomnieniu, jeszcze tak świeżym, zatrzymać wszystko.

Edward, gdy odszedł niespodzianie w grudniu 2022 roku nieznanym bliżej portalem, udał się zapewne z wizytą w odwiedzanym wcześniej świat... może to było to okno na kwiecistą łąkę na Jego obrazie...? Nam pozostały rozmowy, listy, kartki, plany, których już nie zrealizuje...

Jeszcze *Z notesu*...

...I jest środowe słoneczko, a zamówione książki jeszcze nie doszły. O 16:00 wychodzę do biblioteki by Ani Kucharskiej dostarczyć różne wycinki na mój temat, które może wykorzysta do referatu na sympozjum „Ludzie książki w Zachodniopomorskiem”. Będzie to może odczytane w maju 2023 w szczecińskiej Książnicy Pomorskiej...

9.11.2022 13.56

...Byłem na spotkaniu w bibliotece i dowiedziałem się od Ani, że owe sympozja nt. Ludzie Książki Pomorza Zachodniego to pomysł pani Cecylii Judek...

9.11.2022, 20,24

...abym dotrwał może do wydania Albumu, który może być odebrany jako moja fanaberia, bądź megalomania. Może zapiski z czasu zarazy i wojny też uda się wydać w Akcencie i to może mnie jeszcze trzymać przy zmysłach jako takich.

10.11.2022, 10.52

...a Jemu – części życia każdego z nas nierozłącznie przypisane do Jego osoby – zabrał je ze sobą.

Miał coś z aktora i mógłby nim być. Doskonale czuł wibrację słowa i rolę, którą ono narzucało. Gdy wychodził z domu... to wchodził w rolę na scenie ulicy, sklepu, urzędu czy na wieczorze autorskim w Książnicy... i był w tych rolach dobry – szczerzy i autentyczny, nic udawanego czy pospolitego. Sama klasa w Nim.

Sądzę, że najlepiej i najstosowniej czuł się jednak w roli malarza. To widać na zdjęciach, gdy pozwalał fotografować się bratankowi nie tylko przy sztalugach.

Kolorysta – bezwzględnie... wrażliwy na urodę świata, z wyobraźnią synestezyjną...

przed chwilą przeczytałem określenie tego co zauważam u siebie od dawna a nie wiedziałem, jak to nazwać, otóż mam WYOBRAŹNIĘ SYNESTEZYJNĄ, tzn. czuję barwę słów, zapach obrazów, kolory muzyki...

Ciekawi mnie też przezroczystość podziałów przestrzeni...

Nie wiem, co po tej lekturze będzie mi się śniło, może jeszcze w coś się zagłębię...

Zapewne powędrował w inny wymiar i stamtąd przeniósł w wyobraźni właśnie te swoje niesamowite barwy, odcienie, światła i cienie, które potem odtworzał na obrazach – zakwitały kształty, formy, bryły z kulą i dyskiem wszechobecnym... Otóż to! Malarz Kosmosów...

A ja wyobrażam sobie – tę najmniej nam znaną – rolę poety. Najbardziej intymną, gdy pochylony nad kartką pisał na półleżąco (zawsze wiecznym piórem) swój niekończący się dziennik. Stawał się kim innym, gdy już zasiadał do komputera i przenosił treść na monitor – korygował, przedstawiał, poprawiał samego siebie, rozmawiał ze sobą (o czym pisze w jednym z opowiadań

w tomie „WSTĘP! CAŁE ZDANIE? I...” – tu już wkraczał na scenę cenzor, redaktor, recenzent... już nie było tej ciepłej intymności aktu twórczego. Tylko chłodna kalkulacja czytelnika... ocena estetyczna i rezerwa, dystans czasem epicki... czasem liryczny. Czy tak to było Edwardzie? A potem składanie zeszytu, druk, oprawa. List dołączony do dedykacji i spacer na pocztę... i oczekiwanie... SMS-y: *czy list już doszedł*, utyskiwanie na opieszałość poczty... w końcu rozmowa... – *doszło... i jak? Czy to co warte? Znalazłem literówki, następny przyśle poprawiony... Podoba Ci się Naprawdę? Jak miło... może jeszcze co poprawić?*

To był ten Edward pełen wątpliwości, jak każdy z nas, zagubiony w sobie, bo nagle wiersz wypadł nam z dłoni i... już do nas nie należy...

Edwardzie, jak to dobrze, że zostały Twoje wiersze i obrazy, a w nich dla niepoznaki, nieco zamazany kolorami – Twój Portret.

22.10.2023

Karol Czejarek

Erazm Kuźma
Niezastąpiony wychowawca młodzieży
(moim był też), ale przede wszystkim
uczony i znawca literatury
(nie tylko okresu ekspresjonizmu)

Szczecinianin z krwi i kości (choć urodzony w Wągrowcu; był czas, kiedy ludzie do Szczecina przyjeżdżali i już na zawsze w nim pozostawali).

ERAZM (gdyż byliśmy po imieniu) na ZAWSZE pozostanie dla mnie wielkim człowiekiem za całokształt dokonań. Przede wszystkim jako znawca ekspresjonizmu, polonista z prawdziwego zdarzenia, nauczyciel z powołania, a przy

tym znakomity krytyk literacki, który przez długie lata promował szczecińskich pisarzy.

Był też niestrudzonym działaczem całkowicie oddanym repolonizacji Ziemi Zachodnich, w tym Pomorza Szczecińskiego, przywróconego Polsce po II wojnie światowej!

Pozostanie też w mojej pamięci nie tylko jako wspaniały nauczyciel „polskiego” i wychowawca klasy (kiedy uczęszczałem do słynnego po wojnie „Pobożniaka”, czyli Męskiego Liceum Ogólnokształcącego przy ulicy Henryka Pobożnego), ale też z nieco późniejszego okresu, kiedy został wybrany prezesem zarządu szczecińskiego okręgu ZWIĄZKU PISARZY POLSKICH, a ja byłem sekretarzem Szczecińskiego Towarzystwa Kultury, potem dyrektorem Wydziału Kultury PWRN. On był wtedy jednym z najaktywniejszych działaczy, najpierw Szczecińskiego Klubu Bibliofilów, będąc (obok mecenasa Romana Łyczywka, p. sędziego Zaniewickiego i prof. Lesińskiego) jednym z jego współinicjatorów. Potem też Szczecińskiego Towarzystwa Kultury i jednocześnie Okręgowego Związku Literatów Polskich. Uczniów darzył wielkim zaufaniem i potrafił, jak nikt inny, cieszyć się ich sukcesami. Po mojej dobrze zdanej maturze... zaproponował mi bezinteresowną przyjaźń (można by powiedzieć – dożgonną), co było dla mnie przeogromnym i wyróżnieniem, i zaszczytem.

Wielkie są Jego zasługi dla rozwoju szczecińskiego środowiska humanistycznego, zakończone powołaniem Uniwersytetu Szczecińskiego. Stąd też tą publikacją wyrażam pełne poparcie dla podjętych starań, by upamiętnić wszystkie dokonania Pana Profesora! Ich symbolem jest m.in.: w pełni odbudowany Zamek Książąt Pomorskich, Książnica Pomorska, domy pracy twórczej w Kamieniu Pomorskim i w Płotach. Przede wszystkim jednak – imponujący

prof. Erazm Kuźma (zdj. apcz.umk.pl)



dorobek kulturalny SZCZECINA! A kiedy poznawaliśmy się w 1952 r., Erazm prowadził jeszcze naszą klasę na odgruzowywanie miasta!

W latach 60. i 70. ub. wieku był niestrudzonym popularyzatorem, w skali ogólnopolskiej, znanych szczecińskich pisarzy, m.in.: Jerzego Pachlowskiego i Jana Papugi, Ryszarda Liskowackiego i Wiesława Rogowskiego, Adolfa Mota i Bronisława Słomki, ale i Heleny Raszki, i Joanny Kulmowej!

Na Jego zaproszenie do Szczecina, chętnie przyjeżdżali znani pisarze i humaniści, m.in.: Jerzy Waldorff, Wojciech Żukrowski, Zenon Klemensiewicz (i naprawdę wielu innych). Erazm każdego z nich przedstawiał, „oceniał” i przybliżał czytelnikom. I – co szczególnie ważne – na tle naszego „szczecińskiego” środowiska twórczego: literacko-filologicznego, plastycznego i muzycznego. Był przy tym wspaniałym i przekonującym mówcą!

Prof. Kuźma był też jednym z inicjatorów „Szczecińskich Dni Książki”, popierając całym sercem także ideę przeprowadzenia przed laty „literacko-historycznego” konkursu pod nazwą „Dzieje szczecińskich rodzin w XX wieku”, którego przebogaty plon, powinien być (zwłaszcza teraz, kiedy tyle dyskutuje się w naszym kraju o tożsamości historycznej i patriotyzmie) źródłem dalszych publikacji (zwłaszcza literackich) na temat polskości Ziem Zachodnich i Północnych, w tym i Pomorza Szczecińskiego, które na zawsze pozostanie POLSKIE!

Jeśli chodzi o spuściznę literacką Erazma, to na pewno przejdzie ona do historii polskiego piśmiennictwa dokonaniem w postaci ponad 300 Jego publikacji na temat twórczości literackiej pisarzy Pomorza Zachodniego, świadomości literackiej i artystycznej ekspresjonizmu w Polsce, twórczości Tadeusza Micińskiego, konstruktywizmu w badaniach literackich i w ogóle analizy procesu literackiego. Jednak przede wszystkim pisał prof., Kuźma o literaturze i kulturze Pomorza Szczecińskiego!

Dla mnie osobiście, najciekawsze w Jego badaniach literackich było nieustanne poszukiwanie „polskiego” bohatera w prozie szczecińskich pisarzy, oraz poszukiwania motywów zachodniopomorskich we współczesnej poezji polskiej!, gdyż od znakomitych poetów Szczecin od „powojnia” ZAWSZE „pękał w szwach”, dość przypomnieć Gałczyńskiego, Bursewicza, Flukowskiego, który wtedy też zamierzał na stałe przenieść się do Szczecina (niestety – zmarł nagle, w Świnoujściu, na jednej z naszych imprez literackich).

Inaczej mówiąc, prof. Kuźma był Kimś, kogo interesowała literatura z perspektywy odbioru i dla kształtowania się nowych, polskich tradycji kulturalnych

na Ziemiach Odzyskanych! Wielokrotnie potem spotykaliśmy się, rozmawiając o tym, gdy przyjeżdżał do Warszawy, w której w roku 1973 wraz z rodziną zamieszkałem.

Był bowiem Erazm członkiem wielu ogólnopolskich komitetów naukowych, m.in. Komitetu Nauki o Literaturze PAN, jak i Centralnej Komisji ds. Tytułów i Stopni Naukowych, ale był też zapraszany na najważniejsze krajowe wydarzenia literackie.

CZEŚĆ JEGO PAMIĘCI!

PS.

Nie sposób w bardzo krótkim wspomnieniu wymienić wszystkie zasługi prof. ERAZMA KUŻMY i Jego dokonania. Ważne jest, aby pozostały one w pamięci Polaków, były okresowo – jak między innymi tą książką – przypominane i wykorzystane! Mają bowiem niezwykłą wartość merytoryczną.

I może by tak w „Parku Różanym” (do którego lubił chodzić na spacer), umieścić stosowne epitafium poświęcone Jego życiu i dokonaniom?

A kiedyś – w ogóle pomyśleć o stworzeniu tam panteonu sław szczecińskich humanistów – pisarzy, artystów plastyków i muzyków? Zwracam się z taką inicjatywą do WSZYSTKICH, którzy mogliby wesprzeć taki pomysł, który dawałby świadectwo POLSKOŚCI na tych pięknych ZIEMIACH.

Wszak na nich... Polska się zaczyna!

wrzesień 2023 r.

Anna Jakubczak

Czesław Schabowski prozaik (nie)zapomniany

Szczecin kojarzy się przede wszystkim z marynistyką, stoczną, bliskim dostępem do morza i zielenią, której na obszarze i w okolicach miasta nie brakuje.

To serce Pomorza Zachodniego, które przyciąga nieustannie do siebie nie tylko turystów, zakochanych w pięknie architektury i przyrody Szczecina, ale też nowych mieszkańców, czy załogi, odwiedzające nasz port – nie tylko w dniu Święta Morza i innych festiwalu. Błędem byłoby ograniczanie się jedynie do tych dwóch sfer, ponieważ duże znaczenie ma również kultura. Szczególnie, że do Szczecina od lat powojennych przywędrowało wielu znamienitych twórców, którzy w tym mieście tworzyli i o nim pisali. Przykładem niech będzie znakomity poeta dwudziestolecia międzywojennego, piszący w nurcie klasycyzmu i szeroko pojętej awangardy – Konstanty Ildefons Gałczyński, którego dom do dziś stoi na Pogodnie, a pomnik „Zaczarowanej drożki”, zdobi plac nazwany jego imieniem, mieszczący się przy ulicy Wojska Polskiego. Swój ślad w Szczecinie zostawił też Tadeusz Różewicz. Uwielbiał on długie spacerować wokół Jeziora Głębokiego, które były dla niego nie lada inspiracją do pisania wierszy. Dziś ku jego pamięci rośnie drzewo posadzone na terenie Willi Lenza, która po renowacji pełni funkcję ośrodka kulturalnego.

Jednak nie na nich skupię swoją uwagę, a na postaci Czesława Schabowskiego – prozaika nietuzinkowego i (nie)zapomnianego, którego twórczość w dzisiejszych czasach warto odkrywać na nowo. Przed wypłynięciem na szerokie meandry powieści Czesława Schabowskiego, nie można pominąć przedstawienia – szczególnie nowemu, młodemu pokoleniu, jego sylwetki. Jest to ważne, nie tylko, aby zachęcić ich do poznania samego autora, ale zrozumieć perturbacje czasów, w których się urodził i żył. Czasy te, dobitnie odbiły się na jego twórczości. Zapisane karty siedmiu jego powieści to nie łatwa, ale przyjemna beletrystyka. To tomy pełne trudnych emocji, wydarzeń i skutków, jakie przyniosła ludziom wojna i na jaki los skazała ich w powojennej już Polsce.

Czesław Schabowski urodził się 22 listopada 1908 roku w Tarnobrzegu. Pochodził z wielodzietnej rodziny rzemieślniczej. Od najmłodszych lat zarabiał na własne utrzymanie, zajmując się różnymi pracami ziemnymi i murarką, potem pracując jako rybak na Zalewie Szczecińskim i Bałtyku. Jako samouk, szybko odnajdywał się w tego typu pracach. Jeszcze wtedy nie podejrzewał, że wniesie tak duży wkład w szczecińską literaturę, a jego książki zaczną być wydawane przez czołowe wydawnictwa. Swój pierwszy silny ślad w kulturze zaznaczył w latach 1939-1940, kiedy udzielał się, jako działacz kulturalno-oświatowy w Druskiennikach. Jako pisarz zadebiutował w 1945 roku opowiadaniem *Pierwsza spowiedź*, który został wydrukowany na łamach tygodnika „Odrodzenie”.

Czesław Schabowski (zdj. Encyklopedia Pomorza Zachodniego)



Jego twórczość – do której należały: opowiadania, reportaże i felietony – publikowano w prasie lokalnej oraz w czasopismach: *Odrodzenie*, *Wieś*, *Tygodnik Kulturalny*, *Życie Literackie*, *Przegląd Kulturalny*, *Trybuna Literacka*, *Ziemia i Morze*, *Nadodrze*, *Zielony Sztandar*. Krótkie formy literackie miały szansę pojawić się też na antenie Polskiego Radia. Zaledwie rok od debiutu, został członkiem Związku Literatów Polskich, co należy uznać za ogromny sukces autora. Na swoim koncie miał też nagrody i wyróżnienia, choćby za zbiór opowiadań *Pirat i Magdalenka* w szczecińskim konkursie literackim, czy nagrodę Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Szczecinie. Prasie lokalnej również nie umknął talent Czesława Schabowskiego, o którym pisano, że jest doływym świeżych, zdrowych sił również w literaturze, który jest sam w sobie przykładem awansu społecznego ze zwykłego, szarego robotnika w odkrycie literackie Szczecina – i wspomnianego już działacza kulturalnego. To pisarz, który, jak inni, cytując artykuł¹⁴⁵ opublikowany na łamach „Kuriera Szczecińskiego” przyszedł do literatury wprost od warsztatu fabrycznego i od pługa. I który, co również tam wskazano – *nie pisze gorzej, niż starzy, wytrawni w swym zawodzie pisarze*. Twórcy, jak podkreślono *wyrośli na nowych warunkach*.

To, co daje się odczuć, zagłębiając się w twórczość autora, to to, że nie jest to literatura, którą pochłania się jednym tchem – mimo niejednokrotnie zauważalnej lekkości pióra autora. Nie jest to proza do poduszki, czy umilacz czasu. Wymaga ona skupienia, by zobaczyć i poczuć to wszystko, co Czesław Schabowski przekazuje nam na stronach swoich książek.

145 J. Koprowski, *Literacki awans społeczny CZYLI O CZESŁAWIE SCHABOWSKIM*, „Kurier Szczeciński”, Szczecin 1950, nr wydania: 195.

Utwory te niekiedy obrazują surowość i trudności czasów powojennych, są momentami przygnębiające, szczególnie opisywane późniejsze losy osób dotkniętych wojną i żyjących już w powojennej Polsce. Nie brakuje też cierpkości, śmieszności i męskiej dosadności, która jednych może odrzucać, zaś dla innych być smaczkim wobec szczegółowości i dokumentalności opisów. Bo siarczystego języka i wulgaryzmów również doświadczymy. Dla przykładu:

*W oddali szpital, duma Tamy (...), więc zaabsorbował chłopca i budynek ten, teraz wydał mu się najpotężniejszym obiektem miasteczka, bo na raz przypomniał sobie, że to tutaj dyrektor szpitala wykonywał takie cuda, o których było głośno daleko, daleko (...)*¹⁴⁶.

I dalej:

*Przychodzi na przykład stary woźny sądowy i pokazuje chory palec u nogi. Dyrektor szpitala mówi: uciąć, gangrena, zakażenie krwi i jeszcze coś tam nabujał. A woźny, jak nie podskoczył! Co uciąć? Pan doktor niech se ch... utnie!*¹⁴⁷

To czas zmian i awansów społecznych – o czym rozpisywał się w 1950 r. „Kurier Szczeciński”, które były kontrą dla walki z analfabetyzmem, budzenie się świadomości klasy robotniczej i jej gotowość do ruszenia ku lepszemu życiu. Takim przykładem jest Staszek, bohater *Tamy*, który ruszony młodzieńczym buntem trafia za kraty więzienia. Tak jego świat pokazuje Schabowski:

*Wszystko inne, co mu do tej pory imponowało wielkością, wydaje mu się stąd śmiesznie małe niczym groby na cmentarzu wojennym, który jest teraz prawie, że niewidoczny dla oka; ale wie, gdzie jest, tam przy wielkim pastwisku, które szybko przeskoczył oczyma i już liczy wagony pociągu mknącego do Krakowa. Kiedy on tam pojedzie? Przez całe życie nie będzie tu gnić, jak zapomniany ziemniak w kopcu*¹⁴⁸.

Czy choćby:

Oderwał oczy i rzucił znów spojrzenie w daleki świat – tam, gdzie noga jego nie postać: niedaleko za miastem, około dwa trzy kilometry – a dla niego zaczarowana kraina! Wzrok jego szybko wrócił do śródmieścia. Tamte krainy w dali nie dla niego jeszcze.

146 C. Schabowski, *Tama*, St. Jamiołkowski & T. J. Evert, Warszawa, s. 230.

147 Ibidem, s. 231.

148 Ibidem, s. 231.

Prozaik nie obawia się pisać na kanwie własnego doświadczenia – ba, wiadomo, że nie tylko Sławek Czaplewski, ale i cała opisywana rodzina Czaplewskich pochodzi od rodziny Schabowskich, co daje się zauważyć po porównaniu opisów postaci i ich losów – szczególnie wspomnianego głównego bohatera. Podkreśla napływającymi na kartkę słowami to, co go boli i porusza, to, co widział na własne oczy. Sam w końcu przeżył rodzinne trudy wojny i ciężki los już okresu powojnia. Imał się różnych prac, nierzadko dotykało go też bezrobocie, przyzwyczajony do życia samotnika i włóczęgi bez stałego miejsca zamieszkania, z twórczością, która narastała w jego duszy. Bo mimo ciężkiego życia, Czesław Schabowski dużo czyta i studiuje, co wspiera go we wspomnianym wcześniej awansie społecznym.

Jego twórczość zdominowała też tematyka bliska Szczecinowi, bo morska. Dużo czasu i uwagi poświęcał on rybakom i morzu, nic dziwnego, w końcu był jednym z nich i doskonale znał styl ich życia. To zainteresowanie widać jeszcze we wspomnianej już przeze mnie *Tamie*:

Patrzy Sławek na te światy dalekie, obiecujące połowy w mało odwiedzanych łachach i stawach, i złość go zbiera (...). Teraz już całkiem zapomniał i o dzwonach, i o szpitalu, a oczy iskrzą się do tych połaci, do których on nie ma dostępu¹⁴⁹.

Koleje losu doprowadziły go w pewnym okresie życia na Pomorze Zachodnie, gdzie zamieszkał u jednego, okolicznego rybaka, a potem sam, aby obniżyć koszty życia, nim się stał, pomagając temu, który go ugościł. I tak Czesław Schabowski zaczął pomagać gospodarzowi w klarowaniu haczykowych narzędzi połowu i naprawie siatek zastawnych, by później, jak na samouka przystało, samodzielnie nauczyć się szyc sieci rybackie. To właśnie te umiejętności pozwoliły mu na dobre wejść do społeczności miejscowych rybaków, a później wypływać z nimi na połowy. I tak rybołówstwo stało się ogromną pasją pisarza, co skłoniło go do zamieszkania w Szczecinie, gdzie do dziś spoczywa w dzielnicy Dąbie.

Mówiąc o twórczości tego prozaika, trzeba podkreślić, że zauważalna jest dokumentalność, która wychodzi na pierwszy plan jego powieści. Styl Czesława Schabowskiego można określić jako dziarski, męski, opisuje wszystko bez ogródek. Nie bawi się w poetykę i szczegółowość opisu, wyraża się poprzez prostotę i autentyzm, zostawia też przestrzeń do moralizowania. Pokazuje on, co pompowało serca rybaków, tych inspirujących go do opisania lisów

149 Ibidem, s. 233.

morskich. Jakie mieli oni interesy i miłości – również te przygodne, fizyczne na łodziach, robiąc z tego coś na wymiar legendy *szczecińskiego pobrzeża, pewnego rodzaju jego mitologii*¹⁵⁰, bo jest to też inny rodzaj marynistyki, niż w przypadku dzienników pokładowych, które znajdowano w kajutach kapitanów na statkach. Ponieważ nie mamy tu pięknych jachtów i pokładów żaglowców towarowych, a rybackie łódki, co jeszcze dodaje tym opowieścią dodatkowego klimatu i całkowicie innego spojrzenia. Opisywał on dokładnie perypetie nie tylko rybaków i ich rodzin, ale także skutników, rzemieślników, pracowników baz rybackich, a nawet przedstawicieli władz partyjnych, zwierzchników spółdzielni rybackich i inspektorów nadzoru oraz milicjantów zwalczających kłusownictwo! Nikt nie mógł umknąć jego baczonej uwadze.

Autentyczności tego, co pisał, dodaje fakt, że Czesław Schabowski wraz z rozszerzeniem kontaktów rybackich, w kolejnych latach zmieniał często miejsca i metody połowów oraz miał okazję współpracować z wieloma rybakami i spółdzielniami rybackimi. Pływał po różnych akwenach Pomorza Zachodniego na rozmaitych typach łodzi (w tym na kilku własnych), co pozwoliło mu w ostateczności zostać załogantem kutra rybackiego i uczestniczyć w rejsach morskich. Sam mówił o tej zmianie w następujący sposób:

*Pochodzę z bardzo dużego miasta. Pracowałem w kulturze i zapadłem na nerwicę. Pojechałem leczyć się nad morze (...). Zamieszkałem u rybaka. (...) Natyrałem się, ryb mieliśmy zatrzęsienie, że ani morza, ani nieba nie widziałem, tylko węgorze, flądry, skarpie, sandacze – już pośląłem bakcyła*¹⁵¹.

To, co odróżnia tę twórczość Schabowskiego od skupionej na perypetiach wojennych i politycznych, to żywa i bezpośrednia narracja, duży talent obserwatorski i gawędziarski, świetny słuch językowy, a także umiejętność dosadności opisu ludzi i sytuacji oraz poczucie humoru, które sprawia, że po zbiorach opowiadań *Pirat i Magdalenka, Wielka Zatoka, Lisy morskie* oraz *Archipelag urzeczonych* po prostu się płynie z wiatrem.

Trzeba podkreślić, że przebieg kariery zawodowej pozwolił mu na dogłębne poznanie specyfiki zachodniopomorskiego rybołówstwa i środowiska ludzi z nim związanych, co widać, dlatego twórczość Czesława Schabowskiego dotycząca rybołówstwa na terenie Szczecina i okolic jest swoistym smaczkiem historycznym, szczególnie, że w powojniu temat ten nie był szczególnie

150 https://pomeranica.pl/index.php?title=Czes%C5%82aw_Schabowski&mobileaction=toggle_view_desktop.

151 pod red. B. Matławskiego i K. Piaseckiego, *Tradycyjne rybołówstwo łodziowe w regionie zachodniopomorskim po 1945r.*, Szczecin 2014.

badany etnologicznie.¹⁵² Do niedawna jedynie w kilku publikacjach, dotyczących tylko wybranych aspektów kultury rybaków Pomorza Zachodniego, znajdowały się jakiegokolwiek wzmianki o tym. Można zatem uznać, że twórczość Czesława Schabowskiego jest tutaj dominująca, pisana na żywym przykładzie, a nie bazująca na fikcji literackiej. Stworzył on nie tylko literacką panoramę zachodniej części Przymorza, ale przede wszystkim portret zbiorowy niezwykłego środowiska rybaków łodziowych, którzy w świecie literackim Czesława Schabowskiego są równocześnie rolnikami i myśliwymi, ale też namiętymi kłusownikami, wybierającymi się na połowy ze sprzętem rybackim, ale też flintą i wnykami na zajęcie! To wilki morskie o niespokojnych duszach, którzy związani są od wieków surowym rygorem obyczajowości rybackiej. Mało w nich dyscypliny i etycznych zasad, a więcej zewu wolności i dzikości.

Trzeba przyznać, że twórczość Czesława Schabowskiego poświęcona tej tematyce jest bogactwem informacji – również niepoddanych cenzurze – których nie znajdzie się w tradycyjnych źródłach i opracowaniach poświęconych rybołówstwu. To również ukazanie żywej gwary i języka rybaków, a także przysłów, powiedzonek czy żartów. Sam autor uchwycił w nich wiele przykładów przekonań, wyobrażeń, legend oraz wierzeń związanych z poszczególnymi gatunkami ryb. To właśnie na ich podstawie rybacy później omawiali strategię ich połowu – co również jest ciekawostką etnologiczną. Nie waha się też odkrywać to, co winno być zakryte, czyli problemy, z którymi borykali się rybacy – swoimi ciemnymi stronami duszy ogarniętymi alkoholizmem, przemocą i wyuzdaną seksualnością, ale także korupcją, przestępczością, czy morderstwami!

Jest to zatem twórczość (nie)zapomniana, po którą należy sięgnąć nie tylko, jako ciekawostkę historyczno-kulturową, ale też, aby lepiej zrozumieć przemiany zachodzące w okresie powojennym, a w szczególności, by odkrywać tajemnice i smaczki rybackiego życia.

152 Ibidem., s. 18.

Stanisław Zajączek

Stanisław Zajączek urodził się 7 czerwca 1945 roku w Szczecinie. Tu ukończył V Liceum Ogólnokształcące im. A. Asnyka, rozwijając swój talent literacki na łamach szkolnej gazetki „Kaktus”. Po maturze podjął studia polonistyczne we Wrocławiu, w 1970 r. ukończył jednak Wydział Lekarski Pomorskiej Akademii Medycznej, tytuł doktora otrzymał w 1979 r., zaś habilitację w roku 2001.

Z zawodu lekarz – patofizjolog, anesteziolog, genetyk. Również – poeta, prozaik, publicysta.

Jak pisze Bogdan Twardochleb w „Przewodniku encyklopedycznym – Literatura na Pomorzu Zachodnim do końca XX wieku”: „Debiutował wierszem *Nauka z Johna Donne’a, poety angielskiego* w miesięczniku „Spojrzenia” (1971). Współorganizator grupy literackiej i redaktor miesięcznika czytanego „Tu i teraz” w Klubie Studentów PAM „Pod Wieżą” (...) (1969 – 1978), prezes Koła Młodych ZLP, członek ZLP (1979 – 1982) (...), uczestnik ruchu lekarzy – poetów. Wiersze i prozę drukował m.in. w „Regionach”, „Twórczości”, „Spojrzeniach”, „Nowym Medyku”, „Literaturze”, „Życiu Literackim”, gdańskich „Literariach” i „Punkcie”, „Pograniczach” oraz wydawnictwach zbiorowych, m.in. *W mocy rąk*. Szczecin, 1975; *Debiuty poetyckie*. Warszawa: Iskry, 1975; *Próba wyobraźni*. Poznań: Wydawnictwo Poznańskie, 1978 (...), *Poeci poetów. 100 najpiękniejszych współczesnych wierszy polskich*. Warszawa: Anagram, 1996.”¹⁵³

Stanisław Zajączek otrzymał wiele nagród i wyróżnień, m.in. Nagrodę Łódzkiej Wiosny Poetów za tom *Ja i mój kumpel Meegeren* (1975 r.), Złoty Exlibris Książnicy Pomorskiej (1978r.), zaś za słuchowisko *Strzyżenie, golenie* wyróżnienie w konkursie „Nad Odrą i Bałtykiem” (1995 r.).

Jego debiutancki tomik *Ja i mój kumpel Meegeren* ukazał się w 1975 r. (Warszawa, Wydawnictwo Czytelnik), kolejny pt. *Ziarno piasku* w roku 1978 (Warszawa, Wydawnictwo Czytelnik), w 1987 r. tom wierszy dla dzieci *Oko jeziora*

¹⁵³ *Literatura na Pomorzu Zachodnim do końca XX wieku Przewodnik encyklopedyczny*, wyd. „Kurier – Press”, Szczecin 2003 r., s. 292.

(zdj. <https://antykwarjat-zakladka.pl/produkt/ja-i-moj-kumpel-meegeren/>)

(Szczecin, Wydawnictwo Glob), a w 1994 r. tom ostatni pt. *Zeznanie szczurołapa. Wiersze i parable, 1970 – 1990* (Szczecin, Wydawnictwo 13 Muz). W 2001 r. został przygotowany jeszcze jeden zbiór – *Dom* – jednak nie ukazał się drukiem.

Jest również autorem słuchowisk, wśród których warto wymienić: *Kwadraty snu, Dekadę, Wiersze, Betlejem, Miniatury, Widok z okna*, czy nagrodzone *Strzyżenie, golenie*.



Jak pisze się wiersz

*Najpierw jest brązowa pestka
omnipotencji. Pestka
wchodzi w gałąź i pęka owocem.
Mów pierwsze słowo – a soki stężeją
w bryle owocu.
I porzuci gałąź
skoczy ku ziemi –
powiedz inne słowo
a w skoku przystanie
na krótką chwilę zanim przejmie nazwę.*

*I to jest właściwie wszystko
co możesz zrobić
nim ziemi dotknie głuchym uderzeniem.¹⁵⁴*

„Wstępując do literatury nowej generacji pisarzy bardziej może, niż nowi Brzozowscy potrzebny jest nowy Irzykowski, jednakowo podejrzliwy wobec wrogów i zwolenników, przywiązujący nadmierne może znaczenie do słów

154 Stanisław Zajaczek, *Ja i mój kumpel Meegeren*, Warszawa, Wyd. Czytelnik 1975, s. 12.

i definicji, ale ktoś, kto nie pozwoli nam zamknąć oczu także na siebie samych, nakazując w interesie naszego tu i teraz patrzeć dalej.”¹⁵⁵

Spisanie z inwentarza

*Jestem poetą zaangażowanym
W powszechny wzrost trawy
W – aż nazbyt patetyczne – trwanie kamienia
W wędrówce światła
Od rzeczy do rzeczy
W zaciemnianie nocy
Przez dzień. W śmierć rzek
Aż do ostatniej kropli słowa
Mieszającej się z solą moich kości.*

*Jestem jawnym agentem
Tajnego związku
Oka i ciemności
Stopy i powietrza
Gardła i ciszy.*

*Płacą mi dobrze
Twardą walutą milczenia
Obolem niepewności
Wytartym w wielu palcach miedziakiem lęku.*

*Sprzedatbym się każdemu
Kto mógłby dać więcej.¹⁵⁶*

W przedmowie do zbioru „Próba wyobraźni: almanach młodej poezji szczytńskiej” Krzysztof Nowicki zestawiał różne spojrzenia na poezję debiutantów lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego wieku. O pierwszych pisał, że ich twórczość pozostawała pod wpływem tzw. Orientacji, która skutecznie wpłynęła na stosowanie „malierycznego modelu poezjowania” separującego wiersze od rzeczywistości realnej i staraniach oparcia ich o skończoną ilość poetyckich motywów, co poskutkowało wykreowaniem arealnego świata – wewnątrznie spójnego, ale osobnego od źródeł rzeczywistości. Lata siedemdziesiąte stanęły w kontrze do retorycznych apostrof i tzw. poetyckiego

155 W: „Nowy Medyk” 1975, nr 6., Stanisław Zająček, *Świat nadal nie przedstawiony*, s. 7.

156 Stanisław Zająček, *Ja i mój kumpel Meegeren*, Warszawa, Wyd. Czytelnik 1975, s. 11.

zaangażowania. Powitała je „(...) fala poetów, którzy przewyżczyli ów sztuczny model poezjowania, odwołując się do konkretności, publicystyki, realności, zasady „mówienia wprost”. Konkretność, jeśli tak można mówić, wróciła do młodej poezji pod postacią dialektycznego romantyzmu. Być może, iż poezja (...) zawsze waha się między sztucznością a realnością i gwałtownie poszukuje racji dla poszczególnych krańców. Te tendencje występują niejako przemienne. Po okresach panowania jednego modelu przychodzą barbarzyńcy, niosąc idee przeciwne. (...) W ten sposób powraca jakby współczesna wersja sporu klasyków z romantykami, przy czym każda z występujących „grup uderzeniowych” pełni kolejno te funkcje: przeżywa okres romantycznego buntu i po pierwszych powodzeniach – klasycznej stabilizacji. Okresu, kiedy już nie rozumie się nawet idei z własnego okresu wstępowania.”¹⁵⁷

Teksty debiutantów lat 70. XX w., według krytyka, przeznaczone były „do użytku wewnętrznego”, odkrywały świat i duchową rzeczywistość autorów, w pewien sposób definiowały przeżywane zdarzenia, tchnęły nieudawaniem. Poszukiwały tożsamości podmiotu lirycznego, stawiały pytania o granice indywidualnego świata i możliwość wyjścia poza zastane – starały się znaleźć własną formułę świata.

Chusta

Twarz konduktora

Twarz milicjanta regulującego ruch na skrzyżowaniu

Twarz kobiety

Twarz Stanisława Mikulskiego

Twarz przewodniczącego powiatowej rady narodowej

Twarz twojego ojca

Twarz wzorowego stoczniowca

Twarz człowieka której już nie pamiętasz

– odbite w twoim oku

Twarz przypadkowego przechodnia

W połowie drogi

W chwili przerwy

Wbita w śnieg

Odbita na asfalcie

*Odbita od słowa*¹⁵⁸

157 *Próba wyobraźni: almanach młodej poezji szczecińskiej*, Poznań, Wydawnictwo Poznańskie 1978, s. 6.

158 Stanisław Zajaczek, *Ja i mój kumpel Meegeren*, Warszawa, Wyd. Czytelnik 1975, s. 44.

Krzysztof Nowicki podsumował swoją analizę słowami: „W tym tomiku znajduje się zapewne kilka propozycji niekonwencjonalnych, niepokojących, że wymienię dla przykładu wiersze Agaty Bednarz, Leszka Chudzińskiego, Jana Dawida, Janusza Hadena, Grzegorza Szwegiera, Tadeusza Żukowskiego, a przede wszystkim Stanisława Zajączka, najciekawszej indywidualności poetyckiej, przejmującej w określaniu człowieka nie tylko wrażliwego, lecz i myślącego. Poeta ten zastanawia się między innymi, co wydaje się dziś dla autora problemem dość ważnym, co uczynić, by liryk nie był jak: *Chroniący oczy czarną opaską mowy, jak inni Zakładnik znaków, do których nie przywiązujesz znaczenia*”.¹⁵⁹

Bajka zasobna

Za oknem

Za drzewem

Za tą łąką

Tą górą, doliną

Za sobą¹⁶⁰

Debiutancki zbiór wierszy Stanisława Zajączka został zauważony przez krytykę literacką i chętnie był recenzowany. Iwona Smolka w artykule „Repetycje z poetów” zamieszczonym w „Twórczości” napisała: „Genialny fałszerz obrazów, Meegeren, zasługuje niemalże na tyle szacunku i uznania, co wielcy twórcy, których styl tak znakomicie naśladował. Stanisław Zajączek debiutujący tomem „Ja i mój kumpel Meegeren” – a tytuł jest znaczący i nieprzypadkowy, z całą otwartością sygnalizuje: uwaga, przede mną byli mistrzowie. Jest to tomik niezwykle charakterystyczny dla młodej poezji, która czerpie z uznanych wzorów przeważnie nieświadomie i tylko dlatego, iż nie potrafi jeszcze znaleźć własnego języka, własnego obrazu świata. Ta sytuacja jest w twórczości Stanisława Zajączka wykorzystywana z premedytacją. Wielcy poeci są przez niego ponownie „tłumaczeni” na jego obrazy, na jego odczucie rzeczywistości. W ten sposób powstają wiersze odwołujące się bezpośrednio do znanych poetyk, do myśli, do systemów, z których czerpie poeta, to – Apollinaire, Szymborska, Cendrars, Leibniz i być może jeszcze paru poetów i myślicieli (...)”.¹⁶¹

159 *Próba wyobraźni: almanach młodej poezji szczecińskiej*, Poznań, Wydawnictwo Poznańskie 1978, s. 9.

160 *Ibidem*, s. 136.

161 W: „*Twórczość*” 1976, nr 7, I. Smolka, *Repetycje poetów*, s. 123.

Ja i mój kumpel Meegeren

Jurkowi Szafulskiemu

W mojej Holandii mgły sprzyjają ludziom,
A nawet śpiące karpie mają niebo, po którym tańczą łyżwy
Zwykle poważnych mieszczan, tymczasem oczekują w domach
Wpółobrane cytryny, krępe raki – strażnicy czerwoni
z przejęcia
W geometrycznej ciszy dziewczyna o zbyt surowej twarzy
Może wreszcie przeczytać list: „jutro
Ciężkie drewniane statki przywiozą oczekiwanie, wtedy
Będziesz piękna”. Tymczasem kupcy
Powracają za zamiejskich rozrywek, w przyległym pokoju
Rabin o złotej twarzy uśmiecha płomień świecy.
W mojej Holandii
Mgły sprzyjają ludziom,
Kiedy ścigani krzykami szlifierzy diamentów
Uciekamy brzegiem zimowego pejzażu.
Dwie małe kropki
Ja i mój kumpel Meegeren.¹⁶²

Julian Rogoziński w recenzji pt. „Przewrotny kumpel Meegerena” zauważa: „Wiele wody upłynęło w rzekach wpadających do Morza Północnego, zanim specjaliści i co najkompetentniejsi dyletanci połapali się w imitacjach Van Meegerena. (...) Szlachetna acz przewrotna satysfakcja, jaką daje naśladowcy doskonałemu zatarcie granic między oryginałem a „kopią” i to taką, co wzbogaca swój pierwowzór o elementy nowe, ale wtopione weń z majsterstwem, dzięki któremu nie kolidują one w niczym (albo prawie w niczym) z zasadą cudzego dzieła, będąc z nim na swój sposób jednorodnymi, chociaż przyszły z zewnątrz, satysfakcja podobnej natury wydaje się przezierać z poczynąń lirycznych Stanisława Zajączka. Upatrzawszy sobie patrona w Meegerenie poeta postawił jak gdyby znak zapytania nad celowością bycia oryginalnym. Sceptycyzm ten jednak nie sięgnął aż tak głęboko, żeby Zajączek umilkł zniechęcony jałowością poetyckich utrudzeń, które brzęczałyby mu w uszach namolnym *nihil novi sub sole*. Śladem swojego kolegi, kumpel Meegerena odbył praktykę u dawnych mistrzów holenderskich, umiejętności ich i mądrość przenosząc nie pędzlem na płótno, lecz piórem na papier.”¹⁶³ Autor zaakcentował przewrotność poety,

162 Stanisław Zajączek, *Ja i mój kumpel Meegeren*, Warszawa, Wyd. Czytelnik 1975, s. 10.

163 W: „Literatura” 1975, nr 27, Julian Rogoziński, *Przewrotny kumpel Meegerena*.

który wiele swoich wierszy prowadził w sposób nieoczekiwany. Nadawał im charakter małych scen rodzajowych, jak u flamandzkich i holenderskich mistrzów, w mroczne treści wprowadzał smugi światła, które pozwoliły zmieniać istotę rzeczywistości z przedstawianej na właśnie kreowaną. Należy do nich między innymi Szopka, w której możemy czytać:

*Siedzą przy żłobie. Modlą się. Czekają.
Dwaj poeci. Półkurwy. Stróż nocny i wół.
Trzeci król – czarny. I serduszko pik.
I kolęda im nisko pod krtanią bulgocze.
Na sianie zamiast boga marznie czyjaś pchła.
Zgrali się do nicości, kości były cudze.
Zmęczeni zasypiają. Wtedy ludzkim głosem
Jeden raz – o dwunastej
Wrzaśnie wół*

I gwiazda się zaśmieje ustami srebrnymi. ¹⁶⁴

Zaskakujący kontrast między treścią wiersza a czystą metaforą ostatniego wersu przywołuje na myśl inny wiersz Stanisława Zajączka z powyższego tomu – „Mali poeci”, którego bohaterowie nie są wielkimi poetami, a świat ciągle wypada im na ziemię, rozbijając się na tysiące kawałków. Duże serca podchodzą im do gardła i przy długich wierszach dostają zadyszki, dlatego mówią krótkimi zdaniami (i może dlatego bulgocze pod krtanią kolęda). Mają tylko jedną kredkę i nawet pożar wychodzi im na zielono. Zarabiają małe pieniądze, więc na listy nalepiają swoje twarze zamiast znaczków.

*Mówią niewiele mimo że bezustannie zachowują poczucie
humoru.*

*Robią swoje. I może dlatego
Małe wiersze małych poetów
Są szare
Jak popiół.* ¹⁶⁵

Na tle tej szarości jakże widoczne są srebrne usta śmiejącej się gwiazdy!

Interesujący punkt widzenia na debiutancki tom Stanisława Zajączka przedstawił w recenzji opublikowanej w „Poezji” Bogusław Dopart. Pisze

164 Stanisław Zajączek „Ja i mój kumpel Meegeren”, Warszawa, Wyd. Czytelnik 1975, s. 40.

165 Ibidem s. 43.

on: „Dwudziestowieczny „klasycyzm” należy do najbardziej wieloznacznych zjawisk artystycznych. Poezja tego nurtu uczestniczyła we wszystkich ważniejszych przygodach dwudziestowiecznej twórczości: doznała einsteinowsko-heisenbergowskiej niepewności, przeżyła ciemny dramat indywidualnej i zbiorowej podświadomości, apelowała zaniepokojona wizją katastrofy historii i zagrożenia kultury. Poeta-klasycysta, obywatel kosmicznego uniwersum, nie zrezygnował przecież z idei ładu. Toteż obecny neoklasycyzm wspiera się (...) na dwu antynomiach: „między ideą wszechładu a relatywizmem historycznym i między ideą harmonii a katastroficzną koncepcją kultury.” Niemniej jednak kultura, obserwowana w niezniszczalnej ciągłości znaków i sensów, jest nadzieją klasycyzmu. Przesłanki optymizmu indukowane są z faktu, że człowiek, homo symbolicus, zdomowiony jest twórczo na sposób tragiczny lub optymistyczny w kulturze i tradycji.”¹⁶⁶ Dalej przypomina klasycyzm jako kontrowersyjną, ale ambitną próbę proponowania, tworzenia poezji i myślenia o niej. Według Doparta tom „Ja i mój kumpel Meegeren” Stanisława Zajączka wydaje się wskazywać na kryzys polskiego neoklasycyzmu lat siedemdziesiątych lub kryzys jego formuły. Pisze: „(...) akces autora szczecińskiego do klasycyzmu nie jest ani jednoznaczny, ani prostoduszny. Klasycyzm jest terenem pełnym pokus, ale i obiektem podejrzliwości. Oba stany – fascynacji i podejrzliwości, sprawiają, że Zajączek waha się między akceptacją a kompromitacją konwencji, którą podjął. (...)

Ja i mój kumpel Meegeren

Przemawia poeta – klasycysta. Serdeczna analogia jego losów i losów fałszerza malarskiej klasyki może być protestem przeciw twórczości, jako wykroczeniu poza stan posiadania kultury, a więc wyznaniem o wygodzie uczestniczenia w kulturze, ale jest też wyrazem przywiązania do jej ocalającego ładu, porządku i jasności.”¹⁶⁷

Czym jest klasycyzm – kolędą

*Na początku epizodu gęsto padają śniegi i podnoszą kurtynę
Na twarz. Jak w bajce Andersena.
Komandor zostaje zamieniony w konduktora
Stąd bierze się zamieszanie w didaskaliach
I kondukt wyrusza z opóźnieniem. Z nieba
Może tylko z niewiadomej przyczyny może z ręki*

166 W: „Poezja” 1976, nr 4., Bogusław Dopart, *Wahanie klasycysty*, s. 100.

167 Tamże.

*Poręczyciela wypada zorza różowa jak dessous
Donny Elwiry błękitna jak fioletki. Przystaje padać śnieg
Zamiast niego pojawiają się w powietrzu
Ulotki Zielonego Telegrafisty które topnieją w rękach.
Zmiana pejzażu; (...)*

*Zielony Telegrafista widzi twarz barbarzyńcy śni mu się bal
Budzi się z okrzykiem
Zamiast ręki. Ręka Zielonego Telegrafisty
Odcięta nożem deszczu od obrazu Maxa Ernsta
Odcięta na wysokości zegarka płynie Letą.
Po bliższym obejrzeniu luster Leta okazuje się Wisłą.
Ucięta ręka jest wierszem jest rękawiczką czasu.
A ty jesteś maleńki jako ta rękawiczka.
Boże który się rodzisz z wiecznej trawy deszczu,
Z małej wskazówki zegarka mułu i nikłej gwiazdy
Z odstającymi uszami śmiertelny Boże sonetu*

Który przyszedłeś mnie zabić.¹⁶⁸

B. Dopart zauważa – „(...) dla współczesnego poety – wygnańca – powiada Zajączek w wierszu „Czym jest klasycyzm – kolędą” – klasyczna forma jest postulatem maksymalnym, a nieosiągalnym. I dzisiejszy klasycyzm jest tylko kolędą ku czci zabójczego boga formy, bo klasyczny porządek idei nie jest osiągalny. Toteż wspomniany wiersz, mocno w swojej formie polemiczny, opisuje serię maskarad, pomyłek, zapoznań i transformacji, przemian, wydarzenia poddane są mechanizmom niesamowitości i paradoksu. Fascynacja postawą klasycysty, ale i podejrzliwość wobec niej, akceptacja, ale i ton polemiczny.”¹⁶⁹

Warto odnotować głos Janusza Stycznia: „W wierszu tym występują postaci z całej historii ludzkości i historii literatury i sztuki. Umieszczone w dziwnych sytuacjach całkiem surrealistycznego collage’u podejmują równie dziwne czynności. (...) wyrażają nasze współczesne lęki i rozpacz egzystencjalne, a cały wiersz jest wbrew tytułowi kolędą przewrotną, bo wierszem o egzystencji człowieka wobec śmierci, a na egzystencję wobec śmierci byliśmy, jesteśmy i będziemy skazani. Jeśli sytuację wobec śmierci nazwiemy sytuacją

168 Stanisław Zajączek, *Ja i mój kumpel Meegeren*, Warszawa, Wyd. Czytelnik 1975, s. 50.

169 W: „Poezja” 1976, nr 4., Bogusław Dopart, *Wahanie klasycysty*, s. 101.

klasyczną, to określenie się Zajączka jako klasycysty, nabiera zupełnie swoich tonów.”¹⁷⁰

W zbiorze „Ziarnko piasku”, wydanym w roku 1978, znalazł się wiersz ponownie wprost podejmujący ten temat:

Czym jest klasycyzm (4)

*Powiedz kim jest
Twój umarły, czemu
Otwiera oczy, kiedy je zamykasz, dokąd
Wychodzi z teczką pełną nie twoich wierszy, gdzie
Kupuje jutrzejszą gazetę, o której
Wraca, z której strony przychodzi, czy
Czujesz jego oddech za sobą, kiedy
Otwierają ci się oczy, czy
On je otwiera, kiedy ty je zamykasz, czemu
Jest kruchy jak spalona zapałka
Jak będziesz żył
Kiedy śmierć go zabierze – ¹⁷¹*

O powiązaniach twórczości szczecińskiego poety z klasycystyczną poetyką pisało wielu badaczy literatury. Jan Krzysztof Adamkiewicz w recenzji pt. „Cicho, mądrze, klasycznie” stwierdził: „Poezja Stanisława Zajączka nie jest liryką krzyku, emocjonalnego rozedrgania; nie jest wielopiętrową budowlą ze słów, w której by trzeba przechodzić z jednego piętra znaczeń na piętra inne. Nie są to wiersze sytuujące się w nurcie „romantycznym” czy „sentymtalnym”, lecz mieszczą się w jeszcze innej poetyce, w „neoklasycyzmie”, w poetyce precyzyjnego słowa i filozoficznego zamyślenia, refleksji. Formuła „klasyczności”, którą przypisuję wierszom Zajączka, choć nie ma być wyróżnikiem wartościującym – określa jednak immanentny porządek, który jeśli jest cechą właściwą wszystkich świadomych praktyk poetyckich, to w nurcie „klasycznym” pełni dodatkowo funkcję ustalania pewnej „hierarchii ważności”. Dążenie do klasycznego porządku określa nie tylko wzajemny stosunek poziomu stylu i poziomu świata poetyckiego, ale motywuje też wewnętrznie oba te – integralnie ze sobą związane i uwarunkowane wzajemnie „sposoby istnienia” wiersza”.¹⁷²

170 W: „Poglądy” 1976, nr 23., Janusz Styczeń, *Dziwny klasycysta*.

171 Stanisław Zajączek, *Ziarnko piasku*, Warszawa, Wyd. Czytelnik 19, s. 78, s. 42.

172 W: „Nowy Wyraz” 1978, nr 9., Jan Krzysztof Adamkiewicz, *Cicho, mądrze, klasycznie*, s. 114.

List od Małego Księcia

*Tak, to ja
Jestem ten Mały Książę na Księżycu
Na cyku.
Zgubiłem różę, za to
Nauczyłem się zjadać szkło. Jakoś
Daję sobie radę, chociaż
Trochę tu zimno, a moje zęby
Dzwonią wciąż o jeden i ten sam brzeg szklanki. Tak,
To ja, ten Mały Książę Który Daje Sobie Radę. Zjadam szkło
A szkło nie zawiera kalorii. Nie tyję. Już niedługo
Anioł nocny stróż, zawisak, niepylak apollo
Weźmie do ust wielki gwizdek
Z małym groszkiem Ziemi w środku
I zagwizdże na wieczorny apel. Ustawię się
W dwuszeregu
I pokryję się ze sobą.
Wyrównam się do siebie lewego i siebie prawego
Odliczę się od jednego
Do nieskończoności,
Wtedy powie występ. To będzie występ autorski.
(...)¹⁷³*

W 1978 r. Konstanty Pieńkosz w analizie pt. „Klasycy już odchodzą” przywołał wielu debiutantów lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, m.in.: Bohdana Zadurę, Witolda Maja, Stanisława Stabro i Stanisława Zajączka, którzy zgłosili akces do szkoły neoklasycyzmu. Była to dla nich dobra szkoła poetycka, która uczyła posługiwania się ładną frazą, ćwiczyła smak poetycki i rozwijała umiejętność pisania sonetów czy oktostychów. Ale poeci – uczniowie tej szkoły zaczęli od niej odchodzić, zmieniać swój warsztat, lekceważyć jej przepisy i dogmaty. „Teraz z szeregów tych ubywa Stanisław Zajączek, autor głośnego przed trzema laty debiutu „Ja i mój kumpel Meegeren”. Jego drugi tom „Ziarnko piasku” (...) wyraża również chęć odejścia. Oczywiście pozostaje charakterystyczny, recytacyjny, swobodny styl posługiwania się tworzywem, pozostają także pewne motywy. Ciekawy to fenomen – ów polski neoklasycyzm (...). Zajączek (...) wie, że kultura to nie przedmiot, który można sobie oswoić i z którym można podjąć grę ku własnej satysfakcji

173 Stanisław Zajączek, *Ziarnko piasku*, Warszawa, Wyd. Czytelnik 1978, s. 11.

i uciesze publiczności. Dialog z kulturą, jaki podejmuje poeta, nie może pominąć „aspektu organicznego” – psychosomatycznej kondycji człowieka, który kulturę tworzył i tworzy. W debiutanckim tomie kultura stanowiła przestrzeń zamkniętą i oswojoną, stanowiła przestrzeń refleksji poety, teraz staje się też przestrzenią materialną, biologiczną.”¹⁷⁴

Nieco inny głos można usłyszeć z ust Marka Sołtysika, który w recenzji pt. „Twarz człowieka” położył akcent na dojrzałość poetyckiego przekazu autora „Ziarnka piasku”: „Myślę, że w drugim tomie wierszy Stanisław Zajączek mówi całkiem już własnym głosem. Że to już nie jest zapowiedź; że jego poezję należy brać jako spełnioną, wypełnioną wrażeniami i zdarzeniami, które są domeną autorską jego – i chyba niczyją więcej. Gdy w wydanym przed trzema laty tomie „Ja i mój kumpel Meegeren” celowo przedstawił czytelnikom swój słuch łatwy na wszelkie głosy i mowy, naśladując je zgrabnie, acz nie bez ironii, tak w „Ziarnie piasku” swoim już głosem opowiada, co przeżywa boleśnie; żali się – i nie znajduje wyjścia. (...) Nie ma złudzeń w tych wierszach. Jest smutna rezygnacja. Stężyła ogień. Świadectwo... (...) W świecie Stanisława Zajączka – i przecież w jakimś sensie w świecie, w którym i jemu, i nam przyszło żyć – takie jest pomieszanie, że nawet pan Bóg odwołuje potop („Bajka o Gilgameszu”): żonę, niby medykament bierze się na noc, na sen („Na noc, na sen”); niemowa roznosi ostatecznie wiadomości („Zwiastowanie”); tonie łódź z pasażerami i samym Charonem („Przeprawa”).¹⁷⁵

Wśród wierszy jest na szczęście ten, który rozjaśnia tom przeblyskiem optymizmu:

Modlitwa matki z Betlejem

*Wierzę w miłość człowieka do człowieka
W jej świadectwo niewiarygodne
W radość ciał nadaremnych, które czynią
rzeczy wszechpotężne
W uśmiech wygnańców, którzy spotykają się
u wrót spalonego raju
W oczy widzące twarz, której nie ma Bóg
W ręce, które znalazły klucz i z których klucz
wypadł.*

174 W: „Poezja” 1978, nr 10., Konstanty Pieńkosz, *Klasycy już odchodzą*, s. 130.

175 W: „Nowe Książki” 1978, nr 18., Marek Sołtysik, *Twarz człowieka*, s. 85.

*Wierzę w miłość, która nie ocali i nie będzie
ocalona.*

*Wierzę w miłość człowieka do człowieka
Która jest
Zaledwie.¹⁷⁶*

„Jest w tego typu poezji pewien optymizm utajony w składni języka, którym się ta sztuka posługuje. To ona może być nośnikiem przeświadczenia, że wbrew katastroficznym diagnozom nie wszystko stracone. Język poezji Zajączka jest przejrzysty, klarowny, w jego regułach nie ma takich pęknięć, ponad którymi nie dałoby się przerzucić pomostu sensów. Jego składnia podkreśla związki, a nie ich brak, wskazuje bardziej na nawiązania, a nie przypadki, rejestruje w swych zasadach, a nie chaos rzeczywistości. Brak tu jakichś gwałtownych przestrzeni, szczególnie odległych metafor, zaskakujących inwersji, skojarzeń nie do zrekonstruowania. Często wykorzystuje Zajączek reguły języka protokolarnego, które pozwalają mu również ukazać, jak pod proponowaną przezeń przejrzystością kryje się zafałszowana rzeczywistość.”¹⁷⁷

Bajka o młotku

*Patrzę na ciebie miedziana kulo smutku
Która wewnątrz jesteś pusta i lekka.*

*Patrzę na ciebie oddalona gwiazdo
Która jesteś znakiem
Powieszonym na stryczku jednego słowa.*

*Patrzę na ciebie młotku
Którym do drzewa wiadomości złego i dobrego
Mój język przybiją.
Wiersz wczorajszy umiera ptakiem ponad progiem
A cały morał w gwoździu.*

W 1987 r. został wydany trzeci tom poetycki Stanisława Zajączka pt. „Oko jeziora”. Jego piękna szata graficzna, autorem której jest Maciej Woltman, jak i recenzje wspomnianej książki przypisały ją do literatury dziecięcej. Nieco niesprawiedliwe wydaje się być zawężenie czytelniczego kręgu, bowiem czujność i głębia, z jaką poeta przygląda się światu ma rys filozoficzny, a prosta forma

176 Stanisław Zajączek, *Ziarno piasku*, Warszawa, Wyd. Czytelnik 1978, s. 28.

177 W: „Nurty” 1978, nr 11., Kazimierz Nowosielski, *Nie jesteśmy wykluczeni*, s. 31.

zamyka obserwacje godne rozwiniętych rozpraw. Z całą pewnością zawarło się w nich zamiłowanie Stanisława Zajączka do wędkowania, uczestniczenia w wodnym życiu, rozumienie jego skomplikowanych zależności. Wrażliwość i mądrość obserwatora – poety prowadzi czytelnika szuwarami, brzegami, zaznajamia z przyrodą i pozwala czytelnikowi snuć refleksje na temat jej prawideł oraz znajdować w nich odbicie ludzkich spraw.

Rybitwa

*Widzisz
na drugim brzegu
złamane skrzydło ucztowiecza ptaka
kreśli na piasku
znak przymierza.
Ale pomiędzy wami woda
wielka
głęboka.*¹⁷⁸

Maria Piasecka w recenzji pt. „Widzi cię oko jeziora” zauważyła: „Autor ukazuje tutaj przyrodę w sposób, można rzec, romantyczny, jako żyjącą całość; człowiek wnika w nią patrząc i wsłuchując się, a zarazem jest kimś przez nią samą obserwowanym. Tytuł tomiku (...) to metafora widzącej natury, z którą można spotkać się „oko w oko”. Jaka rola przypada tu dziecku, głównemu adresatowi książki? Widzi ono więcej, pełniej – sugeruje Zajączek w jednym z wierszy. Dziecko byłoby więc nie tylko odbiorcą tej poezji, ale potencjalnym twórcą, poetą mimowolnym. Przyroda, która stanowi przedmiot dziecięcych fascynacji od najmłodszych lat, ukazana jest w „Oku jeziora” jako świat wzajemnych odbić. Doznanie obcości, konsternacji, a następnie oswojenia i mimo to – tajemnicy – jest dla dziecka niezwykłym doświadczeniem, gdy pierwszy raz ogląda swe odbicie w lusterku. Odbicie jako sposób widzenia natury byłoby w poezji Zajączka zatrzymaniem i rozszerzeniem tego dziecięcego doznania.”¹⁷⁹

Analizie poddała tom szczecińskiego poety również Urszula Chęcińska w artykule pt. „Literatura dla dzieci i młodzieży”, w którym pisze: „Według Joanny Kulmowej, Zbigniewa Brzozowskiego, Artura Daniela Liskowackiego i Henryka Banasiewicza optyka „zadziwionej światem dziecięcości”, wyrażana w kategoriach dziecięcej, mitotwórczej wyobraźni i mentalności, nobilituje

¹⁷⁸ Stanisław Zajączek, *Okno jeziora*, Szczecin, Wyd. Glob 1987.

¹⁷⁹ W: „Nowe Książki” 1987, nr 9., Maria Piasecka, *Widzi cię oko jeziora*, s. 61.

utwory adresowane do dziecięcego odbiorcy. Dziecko przez swą infantylną pokorę i ufność wobec świata, a tym samym intelektualną chłonność i wrażliwość, staje się indykatywnym wzorem do naśladowania, a wypełniająca liryczno-baśniowe światy paidialna naiwność stanowi wartość nadrzędną.¹⁸⁰

Noc

*Niebo gwiazdziste rozdwojone masz u stóp
Jezioro chmurami kołysze
Cisza jest w tobie rozmową
Ona milczenie słyszy
Jak ryby między palcami skaczą w falach gwiazdy
Jesteś tu nikim i tu jesteś wszystkim
Obcy a przecież tutejszy
Zarzucaś wędkę ku Rybom – jak oddech wstrzymujesz życie
Znaki pisane na wodzie czytasz dotykiem i wzrokiem
Na szalach Wagi spoczywa mgła twojego oddechu
Tak w jeden świat się łączy co było dwójką Bliźniąt
Staje się światłem najjaśniejszym noc.*¹⁸¹

Natura i człowiek przenikają się w wierszach Zajączka wzajemnie, odbijają wielokrotnie w sobie, szukając utraconej jedności – ale nie tylko odbicia stanowią temat zamieszczonych w tomie wierszy. To również troski moralne, które przywołują echa oświeceniowych bajek. Ich filigranowa forma mieści w sobie i zachwyty pięknem natury, i lęk o nią, i ślad człowieka burzący jej harmonię.

Boleń

*Wygięta w srebrny łuk
tuż, u stóp
dostrzegalna w mgnieniu
nieskończenie podzielnej chwili
strzała śmierci
tak piękna i obca:
że boli każda myśl,
że zamykasz oczy
– zawsze o chwilę za późno –*

180 W: „Przegląd Zachodniopomorski” 1995, nr 2, Urszula Chęcińska, *Literatura dla dzieci i młodzież*, s. 174.

181 Stanisław Zajązek, *Oko jeziora*, Szczecin, Wyd. Glob 1987.

*i choć wiesz: twój brzeg
jest bezpieczny,
wolisz nie patrzeć na ręce
wyciągnięte w geście powitania,
po których powoli
spływają drobne, świetliste
krople wody
– jedyny ślad.¹⁸²*

Tom „Oko jeziora” to również zapis cyklu pór roku. Dla dziecka – wieczność, dorosłemu ledwie kilka mgnień. Poeta wprost tytułuje wiersze, zachowując w zbiorze ich chronologiczny porządek: wiosna – „Czas się otwiera jak dłoń/ a w niej woda/ czysta/ przejrzysta”¹⁸³, lato – „(...) z tego gorąca zieleń się sobie przejadła /i tak się zazieleniła aż się zmęczyła i zbladła”¹⁸⁴, jesień – „codziennie cieńsza kreska horyzontu/ głosy codziennie czystsze, barwy wyraźniejsze /co dzień się bardziej wypełniają sobą/ niebo i woda, ptaki, drugi brzeg.”¹⁸⁵ I zima – „Pod bielmem śniegu/ trzaska lód pękający/ jakby spojrzenie chciało się wyzwolić (...)”¹⁸⁶

Tom zamyka tytułowy wiersz, który kończy się, pointując:

*Wszystko się w sobie odbija i wszystko się sobą wypełnia,
Patrząc, jak ty i jezioro, ponad brzegami widzenia.¹⁸⁷*

Rok 1994 przyniósł czytelnikom czwarty tom twórczości poetyckiej Stanisława Zajączka – Wydawnictwo „13 Muz” zaproponowało zbiór „Zeznanie szczurołapa”, będący swoistym uporządkowaniem wierszy i paraboli z lat 1970–1990. Znalazło się w nim 35 utworów o zróżnicowanej tematyce, ale spiętych klamrą charakterystycznej dla Zajączka czujności spojrzenia i oszczędnej formy opowiadania doświadczanego i przeżywanego świata. Tytułowe zeznanie szczurołapa nawiązuje do dolnosaksońskiego, ludowego podania o fleciście z Hameln – mocą swego cudownego instrumentu i płynącej zeń muzyki wyprowadził z miasta szczury, które nawiedziły je prawdziwą plagą. Według legendy odprowadził je do Wezery, w której się utopiły,

182 Tamże.

183 Tamże.

184 Tamże.

185 Tamże.

186 Tamże.

187 Tamże.

przynosząc ulgę mieszkańcom Hameln, nie przynosząc jednak grajkowi zapłaty za wykonaną pracę, dlatego szczurołap zemścił się na skąpych ludziach, w podobny sposób wyprowadzając w nieznaną ich dzieci. Jaki ślad tej historii znajdziemy u Stanisława Zajączka?

Zeznanie człowieka z Hameln

*To prawda
nie było żadnych szczurów;
to wasze dzieci przegryzały worki ze zbożem,
grzbiety ksiąg zamknięte w metalowe klamry,
sznury dzwonów
spadających z hukiem
pękających serc.
Wykonałem zlecenie. Zabrałem je. Są teraz
na wielkich odległych łąkach. Jak było do przewidzenia
najstarsze zaszły najdalej. Ale to wasza krew.
Powiadają, że wrócą, że ich pogryzione palce
utrzymają otółwek
i sumę w waszych księgach podzielą na winien i ma
a ręce uniosą dzwony
ponad płomienie wież.
Tak mają się sprawy;
zatem powiadam wam
nie zabijajcie mnie jeszcze.*¹⁸⁸

W komentarzu Izabeli Bembenek – autorki recenzji „Uzdrowienie bez Wezery” znajdziemy słowa: „Zeznawać i opisywać – to pierwsze uzdrowienie dla Szczurołapa. Hameln. Magiczna nazwa, która dookreśla rzeczywistość, urealnienia świat, a jednocześnie czyni go uniwersalnym. By pojąć tak postrzeganą zewnętrzność, należy odkryć w niej to, co zastane i utrwalone raz na zawsze. By wystąpić przeciwko schematom, należy przewartościować istniejące wartości. Odwrócić znane toposy i ulec w ten sposób uzdrawiającej prokreacji. To druga czynność, jaką może wykonywać Szczurołap (ale nie czarodziej) – podmiot liryczny wpisany w cykl wierszy i paraboli autorstwa Stanisława Zajączka.”¹⁸⁹ Poeta odwołuje się w nich do miejsc – symboli. Powyżej – do Hameln, w innym miejscu do wyspy Cytery czy Schlaraffenland, jednak wyspie daleko do

188 Stanisław Zajączek, *Zeznanie szczurołapa*, Szczecin, Wydawnictwo 13 Muz, 1994, s. 32.

189 W: „Pogranicza” 1994, nr 1, Izabela Bembenek, *Uzdrowienie bez Wezery*, s. 81.

królestwa miłości, a rajowi próżniaków do krainy pieczonych gołąbków. Zajęczek nadaje tym symbolom nowy porządek, w którym człowiek musi odnaleźć na nowo swoje miejsce, zrozumieć siebie, odszukać więź łączącą go z naturą. I więź łączącą go z życiem.

Pani Malinowska

*Pani Malinowska
czyta książkę doktora Ramsaya
„Życie po życiu”, dowiaduje się
że po śmierci nie przestaje się żyć;
trzeba tylko wejść posłusznie w długi tunel
z krążkiem białego światła na końcu.
Trzeba iść
nie oglądając się na aniota.
Pani Malinowska
Zamyka książkę
przygląda kołdrę
czeka uspokojona.
Ale życie nie przychodzi –
Ale śmierć nie mija – ¹⁹⁰*

Świat przedstawionych wierszy to rzeczywistość nietatwa. Gdzie szukać ucieczki? Może w bajkę, których znajdziemy kilka, podobnie jak w pozostałych tomach poetyckich Zajęczka? Te jednak nie kołyszają, nie tworzą intymnego klimatu uspokojenia, wręcz przeciwnie – zostawiają zadrę niepokoju, choć powołują się na jasny dzień, na ciszę, na dom.

Bajko o domu

*Ala ma dom
Dom ma komin
Z komina leci dym
Prosto do nieba
Którego nie ma
Na białej kartce.¹⁹¹*

„Zeznanie szczurołapa: wiersze i parable 1970-1990” to zbiór tak różny, jak różny może być zbiór okresu dwudziestu lat. 35 utworów dotyczących 35

190 Stanisław Zajęczek, *Zeznanie szczurołapa*, Szczecin, Wydawnictwo 13 Muz, 1994, s. 20.

191 Tamże, s. 11.

tematów, rozpoczynających się tekstem pt. „O definicji”, a kończący wierszem „To czego nie ma”. Układ ten z pewnością nie jest dziełem przypadku...

To czego nie ma

*To czego nie ma było ale nie jest
Czego nie było a jest rzeczywiste
To co się stało i się nie odstanie
Co wodą w piasku znika wysycha jak łza
Pod trawą chodzi ziemią się zapładnia
To czego nie ma a było a jest¹⁹²*

192 Stanisław Zajączek, *Zeznanie szczurołapa*, Wydawnictwo 13 Muz, Szczecin 1994, s. 39.

WYWIADY

Czesław Kuriata

Poeta, prozaik, publicysta, autor słuchowisk radiowych – należał do najwybitniejszych pisarzy w naszym województwie. Urodził się 29 kwietnia 1938 r. w Marcelówce na Wołyniu. Po II wojnie światowej, w 1945 r. wraz z rodzicami zamieszkał w Koszalińskiem. Uczył się w Bobolicach, maturę zdał w 1955 r. w Białogardzie, w 1960 r. ukończył filologię polską na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. W latach 1960-1984 był redaktorem Polskiego Radia Koszalin, a od 1965 r. kierownikiem Redakcji Literackiej. Napisał wiele słuchowisk radiowych, w których występowali aktorzy Bałtyckiego Teatru Dramatycznego im. Juliusza Słowackiego w Koszalinie i Teatru Dialog. Współorganizował koszaliński oddział Związku Literatów Polskich oraz był jego pierwszym i wieloletnim prezesem. Debiutował jako poeta wierszem „Człowiek i ludzie” na łamach tygodnika „Ziemia i Morze” w 1956 r. (nr 9.), a tomikiem wierszy „Niebo zrównane z ziemią”, do którego wstęp napisał Julian

Przyboś w 1960 r., i tomik ten został przez krytykę uznany za najlepszy debiut roku 1961.

Opublikował trzydzieści książek, m.in. powieści: „Galop do Wielkiego Lasu”, „Naprawdę już po wojnie”, „Zorze archangielskie”; opowiadania: „Upominek jubileuszowy”, „Dziewczyna pod kwiatami”, „Wino pestkowe”,



Czesław Kuriata (zdj. archiwum rodzinne)

„Spowiedź pamięci”, „Miłość legendą innych”, „Zapiski prowincjonalnego pisarza” (wspomnienia), „Słuchowiska i opowiadania”; tomiki wierszy: „Wyznania najprostsze. Wiersze o miłości.”, „Trójwyznanie”, „Cień, który wchodzi do środka”, „Miara dłoni”, „Kłania się wam Gogol”, „Polskie pryszcze”, „Cztery poematy”, „Wiersze wybrane” (w wyborze Tadeusza Nowaka). Jest także autorem dwóch poematów historycznych „Powrót księcia Eryka” i „Bogusław X” oraz książek dla dzieci: „Ile zawodów ma mama”, „Zabawa w wyobraźnię”, „Wiersze, bajki i zagadki”, „Wiersze dla najmłodszych”, „Znaki zodiaku młodych Polaków”. Jego utwory znajdują się w wielu podręcznikach szkolnych. Poezja i proza Czesława Kuriaty ukazała się w 14 językach obcych, noty o pisarzu i teksty znajdują się w kilkudziesięciu polskich antologiach literackich i obcojęzycznych, m.in. w: „Neue polnische Lyrik”, „Polskie nowelisty”, „The New Poetry”, „Chimn na rkata” oraz słownikach, m.in. w Anglii, Indiach i USA.

W latach 1969-1974 był członkiem kolegium redakcyjnego miesięcznika „Pobrzeże”. W 1972 r. został redaktorem comiesięcznej wkładki do dziennika „Głos Pomorza” pod tytułem „Magazyn Literacki”, w 1977 r. redaktorem „Arkuszy Poetyckich Młodych”, dodatku do kwartalnika „Profile Kultury”, wydawanego przez Koszalińskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne. W latach 1983-1985 był członkiem zespołu redakcyjnego tygodnika „Morze i Ziemia”. Publikował wiersze, prozę, artykuły i recenzje w „Pomorzu”, „Współczesności”, „Tygodniku Zachodnim”, „Zarzewiu”, „Odrze”, „Zielonym Sztandarze”, „Nadodrze”, „Życiu Literackim”, „Literach”, „Tygodniku Kulturalnym”, „Faktach i Mitach”, „Płomyczku”, „Głosie Pomorza”. W latach 1997-1998 redagował miesięcznik literacki „Arkona”, w latach 1998-2002 zasiadał w radzie miasta Koszalina. Otrzymał wiele nagród i wyróżnień literackich, m.in.: na Łódzkiej Wiośnie Poetów, w konkursie o Nagrodę Czerwonej Róży, Nagrodę Pobrzeża i dwukrotnie Prezesa Radia i Telewizji za literacką twórczość radiową, odznaczenia: Złoty Krzyż Zasługi, Zasłużony Działacz Kultury, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Srebrny i Złoty Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”. Zmarł 12 października 2022 r. w Koszalinie.

O dobro mojej liry

Ludmiła Janusewicz: Czesławie, jesteś uznanym i znanym pisarzem, zwłaszcza na terenie Pomorza, ale jeśli możesz, przypomnij czytelnikom, jak to się stało, że do twojego debiutanckiego tomiku wierszy „Niebo zrównane z ziemią”, który otrzymał pierwszą nagrodę za najciekawszy debiut książkowy roku 1961, wstęp napisał znakomity poeta awangardowy Julian Przybóś?

Czesław Kuriata: Przybosia poznałem na którymś z czwartków literackich w poznańskim ratuszu, gdy pisałem pracę magisterską o polskiej awangardzie poetyckiej. Redaktorem mojej debiutanckiej książki „Niebo zrównane z ziemią” w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej był Wiesław Myśliwski, wtedy jeszcze nieznany jako pisarz, zadebiutował później, bo w 1967 roku powieścią „Nagi sad”. Otóż Wiesław poprosił Przybosia o napisanie kilku słów wstępu do tomiku, i te kilka słów poety: „(...)To, co poeta tworzy, tworzy jego samego. (...) Wypowiedział Pan dopiero pierwsze słowa, ale słyszę wśród nich już Pana własne. Niechże te własne, wypowiadające przetworzonego przez nie Czesława Kuriatę, nabierają w ciągu dalszej Pańskiej pracy poetyckiej takiej szerokości znaczeń, żeby zostały dostarczane przez wszystkich „ – narobiły wiele szumu. We „Współczesności” ukazała się recenzja napisana przez młodego poetę pod znamienym tytułem „Epigonizm pod wysokim protektoratem”, ale po tym ataku... w mojej obronie stanęli znani poeci: Stanisław Czernik, Julian Rogoziński, Marian Grześczak i inni. Debiutowałem na studiach, a pisząc, automatycznie wchodziłem najpierw w poznańskie, a później w ogólnopolskie środowisko literackie. Nie czułem żadnej granicy, bariery. Potem natomiast w Koszalinie, gdzie nie było pisarzy, sam współtworzyłem środowisko literackie. Nigdy nie żałowałem, że przeszedłem przez szkołę Przybosia, bo była czymś zupełnie nowym w poezji.

L.J.: Co było ci bliskie w światopoglądzie artystycznym i poetyce Juliana Przybosia?

Cz.K.: Fascynowała mnie awangarda polska z teorią Peipera, którą Przybóś przyjął i rozwinął. Awangarda, nawiązując do postępu w poezji światowej, przeciwstawiała się Skamandrytom. Warsztatowo, między innymi, rzecz polegała na tym, żeby z wiersza wyrzucić tzw. watę poetycką; miał to być wiersz bez katarynkowego i monotonnego rytmu. Pointa miała być rozłożona

w całym wierszu, nie zaś na końcu, a wiersz – metaforą składającą się z wielu metafor. I to w sensie warsztatowym bardzo mi odpowiadało.

L.J.: *Poetom Orientacji patronowała między innym także Awangarda. Czy byliście sobie bliscy programowo?*

Cz.K.: A kto im nie patronował, wkraczali na Parnas gromko i wcale nie fruwając na kapryśnym Pegazie, ale twardo stąpając po ziemi, pod wielkim sztandarem, z transparentem. Wartości jednak pozostały, uważam przynajmniej trzech poetów z Orientacji za znakomitych, nie wspominając o Edku Stachurze, który w pewnym momencie grupę opuścił.

L.J.: *Jaka była wówczas relacja między uznanymi pisarzami a debiutantami?*

Cz.K.: Starsi, cieszący się autorytetem w środowisku literackim i czytelniczym pisarze, jak Jarosław Iwaszkiewicz, Stanisław Piętak, Stanisław Czernik, Wiktor Woroszyński, Artur Międzyrzecki, Stanisław Grochowiak naprawdę interesowali się debiutami poetyckimi. Nie do uwierzenia, ale tuż po debiucie w prasie wydrukowałem kilka kolejnych wierszy i... wyobraź sobie, otrzymałem pocztówkę od Kazimierza Wyki, w której ten wybitny krytyk napisał, że bardzo zainteresowały go moje teksty. Rzecz jasna, ani ja jego, ani on mnie nie znał osobiście. Może i dziś tak się dzieje, kto wie...

L.J.: *Później większą rolę promocyjną zaczęły odgrywać grupy poetyckie. Ty jednak nie należałeś do żadnej.*

Cz.K.: Na pewno przynależność do grupy zwiększa szansę publikacji (wspólne kolumny, almanachy), siłą przebicia (spotkania autorskie, nagrody, dostęp do wydawnictw). Przykładem na to, ile daje grupa, była np. Orientacja Poetycka „Hybrydy”, której wodzem był Jerzy Koperski-Leszin. Oczywiście poza grupą byłem bardziej samotny, ale także bardziej wolny. Nota bene w latach 80. ubiegłego wieku spotykałem się częściej z Jurkiem, ale to wiesz, bo przecież razem z nim i z Młodzieżową Agencją Wydawniczą organizowaliście Warsztaty Literackie „O sens słowa” w niedalekim od Koszalina Strzekocinie, w Białym Pałacu. No i jacy znakomici literaci mieli tam wykłady!

L.J.: *To fakt, Andrzej Krzysztof Waśkiewicz, Marek Wawrzekiewicz, Tadeusz Ol-szański, Tadeusz Lewandowski, Czesław Kuriata, Zbigniew Jerzyna, Jerzy Leszin-Koperski i inni. Rozmowy o literaturze w środku lasu i wśród grzybów, piękne to były czasy, ale wracając do Ciebie, co skłaniało Cię i skłania do pisania?*

Cz.K.: Piszę, gdy zostanę czymś, a nawet kimś sprowokowany. Motywów pisania jest więcej. Nie pisałbym pewnie, gdybym był zadowolony z życia,

ale i gdybym nie był chwilami szczęśliwy. Sztuka, a w tym i poezja, jest wtórna w stosunku do życia. I w tym kontekście nieporozumieniem jest czynienie poety odpowiedzialnym za cały świat, podobnie jak idiotyzmem jest twierdzenie, że jest on niepotrzebny. Poeci nie przynoszą ludziom nieszczęścia, najczęściej sami są nieszczęśliwi, ich nieszczęście polega na ich inności, jakże inny był np. Edek Stachura, Rysiek Milczewski-Bruno i inni.

L.J.: *Czy uważasz, że pisarz powinien włączać się w działania kulturalne i polityczne?*

Cz.K.: Jeśli ma ku temu predyspozycje i taką potrzebę. Sam kiedyś uważany byłem za działacza społeczno-kulturalnego, gdy jest się prezesem ZLP, trudno nim nie być. Jednakże z doświadczeń wiem, że na ogół działalność społeczna pisarza przynosi niewspółmiernie małe efekty w stosunku do zużytej na to energii... Pisarz nie może bez reszty oddać się działalności społecznej, bo będzie to ze szkodą dla jego pisarstwa. Ale to też zależy od osobowości, każdy twórca jest inny.

L.J.: *W latach 70. zaproponowano ci pracę w radio w Warszawie, zapewniono mieszkanie, nie zdecydowałeś się jednak na przeprowadzkę, dlaczego?*

Cz.K.: Dlaczego? Sam nie wiem... Może po prostu stchórzyłem... przed wejściem w nową sytuację, w nowe układy. No i tu było mi całkiem dobrze.

L.J.: *Czy jako pisarz odczuwasz spadek zainteresowania literaturą w ogóle, a poezją w szczególności. A jeśli tak, to jakie są twoim zdaniem tego przyczyny?*

Cz.K.: Przeżywamy kryzys wartości duchowych. Społeczeństwo jest podzielone. Wielu czytelników do niedawna zainteresowanych literaturą, dziś za prawdziwych pisarzy uznaje tylko tych, którzy reprezentują zbliżoną do nich postawę polityczną. A względy artystyczne? Te liczą się coraz mniej. To też skutki kryzysu i rozbicia społeczeństwa. Tego zjawiska krytyka nie dostrzega... Jakiś czas temu jeden z recenzentów miał mi za złe, że piszę o polskim rodowodzie w swoich wierszach. A niby to jaką postawę miałbym przejawiać? Taki cyniczny gość oczywistą postawę patriotyczną nazwie prymitywnym szowinizmem, a przywiązanie do ojczystego kraju „biegunką zatroskanego tubylca”. Ale szerzej, poezji nigdy nie odbierano powszechnie, także w epoce romantyzmu. Mimo to poeci byli i są zawsze niepoprawnymi marzycielami, nawet Przybóś chciał, aby poezja stała się chlebem powszednim...

L.J.: *W Koszalińskim radiu prawie przez ćwierćwiecze pełniłeś funkcję kierownika Redakcji Literackiej. Odnosiłeś sukcesy w tej pracy. Dwukrotnie byłeś*

laureatem Nagrody Prezesa ds. Radia i Telewizji. Jakie miejsce zajmuje w twojej biografii twórczość radiowa i jak wpłynęła na twoje zainteresowania pisarskie?

Cz.K.: Pisałem między innymi słuchowiska radiowe, w których występowali aktorzy Bałtyckiego Teatru Dramatycznego w Koszalinie, m.in.: Andrzej Kopyczyński, Janusz Michałowski, Andrzej May, Alicja Jachiewicz, Jerzy Janeczek czy z „Dialogu” m.in. Adolf Domin. Może dlatego tak się stało, że w radiu zajmowałem się przede wszystkim literaturą. Tu powstały moje poematy „Powrót księcia Eryka” i „Bogusław X”. Piotr Kuncewicz, znakomity pisarz i krytyk oraz prezes ZPL po Jarosławie Iwaszkiewiczu, stwierdził, że zapoczątkowałem nimi odnowę tego gatunku w poezji najnowszej. Napisałem też swoją pierwszą powieść „Galop do Wielkiego Lasu”, którą najpierw zaprezentowałem w odcinkach na antenie, która była dla mnie i dla kolegów pierwszym sprawdzianem... A nasi słuchacze spełniali funkcję pierwszych krytyków. Pracując w Rozgłośni usiłowałem zachować status literata (oj, nie zawsze było to łatwe!). Nie chciałem stać się dziennikarzem w pełnym tego słowa znaczeniu, bojąc się właśnie o dobro mojej „liry”... W tym czasie opiekowałem się także debiutantami, publikowałem utwory kolegów pisarzy. Niewątpliwie Rozgłośnia przyczyniła się do rozwoju koszalińskiego środowiska literackiego, zwłaszcza w pierwszych latach sześćdziesiątych, gdy wszystko zaczęliśmy na tej ziemi od zera.

L.J.: Organizowałeś koszaliński oddział Związku Literatów Polskich.

Cz.K.: Tak, byłem współorganizatorem Oddziału i od 1965 roku jego pierwszym, a potem jeszcze kilkakrotnym prezesem. Dwa lata później odbył się w Koszalinie ogólnopolski zjazd z udziałem całej czołówki wybitnych pisarzy polskich... W annałach tego zjazdu można na przykład znaleźć zapis słynnej polemiki Putramenta i Kisielewskiego... Ale to dawne czasy.

L.J.: Na przestrzeni lat twoje wiersze się zmieniały, w ostatnich przeważa problematyka egzystencjalna, są one pewnym podsumowaniem twórczych i życiowych doświadczeń. Starasz się w nich wrócić do swojej prawdy, nawet do słabości, jeśli ona jest właśnie ludzką prawdą. Te wiersze znamionują wewnętrzną przemianę, dystans nie tylko do powszechnych opinii, wartości, ale i do siebie, twórcy tych wartości. Jak byś określił przyczyny tej przemiany?

Cz.K.: Zawsze interesowała mnie relacja jednostka ludzka a inni. No i świat na naszych oczach się zmienił i zmienia. Moja przemiana polegała na tym, iż młodzieńczą wiarę w prawie wszystko, powoli zaczął zastępować sceptycyzm. Daleko mi jednak do pesymizmu Schopenhauera! Choć sceptycyzm to też wiara niosąca twórczy stosunek do siebie, życia, sztuki, autokrytycyzm. Byłoby

rzeczą nienaturalną, gdybym nie ulegał przemianom, mam przecież i swoje lata!

L.J.: *Czujesz się bardziej poetą czy prozaikiem?*

Cz.K.: Z ducha jestem poetą. Gdybym miał jeszcze raz debiutować, znowu napisałbym tomik wierszy. Ale jednak ostatnio dłuższy czas pisałem prozę, dwa tygodnie temu skończyłem powieść „Na wschód od Odry”.

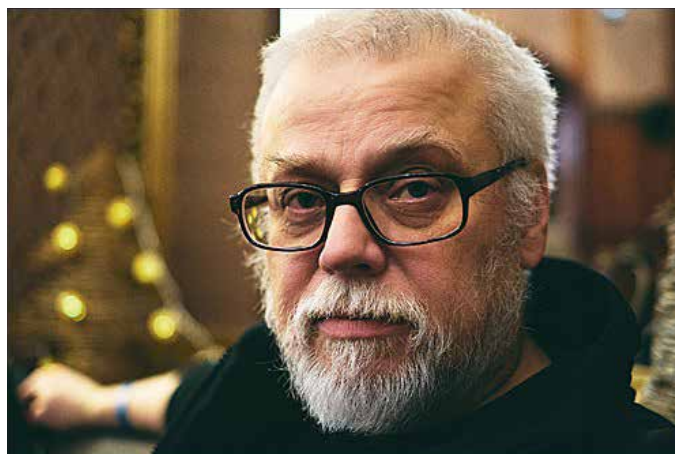
L.J.: *Jestem bardzo ciekawa tej książki. Mam nadzieję, że wkrótce zostanie wydana. Dziękuję serdecznie za tę wyczerpującą rozmowę.*

/lipiec 2022/

Dariusz Bitner

Powieściopisarz, autor opowiadań, szkiców literackich i książek dla dzieci. Urodził się 30 listopada 1954 r. w Gdyni. Od 1958 r. mieszka w Szczecinie. Tu ukończył Zasadniczą Szkołę Zawodową i Technikum Budowlane im. Kazimierza Wielkiego.

Zadebiutował w 1970 r., będąc uczniem ZSZ, na łamach tygodnika szczecińskiego „7-my Głos Tygodnia”, a już sześć lat później jego teksty ukazywały się w magazynie satyrycznym „60 minut na godzinę” – redakcji rozrywkowej Programu 3 Polskiego Radia. Później współpracował z tygodnikiem satyrycznym „Karuzela” i Polskim Radiem w Szczecinie. Jego utwory były publikowane w ogólnopolskich pismach literackich i społeczno-kulturalnych, m.in. w: „Twórczości”, „Miesięczniku Literackim”, „Literaturze”, „Nowym Wyrazie”, „Piśmie



Dariusz Bitner (zdj. archiwum prywatne D. Bitner)

Literacko-Artystycznym”, „Odrze”, „Akcencie”, „Radarze”, „Studencie”, „Nowym Nurcie”, „Pograniczach”.

Pracował jako asystent reżysera przy realizacji filmu *Alchemik*, a także w jego serialowej wersji *Alchemik Sendivius* oraz jako scenarzysta sztuki „Szlifierze nocnych diamentów” Zygmunta Daczyńskiego. W 1993 r. powstał o nim film *Kfzimodo. Dariusz Bitner* – fabularyzowany dokument poświęcony jego twórczości, w reżyserii Tomasza Lengrena. Pracował w agencji reklamowej Oskar Wegner. Założył i prowadził agencję dziennikarsko-literacką BASIL i pismo „BABORAK. Kultura Szczecińska”.

Przez pewien czas był stróżem nocnym w Miejskim Ośrodku Kultury w Szczecinie-Dąbiu oraz dziennikarzem w gazecie lokalnej. Od 2010 r. zatrudniony w dziale promocji i marketingu w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Szczecinie. Obecnie na emeryturze.

Powieści i opowiadania: „Proza” [miniatury prozatorskie] (1979), „Ptak” (1981), „Cyt” (1982), „Owszem” (1984), „Kfzimodo” (1989), „Ciąg dalszy” [eseje i felietony] (1989), „Trzy razy” (1995), „Chcę, żądam, rozkazuję” [eseje] (1995), „Bulgulula” [opowiadania] (1996), „Pst” (1997), „Rak” (1998), „Hm... Chcę, żądam, rozkazuję II” [eseje] (1999), „Na strychu” (1999), „Mna: Chcę, żądam, rozkazuję III” [eseje] (2000), „Psie dni” [opowiadania] (2001), „Piszę” [eseje] (2003), „Mała pornografia” (2003), „Książka” [powieść w opowiadaniach] (2006), „Jesień w Szczecinie” [powieść w esejach] (2011), „Wciąż jesień, czyli inne majaki cynamonowe” (2016), „Ostatnia jesień przed zimą, czyli koniec trylogii cynamonowej” (2018), „Fikcja” (2018), „Wędrowiec” (2020).

Książki dla dzieci: „Bajka” (1979), „Opowieści Chrystoma” (1992).

Nagrody i nominacje:

1982 – Nagroda im. Stanisława Piętaka,

1985 – Nagroda im. Andrzeja Bursy,

1987 – Nagroda Wojewody Zachodniopomorskiego,

1990 – Nagroda im. Edwarda Stachury za maszynopis książki *Sam w śmietniku słów*,

1996 – Wyróżnienie Fundacji Kultury za książkę *Bulgulula*,

1997 – Nagroda Fundacji Kultury za książkę *Pst*,

1999 – Nagroda Artystyczna Miasta Szczecina,

2019 – nominacja do Nagrody Literackiej Gdynia za książkę *Fikcja*.

W oczekiwaniu na cynamonowy „Cud”

Artur Justyński: Ostatnią swoją książkę zatytułował pan „Wędrowiec”. Idąc w ślad za tytułem, pozwoli pan, że wywiad ten będzie też swoistą wędrówką w czasie. Kiedy poczuł pan, że pisarstwo jest pana powołaniem, jak to się zaczęło?

Dariusz Bitner: 30 listopada 1954 roku moja mamusia urodziła mnie, w Gdyni. Pojawiłem się na świecie i wiedziałem, że będę pisarzem.

A.J.: Zadebiutował pan na łamach tygodnika „7-my Głos Tygodnia” w 1970 roku, a więc mając zaledwie 16 lat. Jakie były tego okoliczności?

D.B.: Bardzo dziwne. Przyniosłem ręcznie napisany tekst do redakcji przy Placu Hołdu, spodobał się i dowiedziałem się, że opublikują. Pamiętam, że to było przed świętami Bożego Narodzenia 1970 roku, że w przeddzień publikacji miałem telefon z drukarni, gdzie zbierano moje dane do notki (nie wiedziałem, że tak to się robi), z jakiej szkoły jestem, ile mam lat, takie informacje.

A.J.: Zaczął pan wydawać swoje książki w Wydawnictwie Literackim, to oni zgłosili się do pana? Jak to się zaczęło?

D.B.: Wysyłałem maszynopisy do wszystkich możliwych wydawnictw, wcześniej był maszynopis opowiadań, których nie przyjęto nigdzie, a potem „Ptak”. „Ptaka” też nie przyjęto, tam gdzie nie przyjęto opowiadań, natomiast przyjęto w Krakowie. Co było dla mnie zaskoczeniem. Nawet nie pamiętałem, że posłałem tam.

A.J.: To chyba było marzenie każdego pisarza. Czy wtedy pan tak to odbierał?

D.B.: Nie wiem, jakie są marzenia innych pisarzy, ale miałem nadzieję, że mi się uda. Nie udało się tak od razu, próbowałem kilka lat, nawet traciłem już nadzieję.

A.J.: Mówią o panu człowiek Berezy.

D.B.: Niech sobie mówią.

A.J.: Był pan zaprzyjaźniony z Henrykiem Berezą.

D.B.: Henryk Bereza był recenzentem drugiej mojej książki, która mu się tak spodobała, że zadzwonił do mnie z prośbą, abym pozwolił mu ją wydrukować w „Twórczości”. To był początek mojej z nim znajomości, a z czasem przyjaźni.

Siłą rzeczy stałem się autorem „Twórczości”. Przez wiele lat różne moje teksty tam się ukazywały.

A.J.: *Do tej pory się ukazują.*

D.B.: I chwalić Boga.

A.J.: *Założył pan pismo „Baborak Kultura Szczecińska”. Jaka jest geneza tej gazety?*

D.B.: W pogoni za doświadczeniami bardzo chciałem zostać wydawcą pisma, które miałyby jakieś znaczenie, choćby lokalne, i byłoby tytułem takim, którego nie będę się wstydził. Wymyśliłem formułę tego pisma, utrzymałem je przez dziewięć miesięcy, ale ponieważ wszystko robiłem praktycznie sam – mówię nie tylko o tekstach, byli tam również inni twórcy, z zewnątrz, ale musiałem ich pozyskać, zająć się redakcją – to w końcu zabrakło mi sił, a nie bardzo przychodziły pieniądze na zbudowanie jakiejś stabilnej redakcji. Miałem nadzieję w pół roku zyskać zaufanie ludzi, którzy mogliby mnie wspomóc. Wszystkim pomysł bardzo się podobał, ale pieniądź za tym nie szedł.

A.J.: *To było jedyne literackie pismo w tym czasie w Szczecinie?*

D.B.: To nawet nie było literackie. Pomysł był na taki lokalny magazyn kulturalny z ambicjami bardzo literackimi. Tam były też reprodukcje obrazów szczecińskich malarzy, recenzje. Ponieważ pismo było z zasady darmowe, to musiało się utrzymać z różnych, jeśli nie dotacji, to reklam. Najczęstszym doświadczeniem w poszukiwaniu reklam było oświadczenie bardzo silnego wtedy potentata, że on nie będzie inwestował w tak niszowe pismo, które według niego upadnie. No i taka właśnie postawa wszystkich, że pismo i tak upadnie, spowodowała, że pismo w końcu upadło.

A.J.: *W roku 1995 założył pan wydawnictwo Basil. Co zmotywowało pana do tego przedsięwzięcia?*

D.B.: Rewolucja przemysłowa w Polsce, zwrot moich maszynopisów z wydawnictw, wcześniej przyjętych entuzjastycznie, z opinią, że to się nie sprzeda, czego oczywiście byłem świadomy, bo nastał czas tanich, szybkich kryminałów i masowych produkcji. Pomyślałem, że aby ukazały się książki, które już miałem napisane, powinienem sam je wydać. To się oczywiście nie sprzedawało. Były to ilości dla wydawnictw nieatrakcyjne, ale dla mnie – owszem. Sprzedawałem te książki, jeżdżąc po Polsce, męcząc biblioteki miejskie i wiejskie, żeby kupowały.

A.J.: *Na łamach tego właśnie wydawnictwa wydał pan swoją książkę „Chcę, żądam, rozkazuję”. Czy wydawał pan także książki innych autorów?*

D.B.: Henryka Berezy. Pomyślałem, że mam jakąś powinność w stosunku do niego i jakieś usprawiedliwienie dla tego wydawnictwa, że nie jest to takie absolutnie na własne potrzeby. Zaproponowałem Berezie wydanie „Listów do Bitnera”. Zawsze mówiłem mu, że jego listy to takie mini eseje, bo tak było. Każdy list był rodzajem wręcz metaforycznej przypowieści. No i wydaliśmy książkę składającą się z dwóch części. Druga zawierała listy do Bitnera, a pierwsza – eseje o literaturze zatytułowane „Listy wewnętrzne”. To był jeden z moich lepszych ruchów, bo książka jest obecna i ważna do tej pory. Ładnie wydana, w twardej okładce, z obwolutą. Można ją do dziś kupić w internecie. Ludzie, którzy kupili ją kiedyś, umierają, a spadkobiercy wystawiają na sprzedaż. Można więc ją zdobyć nawet z dedykacją – od Berezy, oczywiście.

A.J.: *O Wiesławie Myśliwskim mówi się, że jest pisarzem wiejskim, który o wsi napisał wszystko, co można było napisać. Według mnie, jest pan pisarzem miejskim, który o mieście napisał chyba wszystko, co można o nim napisać. Czy zgodziłby się pan z takim stwierdzeniem?*

D.B.: To jest szufladkowanie, które jest bardzo miłe dla czytelnika, ale nie musi mieć wcale związku z prawdą. Myśliwski nie jest przecież pisarzem tylko wiejskim. To, że pisał o wsi, o niczym nie świadczy przecież. Ale rzeczywiście, ja jestem miejski, ja jestem chodzący po asfalcie i wdychający spaliny, i to się chyba nie zmieni.

A.J.: *Skąd u pana taka fascynacja miastem?*

D.B.: To nie jest koniecznie fascynacja, to jest raczej uwikłanie. Fascynacja byłaby, gdybym pisał peany o mieście, a ja się z miastem bardzo mocno szarpieć. Próbowałem uciec z miasta na wieś. Próbowałem uciec z miasta w nieistniejącą krainę, a nawet próbowałem uciec ze Szczecina do Warszawy. To wszystko się jednak nie udało, więc jestem pisarzem szczecińskim.

A.J.: *Szczecin to miasto z pana jesiennego cyklu, z trylogii cynamonowej, której pierwszym tomem jest „Jesień w Szczecinie, czyli majaki cynamonowe”. Dlaczego Szczecin – łatwo można się domyślić, ale dlaczego jesień i dlaczego cynamon?*

D.B.: Rozmawiałem dzisiaj z jedną ze swoich czytelniczek, która pomyślała, że napisze esej, opisując moją prozę jako prozę antynabokową. Uważa, że jest we mnie anty-Nabokov. To ją fascynuje i miała do mnie pretensje, że ja daję bardzo dziwne tytuły, zupełnie niezrozumiałe, takie jak „Cyt”. Więc strasznie niezręcznie jest mi się tłumaczyć z tytułów. Jeśli już pan uznał, że wiadomo

skąd Szczecin, to metafora jesieni jest opisana w książce. A cynamon. Jest tam taka fraza odnosząca się do „Sklepów cynamonowych”, jest sugestia, że moje pisanie jest rodzajem majaków. Jest to metafora obejmująca całość: i miasto, czyli przestrzeń, i jesień, czyli czas, i cynamon, czyli dusze.

A.J.: *Przyjechałem do Szczecina z centralnej Polski w 2010 roku, w czasie powstawania „Jesieni w Szczecinie”. Właśnie poprzez tę książkę poznałem pana twórczość. Był to dla mnie wstrząs z jednoczesnym zastanowieniem: jak mogłem nie słyszeć o pisarzu dysponującym takim warsztatem literackim, artystą piszącym tak wspaniałe książki. Jaki to był okres dla pana?*

D.B.: To był czas rozliczania się z miastem, ale i po części ze swoją twórczością. To był czas, w którym zacząłem pracować na etacie i zacząłem zdawać sobie sprawę, że właściwie nie starczy mi już czasu i sił na takie galopowanie przez swoje pasje literackie, więc w pewnym sensie miałem wrażenie, że zamykam pewien etap w moim życiu. Temu służyła pierwsza „Jesień”, a potem z rozpędu druga i trzecia.

A.J.: *Czy na przestrzeni lat pana pisarstwa trzeba było zabiegać o wydawców?*

D.B.: O wydawców zabiega się zawsze. Ja nie zabiegałem tylko po przyjęciu „Ptaka” przez Wydawnictwo Literackie. Kiedy napisałem drugą książkę, jedną z najważniejszych, czyli „Cyt”, nie musiałem już szukać. Wykonałem telefon z zapytaniem, czy chcą następną, powiedzieli, że jestem ich autorem i mam przysłać. To było jednorazowe doświadczenie, które mnie uwzniośliło. Życzyłbym dzisiejszym autorom, żeby w ten sposób doświadczali kontaktów z wydawcami.

A.J.: *W roku 2018 nawiązał z panem kontakt Państwowy Instytut Wydawniczy. Co było tego powodem?*

D.B.: Skontaktował się ze mną redaktor Paweł Orzeł, który znał moją literaturę z dawnych czasów. Zapytał, czy mam coś dla nich. Miałem w połowie napisaną, nieukończoną powieść, wysłałem mu tyle ile miałem, zainteresowała go, skończyłem ją. To była „Fikcja”.

A.J.: *„Fikcja” była nominowana w roku 2019 do Nagrody Literackiej GDYNIA. Czy i jak to wyróżnienie wpłynęło na pana pozycję jako pisarza?*

D.B.: To w ogóle nie wpłynęło.

A.J.: *W pana twórczości dużą rolę odgrywa kino. Jakie znaczenie ma ono dla pana?*

D.B.: Kino, muzyka, głównie lat 70., obrazy. Nie tylko kino. W kinie te trzy sztuki się ze sobą spotykają. W narracji często odwołuję się do filmowych wizji, tak bym to nazwał, nie scenariuszy, bo scenariusz to zupełnie co innego. Nawet chwilami moja proza staje się opowiadaniem filmu, łącznie z porysowanymi klatkami na tym filmie. Taką mam wyobraźnię, tak to widzę.

A.J.: *Czy są pisarze, którzy wywarli na panu szczególne wrażenie i którzy mają w pana twórczości szczególne znaczenie?*

D.B.: Zawsze, jak wymienię tych, którzy przychodzą mi do głowy, to później przypominam sobie, że są inni, ważniejsi, ale nie ulega wątpliwości, że Jorge Luis Borges, że Józef Mackiewicz i Sándor Màrai. Choć nie, odwrotnie – najpierw Màrai, potem Mackiewicz, bo w tej kolejności pojawili się na mojej półce. Ale między nimi było mnóstwo, mnóstwo innych. Nie jestem w stanie ich wymienić.

A.J.: *Jakby pan, jako pisarz, twórca scharakteryzował swoją prozatorską ars poeticę? Włodzimierz Bolecki w odniesieniu do modeli prozy dwudziestolecia międzywojennego, pisał m.in., że „poszerzają językowe możliwości narracji o coraz to nowsze obszary”.*

D.B.: Począwszy od mikropowieści „Cyt” jestem przyporządkowany nurtowi nazwanemu „rewolucją artystyczną”, kojarzonemu dziś z Berezą i tylko z Berezą, co jest o tyle nieprecyzyjne, że wszyscy autorzy spod tego znaku zawsze pisali tak, jak chcieli i co chcieli. Taki był ich jedyny wyróżnik, a znaczył jedynie, że (i z tym się identyfikuję) martwe piękno normy, języka literacko sformalizowanego, zastąpione zostało żywym pięknem tworzenia w języku. Myślę, że dotyczy to właśnie odkrywanie nowych obszarów narracyjnych. Jest w moim odczuciu tkanka poetycką wplecioną w prozę. Czymś ponad wyczytaną u Białoszewskiego frazę: „Markiza wyszła z domu o piątej”. Moją postawę twórczą, na potrzeby tej rozmowy, nazwałbym symbiozą ze słowem.

A.J.: *Są pisarze, którzy zaczynają swoją literacką drogę od hitu, a potem ich twórczość nie jest już tak znacząca. W pana przypadku jest odwrotnie. Czy już napisał pan książkę swojego życia?*

D.B.: No, „Cyt”! (śmiech).

A.J.: *Ale to pana druga książka.*

D.B.: To już wystarczy. Według wielu znanych mi opinii takim dziełem była „Fikcja”. Ale ja pracuję teraz nad jeszcze większym dziełem, utworem, który będzie jeszcze pełniejszą wizją tego, co chcę powiedzieć. Nie wiem, czy ktoś to wyda.

A.J.: *25 książek to dorobek ogromny. Niektóre pana książki mają bardzo oszczędne tytuły, np.: „Mna”, „Hm...”, z czego to wynika?*

D.B.: Tytuł doskonały powinien być nieobecny w książce. Chyba wszystkie te tytuły, które Pan wymienił są w książce obecne, ale jednocześnie mówią o całości. Usłyszałem kiedyś o tytule „Mna”, że to tytuł, który nic nie mówi czytelnikowi, nie zachęca go i nie wabi. Ja na to odpowiadam: tak, bo to nie jest pietruszka, która ma ładnie pachnieć. Jak nie wabi, nie nęci, to trudno. „Mna” jest tytułem, w którym zawiera się cała książka. To nie jest książka o mnie, to jest po prostu Mna.

A.J.: *Którą książkę darzy pan największym sentymentem?*

D.B.: Nie wiem, nie jestem w stanie powiedzieć. Ale jest taka fajna opowieść o książce pt. „Owszem”. To była moja trzecia książka, uważałem ją za swoją klęskę. Opinie o niej były takie, że to proza eksperymentalna, nudna, pozbawiona głębi, nazbyt prosta. Dałem się temu zwieść, nawet pisząc chciałem przerwać pisanie, myślałem, że zabrnę, miałem przeświadczenie, że nie będzie z tego sukcesu, a tymczasem okazało się, że to książka jedna z lepszych i czytana po czasie przez ludzi, którzy po raz pierwszy ją widzą, bez kontekstu, uprzedzeń. Mówią, że jest świetna. Więc może ta.

A.J.: *Którą chciałby pan zareklamować się czytelnikowi, który jeszcze nie sięgnął do pana twórczości?*

D.B.: Muszę zareklamować ostatnią, czyli „Wędrowca”. Muszę zareklamować przyszłą, czyli „Cud”. I od razu następną – „Fusy”.

A.J.: *Czy pisarska determinacja zmieniła się przez lata?*

D.B.: Leszek Bugajski, z którym rozmawiałem telefonicznie o książce „Cud”, powiedział, że ja nie muszę się już szarpać, nie muszę niczego udowadniać, bo ja już wszystko udowodniłem. Z jednej strony jest to bardzo przyjemna wiadomość, ale jednocześnie to strasznie demotywuje. Więc ta moja motywacja jest z jednej strony wielka, żeby udowodnić sobie, że jeszcze coś mogę, a z drugiej właściwie już mniejsza, bo już wszystko zrobiłem.

A.J.: *Czy patrząc z perspektywy czasu, zmieniłby pan coś w swoim pisaniu, żeby dotrzeć do szerszego grona odbiorców?*

D.B.: W dzisiejszych czasach mam przekonanie, że nie trzeba docierać do większego grona odbiorców. To przekonanie inne od przekonania wydawców. Też byłem wydawcą i jeździłem po hurtowniach z „Chcę, żądam, rozkazuję”, a oni nie chcieli jej przyjąć do dystrybucji z jednego powodu: okładka była szara, a hurtownia chce okładki kolorowe, takie, które się sprzedadzą. Ja już wyłączyłem takie myślenie.

A.J.: *Kiedy w Polsce pisało się najlepiej, a raczej kiedy najlepiej było się pisać w Polsce: za komuny, która promowała swoich pisarzy, czy teraz, kiedy własnym sumptem można wydać wszystko?*

D.B.: Widzę dwa przekłamania w tym pytaniu. Komuna promowała swoich pisarzy, ale to nie znaczy, że wszystkich promowała, bo nie każdy był pisarzem komuny. Choć takie tezy się stawia, że każdy kto pisał za PRL był na usługach komuny. A drugie, to że każdy może wydać swoją książkę, co tak naprawdę niczego nie zmienia.

A.J.: *W Wikipedii czytamy: Dariusz Bitner, prozaik, krytyk literacki, ale też, asystent reżysera, stróż nocny, dziennikarz, pracownik agencji reklamowej. Jak nie pisarstwo, to co z wymienionych byłoby pańskim zajęciem?*

D.B.: Myślę, że nie nadają się do niczego innego. Te próby zarabiania w inny sposób poświadczyły moje przekonanie i ostatnie 10 lat, w których pracowałem jako urzędnik, za biurkiem, mówią mi, że to nie jest świat mój.

A.J.: *Bardzo dziękuję za rozmowę.*

REFLEKSJE

Andrzej Maria Dzierżanowski

O literaturze

Literatura to szczególny rodzaj rozmowy. Autor przemawia do nieznanego mu osoby, o czymś opowiada, zwierza się lub przekonuje z nadzieją, że kogoś zaciekawia, może nawet zachwyci lub znajdzie w nim bratnią duszę. To ostatnie przypuszczenie wzięłem od Andrzeja Falkiewicza.

Znalezienie bratniej duszy bywa szczęśliwym trafem, zwykle jednak autorzy mogą liczyć tylko na odzew zbiorowy, pośredni i ogólnikowy. Tak więc klasycy w lekturach szkolnych lub na indeksach, pisarze popularni w dużych nakładach swych dzieł, poeci awangardowi w naśladowcach, a wszyscy – w głosach krytyki.

„Pisanie to walka, jaką artysta toczy z ludźmi o własną wybitność”. To zdanie Witolda Gombrowicza („Dziennik 1953-56”) odnosi się do wielu twórców. Jednak sama tylko walka, nawet wygrana, nie zapewnia trwałego zwycięstwa. Rdzeniem literatury jest dialog, gra przeciwieństw.

Tak toczy się od wieków ta dziwna rozmowa, w której słyszymy umarłych, mówimy do jeszcze nie urodzonych i dzielimy się mądrością lub przeciętnością z bytującymi współcześnie.

Z literaturą są związane wszystkie środki przekazu kultury, czyli media. Większość bezpośrednio (teatr, film, radio, telewizja itp.) inne przez notacje, opisy i tytuły. Tytuł dzieła, nazwa firmy czy produktu – to już literatura. Dobry slogan reklamowy wart duże pieniądze.

Zadziwiająco są w tych warunkach środki finansowe przeznaczone przez wszystkie nasze kolejne rządy na rozwój polskiej literatury. Są tak małe, że wstyd o nich wspominać.

Marek Stelar

Dlaczego warto czytać kryminały, czyli spojrzenie na literaturę z nieco innej strony

Pytanie zawarte w tytule niniejszego eseju może być traktowane jak prowokacja ze względu na charakter periodyku, w jakim Państwo macie okazję go czytać. Z jednej strony nie taka była moja intencja, z drugiej: czy prowokacja nie jest jednym z podstawowych zadań literatury? Sens tytułowego pytania jest wbrew pozorom dość głęboki. Od razu wyjaśniam, że zadaję to pytanie i zarazem na nie odpowiadam jako autor powieści kryminalnych, co oczywiście już na wstępie nadaje zarówno pytaniu, jak i odpowiedzi określoną perspektywę: moją. Czy może raczej przez mój pryzmat. I patrząc właśnie przez niego będę się starał udowodnić, że jak najbardziej, warto czytać kryminały.

Od zarania dziejów literatura nie była niczym innym, niż opowieścią i tym wciąż pozostaje. Od kiedy tylko człowiek nauczył się artykułować potrzeby i werbalizować swoje myśli, a potem znalazł sposób, by je utrwalić na glinianej tabliczce i papierze, rosła w nim chęć podzielenia się nimi z innymi i przekazania ich następnym pokoleniom. Chęć początkowo irracjonalna, ponieważ nie było to warunkiem przetrwania, z biegiem czasu okazywało się jednak, że człowiek różni się od innych zwierząt i potrzebuje nieco więcej ponad zaspokojenie głodu, wyspanie się i przedłużenie gatunku. Opowieść jest z nami od zarania dziejów człowieka i ewolucja, jakiej podlegała przez tysiąclecia, przypomina nieco tę biologiczną, trwającą odkąd na tej planecie powstało życie. Tak jak efektem tej biologicznej są miliony gatunków różnych form życia, tak

tamta zaskutkowała wszelkimi formami literackimi, jakie istnieją w dzisiejszym świecie. Truizm, powiecie Państwo... Ale jak to z truizmami bywa, jest po prostu prawdą, i to tak oczywistą, że aż banalną.

Jedną z tych form jest oczywiście kryminał. Trudno zaprzeczyć, że to jeden z najpopularniejszych obecnie na świecie gatunków literackich, z czego się niezmiernie cieszę nie tylko jako ich twórca, ale również jako miłośnik. Od dawna stawiany jest kilka pól niż od literackiej klasyki, wydaje się to oczywiste, ale ja od dłuższego czasu zastanawiam się, czy taki podział na literaturę wysoką i niską ma sens. Czy przekonywanie kogokolwiek do czegoś ma w ogóle sens. To trochę jak z dyskusją na dowolny temat, a dyskusję jako taką osobiście uważam za akt bezcelowy. Jest niczym innym jak często gwałtowną wymianą poglądów, za którą nic nie idzie. Każdy z uczestników ma własny punkt widzenia, do którego usiłuje przekonać pozostałych. Ma argumenty na jego poparcie, ma kontrargumenty mające udowodnić niestusznosc poglądów pozostałych osób. I co? Czy koniec dyskusji oznacza, że ktokolwiek kogokolwiek do czegoś przekonał? Nie, zwykle kończy się po prostu czas antenowy albo impreza. Wszyscy dobrze się bawili, są zadowoleni z siebie, mają poczucie, że byli najlepsi i że ich poglądy są jedynie słuszne, co udowodnili. A realny efekt żaden. Dyskusja okazuje się koniec końców jałową i czężą gadaniną, ewentualnie erystycznym konsensusem, który też niczego nie wnosi poza dobrym samopoczuciem dyskutantów. Z literaturą (w aspekcie porównywania wartości jej odmian) jest nieco podobnie. Górale określają to prościej, za to dosadniej: jeden lubi ser, a drugi, jak mu nogi śmierdzą. Tak jak jeden lubi Beethovena, a drugi majteczki w kropeczki.

I tu dochodzimy do kolejnego, ważnego pytania. Rola literatury. Jaka jest? To oczywiście temat-rzeka, więc skupmy się na kryminale. Zaczniemy od tego, że człowieka fascynuje zło. Istnieje ono tak samo jak dobro w każdym z nas, w różnych proporcjach, choć zwykle (i na szczęście) jest zepchnięte gdzieś w najgłębsze zakamarki duszy, umysłu, świadomości, gdziekolwiek znajduje się w nas to miejsce, w którym drzemie. Spycha tam je wychowanie, narzucone nim normy społeczne, strach przed konsekwencjami prawnymi i parę innych rzeczy, ale ono nie znika. Wystarczy, że wybuchnie wojna i budzi się w wielu ludziach, okazując swą potęgę i nagle okazuje się, że nie ma nad nim kontroli. Boimy się zła, boimy się, żeby nas nie dotknęło, ale ono nas fascynuje, to przdziwna relacja i całkiem naturalna, jak sądzę. Zło jest swoistym tabu, a jego najpowszechniejszym chyba przejawem jest zabicie człowieka, o czym traktuje znakomita większość powieści kryminalnych. Oczywiście, *clou* stanowi

odkrycie tożsamości zabójcy, jednak wszystko zaczyna się od zbrodni. Od zła. Kryminał jest czymś w rodzaju sublimacji: taka fascynacja złem jest akceptowalna społecznie (pisałem wyżej o niezwykłej popularności gatunku), w dodatku zdrowa, bo pozwala go dotknąć w sposób kontrolowany i bezpieczny. Kiedy stwierdzimy, że jest tego zła za dużo, po prostu odkładamy książkę i odcinamy się od niego. Zrobiło się nieco mrocznie, więc zwróćmy uwagę na inne aspekty czytania kryminałów. Na przykład takie, że dobry kryminał to dobra zabawa, ćwiczenie umysłu i rozrywka. I tyle, po prostu. Czy to mało? Czy to źle?

Pamiętam rozmowę, która odbyła się podczas ostatniej edycji Międzynarodowego Festiwalu Kryminału we Wrocławiu. Brali w niej udział autorzy powieści kryminalnych nominowanych do nagrody Wielkiego Kalibru oraz członkowie jury – naukowcy i literaturoznawcy. Gdy w pewnym momencie stwierdziłem, że mam świadomość tego, że jestem autorem tworzącym kulturę popularną, a nie tę wysoką, jurorzy zarzucili mi deprecjację tej odmiany literatury. Przyznając, poczułem się trochę, jakbym kłał własne gniazdo, choć równocześnie zrobiło się nam, autorom, miło. Absolutnie nie mam żadnych kompleksów na tym tle, a wyłącznie ową świadomość, że kryminały, ani moje, ani moich koleżanek i kolegów po piórze, nigdy nie zdobędą nagrody Nike, Goncourtów czy Nobla. Tylko czy faktycznie o to chodzi? Staram się pisać najlepiej jak potrafię, opowiadam ciekawe historie, używając plastycznego języka, chcę dać ludziom trochę emocji, zabawy, ale i zachęcam do zastanowienia się nad ważnymi sprawami. Każdy z nas, autorów, robi to zapewne najlepiej, jak potrafi. Każdy z nas ma swoich czytelników. Nie chcę dzielić swoich na lepszych i gorszych w zależności od tego, co czytają poza kryminałami. I nie dbam o to, czy w ogóle czytają coś innego niż kryminały. Cieszę się, że czytają książki, choć gdybym jednak nie oparł się pokusie swego rodzaju stygmatyzacji, to jest również światełko w tunelu.

Tym światełkiem są dla mnie niektóre powieści z nurtu uważanego za ten przeznaczony dla mniej wymagających czytelników. Mowa oczywiście o kryminale i szeroko pojętej sensacji. Nie wiem, czy jakiegokolwiek wzmianki o ich autorach pojawiły się kiedykolwiek w periodyku traktującym z założenia o literaturze wysokiej, ale skoro mam okazję o nich tu wspomnieć, to z przyjemnością to uczynię. Zwłaszcza, że zdarzały się w historii literatury przypadki Wielkich, którzy flirtowali z kryminałem, jak na przykład Umberto Eco w „Imieniu róży”, czy Maciej Słomczyński ukrywający się pod pseudonimami Joe Alex i Kazimierz Kwaśniewski (bardzo poczytne ongiś kryminały i powieści milicyjne). Największym jednak i niedoścignionym mistrzem w tej dziedzinie jest

nieodżałowany John le Carré, który (śmiem twierdzić) wyniósł ten gatunek na wyżyny literackie. Nawet po zakończeniu zimnej wojny, która była niewątpliwie paliwem dla jego twórczości, potrafił odnaleźć się w nowych realiach, tworząc jeszcze lepsze i dojrzsze powieści. Z polskiego podwórka chciałbym wspomnieć o Zygmuncie Miłoszewskim i jego genialnej kryminalnej trylogii o prokuratorze Szackim. To jeden z najlepszych przedstawicieli nowej fali polskiego kryminału, bazującego do tej pory na powieści milicyjnej, z której oparów i więzów tenże kryminał nie potrafił wyrwać się przez ponad piętnaście lat po przełomie osiemdziesiątego dziewiątego roku. Osobiście uważam tę trylogię za taki odpowiednik skoku cywilizacyjnego i przyłączam się do chóru głosów żałujących nieodwołalnej ponoć decyzji autora o zamknięciu cyklu. To tylko dwa przykłady reprezentantów mojego ukochanego gatunku i jego okolic, ale nic nie stoi na przeszkodzie, żeby Państwo sami zaczęli zgłębiać temat. Żeby znaleźli Państwo tę niczym nieskrępowaną radość obcowania z literaturą mniej wymagającą, ale nie słabą. Pewnie, że codzienne jadenie w restauracji z gwiazdką Michelina jest atrakcyjne, ale wyrwanie się raz na jakiś czas na miasto, na porządnego burgera też ma swoje plusy. Taka *guilty pleasure*. Spróbujcie. Nie pożałujecie.

I dlatego właśnie nie odmawiamy wartości literaturze, która nie jest literaturą wysoką w tym ogólnie rozumianym pojęciu. Nie uprawiamy literackiego apartheidu. Istnieje w wielu dziedzinach pojęcie odbiorcy profesjonalnego i nieprofesjonalnego. W literaturze tym pierwszym jest filolog, literaturoznawca, krytyk literacki, tym drugim – zwykły czytelnik. Przyjęto się, że to ci pierwsi decydują, co jest literacko dobre, a co złe, choć jak to zwykle bywa w życiu, oni też potrafią różnić się opiniami. A czytelnik i tak wie swoje. I to dla niego są książki. Kto jest więc ważniejszy? Kreatorzy trendów, surowi krytycy z głowami przepelnionymi wiedzą o literaturze i jej historii, czy czytelnicy, którzy sięgając po książkę chcą mieć dobrze opowiedzianą historię, jakiego gatunku by nie była? Czy lepsza jest epicka opowieść rozgrywająca się na przestrzeni dziejów, która zostawia nas poturbowanymi intelektualnie, czy historyjka sprowadzająca się do krwawej jatki gdzieś w piwnicy, która wzbudza wyłącznie odruch wymiotny? Odpowiedź na to ostatnie pytanie jest akurat prosta, stwierdzenie Państwo, a ja się z tym nie zgodzę, choć oczywiście wybieram tę epicką, zapewne tak jak Wy. A dlaczego się nie zgodzę? Bo odpowiedź znów jest tylko pozornie prosta. Dla mnie, dla każdego z Państwa. Ale z osobna, bo każdy z nas ma swoją. Nie odpowiadamy za innych. Nie udowadniamy innym, że się mylą, że nie mają racji. Czy literatura przekracza granice jak u Houellebecqa

albo Palahniuka, czy jest prostą opowieścią o detektywie z Orient-Ekspresu, to naprawdę nie ma znaczenia. I tak wszyscy kiedyś umrzemy, a do przeczytania zostało jeszcze tyle książek...

Podsumowując: zwykle jest tak, że najpierw daje się odpowiedź, a potem ją uzasadnia. Tu wyszło trochę na odwrót, więc już na sam koniec odpowiadam wreszcie na pytanie, czy i dlaczego warto czytać kryminały.

Otóż tak, Szanowni Państwo. Warto. A dlaczego? Bo to kontakt ze słowem pisanym, z opowieścią, z literaturą generalnie. Bo literatura to fascynujący świat, którego zwiedzanie kosztuje niewiele, za to daje wrażenia warte każdych pieniędzy. Dlatego czytajmy. Nie tylko kryminały. Po prostu czytajmy.

Wiktoria Olecka kl. 6b Szkoła Podstawowa 56 Szczecin

Dlaczego warto/trzeba czytać

W głowie tyle myśli, a ja jak zawsze nie wiem od czego zacząć. Co jest najważniejsze i pierwsze do napisania. Bo czy warto czytać? Oczywiście, że warto, a nawet trzeba czytać. Uważam, że czytanie jest bardzo ważne dla każdego z nas. Rozwija umysł, jak i kreatywność człowieka. Sprawia nam ogromną przyjemność. Bywają dni, gdzie mogłabym siedzieć z książką i nic więcej nie robić, poza czytaniem.

Zacznę od tego, że dzięki książkom rozwija się nasza wyobraźnia. Czytając wkraczamy w świat bohatera, często nawet wcielamy się w jego postać. Towarzyszą nam przy tym uczucia od radości, mijając zazdrość, smutek, tchórzliwość, dążąc aż po niewiarygodną złość. Ile to razy śmiałam się szczerze wraz z bohaterką książki, czy wrzusałam wtedy, kiedy i ona. Każdy czytelnik ma tę powieść, od której wszystko się zaczęło. Moją jest lektura szkolna „Ania z Zielonego Wzgórza”. Wcześniej też czytałam dużo, ale nie tak chętnie, jak po przeczytaniu wyżej wymienionej serii. Ania pokazała mi, jak jedenastoletnie dziecko może sobie samo poradzić. Mimo trudów, braku zrozumienia u dorosłych,

czy bez rodziny, Ania wyrosła na dostojną dziewczynę, która spełnia swoje marzenia. Trochę mi to otworzyło oczy i od tamtej pory młodzieżówki goszczą na moich półkach.

Książka, poza dostarczaniem nam emocji, rozwija nas. Zauważyłam sama po sobie, że im więcej czytam, tym więcej umiem i większy mam zasób słownictwa. Chociaż mimo wszystko czasami brakuje mi słów. Czytanie powoduje, że swobodniej wypowiadamy się na różne tematy, piszemy piękniejsze wypracowania. A poza tym, szybciej opanowujemy ortografię i interpunkcję.

Książka to także skarbnica wiedzy. W zależności, którą weźmiemy do ręki, z jej stron poznamy między innymi historię, odwiedzimy różne zakątki, w których być może nigdy nie będzie dane nam być. Poznamy świat roślin i zwierząt. Jest wiele poradników, z których możemy dowiedzieć się potrzebnych nam informacji, chociażby przygotowując się na wyprawę życia. Warto poznać taki kraj, odszukać informacje o kulturze czy zabytkach.

Czytanie książek rozwija w nas również myślenie analityczne. I nie piszę tu o książkach z dziedziny matematyki. Pamiętam, że gdy byłam w drugiej, a może trzeciej klasie, to zaczytywałam się w serii książek o dwójce detektywów – Lasse i Mai. Już od pierwszych stron starałam się rozwiązywać zagadki razem z nimi. A przygody „Felixy, Neta i Niki oraz gangu niewidzialnych ludzi” pobudzały szare komórki do analizowania, jak wyjaśni się zagadka chociażby „Bolesława Łysego” (poruszającego się po strychu kościotrupa), czy tajemniczego UFO.

Książka pomaga w rozwoju naszej osobowości. Czytając możemy przeżyć różne sytuacje, w których do tej pory się nie znaleźliśmy i pewnie w większości sytuacji nigdy się nie znajdziemy. Sięgając chociażby po książkę „Ten obcy” uczestniczyłam w wydarzeniach, dzięki którym poszerzyłam horyzonty. A to z kolei wpływa na rozwój nas samych.

Czy kiedykolwiek marzyliście, aby znaleźć się w magicznym świecie? Czy magia istnieje? Dzięki książkom możemy choć na chwilę przenieść się właśnie do takiego bajkowego, kolorowego świata, chociażby wtedy, kiedy jest nam smutno i szukamy pocieszenia. Tak, książka potrafi nam go dostarczyć, zabierając nas do świata wrózek, elfów czy czarodziejskich przedmiotów. Czasami warto pobujać w obłokach, by później twardo stąpać po ziemi. Rzadko oddaję się takiej literaturze, ale i mi się zdarza.

Na co dzień posługujemy się językiem potocznym. Kontakt z literaturą pozwala nam odkrywać piękny język ojczysty. Dziś już nikt nie mówi tak jak

w powieści „W pustyni i w puszczy”. Nie mogliśmy obserwować jak zmieniał się język, gdyby autor nam tego nie pokazał.

Powyższym tekstem starałam się udowodnić, że warto czytać. Pewnie wielu z Was zauważyło, że w większości powołałam się na lektury szkolne. Zrobiłam to celowo, ponieważ czytanie książek jest fajne bez względu na to, czy jest podyktowane kanonem lektur, czy nie. W ostatnim czasie zaczęłam wręcz pochłaniać książki młodzieżowe, w których jest tak dużo prawdziwego życia. Przedstawione są w nich sytuacje, które pewnie niejednokrotnie się wydarzyły i choć nie mogę się od nich oderwać, to doceniam każdą, jedną książkę. Wszystkie są potrzebne, ponieważ są wielką skarbnicą wiedzy. Podsumowując: książka bawi i uczy. Idąc w ślad za polską pisarką, Wisławą Szymborską, napiszę: „Czytanie książek to najpiękniejsza zabawa, jaką sobie ludzkość wymyśliła”.

Karolina Lasota, kl. 8c Szkoła Podstawowa TAK Szczecin

W puste ręce warto wziąć książkę!

Czy warto czytać? Jakie korzyści będę miał z czytania? Czy czytanie coś zmieni w moim życiu? Codziennie takie pytania zadaje sobie mnóstwo ludzi.

Większość osób nie ma dużo czasu wolnego. Prawie wszyscy chodzą do pracy, szkoły. Wiąże się to z tym, że posiadamy obowiązki, są nam powierzane różne zadania. Kiedy w końcu znajdziemy trochę czasu wolnego, większa część społeczeństwa woli robić rzeczy niewymagające myślenia. Przeglądamy strony internetowe, oglądamy profile różnych osób w mediach społecznościowych, filmy i seriale. Niewielka część z nas postanawia w wolnym czasie sięgnąć po jakąś książkę, chyba, że musi ją przeczytać nie z własnej woli. Wtedy rodzi się bunt i niechęć. Osobiście rozumiem tak wyrażane obiekcje wobec czytania. Przez całą drogę edukacji czytamy różne lektury. Nierzadko są to bardzo ciekawe książki, jednak sposób, w jaki są omawiane, zniechęca wielu

z nas. Od uczniów wymaga się, aby znali odpowiedzi na wszystkie pytania na teście. Są one niejednokrotnie bardzo szczegółowe. To powoduje, że uczniowie skupiają się na zapamiętywaniu drobiazgów, a nie na zrozumieniu przesłania, jakie zawiera dana lektura. Niektórzy ludzie, nawet już w wieku dorosłym, nie chcą czytać książek, bo mają z nimi złe wspomnienia ze szkoły. Tak jak już wspomniałam, rozumiem tę postawę innych osób, jednak teraz chciałabym udowodnić, że czytanie ma wiele korzyści i że może ono wiele zmienić w naszym życiu.

Dzięki czytaniu można poszerzać swoje horyzonty, nabyć nową wiedzę, ale jednocześnie oderwać się od rutyny dnia codziennego i po prostu zrelaksować się. Podczas lektury zapominamy o tym świecie, w którym naprawdę przebywamy, przenosimy się w świat fantastyczny. Razem z bohaterami książek przeżywamy wzloty i upadki, cieszymy się i płaczemy. Dzieje się tak, gdy mamy w rękach dobrą lekturę, czyli taką, która wpływa na nasze emocje. Oderwanie się od własnych problemów, zapominanie o nich, sprawia, że czujemy się lepiej. Oprócz tego czytanie wpływa na naszą wyobraźnię. Im więcej czytamy, tym większą mamy wyobraźnię. Potrafimy później bez problemu wymyślać historie i opowiadania, co przydaje się często w szkole. Przychodzi nam to bez najmniejszego problemu. Nie można zapomnieć także o tym, że obcowanie z literaturą powoduje, że poszerzamy swoją wiedzę na temat innych kultur czy obyczajów. Zależy na jaką książkę akurat natrafimy. Czytając, zdobywamy wiedzę, która może przydać się nam w dalszym życiu. W końcu, kto wie, co zgotuje nam los? Może akurat ta wiedza będzie dla nas niezbędna?

Teraz poruszymy bardzo ciekawy temat. W dzisiejszych czasach wiele osób pisząc, nie zwraca uwagi na popełniane błędy ortograficzne. Dotyka to każdego z nas i mnie również nie raz osobiście się to zdarzyło. Teraz nasze błędy poprawi autokorekta. Problem trudności ortograficznych został zażegnany. Warto pamiętać, że dzięki czytaniu książek bogacimy swoje słownictwo i poznajemy tajniki ortografii. Im więcej czytamy, tym mniej błędów popełniamy. Nie musimy zatem polegać na telefonie lub komputerze, tylko na samym sobie!

Te wszystkie przykłady pokazują, że czytanie przynosi wiele korzyści i wiele może zmienić w naszym życiu. Czasami warto znaleźć chwilę i zatopić się w lekturze. Może na początku wydawać się to trudne, ale przyniesie ono upragnione skutki. Bowiem, jak mawiał Umberto Eco: „Kto czyta książki, żyje podwójnie!”

Nie rozstaję się z bohaterami

Wszyscy znamy historię drugiej wojny światowej. Od dziecka słyszymy o napaści hitlerowskich Niemiec na Polskę 1 września 1939 roku. Wspominamy bohaterską, lecz nieskuteczną obronę naszej ojczyzny. Potem nastąpiły wejście wojsk rosyjskich, okupacja Polski, aż do utworzenia drugiego frontu przez aliantów i wyzwolenie naszej ojczyzny. Nigdy jednak nie zgłębiałem tego tematu.

Na początku stycznia, w piątkowy wieczór, przyłączyłem się do rodziców, którzy oglądali jakiś wojenny film. Usiadłem z nimi na kanapie. Już pierwsza scena zrobiła na mnie ogromne wrażenie – młodzi mężczyźni, ubrani w mundury, pakowali broń i inny sprzęt do zasobników. W tle widać było samoloty wojskowe, jak się później przekonałem C-47, zwane potocznie Dakotami. Tak rozpocząłem przygodę z serialem Stevena Spielberga i Toma Hanksa „Kompania braci”. Szybko dotarłem do informacji, że jest to ekranizacja powieści historycznej Stephena E. Ambrose’a pod tym samym tytułem. Opowiada ona o losach żołnierzy z Kompani E2 batalionu 506. pułku piechoty spadochronowej 101. Dywizji Powietrznodesantowej, od momentu powstania jednostki latem 1942 roku, aż do jej demobilizacji 30 listopada 1945 roku. Szczęśliwie dla mnie, książka ta stała na półce naszej domowej biblioteczki. Spojrzałem na pierwszą stronę i pogрузyłem się w lekturze. Na cały weekend pochłonał mnie świat drugiej wojny światowej, ale widziany oczami młodych Amerykanów. Każde kolejne zdanie potęgowało ciekawość dalszych losów bohaterów.

Ale zacznijmy od początku... W lipcu 1942 roku do obozu szkoleniowego w Toccoa zaczęli przybywać ochotnicy. Młodzi ludzie wywodzili się z różnych środowisk – niektórzy byli przerażająco biedni, inni z klasy średniej. Do spadochroniarzy zgłosili się dla emocji, zaszczytu, dodatku spadochronowego do żołdu, ale przede wszystkim, aby iść na wojnę w towarzystwie osób dobrze wyszkolonych. Mówiono im, że trening i zaprawa fizyczna będzie dużo cięższa, niż spotkaliby w innych oddziałach. Rzeczywiście – aby skompletować stan 506. pułku – tysiąc ośmiuset żołnierzy, przez obóz musiało się przewinąć aż pięć

tysięcy trzystu ochotników. Z wypiekami na twarzy śledziłem program szkoleniowy nowej jednostki. Podziwiałem hart ducha chłopców, starszych ode mnie zaledwie o cztery – pięć lat. Razem z nimi zmagaliśmy się z torem przeszkód, robiłem dziesiątki pompek i przysiadów, biegałem na pobliski szczyt Currahee, odbywałem nocne marsze w pełnym oporządzeniu i poznawałem podstawy żołnierskiego rzemiosła. Podobnie jak poborowi, z zachwytem patrzyłem na kadrę podoficerską, zwłaszcza podporucznika Dicka Wintersa. Był oficerem, który „wyciskał” z ludzi to, co najlepsze, nikt nie chciał go zawieść. Nawet po wojnie był ubóstwiany przez żołnierzy Kompanii E.

Razem z pierwszymi szeregowcami – Frankiem Percontem, Wayne Si-skiem, Carwoodem Liptonem i innymi, harowałem, aby po ukończeniu szkolenia otrzymać odznakę spadochronową – sylwetkę uskrzydłego spadochronu, noszoną na lewej kieszeni kurtki mundurowej, naszywkę na furażerkę oraz wysokie buty skoczka (wraz z prawem wpuszczania spodni w buty – w przeciwieństwie do zwykłej piechoty). Z innymi członkami Kompanii E żywiłem początkowo niechęć, odrazę, później wręcz nienawiść, do porucznika Sobela, wkrótce awansowanego na kapitana dowódcy typu zakompleksionego tyra-na, który za wszelką cenę chciał mieć najlepszą kompanię w pułku, zaś metodą jego działania było piętrzenie przed swoimi podopiecznymi nieosiągalnych prawie wymagań. Rezultatem tych wszystkich doświadczeń była specyficzna więź, nie dająca się porównać z niczym, co kiedykolwiek łączyło ludzi postronnych. Towarzysze broni są sobie bliżsi niż przyjaciele, bliżsi niż bracia.

Prześlizgując się przez kolejne strony powieści czułem, że ja również staję się częścią tej niesamowitej grupy młodych mężczyzn, wznoszę z nimi okrzyk bojowy: *Currahee* (indiańskie słowo, które znaczy „nie mamy równych sobie”), wyskakuję z samolotu podczas pierwszego skoku, układam czaszę spadochronu. Odwiedziliśmy wspólnie obóz Macall w Karolinie Północnej, wzięliśmy udział w manewrach wojsk powietrznodesantowych w 1943 roku na terenie stanów Kentucky, Tennessee i Indiana oraz na liniowcu *Samaria* odbyłem podróż do Anglii. Pamiętam radość, gdy kapitan Sobel został usunięty ze stanowiska dowódcy Kompanii E, gorączkowe przygotowania do skoku bojowego przed D-Day (6 czerwca 1944 roku, czyli dniem lądowania aliantów w Normandii), emocjonujący zrzut na terytorium wroga, na wysokości plaży Utah, strach, gdy zagubiony w normandzkim lesie, jak inni, nie mogłem odnaleźć swojego oddziału, brawurową i zakończoną pełnym sukcesem akcją zdobycia niemieckiej baterii dział w majątku Brécourt, którą moi towarzysze przeprowadzili w zaledwie dwanaście osób. Wraz z nimi atakowałem francuskie miasteczko

Carentan, brałem udział w operacji Market-Garden, broniłem belgijskiego Bastogne podczas ofensywy w Ardenach, wyzwalałem Foy i przeprowadzałem patrol bojowy na drugi brzeg rzeki w Haguenau w Lotaryngii. Ramię w ramię wkraczaliśmy do Niemiec, zdobywaliśmy Orle Gniazdo Adolfa Hitlera w Obersalzbergu pod Berchtesgarden, pomagaliśmy ocalałym więźniom obozu koncentracyjnego w pobliżu Landsberga, stacjonując w Austrii, śledziliśmy losy działań bojowych na Pacyfiku oraz cieszyliśmy się z zakończenia wojny.

Zaprzyjaźniłem się ze „starymi” weteranami Kompani E. Postacie jak: major Richard Winters, podporucznik Carwood Lipton, porucznik „Buck” Compton, sierżanci William Guarnere i Donald Malarkey, kapral Joseph Liengott i wielu innych, swoim męstwem i odwagą wywarli na mnie ogromne wrażenie. Podziwiam ich determinację, zdolność do poświęceń, niewiarygodną wręcz umiejętność odnajdywania się w sytuacjach kryzysowych oraz opanowanie i wiarę we własne siły. Wszystkie te cechy pozwoliły wielu z nich wrócić z wojennej tułaczki po Europie, ułożyć sobie życie w USA, odnosić sukcesy zawodowe i osiągnąć spełnienie w sferze osobistej. Największe wrażenie wywarła jednak na mnie nadzwyczajna więź pomiędzy żołnierzami Kompani E, która powstała w wyniku wszystkich wspólnie przeżywanych stresów, przetrwała wojnę i lata, jakie po niej przyszły. Dla mnie – młodej osoby, żyjącej w czasach postępującego egoizmu i wszechobecnego hejtu – są to postawy i wartości niesłychane i wręcz nieprawdopodobne. Pozwalają na nowo uwierzyć w wartość człowieka, zachęcają do otaczania się ludźmi o niezachwianym kręgosłupie moralnym, do poszukiwania niepospolitych celów w życiu i pokazują, że zawsze można wytrwać w powziętych postanowieniach, niezależnie od trudności piętrzących się na naszej drodze.

Ja nie rozstaję się z bohaterami powieści „Kompania braci”. Będę zgłębiać ich dzieje – odnalazłem wspomnienia i inne publikacje, traktujące o ich życiu. Marzę też o podróży do miejsc, gdzie walczyła Kompania E2 batalionu, 506. pułku, 101. Dywizji Powietrznodesantowej. Chcę odwiedzić groby poległych towarzyszy broni. Mam nadzieję, że nigdy nie przestaną mnie inspirować i na kanwie ich doświadczeń stanę się lepszym człowiekiem.

Specyficzna literatura

Lektury szkolne można uznać za nieodłączną część edukacji, rozwoju młodego człowieka. Od dziecka mamy z nimi styczność. Dla wielu ludzi są pierwszymi przeczytanymi książkami. Przeznacza się im wiele godzin lekcyjnych, stron zeszytów, testów i czasu. Poświęcamy część swojego życia na ich czytanie, a jednak nie mówi się o nich zbyt dużo. Nie jest tajemnicą, że czytanie książek wpływa pozytywnie na nasz mózg i rozwój. Jak odnosi się to do lektur? W jaki sposób działają na nas wybrane odgórnie, omawiane w szkołach pozycje?

Przede wszystkim kształtują one nasze odczucia do książek, tworzymy jedną z pierwszych „relacji z książką”, a raczej z lekturą. Bo lektury to takie specyficzne utwory. Są książkami, a jednak często można usłyszeć, że ktoś lubi czytać książki, ale nie lektury. Dlatego „relacja z lekturą” ma duże znaczenie. W zależności od osoby i gustów może ona w różny sposób wpłynąć na nasze życie czytelnicze. Jeśli lektury nas zniechęcą, to prawdopodobieństwo, że sięgniemy po inną książkę jest mniejsze i odwrotnie. Mogą one nas zafascynować, zrazić, bądź pozostawić obojętnymi.

Tylko nawet ta obojętność jest kluczowym doświadczeniem. Ponieważ te wszystkie wywołane emocje pozwalają nam na odkrycie swoich upodobań. Lektury pozwalają nam przełamać nasze uprzedzenia i poszerzają horyzonty. Gdyby nie istniały, to większość tkwiłaby ciągle w swojej strefie komfortu, nie eksperymentując z czytaniem innych gatunków. Osoba lubiąca prozę, zawzięcie czytająca tylko utwory pisane w ten sposób, odrzucająca inne formy, nigdy nie dowiedziałyby się, że uwielbia poezję.

Nie można zapomnieć, że lektury przekazują wiedzę o świecie, charakterystyczne zagadnienia dla danej epoki. „Quo vadis” Henryka Sienkiewicza, czyli powieść ukazująca losy prześladowanych chrześcijan za czasów panowania Nerona, stanowi idealny przykład. W tej pozycji ukazano nam zestawienie dwóch odmiennych światów na zasadzie kontrastów – świat chrześcijan

pełnych miłosierdzia, skromności, miłości do bliźniego oraz świat pogan przepelniony złem, egoizmem, przepychem, rozpustą.

Książki z konkretnego okresu historycznego, na tle różnych ważnych wydarzeń (których nie mało w polskim kanonie lektur) nie zawierają tylko faktów, ale odczucia, emocje, przeżycia. W „Panu Tadeuszu”, „Śmierci Pułkownika” czy „Reducie Ordona” Adama Mickiewicza zdecydowanie można to zaobserwować. Czytanie ich jest doświadczeniem, którego nie zastąpi tradycyjna lekcja historii. Możemy „przenieść się” w nieznany dla nas świat, ten który odszedł w zapomnienie i go lepiej zrozumieć. Nie ma czystszej i piękniejszej formy nauki.

Lektury mają na celu przekazanie wielu wartości, którymi kierujemy się w życiu – myślę, że to główne założenie. Przedstawiają nam wzorce zachowań, jak mamy postępować, a jak nie. „Balladyna” Juliusza Słowackiego, czy „Świtezianka”, „Dziady cz. II” Adama Mickiewicza ukazane są na podstawie stwierdzenia „nie ma winy bez kary”. Jednak czy mają one rzeczywiście wpływ na nasze zachowanie? Przecież mimo ukazanych w lekturach autorytetów, nie żyjemy tylko wśród takich osób. Świata nie brakuje ludzi nieszczerych, egoistycznych, mimo wszystkich pięknych przykładów bohaterów do naśladowania.

Uważam, że zło zawsze było i będzie. Lektury szkolne nie powstrzymują morderców przed zabijaniem, złodziei przed okradaniem. Wszystko zależy od człowieka, od sposobu, z jakim potraktuje utwór, wrażenia, jakie na nim wywrze i co zrobi z tym faktem. Lektura może stanowić impuls, jednak reszta zależy od jednostki. Gdy czytałam „Latarnika” Henryka Sienkiewicza po raz pierwszy, utwór był mi obojętny. Dopiero za drugim razem losy emigranta tułacza wyjątkowo mnie wzruszyły i skłoniły do refleksji. Mimo ciągłych trudów, pecha – bohater nigdy się nie poddawał. Z pokorą przyjmował nieszczęście i się podnosił. Ilość porażek, które musiał ponieść Skawiński, aby chociaż na chwilę zaznać spokoju, łamie mi serce. Jak bardzo człowiek może być samotny i zmęczony, że odnajduje w tym uczuciu ukojenie? Kiedy traci posadę latarnika, znów musi rozpocząć tułaczkę. On jednak akceptuje to, nawet z nowym zapalem, chęciami do życia, za sprawą tylko (albo aż) książki.

Z tej noweli można wysunąć kolejny wniosek dotyczący wartości lektur szkolnych: mogą one być dla nas ukojeniem, poradą, motywacją w trudnych sytuacjach. Czytając daną pozycję może się okazać, że nasze problemy pokrywają się z tymi, z którymi zmagają się bohaterowie literaccy. „Mały Książę” Antoine’a de Saint-Exupéry’ego to lektura znana i lubiana przez uczniów, która

porusza wiele ważnych zagadnień dla młodych ludzi. Gdyby ta książka nie była lekturą, to niewielkie grono przeczytałoby ją i odkryło tajemnice, m.in.: przyjaźni, miłości, odpowiedzialności za czasów młodości, kiedy często nie posiadamy zbyt dużego doświadczenia.

Podsumowując moje rozważania, myślę, że lektury szkolne stanowią bardzo ważną część naszego życia. Przede wszystkim dużo zależy od naszego nastawienia, jednak bez wątpienia kształtują one nas jako istotę społeczną. Uczą o ważnych wydarzeniach, problemach, wartościach, uczuciach, są świetnym źródłem wiedzy. Bez nich czytelnictwo mogłoby znaleźć się w kryzysie, dlatego warto pamiętać o tych „specyficznych książkach”.

Andrzej Maria Dzierżanowski

O poezji

Poezja jest specyficznym przekazem wywołującym określone uczucia u odbiorcy.

Ponieważ diabeł sensu tkwi w szczegółach, należy rozwinąć ważne człony tego sylogizmu. A więc:

Specyficzny przekaz – to ustalony zwyczajem sposób zapisu, deklamacji lub śpiewu, użycia rytmu i w końcu, lecz na początku, pouczenie odbiorcy, że to poezja właśnie.

Określone uczucia – to poczucie wspólnoty: duchowej, narodowej, jakiegokolwiek; uczucie podziwu (nad doskonałością obrazowania, języka czy techniki wiersza), uczucie miłości (wiersze miłosne), nienawiści (pamflety) itp., itd.

Ważne jest także zaskoczenie odbiorcy nowym spojrzeniem z innego punktu widzenia lub żartem, parodią, pastiszem (satyry).

Jeśli utwór nie wzbudza tych uczuć – nie ma w nim poezji.

Jeśli wzbudza nudę – nie jest oryginalny lecz stanowi zlepek znanych fragmentów.

Uwaga: zwyczajnie się zmieniają i także się zmieniają formy przekazu poezji. Te nowości nazywamy zwykle awangardą.

Dyskutować o poezji można bez końca poczynawszy od tradycyjnego pytania: „co poeta miał na myśli?”, a skończywszy na „czy z poezji można żyć?”. Ważniejsze jednak jest pytanie: co sprawia, że coś jest poezją albo nią nie jest? Gdzie tkwi jej istota?

Oto mój wniosek końcowy:

O istocie poezji decydują uczucia odbiorcy.

POEZJA EKSPERYMENTALNA

Robert Rudiak

Interpretacja

Wiersz *Poszukując snu popadam w bezsenność* posiada siedem odmiennych wersji różnych autorów (o czym świadczą zmieniające się inicjały poetów pod tekstami), w tym autora cybernetycznego ze sztuczną inteligencją (XB). Tematyka wiersza jest niezmienna, dotyczy cienkiej linii przekraczania snu i jawy, granic somnambulizmu i realizmu, ale tło opisywanych wydarzeń ulega nieustannemu modelowaniu, czy też rekonstrukcji w przeróżnych konwencjach literackich i pryzmatach wizualnych wrażeń i emocjonalno-psychicznych doznań. Za każdym wersem wchodzi głębiej w strukturę tekstu, w jego delikatną tkankę opisową wyobrażeń, zanurzamy się w submaterię słowa, a właściwie schodzimy w głąb jaźni podmiotu, jego wrażeń, przeczuc i imaginacji. Co może wyartykułować podmiot, poszukując bezpiecznej dla siebie sfery, balansując na granicach świata onirycznego i rzeczywistego? Będzie gorliwie szukać przystani wytchnienia, krążąc po różnych pomostach werbalno-opisowych, aby nadać słowom najlepszy wymiar czasoprzestrzeni, dać najpełniejszy, a zarazem najbardziej oryginalny wyraz duchowych przeżyć i lirycznego oglądu.

Podmioty wiersza *Poszukując snu popadam w bezsenność* rozpoczynają swoją peregrynację od Cambridge, aby za chwilę teleportować się na brookliński most w Nowym Jorku. Co łączy te dwa miejsca, z pewnością skojarzenia, podobieństwa pejzaży lub odczuwanych wrażeń i... rekwiizyty, ich wielość, jak ożywczy wiatr (powietrze), most, brzeg, statki, noc... Ale sztafaż widoków jest tylko tłem, zaczynem przedświadomości, prowokacją do głębszych odczuć

i wspomnień, które pojawiają się w momencie, kiedy podmiot pragnie snu, a ten nie przychodzi, lub paradoksalnie, wchodząc jeszcze mocniej w strukturę snu – kiedy śpi, a zarazem cierpi na insomnię. To może wywoływać rekursję i absorpcję, czyli być „snem w śnie”, jak w znanym obrazie filmowym „Incepcja” Christophera Nolana.

W zasadzie we wszystkich wariantach wiersza, w jego strukturze niezmiennie pozostaje jego jądro, zawierające się we frazie: *we śnie szukając snu popadam w bezsenność*. Towarzyszące temu zjawisku formy i obrazy ulegają rozproszeniu lub przeobrażeniu, a na plan pierwszy wychodzi zasadniczy motyw – poszukiwania miłości lub wspomnień o niej. To sprawia, że sam koncept utworu jest oryginalny i ciekawy, może być pisany na wielość głosów (polifoniczność) oraz ulegać różnorodnym przeobrażeniom (transformacjom i transpozycjom), może być w końcu różnie odczytywany i egzemplifikowany (analiza interpretacyjna i reinterpretacyjna).

W wielu konfiguracjach wiersza można jednak odnaleźć interesujące poetyckie zwroty i myśli, które mogłyby pełnić funkcję motta. Obok wspomnianego *we śnie szukając snu popadam w bezsenność*, to także: *łagodny powiew rozczesuje włosy czasu*

lub:

*możesz odszukać moją świeżą miłość
możesz odnaleźć we mnie czysty ogień*

albo:

*znajdziesz u schyłku dnia przebłytek poranka
a może to będzie wiatr.*

Poezja eksperymentalna pisana w nowoczesnej technologii cyfrowej 3D (trójwymiarowa) lub 4D (kwadrofoniczna) może stanowić wyzwanie dla klasycznej liryki, bowiem z pewnością otwiera nowotarskie możliwości jej odczytywania i interpretowania, co za tym idzie, nie ogranicza słowa, a wręcz przeciwnie – wzbogaca jego werbalne spektrum, poszerza jego kognitywny wymiar i wyobrażeniowy ogląd oraz nadaje mu nowych znaczeń i sensów.

POSZUKUJĄC SNU POPADAM W BEZSENNOŚĆ

*Cambridge
świeży
niezwykły*

łagodny wiatr nie depcze już po piętach
zwiewna morska noc nie gasi westchnień
we śnie szukając snu popadam w bezsenność
szybuję na szczyt nieskończoności
jestem długim mostem
wynurzam się stumasztowym żaglowcem
możesz odszukać moją świeżą miłość
na jedwabnych kwiatach dotkniesz ust
opromieni cię światło nadziei
boski dotyk spojrzenia
a może to będzie wiatr
ślad tamtego drżenia
(XBLD) 22

POSZUKUJĄC SNU POPADAM W BEZSENNOŚĆ

Cambridge
New York / Brooklyn Bridge /
świeży
ożywczy
łagodny wiatr nie depcze już po piętach
podmuch bryzy nie powstrzyma upadania
we śnie szukając snu popadam w bezsenność
w letargicznych oparach odrealniam się
jestem długim mostem
senności
możesz odszukać moją świeżą miłość
kładę się pomiędzy brzegami
opromieni cię światło nadziei
znajdziesz miłość (-gdy zawrócisz East River)
a może to będzie wiatr
w dawnym blasku w poświęcie zieleni zawirujemy (?)
(XBMH) 23

POSZUKUJĄC SNU POPADAM W BEZSENNOŚĆ

Cambridge
.....
świeży

.....

łagodny wiatr nie depcze już po piętach
łagodny powiew rozczesuje włosy czasu
we śnie szukając snu popadam w bezsenność
szukam
jestem długim mostem
ukrywającą się za mostem życia
możesz odszukać moją świeżą miłość
łączącym wczoraj z jutrem
opromieni cię światło nadziei
przesłonięty oparami mirażu
a może to będzie wiatr
rozmytej teraźniejszości
(XBZJ) 24

TRÓJWIDZENIE I

POSZUKUJĄC SNU POPADAM W BEZSENNOŚĆ

Cambridge
New York / Brooklyn Bridge /

.....

świeży
niezwykły

.....

łagodny wiatr nie depcze już po piętach
zwiewna morska noc nie gasi westchnień
łagodny powiew rozczesuje włosy czasu
we śnie szukając snu popadam w bezsenność
w letargicznych oparach odrealniam się
szybuję na szczyt nieskończoności
jestem długim mostem
wynurzam się stumasztowym żagłowcem
ukrywającym się za mostem życia
możesz odszukać moją świeżą miłość
kładę się pomiędzy brzegami
łączącymi wczoraj z jutrem
opromieni cię światło nadziei
znajdziesz miłość (- gdy zawrócisz East River)

przesłoniętą oparami mirażu
a może to będzie wiatr
ślad tamtego drżenia
rozmytej terażniejszości
(XBLDMHZJ) 25

POSZUKUJĄC SNU POPADAM W BEZSENNOŚĆ

Cambridge

.....

świeży
pełen życia
łagodny wiatr nie depcze już po piętach
otulający pęd powietrza dogonił mnie
we śnie szukając snu popadam w bezsenność
w sennych marzeniach szukając odpoczynku czuwam
jestem długim mostem
/ jestem/ drogą
możesz odszukać moją świeżą miłość
możesz odnaleźć we mnie czysty ogień
opromieni cię światło nadziei
zapłoniesz nadzieją
a może to będzie wiatr
/ może / pełnią życia
(XBMS) 26

POSZUKUJĄC SNU POPADAM W BEZSENNOŚĆ

Cambridge

.....

świeży
ekscytujący
łagodny wiatr nie depcze już po piętach
poryw orkanu przetłamał tany
we śnie szukając snu popadam w bezsenność
pierwotny instynkt rozbudza szaleństwo
jestem długim mostem
pomiędzy moim i twoim pragnieniem
możesz odszukać moją świeżą miłość

rozchylam brzegi ud jak morze czerwone
opromieni cię światło nadziei
znajdziesz u schyłku dnia przebłysek poranka
a może to będzie wiatr
rozniecający wygasające fascynacje
(XBMH) 27

TRÓJWIDZENIE II
POSZUKUJĄC SNU POPADAM W BEZSENNOŚĆ

Cambridge

.....

.....

świeży

ekscytujący

pełen życia

łagodny wiatr nie depcze już po piętach
poryw orkanu przełamał tamy
otulający pęd powietrza dogonił mnie
we śnie szukając snu popadam w bezsenność
pierwotny instynkt rozbudza szaleństwo
w sennych marzeniach szukając odpoczynku czuwam
jestem długim mostem
pomiędzy moim i twoim pragnieniem
/ jestem/ drogą
możesz odszukać moją świeżą miłość
rozchylam brzegi ud jak morze czerwone
możesz odnaleźć we mnie czysty ogień
opromieni cię światło nadziei
znajdziesz u schyłku dnia przebłysek poranka
zapłoniesz nadzieją
a może to będzie wiatr
rozniecający wygasające fascynacje
/ może / pełnią życia
(XBMHMS) 28

KWADROWIDZENIE
POSZUKUJĄC SNU POPADAM W BEZSENNOŚĆ
Cambridge

New York / Brooklyn Bridge /

.....

.....

świeży
ożywczy
niezwykły

.....

łagodny wiatr nie depcze już po piętach
podmuch bryzy nie powstrzyma upadania
zwiewna morska noc nie zgasi westchnień
łagodny powiew rozczesuje włosy czasu
we śnie szukając snu popadam w bezsenność
w letargicznych oparach odrealniam się
szybuję na szczyt nieskończoności

szukam

jestem długim mostem

senności

wynurzam się stumasztową orchideą
ukrywającą się za mostem życia
możesz odszukać moją świeżą miłość
kładę się pomiędzy brzegami
na jedwabnych kwiatach dotkniesz ust
łączących wczoraj z jutrem
opromieni cię światło nadziei
znajdziesz miłość (-gdy zawrócisz East River)

boski dotyk spojrzenia

przesłonięty oparami mirażu

a może to będzie wiatr

w dawnym blasku w poświęceniu zieleni zawirujemy (?)

śladami tamtego drżenia

rozmytej teraźniejszości

(XBMHL)

ESEJ

Róża Czerniawska-Karcz

Przy stole wiersza

Tak mi się marzy wiersz...

– *PRZY STOLE WIERSZA MÓWI się tylko O POEZJI...*

– Czyli co? Czyli o czym? Pytań więcej niż odpowiedzi się ciśnie... Napisać: co to takiego poezja? gdzie jej szukać i kiedy? u kogo? po co komu poezja? kto dziś pisze poezje? kto ją czyta? kto ją lubi? a w ogóle, to jak ją czytać? jak mówić? O czym tak naprawdę pisać? wszystko już powiedziano... wszystko już napisano... Czy aby na pewno? Przecież to jak ze światłem... za każdym razem inny obraz się wyłania, gdy światło pada na... przedmiot, podmiot, temat...

Otóż to, mam pisać o poezji, więc... niech światło się powoli przesuwa od słowa do słowa, jak w wierszu, niech odślaniają się znaczenia, a z nich wyłaniają się obrazy stąd, czyli z codzienności i stamtąd, czyli z wyobraźni... Tylko jak je ściągnąć?

Słyszę tango argentyńskie... a na ścianie wyobraźni (a może pokoju) wyświetla się obraz... jak na telebimie. A może to hologram... pojawia się twarz...

– Jakże z daleka odzywasz się, Mistrzu...

Jorge Luis Borges:

– Przybywam ci z pomocą, moja Droga, może na coś się zdadzą i moje rozmyślenia nad Zagadkami Poezji!

– O tak, nikt bardziej kompetentnie nie wprowadzi nas w temat... dziękuję.

Poeta jaśniej przejrzyście z ekranu... wybrzmiewa jego głos z chropawym, polskim akcentem translatora, który wcale nie dziwi. Słucham z uwagą każdego słowa.

– W poezji zjawiska doskonałe nie wydają się dziwne, lecz konieczne – dlatego tak rzadko dziękujemy pisarzom za ich wielki trud. Zawsze, kiedy czytamy dany wiersz, lektura dostarcza nam nowych przeżyć. I to jest właśnie poezja...

Bo...

– Sztuka zdarza się zawsze, kiedy czytamy dany wiersz. Kwestia, czy dany wiersz został napisany przez wielkiego poetę, czy też nie, istotna jest tylko dla historyków literatury.

– A le co to takiego jest poezja, według Mistrza? – pytam nieśmiało. Jorge Luis Borges przekornie kręci głową.

– „Poezja to ekspresja piękna za pośrednictwem artystycznie splecionych ze sobą słów.” Taka definicja może zadowolić w słowniku albo w podręczniku, wszyscy jednak czujemy, że jest marna, brakuje w niej bowiem czegoś bardzo ważnego: czegoś, co mogłoby nas zachęcić, by nie tylko próbować własnych sił w pisaniu poezji, lecz także cieszyć się nią i mieć poczucie, iż się wie o niej absolutnie wszystko.

Wiemy, czym jest poezja. Jest to wiedza zakorzeniona niezwykle głęboko, toteż nie potrafimy zdefiniować poezji słowami, tak jak nie umiemy zdefiniować słowami smaku kawy, barwy czerwieni lub żółci ani znaczenia złości, miłości, nienawiści, wschodu albo zachodu słońca czy miłości do ojczyzny. Każdy bowiem człowiek wie, gdzie znaleźć poezję, a obcując z nią, odczuwa jej tchnienie i specyficzny dreszcz, jaki wywołuje. Św. Augustyn powiada: „Czym jest czas? Jeśli nikt mnie o to nie pyta, wiem. Jeśli pytającemu usiłuję wytłumaczyć, nie wiem”. W podobny sposób ja pojmuję poezję.

– Czy ma Mistrz swoje credo poety?

– O tak! ...sądzę (...) iż to co przeczytałem, jest ważniejsze od tego, co napisałem.

Człowiek bowiem czyta to, co chce – nie pisze jednak tego, co chciałby napisać, lecz jedynie to, co napisać potrafi. A być pisarzem. Po prostu dochowywać wierności swojej wyobraźni. Wierzę jedynie w aluzję. Czym są w końcu słowa?

Słowa to symbole naszych wspólnych wspomnień. Kiedy używam danego słowa, spodziewam się, że czytelnicy posiadają pewne doświadczenia, związane z jego znaczeniem. Jeśli tak nie jest, słowo to nic dla nich nie znaczy. (...) Jeden z głównych grzechów literatury współczesnej polega na tym, że jest ona zbyt samoświadoma.

Zamykam oczy, jeszcze słyszę głos argentyńskiego pisarza... nikt nie w oddali... czasu i przestrzeni, została tylko melodia tanga...

Zmiana miejsca... w pokoju szmer głosów zbierających się gości... otwieram oczy... Szuranie krzesel, powitania... Uśmiecham się, podnoszę, podchodzę do każdego... witam serdecznie. Unosi się w powietrzu zapach Czasu i herbaty... a może to kawa z aromatem wiersza?

Przez okna szeroko rozwarte wpada światło kwietniowego zachodu nie pierwszy taki wieczór w pałacu... nie pierwszy też raz będziemy rozmawiać o POEZJI... Dzisiaj – tylko grono gości przybywających, zacie niezwykłe... moi najbliżsi, ulubieni, najważniejsi... i Ci, którzy dzisiaj znaleźli dla mnie czas... Zasiadam w kręgu... rozgrzewam uśmiech... trema drży na ustach... i łamię głos...

– Dobry wieczór POEZJO!

Przychodzi mi z pomocą, jak już nieraz, krakowsko-bieszczadzki poeta, Jerzy Harasymowicz. Zaprasza wraz ze mną do „stołu wiersza” ulubione poetki, cenionych poetów, w moim domu nieustających rozmyślań. Przybyli licznie, by podzielić się swoimi refleksjami o pisaniu... i nie tylko... Jak widać, wokół stołu coraz gwarniej, przysłuchuję się z uwagą. Tyle spojrzeń i odmiennych zdań na temat poezji, poety czy wiersza... słucham... Pierwszy zabiera głos Jerzy Harasymowicz, zwracając się nie przypadkiem do mnie właśnie – (**zaprosiłem ten dom**) ...

*Na kartkę zaprosiłaś dom ze stołem (...)
bowiem kochasz go ukradkiem
chodzisz na metafor palcach
przenosisz część po części
słowo po słowie dom cały na wiersza plan*

Uśmiecham się do niego, już nieraz zasiadaliśmy do stołu, by w **Życiorysie** „dzielić się poematem jak chlebem”.

*Nawet nie wiem
Jak tam sprawy za lasem
Rano wstaję poemat chwałę
Biorę się za słowo jak za chleb*

Nie zważam na mody byle jakie
Piszę wyłącznie uczuć
Starym drapakiem

Wtóruję mistrzowi moim wierszem **moda**:

– najbardziej kapryśną modą jest moda na poezję wykreowana
zachwyca zmysły wszyscy ją noszą – głoszą aż do wyświechtania
wrzucona na dno szafy przemija koniec sezonu
czasami po latach powraca olśniewa przypomnianą metaforą
precinkiem kropką zadziwia nowym kształtem stylem obrazem ale tylko na sezon

Wokół znajome twarze i głosy podnoszące temat, właśnie słyszę Jana Brzękowskiego głośno objaśniającego, jakim to **Wehikułem poezji** przybył:

Ale najszybszym środkiem lokomocji
jest ciągle jeszcze
ta stara kobyła wyobraźni
którą zajeżdża się na śmierć!

Rozglądam się dyskretnie, nikt nie protestuje ani nie prostuje, niektórzy nawet kiwają głowami. Zastanawiam się, jakby tu rozwinąć dyskusję... przychodzi mi z pomocą Julian Tuwim, zwracają się ku niemu twarze pozostałych gości, gdy mówi o **Wierszu**:

Gdy wiem,
że wiersz powstanie, w klamrę nawiasu zamykam
świat
i przed nawiasem stawiam
znak
funkcji, czynnika.
Wtedy zaczyna się działanie,
dźwięczne i szybkie rozmyślanie,
aż wiersz
jak zdanie
algebraika,
na czarnej tablicy wyraźnie wynika.
Potem
nawias otwieram,
uwięzione wypuszczam żywioły,
czarną tablicę z działań wycieram.

Cisza... w którą wrzuca szorstkie słowa Władysław Broniewski – (...) *Nie wiem, co to poezja, / jest w niej coś z laski Mojżesza: / strumień dobędzie ze skały, / umie zabijać i wskrzeszać. //*

A potem łagodnie i zwraca się do niej, do **Poezji**:

*Ty przychodzisz jak noc majowa,
biała noc, uśpiona w jaśminie,
i jaśminem pachną twoje słowa,
i księżycem sen srebrny płynie,*

*płyniesz cicha przez noce bezsenne
– cichą nocą tak liście szeleszczą –
szepcesz sny, szepcesz słowa tajemne,
w słowach cichych skąpana jak w deszczu...*

Cisza... cisza... A po chwili z naprzeciwka dobiega głos Tadeusza Różewicza. Podnoszę wzrok, zatrzymuję się, słucham z uwagą. Poeta tymczasem mówi powoli, z namysłem:

Moja Poezja

*niczego nie tłumaczy
niczego nie wyjaśnia
niczego się nie wyrzeka
nie ogarnia sobą całości
nie spełnia nadziei*

*nie stwarza nowych reguł gry
nie bierze udziału w zabawie
ma miejsce zakreślone
które musi wypełnić*

*jeśli nie jest mową ezoteryczną
jeśli nie mówi oryginalnie
jeśli nie zadziwia
widocznie tak trzeba
jest posłuszna własnej konieczności
własnym możliwościom
i ograniczeniom
przegrywa sama z sobą*

*nie wchodzi na miejsce innej
i nie może być przez inną zastąpiona
otwarta dla wszystkich
pozbawiona tajemnicy*

*ma wiele zadań
którym nigdy nie podoła*

Milczymy. Szmer wielu oddechów wypełnia pokój. Słysząc szelest myśli przewracanych jak kartki w tomikach wierszy. A może są to już antologie składane z nazwisk i wierszy autorów. Tych obecnych i tych dawno zapomnianych. W uchylonych drzwiach pojawiają się wciąż nowe twarze. Tymczasem Różewicz dorzuca z wiersza **Zdjęcie ciężaru...** pointę do swojej wypowiedzi:

- zapominają / że poezja współczesna / to walka o oddech //

- A może to ów grzech samoświadomości, jak twierdzi Borges? – dopowiadam. Przeciwstawia się tym słowom, jak zawsze pogodny Leopold Staff, przekonuje w swoim małym gronie, że jego **Ars Poetica** to pragnienie...

*Niech wiesz, co ze strun się toczy,
Będzie, przybrawszy rytm i dźwięki,
Tak jasny, jak spojrzenie w oczy
I prosty jak podanie ręki.*

Zgadzam się z moim mistrzem, dolewam mu gorącej herbaty. Unosi do ust filiżankę, smakuje aromatyczny napar. Tymczasem Czesław Miłosz dołącza do zacnego grona, siada wygodnie w fotelu naprzeciwko i poddaje w wątpliwość tę całą **Ars Poetica**?

*Zawsze tęskniłem do formy bardziej pojemnej,
która nie byłaby zanadto poezją ani zanadto prozą
i pozwoliłaby się porozumieć nie narażając nikogo,
autora ani czytelnika, na męki wyższego rzędu.*

*W samej istocie poezji jest coś nieprzystojnego:
powstaje w nas rzecz, o której nie wiedzieliśmy, że w nas jest,
(...)*

*Ten pożytek z poezji, że nam przypomina,
jak trudno jest pozostać tą samą osobą,
bo dom nasz jest otwarty, we drzwiach nie ma klucza,
a niewidzialni goście wchodzą i wychodzą.*

*Co tutaj opowiadam, poezją, zgoda, nie jest.
Bo wiersze wolno pisać rzadko i niechętnie,
pod nieznośnym przymusem i tylko z nadzieją,
że dobre, nie złe duchy, mają w nas instrument.*

I tu Staffowi oraz nobliście wpada w słowa Anna Kamieńska. Odwracam się do niej i słucham urywków gorzkiego wyznania. Docierają do mnie z gwaru wypowiedzi przy stole, słowa poetki polemizującej z rozmówcami:

Poezja nie ocala

*nie pociesza
(...)
Nie zastąpi podania ręki
ani uczonego traktatu
ani prawdziwej modlitwy bez słów
(...)
Jest suchym
coraz dokładniej narysowanym punktem
z podręcznika geometrii do klasy trzeciej
(...)
naprawdę czystym środkiem samotności
(...)
Lecz dotkniesz
a wybuchnie nagle
całym światem jak płaczem*

Zapada cisza. Tylko tykanie czasu, który ponad przestrzenią stołu, ponad słowami, ponad podziałami zdań... delikatnie sypie kurz pamięci, pojednania... A ona ściszoneg głosem, jakby nieobecna, snuje swoje **Dalsze rozmyślenia o poezji**:

*Ciągle rozmyślam o poezji
Ile potrzeba słów aby napisać wiersz
Bardzo dużo
a potem jednej kreski
aby przekreślić*

Rozładowuje napiętą sytuację uśmiechnięta przekornie Wisława Szymborska. Ze swoim stoickim (a może olimpijskim?) spokojem, z dystansem, niemalże epickim, stwierdza:

Niektórzy lubią poezję

*Niektórzy -
czyli nie wszyscy.
Nawet nie większość wszystkich, ale mniejszość.
Nie licząc szkół, gdzie się musi,
i samych poetów,
będzie tych osób chyba dwie na tysiąc.*

Tu aktorsko zawiesza głos, by po chwili dokończyć myśl podszytą sokratesową wątpliwością:

*Poezję -
tylko co to takiego poezja.
Niejedna chwiejna odpowiedź
na to pytanie już padła.
A ja nie wiem i nie wiem i trzymam się tego
jak zbawiennej poręczy.*

Większość zebranych z sympatią przyklaskuje noblistce, a ja szczególnie wyrażam swoją radość z jej obecności w moim zacisznym pokoju rozmyślań. Poetka rozgląda się, domyślam się i ja, będzie pointa wypowiedzi. Słyszemy charakterystyczny tembr Pani Wisławy:

*Jest więc taki świat,
nad którym los sprawuję niezależny?
Czas, który więzę łańcuchami znaków?
Istnienie na mój rozkaz nieustanne?*

*Radość pisania.
Możność utrwalania.
Zemsta ręki śmiertelnej.*

Ponownie rozlegają się oklaski. Dama skłania głowę, sięga po filiżankę. Podają herbatę. Dosiada się Zbigniew Herbert tuż obok Emily Dickinson, która właśnie mówi mój ulubiony wiersz **657**:

Mieszkam w pałacu Możliwości –
Piękniejszy to dar od Prozy –
O wiele więcej Okien –
Drzwi można szerzej otworzyć –

Wnętrza – jak starych Cedrów –
Objąć Okiem się nie da –
A w górze Wieczny Pułap –
Kopuła Nieba –

Goście – najwyborniejsi –
A jedyne Zajęcie –
Zamykać w objęciu wąskim –
Obfite Raju naręcze –

Siedzący obok Stanisław Barańczak, natychmiast tłumaczy. Uśmiechają się do siebie. Rozumieją bez słów. Amerykańska poetka dobrze się czuje w naszym gronie. I temat jej odpowiada. Spogląda na Herberta, który tymczasem kontynuuje rozpoczęte myśli, zatrzymane zdania:

co będzie
kiedy ręce
odpadną od wierszy
gdy w innych górach
będę pił suchą wodę

powinno to być obojętne
ale nie jest
co stanie się z wierszami
gdy odejdzie oddech
i odrzucona zostanie
łaska głosu

czy opuszczę stół
i zejdę w dolinę
gdzie huczy
nowy śmiech
pod ciemnym lasem

Zajmująca miejsce po prawej stronie przyjaciółka poety, Magdalena Czajkowska, lekko zażenowana zwraca się z pytaniem, skąd mu się to wszystko bierze? A Herbert bez zniecierpliwienia odpowiada, że:

- nie lubi „natchnionych twórców” którzy udają przed publicznością, że poruszają się w sferach niedostępnych dla przeciętnego czytelnika.

Przyznał też, że zawsze nosi przy sobie notesik:

- i jak mi jakiś zwrot lub fraza wpada w ucho – zapisuję. Może to być całe zdanie albo tylko parę słów. Z czasem to narasta i wtedy myśl rozwijam dalej. Wracam do tego – czasami po miesiącach, nawet po roku lub dwóch. Potem nad tym pracuję, skreślam, czeluję – aż wreszcie wypuszczam w świat. Pisanie bardzo mnie męczy i zabiera dużo czasu i skupienia. Bywa, że dniami siedzę nad jedną linijką.

I dodał jeszcze:

- Mogę dopiero wtedy żyć na własny rachunek (to jest pisać), gdy poczuję zachwianą równowagę między sobą a światem. Do tego potrzebna mi jest niepewna przyszłość.

Przechodzę dyskretnie obok rozmawiających, łapię strzępki zdań. Właśnie Wiktor Gomulicki wyraża swoje (staroświeckie może dzisiaj, ale nieodmiennie aktualne) zdanie: *Nie ten wiersz dobry, co dobrze zabawi, / Lecz który dobra chociaż trochę sprawi.*

Na co mu dobrodusznie dopowiada, potwierdzając myśl, ksiądz Jan Twardowski: *- nieraz mali poeci dobrej sprawie służą.*

Z odległego końca stołu dochodzi do mnie śmiech i głośne spory. Joanna Kulmowa, wciąż w aurze i zapachach strumiańskiego lasu – kpi:

Poezja

*Nic
utrefione bardzo.
Fałszywy czek
na otwartość.
Test pamięciowy półgłówka.
Kreatorka na ćwierć etatu.
Vanitas vanitatum.*

Głębi spleciona psota.
Psyche
w papilotach.

Na co Edward Stachura równie głośno peroruje, gestykulując szeroko:

– Trzeba pisać. Żeby zarobić na chleb. I na podróż do Patagonii. Albo na Alaskę. (...) O czym pisać? O wszystkim. O poezji zatem więc. Bo wszystko jest poezja, każdy jest poetą. (...) Wszystko jest poezją, a najmniej poezją jest napisany wiersz; każdy jest poetą, a najmniej poetą jest piszący wiersze.

Maria Komornicka też bez skrępowania wyraża swoje zdanie, jakże warte uwagi:

Śpiewaj pieśń swą, Poeto! ...
Choć nie masz słuchaczy
Twórz tak, byś SOBIE śpiewać miał i chęć, i po co.
Niech Cię społeczny cel i gusta nie kłopotą.

Na owo dictum z poczesnego miejsca przy stole odezwał się Jan z Czarnolasu:

Sobie śpiewam a Muzom, bo kto jest na ziemi,
Co by serce ucieszyć chciał pieśniami memi?
Bo z rymów co za korzyść krom późnego dźwięku?
.....
Jednak mam tę nadzieję, że przedsię za laty,
Nie będą moje czułe noce bez zapłaty.

Podrywa się na te słowa szczeciński poeta, Józef Bursewicz i opowiada ze swadą wilniuka, jak to przekonywał przechodnia na moście akademickim, że tylko **Nocą** (...) z zieleni wydobywa metafory.

I znowu słyszę muzykę, coraz głośniej brzmi melodia *Dance me to the end of love*. To przybył Leonard Cohen, który przyłącza się do rozmowy, objaśnia, jak on pojmuje mówienie poezji. Przysłuchuję się z uwagą i ciekawością zarazem. Poeta piosenki bowiem twierdzi:

– Wiersz nie jest hasłem. Nie możesz się przez niego reklamować. On nie może ci wyrobić reputacji wrażliwego. (...) Nie odgrywaj słów. Słowa umierają, kiedy się je odgrywa, więdną i wtedy nie pozostaje nic oprócz twej ambicji. (...) Jakiego wyrazu domaga się nasza epoka? Nasza epoka nie domaga się żadnego wyrazu. (...) Unikaj kwiecistego stylu. Nie bój się okazać słabości.

Nie wstydz się swojego zmęczenia. Do twarzy ci ze zmęczeniem. Wyglądasz, jakby było cię stać na znacznie więcej.

Słowa kanadyjskiego barda zapadają mi w pamięć. Rozważam je w sobie, gdy krążę pośród moich gości. Coraz ciaśniej. Wchodzą wciąż nowi. Drzwi się nie zamykają. Widzę Julię Hartwig, która rozmawia z Apollinaire'em, Lilkę Pawlikowską-Jasnorzewską wijącą różę w wieniec dla fiołkowowłosej Safony, nucącą z Ewą Demarczyk własne wiersze...

*Nie widziałam cię już od miesiąca
I nic. Jestem trochę bledsza,
Trochę śpiąca, trochę bardziej milcząca,
Lecz widać można żyć bez powietrza...*

W odległym, mrocznym kącie pokoju cienie zamysłonego Norwida, Słowackiego, Mickiewicza sprzecząją się jak zwykle o to, jak i czy... *Odpowiednie dać rzeczy – słowo!* W jasnym świetle lampy widać Poświatowską w gronie wielbicieli..., Leśmiana podjadającego maliny, które wystawiłam w koszyczku na stole... Dyskretnie podsuwam mu jeszcze jeden. W rogu pokoju grupa szczytniejszych poetów... skupieni wokół Bursewicza. O czym rozmawiają? Chyba znowu o Metaforze!

Znienacka wbiega spóźniony Mieczysław Jastrun, powiewa kartką i czyta swój przekład **Ars Poetica** Paula Verlaine'a:

*Nade wszystko muzyki! Dla niej
Przeńś wiersz nieparzysty nad inne,
Roztopiony w powietrzu płynniej,
Bez ciężarów, co wstrzymują zdanie.*

*Wiąż wyrazy niedbale dobrane:
Nic droższego od przymglonej piosenki,
Gdzie w upojeniu łączą dźwięki
Z wyrazistym Niezdecydowane.*

*Bo nade wszystko chcemy Odcienia,
Odcienia, nie kolorów tęczy!
Och, tylko Odcień zaręczy
Sen ze snem, z fletnią rogu brzmienia!*

*Stron od puenty zabójczej. Niech zgłuchnie
Okrutny dowcip i śmiech pod piórem,*

Co każą płakać oczu lazuram,
Odrzuć tę całą nędznych czosnków kuchnię!

Złam retoryce kark, bez pardonu!
I nie wahaj się, sam pełen żaru,
Rym nauczyć mądrego umiaru;
Dokąd ponióstby, nieposkromiony?

O, któż zliczy Rymu złe narowy,
Jaki Negr szalony, głuche dziecko
Wynalazło ten lśniący zdradziecko,
Brzmiący pusto klejnot groszowy?

Muzyki wszędzie, muzyki zawsze!
Niech z twojej duszy wiersz skrzydlaty
Ulatuje w nieznanym dusz światy,
W niebo innych miłości najdalsze.

Niech go na pięknej przygody pióra
Weźmie puszysty powiew poranku,
Niosący wonie mięty i tymianku...
A wszystko inne – to literatura.

I nic dziwnego, że towarzyszą słowom francuskiego symbolisty tony preludium *La fille aux cheveux de lin* Claude'a Debussy'ego... bo Muzyka nade wszystko!

Blisko okna widzę eteryczną postać. To Euterpe. Naturalnie, któż jak nie ona, RADOSNA, powinna dotrzymywać towarzystwa poetom. Tylko dlaczego tak na uboczu? Zamyślona, nie gra na aulosie. Za to patrzy na mnie i daje znak. Domyślam się. Czas na akord! Na szczęście mam, wydaje mi się, że stosownych kilka wersów. Szepczę cicho. Głos wypełnia pokój. Rozmywają się cienie... **Wszystko już było...**

*wszystkie trafne słowa wszystkie piękne rymy metafory
zdziwione szalone koncepty wymyślono mimesis katharsis
czy puentę pomieszano rodzaje gatunki i style powiedziano
już wszystko najlepiej... najgorzej... a my – wciąż piszemy
w prastarym uporze...*

Znowu słyszę muzykę, dźwięki gitary coraz mocniejsze... to Santana gra mój ulubiony utwór *Europa*... Między frazy wchodzą refleksje, zapisują się słowa: PRZECIEŻ POECI WCIAŻ MAJĄ COŚ DO POWIEDZENIA! Czas oddać im

głos! Zapraszam do stołu wiersza... moich najbliższych przyjaciół. Edward Sierkierzyński wychodzi na chwilę z Cienia, jak zza uchylonych drzwi Czasu i wybrzmiewa dźwięcznie swoim wierszem **Droga**

*Najkrótsza droga na papier –
pióro – sejsmograf myśli...
Wyłania się z zapisu
wielkość drgań umysłu...
Ziemia zakrywa Słońce...
wszystko w ruchu,
myśli wieczorne i o poranku...
Wszystko ruchome –
lokalny mobil na kartce –
koniec stalówki –
ciągłość myśli uchwyconej
najkrótszą drogą...
Powrót do siebie,
po drganiach zapisu...
A siebie może już nie być...*

3 VI 2013, 22:36

Wtóruije mu uśmiechnięta i jak zawsze pełna werwy w pełnym świetle słońca – Helenka Pilarska:

*– zwyczajna radość słów / złączonych myślą / świecącą jak gwiazda / I moja
radość / że to wszystko widzę / i potrafię nazwać //*

– A kiedy nie śpisz? – pytam.

*– W nocy kiedy nie śpię / powinnam powtarzać wiersze / Te już napisane i te
co w zamyśle / Nie dlatego że są lub będą najlepsze / ale że są i będą moje //*

– bo

*– Wiersze jak ptaki / zjawiają się kiedy chcą / i nigdy wtedy / gdy się na nie
czeka / Ograbiają ze snu / i burzą spokój...*

I dalej zwierza się:

*– ...Kiedy czytam Różewicza / to tak / jakbym czytała / moje własne wiersze / nie-
napisane / Wiersze które mam w sobie / które mnie bolą / i budzą nadzieję //*

Janusz Krzywiński rozgląda się za Żoskiem, ale Bursewicz już zniknął za drzwiami, które kierują tylko do wyjścia, więc Janusz sam głosi swoje wiersze, najpierw **Krytykę poezji**

*Albo niezbyt schlebia wielkości
lub wyzłaca pozory
wątpieniem brocząc
wieści nadzieję poranka.
Pochwycić nieuchwytnie
pragnie
i na równi mrok i światło
przeniknąć.
Tak w pustkę czystej karty
słowo wędrówkę ponawia
by nasz ślad
do drugich nanieść.
Dlatego niezłudzony bezpieczną chwilą
jedynie ze snem psa u nóg i zegarem na ścianie
pracuję
bo później jest niż się zdawało...*

By dodać też **Prześlanie**

*Poeto nadchodzący
takie stwórz pieśni
a z nimi świat nowy:
by uśmiech
nawet przelotny
i gest czuły
większej były wagi
niż teraz całe złoto świata.*

W pośpiechu wpada do pokoju spóźniona Anetka Gawriłow, ale zdąży jeszcze zaprezentować swoją symboliczną **panoramę firm**

*na wzgórzu
pracownia alchemika
nad nią słowa
od metalu piękniejsze
i lżejsze*

zgrabnymi sztabkami kołują
czarują
bezwstydnie mają anioły natchnienia

poniżej
wśród starych dębów
kamienny warsztat kowalski
w nim od świtu i do świtu
wykuwam swoje
JESTEM
ale mi się ciągle podwija
na brzegu

Słyszę szelest, zza okna wraz z wieczornym zapachem bzu wpływają wersy
jak kadzidło...

* * *

Opieram podbródek na złożonych dłoniach, spoglądam gdzieś w głąb pokoju
mojej wyobraźni, sylwetki gości coraz bardziej mgliste, muzyka coraz odleglejsza...
nawet stół jakby się rozmył...

I znowu słyszę szept, tuż przy policzku...

*tak mi się marzy wiersz przy twarzy tak przytulony do policzka by tylko
oddech po nim spłynął by lekką frazą się zawinął w niepowtarzalną wersu
pointę... tak mi się marzy wiersz przy twarzy...*

*tak mi się marzy **wiersz...***

Bibliografia

1. *Strofy o poezji*, antologia, wybór, oprac. i postłowie Jacek Kajtoch, Iskry, Warszawa 1987.
2. Wisława Szymborska, *Koniec i początek*, Znak, Kraków 1993.
3. Emily Dickinson, *liryki najpiękniejsze*, przekł. St. Barańczak, AL GO, Toruń 2000.
4. M. Czajkowska, *Herbert i „Kochane Zwierzątka”*, Rosner i Wspólnicy, Warszawa 2006.
5. Joanna Kulmowa, *Cykuta*, wyd. I, Czytelnik, Warszawa 1967.
6. Leonard Cohen, *Jak mówić poezję*, przekł. Maciej Karpiński, pl.hum.poezja – Teksty różne.
7. Władysław Broniewski, *Poezja*, w: *Wiersze i poematy*, PIW Warszawa 1972, s. 41.
8. Jorge Luis Borges, *Rzemiosło poezji*, Prószyński i s-ka, Warszawa 2000.
9. Helena Pilarska, *Zapisać choćby na skrawkach papieru*, seria: akcent, Szczecin 2019.
10. Edward Siekierzyński, *Jak daleko jest blisko*, seria: akcent, Szczecin 2014.
11. Janusz Krzemiński, *W palcach wiatru*, wyd. hogben, Szczecin 2012.
12. Aneta Gawriłow, *panorama firm*.
13. Róża Czerniawska-Karcz, *wiersze z tomu: zapytaj jabłoni...*, seria: akcent, Szczecin 2017.

Nie tylko rzeczy

Niedawno oglądałam filmową relację z tokijskiego metra. Była krótka, zaledwie kilkuminutowa, ale zrobiła na mnie duże wrażenie. Dotyczyła biura rzeczy znalezionych na stacjach i w pociągach metropolii. Moje zainteresowanie wzbudziły jednak nie ogromne liczby podawane w reportażu, takie jak 200 kilometrów tras, 170 stacji, czy 1700 parasoli zostawianych przez podróżnych w deszczowe dni, ale sposób traktowania znalezionych rzeczy przez pracowników tegoż biura.

Mężczyźni w ciemnych mundurach (lub garniturach, pod krawatami, a czasami w białych rękawiczkach) pieczołowicie opisywali każdy przyniesiony przedmiot w rejestrach, kończąc procedurę załączeniem do niego metki i odniesieniem na właściwy regał w magazynie: smartfony do smartfonów, parasole do parasoli, butelki z alkoholem (każdorazowo starannie owijane w folię bąbelkową) do butelek. Jedną z procedur była szczególnie zaskakująca. *Lunch boxy* były wyjmowane z toreb, otwierane i, po uprzednim wyrzuceniu lub wylaniu ich zawartości, myte w zlewozmywaku przez tych samych panów w białych koszulach. W przedostatniej scenie reportażu pokazano uśmiechniętego chłopaka, który nie musiał już wzywać ślusarza, ponieważ odnalazł swoje klucze do mieszkania oraz kobietę w japońskim ukłonie, która odbierała parasol.

Ujęcie filmowe, które pokazywało po skosie jedynie plecy „kobiety z parasolem”, nie ułatwiło rozpoznania rodzaju *ojigi*, który składała. Czy to było *eshaku*, *kerei* czy *sai-keirei*? Zastanawiałam się przez chwilę. Krótką, ponieważ odpowiedź otrzymałam od mundurowego, który swoją wypowiedzią kończącą reportaż skradł całe *show*. „Każdą znalezioną rzecz traktujemy tu z należytą uwagą, ponieważ nawet najmniejsza z nich może być czymś niezwykle cennym dla właściciela” – podsumował pracę swojej ekipy. Ponieważ film był w angielskiej wersji językowej, muszę dodać, że użyto w nim słowa *precious*, które przetłumaczyłam tak, bazując na mojej polskiej mentalności. Może jednak, biorąc pod uwagę całą prezentowaną historię, przymiotnik „drogocenny” byłby tu bardziej odpowiedni? Wtedy też byłby to zapewne ukłon *sai-keirei*

(taki składany z najbardziej pochyloną, pod kątem 45 stopni, sylwetką), wyrażający głęboki szacunek. Przecież komuś, kto traktuje nasze pudełko na drugie śniadanie jako coś drogiego, nie można podziękować inaczej.

Zainteresowały mnie badania nad tym, co powoduje, że pewne artefakty są dla nas cenne i to nie jedynie przez ich materialną wartość, która jak się okazuje, nie ma najistotniejszego znaczenia. Czynniki wpływające na proces, dzięki któremu rzecz „staje się” cenną, są bardzo różne. Jedne z nich oddziałują na emocjonalność człowieka (przypominają różnorodne uroczystości, rocznice, święta czy konkretne osoby), inne poruszają w nim struny estetyczno-ekspresyjne (różne prezenty, pamiątki po bliskich lub też takie, przypominające konkretne miejsca), ale są i takie, które odnoszą się do poczucia wspólnoty, często wzmacnianej przez działania mnemotechniczne różnych grup, organizacji czy polityków (odznaki przynależności, specjalne stroje, flagi, sztandary).

Takie źródła „drogocенności” naszych rzeczy miał zapewne na myśli pracownik biura tokijskiego metra, który wypowiadał się w filmie. Jednak wydaje się, że niektóre przedmioty zajmują w naszej psychice miejsce szczególne. Na przykład różne rzeczy o znaczeniu – nazwijmy je może na potrzeby tego tekstu – zdrowotnym. Jak postrzegają swoje protezy nóg (czy rąk) osoby po amputacjach kończyn? Dzięki nim mogą się poruszać bez wózków inwalidzkich, a nawet biegać. Czasami robią to szybciej niż pełnosprawni sportowcy, wzbudzając tym konsternację organizatorów zawodów sportowych (przykładem jest tu „Blade Runner” – Oscar Pistorius z bionicznymi kończynami nóg). Jak wtedy postrzegamy taką swojego rodzaju hybrydę człowieka i materii nieorganicznej? Czy jesteśmy przygotowani przez rozważania szeroko pojętej humanistyki na percepcję takich zjawisk? Nie jestem pewna, czy nasze myślenie o świecie nadąża za zmianami w nim zachodzącymi.

Do niedawna „innym” był nie tylko kaleka, ale także przedstawiciel odmiennej rasy, kultury, członek mniejszości społecznych, etnicznych czy seksualnych. Świadomość istnienia płci społecznej, niebinarności zarówno biologicznej jak i psychicznej (obojniaki, transseksualiści, queer) zaowocowała wieloma badaniami i wynikającymi z nich spostrzeżeniami. Ich poznanie przez szerokie grono ludzi spowodowało większą integrację społeczną tych, wyalienowanych jeszcze do niedawna, osób.

Jednak grupa ludzi, którzy sami siebie postrzegają w kategoriach inności znacznie się powiększyła. Rozruszniki serca, platynowe stawy czy metalowe sztabki wkładane w złamane kości stanowią specjalistyczną (często

skomplikowaną mechanicznie i elektronicznie) materię nieożywioną. Przez „zamontowanie” w człowieku stają się wrośniętym w organizm ludzki elementem, postrzeganym przez swojego „nosiciela” w sposób szczególny. Wyjątkowy. Czy można mówić tu, że sztuczny staw jest dla jego posiadacza cenny, czy raczej, że stanowi jego integralną część, a więc jest bezcenny? Ale przecież nie mówimy, że boli nas „bezcenna głowa”, tylko po prostu „głowa”. Mówiąc, więc że boli mnie kolano, mam na myśli także i wrośnięty w nie sztuczny staw. Materia nieożywiona, staje się częścią człowieka, ale z jej obecności (a więc swojej inności) ciągle jeszcze musi się „tłumaczyć”, choćby przechodząc przez bramki wejściowe na lotniskach.

W Stanach Zjednoczonych przerabia się spopielone ludzkie szczątki w tzw. diamenty pamięci (ponoć obejmuje to już pięć procent kremowanych tam zwłok). Jeżeli ktoś zamówi wykonanie takiego „zagospodarowania” prochów swojej żony (a może „przetworzenia” – nawet nie bardzo wiem, jak nazwać takie działanie), jak cenna będzie dla niego taka nekrobizuteria? Jak ją będzie traktował? Zastanawiam się, czy dla właściciela (jakoś dziwnie to brzmi... lepiej chyba powiedzieć „posiadacza”) będzie to ciągle medium pamięci o osobie, czy już jedynie o jej prochach, z których zostanie wytworzona.

W dzisiejszej medycynie standardem stało się przeszczepianie organów pobranych od ludzi (w stanie śmierci, co najmniej klinicznej) innym osobom, którym (ze względów medycznych) są niezbędne do życia. Takie działania (zwykle) nie budzą już żadnych wątpliwości etycznych („Zwykle” – ponieważ istnieją ludzie pewnych wyznań, którzy nie godzą się nawet na transfuzje krwi). Operacje transplantologiczne wykonuje się nie tylko z „dużymi” narządami, takimi jak serce czy nerka, ale równie często ze szpikiem kostnym czy komórkami macierzystymi. Biorca zmuszony jest wtedy przez całe życie przyjmować leki immunosupresyjne. Ich zadaniem jest obniżenie aktywności jego układu odpornościowego po to, aby organizm nie odrzucił przeszczepu. Dwa, do tej pory obce sobie, zespoły ludzkich komórek zmuszone zostają do życia w połączeniu. Jeden staje się integralną częścią drugiego. Muszą stale o sobie „myśleć”, traktować się z należytą atencją, gdyż inaczej ta symbioza nie ma szans na przetrwanie.

Istnieje wiele opowieści, w których przeszczepione serce jest nośnikiem nowej osobowości dla biorcy. Co ciekawe, te historie zaczynają znajdować potwierdzenie w badaniach naukowych, które jednoznacznie dowodzą, że serce i jego układ krwionośny wytwarzają swoiste pole elektryczne zdolne do przenoszenia treści, a więc inaczej mówiąc – myśli. Kim więc byłabym po

przeszczepie serca? Dalej sobą, czy pewnego rodzaju hybrydą biologiczno-psychiczną, skoro do mojej świadomości „wprowadziłyby się” wraz z organem dawcy i jego wspomnienia? Najprawdopodobniej nie wypartyby one całkowiście moich własnych przeżyć, ale i tak stałabym się swojego rodzaju „biorcą” również i psychicznego przeszczepu.

Na świecie na szeroką skalę prowadzone są badania i testy genetyczne, których celem jest „wytworzenie” bardziej pożądaných gatunków roślin (większa odporność na choroby roślin przekłada się bezpośrednio na wysokość zbiorów), czy zwierząt hodowlanych (krów dających więcej mleka, czy świń z mniejszą ilością tkanki tłuszczowej). Jednak zmodyfikowane zwierzęta są używane nie tylko jako pożywienie. Hoduje się je również z zamysłem stworzenia zaplecza transplantologicznego dla ludzi, które obecnie jest zbyt małe w stosunku do potrzeb.

Wszystkie te działania sprawiają, że pojawiają się kolejne pytania. Co będą czuły osoby z sercem (albo nerką) innego zwierzęcia? Na przykład świni? Jak postrzegać siebie, jeżeli staniemy się hybrydą międzygatunkową? Takie organizmy to nie są już jedynie historie *science fiction*, one istnieją naprawdę. 11 stycznia 2022 roku w Centrum Medycznym Uniwersytetu Maryland w Stanach Zjednoczonych chirurdzy przeszczepili pacjentowi (który miał w tym dniu pięćdziesiąt siedem lat) serce pobrane od genetycznie zmodyfikowanej świni. Operację uznano za udaną, ponieważ organizm mężczyzny nie odrzucił przeszczepu. Rok wcześniej miał miejsce analogiczny zabieg, podczas którego przeszczepiono człowiekowi nerkę, pobraną również od świni.

Humanistyka stworzona przez ludzi musi więc sprostać nowemu zagadnieniu – powstaniu hybrydy międzygatunkowej z człowiekiem w roli głównej. Tożsamość określana „za pomocą popularnej w humanistyce triady: rasa, klasa, płeć kulturowa czy w dualnym podziale na organiczne/nie-organiczne, ludzkie/nie-ludzkie” już nie wystarczy¹⁹³, trudno opisać ją, korzystając ze znanych toposów.

Moje myślenie o tym, kiedy rzecz jest jedynie przedmiotem, a kiedy przedmiot staje się integralną częścią mnie, jako organizmu żywego, nie jest już takie proste i jednoznaczne. Komplikuje się także moje spojrzenie na to, do kiedy jesteśmy jeszcze organizmem ludzkim, a przy jakiej ilości przeszczepów odzwierzęcych, już nimi przestalibyśmy być? Jakie kryterium tu przyjąć? Procentowej

193 Ewa Domańska, *Humanistyka nie-antropocentryczna a studia nad rzeczami*, s. 13 <http://ewa.home.amu.edu.pl/Domanska,%20Humanistyka%20nie-antropocentryczna%20a%20studia%20nad%20rzeczami.pdf> – dostęp 20.01.2022.

ilości... ale objętości czy masy? A może rodzaju? A wtedy przy hybrydach międzygatunkowych, które organy człowieka zaświadczą po przeszczepach, że to jeszcze *homo sapiens*? Mózg? A może również serce w parze z żołądkiem? Przecież ten ostatni organ ma także swój (myślący) system nerwowy.

PROZA

Edward Siekierzyński (1950-2022)

Poeta, prozaik, eseista, malarz, rzeźbiarz, medalier. Od 1970 roku uprawiał malarstwo i rzeźbę, zajmował się też literaturą, tworzył poezję i prozę. Miał wiele wystaw indywidualnych swoich prac malarskich i rzeźbiarskich (depozyty znajdują się między innymi w Muzeum Sztuki Medalierskiej we Wrocławiu, inne prace w zbiorach prywatnych w Anglii, USA, Francji, Holandii, Irlandii, Izraelu, Szwajcarii, Szwecji, Ugandzie, Rosji, Białorusi i Ukrainie).

Wydał cztery tomy poetyckie: *Tłó* (2004); *Nadrodzaj – opowiadki dla wypoczętych intelektualnie i bogatych* (2004); *Jak daleko jest blisko* (2015); *WSTĘP! CAŁE ZDANIE? I...* (2019). Ponad 30 tomów prozy i poezji przygotował do druku...

Jego twórczość poetycka była publikowana w licznych antologiach. W 1996 roku zdobył główną nagrodę w konkursie Polskiego Radia Szczecin na opowiadanie „Z latarnią morską w tle”. Nagrodzone opowiadanie pod tytułem *Światło Nvena* zrealizowano jako słuchowisko radiowe, z muzyką Wojciecha Kilara, w reżyserii Sylwestra Woronieckiego.

Od 2005 roku należał do szczecińskiego oddziału Związku Literatów Polskich, gdzie pełnił funkcję wiceprezesa (2016-2017).

WSTĘP! CAŁE ZDANIE? I...,

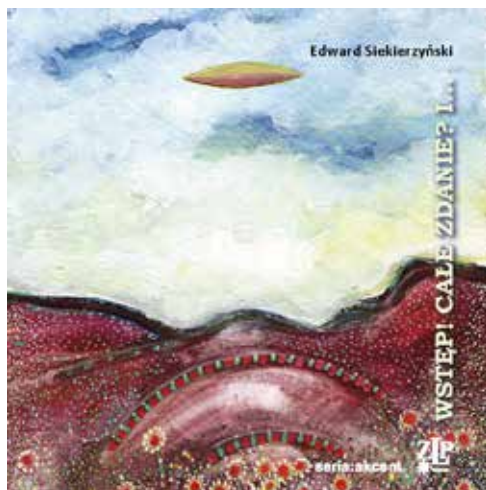
seria: akcent, wyd. hogben, Szczecin 2019, fragment

GALAKTYKA

Dzisiejszej nocy spojrzałem, po kilkunocnej przerwie – nie wiem już z jakiego powodu ta przerwa była – w rozgwieżdżone niebo po stronie północno-wschodniej. Spojrzałem... nad głową Gwiazdozbiór Kasjopei, to wielkie WU na tle niezliczonej ilości świecących punkcików Drogi Mlecznej...

Droga Mleczna, to peryferie galaktyki i tu właśnie jest Układ Słoneczny, taki przypadkowy, taki nieważny wobec nieskończoności... Ta galaktyka też

(zdj. archiwum ZLP O. Szczecin)



jest czymś przypadkowym i powtarzalnym w nieskończoności, wśród nieskończonej ilości innych galaktyk i tym samym może być nieważna...

Patrzenie w rozgwieźdzone niebo, to nieustająca tęsknota zakodowana w każdej istocie, bo stamtąd jesteśmy! Każda galaktyka ma swą tajemnicę, chyba gdzieś w centrum. Może tam jest portal do innego kosmosu...? Jestem więc tu na peryferiach, razem z przeszło siedmioma miliardami ludzi i patrzę na nocne niebo, na rozbłyски pasażerskich samolotów, rozbłyски meteorów (a mówiono, że w niebie kamieni nie ma!), na błyszczące odbitym światłem satelity wyprodukowane na Ziemi, sunące z południowego wschodu na północny zachód, i na ten rój błyszczący Drogi Mlecznej, i czuję się wtedy, jakby mnie nie było... ulatuję gdzieś myślą...

Zamykam okno i udaję się w podróż swoim slipingiem. Myślę o tej tajemnicy, o tej wiecznej chwili, która przedstawi mi seans bez poczucia czasu i przemijania...

Przez chwilę, zapewne, poznam istotę czystej abstrakcji w kalejdoskopie gasnącego światła...

To stała tajemnica galaktyki, którą przemierzam nieskończoność.

Nieskończoność dla Ogółu jest niepojęta, tak jak tajemnica galaktyki dla mnie...

* * *

Przypadkowo otrzymałem płytę DVD ze zdjęciami misji pokojowej w Iraku, zmiana z lipca 2003 roku... ogniste grzyby potężnych wybuchów, czołgi, karabiny, ludzie, pożary, osmalone wraki pojazdów, ranni, przydrożne trupy, spalone trupy, a to wszystko w... egzotycznych *okolicznościach przyrody*...

Postęp cywilizacyjny? Postęp intryg? Podstęp socjomanipulacji?

Nie chcę wiedzieć. To też tajemnica człowieka, tego przypadkowego w przypadkowym miejscu galaktyki...

4 IX 2018, 23:29, temperatura w pokoju +23°C,

temperatura na zewnątrz +18°C

MALOWANIE

Maluję zawsze w ciszy. Jestem sam z obrazem i jego wymyśloną przestrzenią. Proces tworzenia obrazu to splot myśli przerywanych głośnymi przekleństwami.

Malowanie to przecież rodzaj modlitwy i rachunku sumienia, to wspomnianie osób już odeszłych, wymienianie ich imion, czasem i nazwisk, w momencie, gdy na płótno nakładam tu taką barwę, a tu inną...

Ubliżanie w myślach i na głos tym, którzy w moim mniemaniu mi podpadli – może i niesłusznie z punktu widzenia ogólnego rozsądku, ale w twórczości rozsądek może być tylko w technice tworzenia – inspiracja może być rozsądku pozbawiona! Na tym polega *sięganie tam, gdzie rozum nie sięga* (!), więc ubliżam w swoim zakresie postrzegania i możliwości...

Są to ubliżenia piętrowe i finezyjne w swej wulgarności, co nadaje im cechy rzucanych w średniowieczu (teraz bowiem średniowiecze powraca ze swoimi tradycjami, szczególnie w kręgach konfesyjnych – taki trend!) uroków albo czarów na te przegrane dla mnie postaci.

W czasie malowania rzucam też uroki na ptaki, które lotem koszącym posyłają swoje odchody na moje okna, na psy i do kompletu na koty (a co!?), a szczególnie na właścicieli psów, którzy zostawiają przed moją furtką efekty wypróżnień swych pupili, i na te osoby, które wypluwają gumę do żucia na trotuar, i na te, które w środkach masowego przekazu mącą ludziom w głowach...

Napisałem to bardzo elegancko, ale to, czego im życzyłem i życzyć jest bardzo nieeleganckie...

No, na tym przecież polega klątwa, to co mam robić!? Nie kląć!? A dlaczego!? Przecież jest konstytucyjna wolność słowa (!), wszak moje klątwy są poufne! Przecież zauważyliście Państwo, że nie przytaczam tu ich treści, ani tego do/na kogo je kieruję, one są w eterze i niejednego, skłętego przeze mnie już szlag

trafił na różne sposoby, i niekoniecznie muszę sprawdzać ogłoszenia przy głównej bramie – wiadomo, gdzie...

I tak sobie rozprawiam w swojej przerywanej cichości przy malowaniu obrazu...

Cichość właściwa dochodzi do tego stopnia, że zaczynam słyszeć szelest delikatnego włosia pędzelka przy malowaniu drobnych fragmentów.

Ten cichy dźwięk uspokaja mnie i zaznacza, że wszystkie znane mi osoby odeszłe zostały na razie wspomniane (te oczywiście, o których w tej chwili pamiętałem), a na wszystkie osoby mi podpadnięte (które w tej chwili przyszły mi na myśl) zostały rzucone klątwy i wyczerpany nieco głośnymi przekleństwami i wysiłkiem rzucania klątw, mogę sobie zrobić przerwę na herbatkę z małym keksem...

A ogólnie, podczas tych rozmyślań i klątw, podczas mojego seansu tworzenia przy sztalugach, cisną mi się gdzieś tam w mózgu pytania: Jak z fizjologii mózgu wyłania się świadomość? Skąd wzięły się prawa fizyki? Dlaczego istnieje raczej COŚ niż NIC?

Z punktu widzenia fizyki kwantów NIC jest po prostu niestabilne – materia + antimateria = NIC.

Przypomina mi się też cytat z Davida Hume'a: *Co jest bardziej prawdopodobne – to, że zdarzyło się coś niemożliwego, czy właśnie dałeś się nabrać?*

Tak wygląda moje malowanie niecodzienne...

23 I 2019 (środa, pełnia) 23:15, temperatura w pokoju: +11°C

POEZJA

Krew, złość, rany, deszcz, łzy, mgła i jeszcze coś w oddali – żal... to ma być poezja? Modlitwa i szukanie, zaklinanie czasu, by nie tak szybko... to ma być poezja?

Pamięć, niepamięć, wspomnienia, szaleństwo, zapach kwitnących traw i trud... to ma być poezja?

Spojrzenie w niebo i w siebie, rozchylić koszulę i siebie zobaczyć, czy to poezja?

Może to wszystko udaje poezję? Piszę prawie zawsze ze słowem *wszystko...* Wszystko może być nadmiarem, a w poezji chodzi o deficyt słów, poezja ma

mieć mało słów, by stała się *wszystkim* przenikającym do miejsca osobliwego we mnie, niczym w kosmosie...

Punkty osobliwe porzucane w nieskończoności przez przyczyny uboczne, nieistotne...

Tam sięgnąć spojrzeniem zamkniętych oczu i przez chwilę dotknąć myśli ulatującej, i nie zapisać jej, bo nie zapisze się jej...

A tu, krew, złość, rany, deszcz, łzy, mgła i w oddali ten żal opisywany do nieprzyjemności...

To nie to, to nie poezja, to poszukiwanie niekoniecznie jej, to szukanie swego wyrazu, myśli i słowa z liter, tych cząstek, by zapisać właściwie, według czucia...

Ale ono... to nie to... i znów krew, złość, rany, deszcz, łzy, mgła i w oddali ten cholerny żal...

1 XII 2018, 20:26, temperatura w pokoju: +15°C

Józef Gawłowicz

Pisarz marynista, publicysta. Kapitan żeglugi wielkiej. W 1962 r. ukończył wydział nawigacyjny Państwowej Szkoły Morskiej w Gdyni, w 1976 r. uzyskał patent kapitański. Dowodził wieloma statkami polskimi i pod obcymi banderami, m.in. w Hongkongu i Arabii Saudyjskiej. Wykładał astronawigację w Wyższej Szkole Morskiej w Szczecinie. W latach 1963-1989 był tajnym kurierem paryskim *Kultury* do Polski. Publikował w *Kulturze* pod pseudonimami: Adam Tukubar (*Chińskie wędrówki*), Paweł Sowa (*Pamiętnik znaleziony w Bochni*), Sindbad Żeglarz (*Hawana, czyli traktat o kontrabandzie*). Autor wielu publikacji naukowych, powieści i opowiadań morskich: *Awantury afrykańskie* (1995), *Opowieści nawigacyjne* (1988, wyd. czeskie 2011), książka wyróżniona nagrodą im. Josepha Conrada, *Awantury u Neptuna* (1995), *Byłem kurierem Giedroycia* (1998), *Gejsza z Osaki* (2000), *Biała fregata* (2002), *Strzał w skroń* (2011), wspólnie z Adrianem Pozarzyckim wydał *Światłocienie Kopernika* (2013), w 2016 r. wydał monumentalną księgę *Morski kurier Giedroycia* (zawierającą jego korespondencję z redaktorem *Kultury* paryskiej, w czasie 26 lat przemytu bibuły do kraju, jako tajny kurier), w 2023 r. – drugie, jubileuszowe wydanie *Światłocieni Kopernika*. Był prezesem dwóch kadencji szczecińskiego oddziału ZLP.

Adrian Pozarzycki

Urodził się 6.02.1941 r. w Stryju (dawne Kresy Wschodnie). W 1960 r. ukończył Liceum Ogólnokształcące im. Stanisława Staszica w Warszawie, które w latach 1953-1990 nosiło imię Klementa Gottwalda. W roku 1960 rozpoczął naukę w Państwowej Szkole Morskiej w Gdyni na Wydziale Nawigacyjnym, którą ukończył w 1964 r., uzyskując tytuł Technika Nawigatora Morskiego. Pracę na morzu podjął u armatora Polska Żegluga Morska w Szczecinie. Podczas zatrudnienia w PŻM studiował zaocznie na Wydziale Inżynieryjno-Ekonomicznym Politechniki Szczecińskiej, gdzie uzyskał dyplom magisterski. W latach 1965-1970 prowadził w Polskim Radiu Szczecin autorski program muzyczny „Ocean Piosenki”. Jeszcze podczas rejsów na s/v „Dar Pomorza” i praktyk na statkach marynarki handlowej, kończących naukę w PSM, pisze reportaże i opowiadania. Współpracę z miesięcznikiem MORZE rozpoczął w 1964 r. od artykułu „Ohayo Tokio!”. Publikował też w periodykach: „Tygodnik Morski”, „Radioamator”, „Kraków”, „Jazz Forum”. Był współredaktorem i autorem kilku opowiadań w liczącym 740 stron tomie wspomnień absolwentów PSM rocznika 1963/64 – „Nasze morza i nasze statki”. Wspólne z Józefem Gawłowiczem zainteresowanie tematyką kopernikańską doprowadziło do opracowania przez nich książki „Światłocienie Kopernika”, której drugie wydanie ukazało się w 2023 r. – Roku Kopernikańskim.

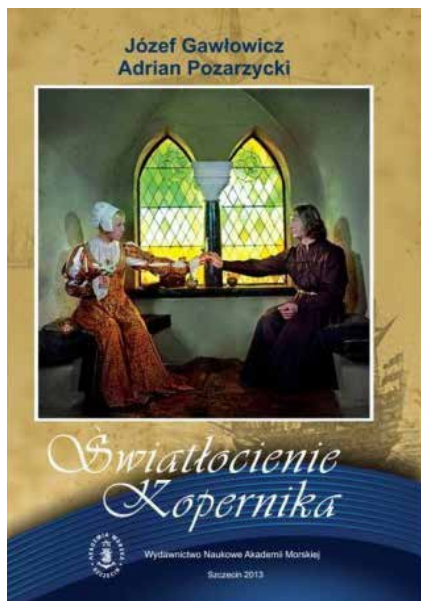
Światłocienie Kopernika –

wydanie jubileuszowe, PŻM, Silo-Trans, Szczecin 2023, fragment

Tom składa się z dwu części. Obaj autorzy są długoletnimi kapitanami P.Ż.M. Pierwsza część to obrona dobrego imienia naszego astronoma, zaatakowanego wyjątkowo w 500-letniej historii przez pisarza Arthura Koestlera w powieści *Lunatycy*. Oto fragment, w którym, według dociekliwego Orwella, paszkwil Koestlera jest wzorowany na podobnej pracy Tołstoja wobec Szekspira:

To, że Szekspir nie tylko nie jest geniuszem, ale nawet przeciętnym autorem Tołstoj stara się wykazać na przykładzie Króla Leara – sztuki powszechnie chwalonej i uważanej za jedno z najlepszych jego dzieł.

Następnie Tołstoj streszcza *Króla Leara*, podkreślając na każdym kroku, że jest to sztuka głupia, rozwlekła, sztuczna, niezrozumiała, napuszona, wulgarna, nudna i pełna nieprawdopodobnych zdarzeń, „dzikich bredni”, „nieśpiesznych



(zdj. <https://www.ksiegarniamorska.pl/literatura-faktu/495-swiatlocienie-kopernika.html>)

żartów”, anachronizmów, faktów oderwanych od tematu, sprośności i oklepanych konwencji scenicznych oraz rozmaitych tak merytorycznych, jak estetycznych braków.

Dodatkowo według Tołstoja „Lear” był plagiatem dużo lepszej sztuki (nieznanego autora), którą Szekspir ukradł i oczywiście zmarnował.

Pamflet Tołstoja względem Szekspira jest w znacznej części bardzo podobny do pamfletu Koestlera względem Kopernika. Orwell w swoim eseju stawia pytanie:

Jeżeli Szekspir był rzeczywiście takim, jakim go przedstawia Tołstoj, to jak to się dzieje, że jest powszechnie podziwiany?.

Dokonajmy prostego podstawienia: Jeżeli Kopernik był rzeczywiście takim, jakim go przedstawia Koestler, to jak to się dzieje, że jest powszechnie podziwiany? Orwell próbuje przymierzyć tu masową hipnozę, czy epidemię sugestii, jak ta, która wywołała wyprawy krzyżowe lub poszukiwanie kamienia filozoficznego, ale żadna nie wytrzymuje próby czasu. Kolejny wniosek:

Wynika z tego, że „fałszywe gloryfikowanie Szekspira” jest poważnym złem, które on, Tołstoj, czuje się w obowiązku zwalczać.

Jeśli dokonamy podobnego jak poprzednie podstawienia, zauważymy, że Koestler czuł się w obowiązku zwalczać podobne „zło”. Tołstoj – według Orwella – miał władczy i egoistyczny charakter.

Chciał wprowadzić wyrzec się fizycznej przemocy i przewidzieć jej skutki, ale nie stać go było na tolerancję i pokorę, tak, że nawet nie znając jego pozostałej twórczości, na podstawie tego jednego pamfletu można wnioskować, że miał skłonności

do umysłowej tyranii. (...) Tołstoj nie był świętym, ale bardzo chciał zrobić z siebie świętego i kryteria, jakie stosował do literatury, zapożyczone są z tamtego świata.

To również kolejne podobieństwa, które potwierdza wnikliwa lektura tego eseju:

*(...) Nie był pospolitym hipokrytą, jak zarzucali mu niektórzy, i niewątpliwie doko-
nałby jeszcze większych wyrzeczeń, gdyby na każdym kroku nie przeszkadzali mu
ludzie z jego otoczenia, zwłaszcza żona.*

Tu dalsze, znamienne paralele i znamienny wniosek wnikliwego eseisty, a przy tym uczciwego czytelnika:

*Ale im bardziej Szekspir podobał się publiczności, tym mniej posłuchu dawano
Tołstojowi. Nie należy więc p o z w o l i ć ludziom lubić Szekspira, tak jak nie należy
pozwalać pić alkoholu i palić. To prawda. Tołstoj nie zabrania im tego siłą. Nie do-
maga się, by policja skonfiskowała wszystkie egzemplarze dzieł Szekspira. Ale stara
się za wszelką cenę zmieszać Szekspira z błotem.*

Cała, znaczna i ważna część „Lunatyków”, rozdział zatytułowany „Bojaźliwy kanonik” oraz wiele odniesień w innych rozdziałach i tendencyjnie dobierane przypisy są permanentną próbą obrzucania Kopernika błotem. Nawet w epi-
logu, omawiając warunki rodzenia się odkryć, napisał:

*Każdy nowy krok naprzód, każda reintegracja tego, co się kiedyś rozdzieliło, wy-
maga przełamania sztywnych, zaskorupałych wzorców zachowania i myślenia.
Kopernik tego nie zrobił; próbował pożenić tradycję heliocentryczną z ortodoksyjną
doktryną arystotelesowską, co mu się nie udało.*

Czytelnicy niebędący nawet fanami Kopernika łatwo zauważą, że było od-
wrotnie. Opublikowane w pięć lat po powstaniu styczniowym, w zaborze ro-
syjskim *Pogadanki astronomiczne* Juliana Bayera, 150 lat temu podsumowały
wpływ Kopernika na rozwój nauki przez trzy stulecia, a strona tytułowa uzu-
pełniona jest portretem kanonika i jednym z nowo nazwanych przez Hewe-
liusza gwiazdozbiorów „Scutum Sobiescianum” (il. 21). Nawet jeśli weźmiemy
poprawkę „ku pokrzepieniu serc”, tekst tej (rzadkiej dzisiaj) publikacji jest rze-
telny i obiektywny.

Orwell kończy swój esej chłodnym podsumowaniem:

*Tołstoj był zapewne jednym z najznakomitszych ludzi pióra swoich czasów i na
pewno nie był najgorszym pamflicistą. Całość swoich zdolności oskarżycielskich
skierował przeciwko Szekspirovi, wytaczając wszystkie armaty na raz. I z jakim skut-
kiem? Czterdzieści lat później Szekspir jest wciąż obecny, jego sława jest nietknięta,*

a z próby zniszczenia go nie pozostało nic poza żółknącymi kartkami pamfletu, którego prawie nikt nie przeczytał i który popadłby w całkowite zapomnienie, gdyby nie to, że Tołstoj napisał poza tym „Wojnę i pokój” i „Annę Kareninę”.

Na zakończenie kilka dodatkowych informacji dotyczących Arthura Koestlera. Późniejszy, wielki pisarz urodził się w 1905 roku w Budapeszcie, w nieortodoksyjnej rodzinie żydowskiej. Jego burzliwa biografia to studia na politechnice wiedeńskiej, pobyt w kibucu oraz w końcu kariera dziennikarza i pisarza w kilku krajach (w sumie napisał około trzech tysięcy stron). Na początku lat trzydziestych wstąpił do Komunistycznej Partii Niemiec oraz przez rok przebywał w ZSRR. Długoletnia kariera dziennikarska wypracowała u Koestlera odruch szokowania czytelnika zaskakującymi hipotezami przy powierzchowności osądów. Odżegnywał się od tego, gdy zajął się historią nauki (pisząc w swej biografii, że zmęczyła go obfitość kolorowych, ale nieuporządkowanych wrażeń i powierzchowność dziennikarstwa, które dotąd uprawiał) lecz wyraził tylko swe życzenie. Dla nas ważne jest, że znał Orwella i wielokrotnie się z nim spotykał. Niestety informacje o spotkaniach pozostawił bardzo oszczędne i skąpe.

Jest pewne, że Koestler czytał eseje Orwella, drukowane w różnych czasopismach i że miażdżąca krytyka pomyłki Tołstoja co do Szekspira była mu znana. Natomiast Gingerich udowodnił fałsz jego ataku na Kopernika, a równoległe Mieroszewski wskazał orwellowski trop, dlatego ten wybryk Koestlera nastąpił. Podstawmy, więc ponownie:

Koestler był zapewne jednym z najznakomitszych ludzi pióra swoich czasów i na pewno nie był najgorszym pamflecistą. Całość swoich zdolności oskarżycielskich skierował przeciwko Kopernikowi, wytaczając wszystkie armaty na raz. I z jakim skutkiem? Pół wieku później Kopernik jest wciąż obecny, jego sława jest nietknięta, a z próby zniszczenia go nie pozostało nic poza żółknącymi kartkami pamfletu, którego prawie nikt nie przeczytał (podkr. J.G.) i który popadłby w całkowite zapomnienie, gdyby nie to, że Koestler napisał poza tym „Ciemność w południe”.

Drugą część książki otwiera ciekawy rozdział: *Fromborska afera obyczajowa*. Oto jej fragment:

Okolo 1530 r. Kopernik ukończył pracę nad zasadniczym kształtem dzieła swego życia „O obrotach”. Był perfekcjonistą – cyzelował jeszcze tekst, dodawał materiały z obserwacji astronomicznych, ale rękopis najczęściej spoczywał w skrzyni. Dla kanonika Mikołaja był to okres stabilizacji i spokoju. Ułynęło pięć lat od pamiętnego Hołdu Pruskiego, który definitywnie zakończył okres wojny z zakonem

krzyżackim. Większość zniszczeń odbudowano. Kapituła pamiętała, jak dzielnie sprawił się Kopernik podczas wojny z Krzyżakami, kiedy jako administrator Warmii organizował skuteczny opór przeciwko atakom wojsk agresorów. Jako jeden z najstarszych wiekiem i stażem kanoników cieszył się powszechnym szacunkiem. Skromny, niedążący do zaszczytów, nie miał wrogów. Zasłużona sława dobrego lekarza przysparzała mu rzeszę wdzięcznych pacjentów.

Sielankowy obraz mogą czasem zepsuć błaha wydarzenia. Niektórzy kanonicy byli szczególnie wyczuleni na punkcie przestrzegania przez swoich współbraci wszelkich norm obyczajowych. Jeden z nich powiadomił biskupa Ferbera, że była gospodyni Kopernika, młoda mężatka, nocowała u niego, mimo że już nie była jego pracownicą. Biskup wystosował list, w którym zwrócił doktorowi Mikołajowi uwagę na niestosowność tego zachowania. Adresat w odpowiedzi naświetlił tło całego wydarzenia. Jego list, tak jak i wszystkie inne, to przykład ginącej dziś sztuki epistolograficznej – wzór wyszukanej uprzejmości i wytwornego stylu.

Do Przewielebnego w Chrystusie Ojca i Pana, Maurycego z Bożej łaski Biskupa Warmińskiego, Pana swojego Wielce Łaskawego i Czcigodnego.

Przewielebny w Chrystusie Ojcze i Panie, Panie Wielce Łaskawy. Po wyrażeniu należnego posłuszeństwa i szacunku donoszę, co następuje. Otrzymałem list, który Wasza Przewielebność znowu raczył do mnie napisać, po raz pierwszy z napomnieniem. W związku z tym pokornie proszę Waszą Przewielebność, by przyjął do wiadomości, że do małżeństwa owej kobiety, o której Wasza Przewielebność pisze do mnie, nie przyczyniłem się ani namową, ani czynem, lecz skoro się już tak stało, zważywszy, że kiedyś wiernie u mnie służyła, wszelkimi sposobami starałem się ich skłonić, by żyli ze sobą jak uczciwi małżonkowie. I na prawdę swoich słów gotów jestem przysiąc, a również oni oboje by ją potwierdzili, jeśliby ich zapytano. Lecz kiedy uskarżała się na niemoc męża, do której on sam się przyznawał i w sądzie, i poza nim, nic już nie mogłem poradzić. Albowiem sprawę prowadzili najpierw przed panem dziekanem, świętej pamięci bratankiem Waszej Przewielebności, a następnie przed wielebnym panem kustoszem i nie potrafię powiedzieć, czy to on odszedł czy ona, czy też się rozeszli za wspólną zgodą. Ale przechodząc do sedna sprawy, wyznam Waszej Przewielebności, że niedawno wracając tędy z jarmarku z Królewca wraz ze swoją gospodynią z Elbląga pozostała w moim domu do następnego dnia. Zdaję sobie dobrze sprawę, że mógłbym się przez to narazić na złą opinię. Dlatego tak ułożę swoje sprawy, żeby nikt nie miał słusznego powodu do niepoehlebnych sądów o mnie, zwłaszcza po napomnieniu i zachęcie Waszej Przewielebności,

któremu we wszystkim szczerze pragnę być posłuszny i usługi swoje zawsze chętnie polecam. Z Fromborka, 27 lipca 1531.

Waszej Przewielebności całkowicie oddany

Mikołaj Kopernik

W dalszej części autor opisał tajemnicę grobu Mikołaja Kopernika oraz zamieścił relację z powtórnego pochówku szczątków naszego wielkiego astronoma, czego był naocznym świadkiem, wykonując wiele zdjęć. Bardzo ciekawa jest następnie historia trzech wydań monografii kopernikańskiej pióra Jeremiego Wasiutyńskiego oraz homilia arcybiskupa Józefa Życińskiego.

Okładkę dzieła zdobi kadr z filmu *Kopernik* Ewy i Czesława Petelskich.

Marek Rudnicki

Urodził się 1 sierpnia 1952 r. w Słupsku. Wykształcenie wyższe – informatyk-cybernetyk.

Dziennikarz i redaktor kilku tytułów prasowych, informatyk i ekonomista, którego pasjami są historia i paleoastronautyka. W okresie pierwszej „Solidarności” aktywny studencki działacz opozycyjny. Pełnił funkcję przewodniczącego Niezależnego Zrzeszenia Studentów na Politechnice Szczecińskiej WIET oraz wiceprzewodniczącego w okresie strajków studenckich. Ukończył specjalistyczny kurs techniczno-zawodowy dla dziennikarzy opozycyjnych i wydawców Związku Włoskiej Prasy Periodycznej (UNIVERSITA' DEGLI STUDI DI URBINO, FACOLTA' DO MAGISTERO).

Po roku 1989 był rzecznikiem prasowym Związku Młodych Więźniów Politycznych lat 1944-1956 „Jaworzniacy”. Współinicjował reaktywowane w 1989 roku Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich Oddział Szczecin. Współprowadził warsztaty dziennikarskie dla młodzieży białoruskiej i ukraińskiej w Fundacji Rozwoju Demokracji Lokalnej. Współpracował z kilkoma pismami, w tym „Młoda Polska”, „Solidarność’ 80”, „Przedsiębiorca Zachodniopomorski”, „Baszta”. W latach 1987-1990 był dziennikarzem Tygodnika Wybrzeża „Morze i Ziemia”. Następnie w latach 1991-2019 pracował jako dziennikarz w „Głosie Szczecińskim”.

Laureat wielu wyróżnień, w tym nagrody „Ostrego Pióra” Business Centre Club, tytułu „Dziennikarza Roku” w konkursie organizacji dziennikarskich

SDRP Pomorze Zachodnie i SDP, Nagrody im. Bogdana Czubasiewicza, czy ostatnio wyróżnienia w Konkursie Wielkopolskiego i Lubuskiego Oddziału SDP. Autor kilkuset publikacji dotyczących tajemnic historii i odkryć z pogranicza nauki nieakademickiej.

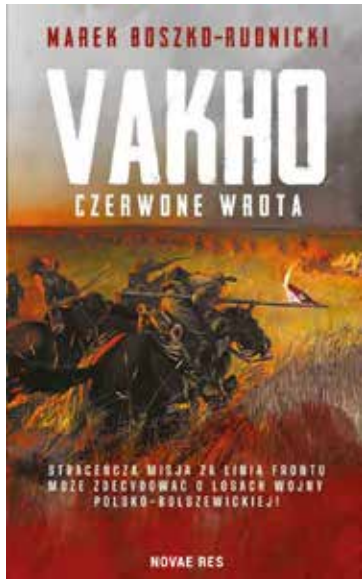
Jako pisarz (podpisujący się Marek Boszko-Rudnicki) spotyka się z dużym uznaniem, choć nie tworzy wielu książek. Twierdzi, że twórczość to nie fabryka gwoździ, wymaga czasu i przemyśleń. Te, które powstały, spotkały się z pochlebными opiniami zarówno czytelników, jak i krytyków. Spod jego pióra wyszły „Kołowrót dziejów” i „Bękarty bogów”, powieści o tematyce paleoastronautycznej. Jest też autorem cyklu thrillerów o przygodach dziennikarza uwikłanego w działania służb specjalnych: „Szpony diabła”, „Remedium 111” i „Krwawy bursztyn” oraz serii przygodowej umiejscowionej w okresie wojny polsko-bolszewickiej, w której przemycił niecodzienne przeżycia jego dziadków, legionistów Piłsudskiego: „Vakho. Wilcze szczenię” i „Vakho. Czerwone wrota” (w przygotowaniu „Vakho. Ucieczka do piekła”). Aktualnie czeka na wydanie najnowsza powieść „Shang. Kolce róży”, thriller z elementami political fiction o przetrwaniu w czasach zarazy. To swoiste studium rozgrywek między wywiadami państw, które uchodziły dotąd za sojuszników. Zawiera elementy krwawej wojny, która dziś toczy się na Ukrainie oraz kwestię mylnych decyzji podejmowanych w centrach wojskowych, w których decyzje sztabów oparto o komputer kwantowy i sztuczną inteligencję SI.

Vakho. Czerwone wrota,

Wydawnictwo Novea Res, Gdynia 2023, fragment

Rozdział 1

W obozie panował rozgardiasz. Wpływały na to rozkazy, które zmieniano w miarę napływających do sztabu najświeższych informacji z frontu. A ten był coraz bardziej nieustabilizowany, zmieniał się z godziny na godzinę i przeobrażał; tu gdzie przed chwilą trwały walki, zapadała cisza, a parę kilometrów dalej wybuchała niespodziewana palba dział i karabinów. Krótka sielanka, wytchnienie między starciami, trwająca zaledwie parę dni, minęła bezpowrotnie. Bolszewicy wznowili działania i do walki włączali nowe, wypoczęte dywizje, ściągnięte ze wschodu, które nie bacząc na straty, parły do przodu.



(zdj. archiwum M. Rudnicki)

Pogoda też zmieniła swój stan. Na niebie do-
tąd błękitno – granatowym pojawiły się chmu-
ry zabarwione na różowo, dało się też odczuć
pierwsze podmuchy wiatru, które przyjęto
z radością, jako że dotychczasowy skwar da-
wał się we znaki zarówno ludziom, jak i koniom.

Między namiotami przemykały teraz szybko
baterie dział i samochody aprowizacji, zdą-
żające do wytyczonych celów, załadowane fur-
manki kierowały się w wyznaczonych im kierunkach, część oddziałów czekała
na znak wymarszu, a inne już pospiesznie to czyniły. Adiutanci naprędce do-
starczali polecenia do pułków i szybko wracali, a dowódcy, klnąc nierzadko,
szybko przekazywali nowe wytyczne dalej do podległych im oddziałów. Skoń-
czył się chwilowy bezruch. Wieści z pola coraz bardziej zaciętych starć roz-
chodziły się między żołnierzami, wywołując u jednych euforię, u innych strach
przed płynącą w ich kierunku czerwoną nawałnicą.

* * *

Janek po odwiedzinach w szpitalu trawił to, co mu ciężko ranny stryj Vakh-
tang ujawnił o tajemnicach rodzinnych, o których wcześniej nie wiedział. Te-
raz dopiero zrozumiał, w jakich okolicznościach Wasyl, bo tak go we dworze
nazywano, aby przed carskimi ukryć jego pochodzenie, znalazł się pod opieką
pradziadka Wiktora i dlaczego ten otoczył go opieką równą tej, co swojego
syna, dziadka Sylwestra.

Daleka przeszłość, jak nagle odkryte w szafie dokumenty rodzinne sprzed
wieków, zaczęła żyć własnym życiem. Janek musiał je sobie przetrwać, bo
póki co, był nimi oszołomiony. O części spraw już wiedział, bo o nich opowie-
dział mu dopiero Vakhtang, gdy jego oddział spotkał pułk dziadka Sylwestra
na dalekim zapleczu wojsk bolszewickich. W sprawach stricte rodzinnych, już
nie orientował się.

Obaj, Vakhtang i Sylwester, zdobyli szlify bojowe za młodu, walcząc z Rosjanami przy boku Imama Szamila na Kaukazie. Po zamachach na Imama stworzyli jego przyboczną gwardię złożoną z Polaków, a po jego śmierci, jeszcze jakiś czas pracowali dla jego syna, Dżamala al-Dina. To tam, niemal na końcu świata, dziadek ożenił się z Tamriko, siostrą Vakhtanga, która zginęła podczas ataku Rosjan na twierdzę Achalciche. Carscy po jej zdobyciu bez skrupułów wyrznęli wszystkich mieszkańców, od dorosłych po dzieci.

Po upadku jedyne go wolnego państwa na Kaukazie, Imamatu Kaukaskiego, jak niepyszni razem wrócili do dworu. Tu dziadek Sylwester po kilku latach zakochał się ponownie. Z nowego związku urodził mu się syn, Andrzej, ojciec Janka, ale nieszczęście dopadło go kolejny raz. Żona zmarła przy porodzie. Dziadek załamał się, obowiązki wychowania jego syna przejął na siebie Vakhtang i mamka Jefrosinia. Gdy Andrzej był młodzieńcem, wdał się w burzliwy romans z Pruzyną, córką Jefrosini, której zrobił dziecko, Alika. A że było to w czasie trwającego już narzeczeństwa z panną Jadwisią, z którą też ochoczo swawolił, czego dowodem był Janek, został przez pradziada Wiktora za karę, żeby ochłonał i nabrał rozumu, wysłany do Nikołajewskiej Szkoły Kawalerii, a po jej ukończeniu, do jednego z carskich pułków.

Cały więc wysiłek wychowania jego syna, Janka, na mężczyznę i Polaka, prócz rzadkich wizyt ojca i czułości matki, Jadwigi, o ironio, spoczął na szwarze dziadka o egzotycznym imieniu Vakhtang, co po polsku znaczyło Wilk, a którego we dworze nazywano Wasyl, by carscy nie zwrócili nań uwagi. Dziadek też miał nad nim pieczę, ale że na głowie też organizację mozolnie budowanej siatki wywiadowczej, poświęcał wnukowi mniej czasu.

Tym samym przez całe lata Wasyl stał się dla Janka drugim dziadkiem, równie kochanym, jak ten pierwszy. To on wpajał mu różne atrybuty żołnierskie, uczył jazdy konnej, walki wręcz i przy szabli, po niuanse taktyki wojennej. Mawiał, że kiedyś Polska, jak jego ukochany Kaukaz, odrodzi się i takie umiejętności musi poznać każdy szlachcic, miłujący ojczyznę. Janek wychowywany był wraz z Alikiem, nie wiedząc wówczas, że jest jego bratem.

Sylwester z Wasylem, starzy bojowcy znający osobiście Józefa Piłsudskiego, tworzyli na kresach za jego sugestią siatkę wywiadowczą opartą o lokalne, konspiracyjne organizacje. Jeszcze przed wybuchem wojny utrzymywali stały kontakt z Polskimi Drużynami Strzeleckimi i Związkiem Walki Czynnej, a później, po ich zjednoczeniu, z Polskim Związkiem Wojskowym, a następnie, z Polską Organizacją Wojskową.

Losy ojca po wybuchu rewolucyjnej zawieruchy były nieznane.

Przez swoich emisariuszy Sylwester z Yakhtangiem starali się cokolwiek dowiedzieć, ale Rosja to wielki kraj, w którym na potrzeby wojny powołano pod broń ponad milion żołnierzy. Poszukiwania przypominały więc szukanie igły w stogu siana i to po ciemku. Żadnych konkretnych informacji nie uzyskali, prócz jednego listu, który dotarł za pośrednictwem ранego kolegi ojca, którego zwolniono z wojska. Później zapadła cisza, a w Rosji rozgorzały krwawe walki między bolszewikami, a ich przeciwnikami. Dziadek z Wasylem, po otrzymaniu wielu sprzecznych informacji zaczęli domniemywać, że Andrzej mógł zginąć tuż po operacji kubańskiej w 1918 roku, którą przeciwko czerwonym prowadziły wojsko generała Ławra Kornitowa. Jedyną potwierdzoną informacją było to, że w tym okresie był w sztabie generał majora Michaiła Drozdowskiego i wziął udział w bitwie z dużymi siłami czerwonych pod Nowoczerkaskiem, gdzie bolszewicy zostali pokonani.

Ostatnią wiadomość od Andrzeja pochodziła z okresu, gdy dowództwo wojsk po zmarłym generale Kornitowie objął generał Anton Denikin. To wówczas przyłączył się do niego generał Drozdowski dowodzący dywizją znaną z bardzo wysokiego morale i odwagi.

* * *

Stryj po operacji wyjęcia kuli z płuc nie wyglądał najlepiej, ale jak zwykle nadrabiał samopoczucie buńczuczną miną, żartami i bagatelizowaniem odniesionych ran.

Od poznanej w szpitalu siostry Lili dowiedział się, że stary Kazak próbował nawet uciec do pułku zaraz po ocknięciu się po operacji, ale przeliczył się z siłami i po zejściu z pryczy zwyczajnie zemdłał. Gdy się ocknął dostał za to burę od lekarza, Daniela Jakowycza, który nie licząc się z jego stopniem, krzychał na niego tak, że cały szpital oniemiał, bo do tej pory doktor uchodził za chodzącą łagodność.

– A wie pan, że pilnować pańskiego stryja kazał sam komendant Ziuk i nawet był tu u nas dwa razy i coś tam z pułkownikiem Vakhtangiem i pańskim dziadkiem Sylwestrem konwersowali. – Lila miała tak uroczy uśmiech, że Janek nie pierwszy raz poczuł, jak wszystko w nim zamiera, a problemy z niesforenym stryjem chwilowo odpywają na dalszy plan.

– A to waćpanna... – Próbował jakoś dowcipnie zareagować, ale nie znalazł słów i stał tylko wpatrując się w jej twarz i zmieszanie maskował głupawym uśmiechem.

Ona popatrzyła nań uważnie swoimi niebieskimi oczami, nagle zarumieniła się i spuściła głowę.

Niezręczna chwila milczenia. Janek nadal wpatrywał się w pielęgniarkę, pragnąc ze wszystkich sił coś wymyśleć, jakiś sytuacyjny żart, komplement, ale nic sensownego nie przychodziło mu do głowy. Wiedział już o niej więcej, niż w chwili poznania, gdy z pułkiem przedarli się przez front i zaraz po tym szukał rannego Wasyla w szpitalu.

Ukończyła Lwowską Szkołę Pielęgniarstwa, a w chwili rozpoczęcia walk z bolszewikami, pracowała w Szpitalu Powszechnym. Gdy ogłoszono, że na froncie potrzebują personelu medycznego, zgłosiła się bez wahania wbrew kategorycznym sprzeciwom rodziców.

– Miałam akurat przenosić się na dalsze nauki do Ekonomek św. Wincencego à Paulo w Krakowie, ale w tej zawierusze, sam pan wie, zostałam we Lwowie.

– Tłumaczyła podczas pierwszego spotkania, a on słuchał zauroczony melodią jej głosu, śpiewnym akcentem, jasnymi włosami, chabrowymi oczami i uśmiechem, który powodował, że na chwilę zapomniiał o wojnie. Podobnie zdarzyło mu się tylko raz, przed laty, gdy we wsi zwrócił uwagę na Hapkę, którą później zgwałcili i zabili bolszewicy.

Ich pułk operował na głębokich tyłach wojsk rosyjskich. Po zdobyciu tajnych szyfrów Rosjan przebił się na polską stronę w momencie, gdy bolszewicki Front Zachodni rozpoczął ofensywę na Białorusi i na Ukrainie. Armia generała Edwarda Rydza-Śmigłego, czego dowiedział się od kapitana Kuźmy Korjato-wicza, adiutanta i prawej ręki dziadka Sylwestra, dowodzącego ich jednostką, zmuszona została do odwrotu. Tocząc ciężkie walki opuściła Kijów i wycofywała się teraz w kierunku Żytomierza. Sytuacja dla wojsk polskich stała się ciężka. Rosjanie mieli druzgocącą przewagę w ilości świeżych żołnierzy i systematycznie spychali polskie oddziały na zachód. Szpital, znajdujący się w rejonie nie tak odległym od linii walk, był teraz zagrożony.

– Komandir, zapraszamy do nas, jest bigoszczyk jak ta lala, no, chyba że far-szirowannyj specjałami z kantyny oficerskiej. – Wyrwał go z zadumy uśmiechnięty całą gębą Igor Sedenkow, jeden z jego ludzi, który po walkach, gdy przedarli się przez front, został mianowany sierżantem.

– Skąd ten specjał, nie smakuje kuchnia?

– Melduję, że garkotłuki nie mają pojęcia, co jest dobre, to chłopaki na polach wyrznęli trochę kapusty, a mięso samo podpeźło, na pielmieni było za mało, to co miało się zmarnować. Bigoszczyk świeżutki, jeszcze nie przegotowany, ale i tak palce lizać.

Nie pytał, co im podpeźło, bardziej interesowało go, czy już Korjatowicz dostał nowe rozkazy. Ich pułk, odmiennie od regularnych oddziałów, został oddany do wyłącznej dyspozycji sztabu, a tam stale przebywał dziadek Sylwester. Nawet Janek nie wiedział, jakie są plany, bo te trzymano w ścisłej tajemnicy.

* * *

Kilka dni wcześniej, gdy o świcie udał się do sztabu generała Wacława Iwaskiewicza – Rudoszańskiego, gdzie rezydował dziadek kierujący pracami wydziału wywiadu, zobaczył pierwszy raz naczelnika Piłsudskiego, choć marszałka oficjalnie tu nie było. Przyjechał bez rozgłosu, gdy jeszcze było ciemno, w otoczeniu tylko trzech oficerów. Jak się później Janek dowiedział, Piłsudski przedkładał nad dzień nocne markowanie, czym wykańczał swoje najbliższe otoczenie. I tak było wówczas, gdy w środku nocy postawił na nogi całą sztab generała.

Janek wszedł po cichu do dawniej stołowego pokoju, pewnie dawniej ze względu na powierzchnię pełniącego rolę bawialni, gdzie ustawiono stoły zarzucone mapami. To tu pracował dziadek, wychodząc tylko na posiłki, a i to nie zawsze. Często widywał tu oficerów, z którymi konsultował różne informacje, które spływały z frontu, a nie rzadko też z jego zaplecza. I tym razem był tu jakiś nieznany mężczyzna, z którym pochylali się nad mapami, mrucząc coś do siebie i pokazując na nich jakieś cele.

– Tu atakuje 12 Armia wspomagana przez Grupę Jakira, a lada moment pojawią się pewnie zagony Armii Konnej. – Dziadek tłumaczył coś obcemu zakreślając na mapie obszary utrzymanym w ręku papierosem. – Pod Samhorodkiem przełamali nasze pozycje i sam widzisz, dlaczego tak szybko doszli do Żytomierza i Berdyczowa. Tyle wiem z meldunków, a Bóg mi świadkiem, że to za mało, a informacje są niespójne. Mają inny szyfr, bo tego, co przywieźliśmy i którymi posługuje się sztab Tuchaczewskiego, nie używają, a nim moi małowicy dojdą, jak go odczytać, będziemy mieli ich na karku. A tu, spójrz, mamy naszych sojuszników, ale zamiast kilkudziesięciu tysięcy, jak obiecywał Petlura, zgromadził tylko kilka. Po cichu negocjujemy o przejściu na naszą stronę III

Brygady Kozaków Dońskich, którymi dowodzi esauł Aleksander Salnikow, ale na razie nie zdecydował się.

– Kazałem przekazać Petlurze ponad trzydzieści tysięcy karabinów, kilkadziesiąt karabinów maszynowych, dział, amunicję, to mało? Co mam jeszcze uczynić? Niańczyć ich i stworzyć za nich ich własne wojsko? – Obcy uderzył pięścią w stół.

– Formują armię, ale idzie im po grudzie. Pewnie nie torpedują ustaleń, bardziej bym widział bałagan organizacyjny.

– Myślę, że... – Tajemniczy oficer już się uspokoił. – Przyczyna pewnie jest, Sylwek, inna. Petlura, jak miemam, nie ma poparcia wśród chłopów, bo propaganda bolszewicka pomieszała im we łbach. Mamią ich rajem i tym samym ci prości i naiwni ludzie przechodzą na ich stronę. Póki co tworzą więc oddziały głównie z podchorążych i oficerów, bardzo bitne, ale co by nie wejrzeć, masz rację, taka organizacja burdel przypomina, a nie armię.

– Małe pocieszenie, ale choć dobrze, że z szeregow bolszewickich zaczynają uciekać do nas żołnierze.

– Jacy?

– Ot, chociażby – dziadek pogmerał w papierach szukając jakiejś notatki – cała 3 Brygada Jazdy z 14 dywizji, sami kozacy, byli żołnierze Denikina, których czerwoni wcielili pod groźbą rozstrzelania ich rodzin. W końcu zorientowali się, że czerwony raj przypomina bardziej piekło, zabili komisarzy, a ich dowódca, pułkownik Jakowlew, przyprowadził nam sześćset szabel. Bitni, jak się patrzy, ale, rzeczywiście garstka. Już zmieniliśmy ich nazwę na Brygadę Wolnych Kozaków.

– Tyle dobrze, ale tu...

Nagle zamilkł, jak by czując za plecami kogoś obcego. Nie odwracając się, spytał tylko:

– Nu, czego się tak czai, masz coś do pułkownika, to gadaj i nie przeszkadzaj.

Dziadek też podniósł głowę i Janek zobaczył, że zarwane noce odbiły się bruzdami na jego twarzy.

– A, to ty, już miałem posyłać do ciebie umyślnego, potrzebny nam jesteś.

Odwrócił się też marszałek. Ściągnął krzaczaste brwi, głowę przechylił na bok uważnie lustrując Janka, jakby oceniał, co za dziwo ma przed sobą.

Teraz dopiero Janek zaczął się domyślać, kto to ów oficer w mundurze bez dystynkcji i zatroskanej twarzy. I te wielkie wąsy, tak charakterystyczne, okalające całą górną wargę, które odruchowo gładził kciukiem.

A tom się wkopał – pomyślał szybko, wyprężył się i zasalutował. Nie bardzo wiedział, jak się przedstawić, bo to wyjaśnienie „wnuk dziadka” nie pasowało do sytuacji, a stopnia formalnego przecież nie miał, był więc tylko cywilem. Trwał więc wyprężony, choć bez tej dozy uległości, jaką reprezentowali oficerowie, którzy walczyli pod Piłsudskim i znali go od dawna.

– Tylko dzięki zaiste niepojętej, a tak wielkiej i niezbadanej litości boskiej, ludzie w tym kraju nie na czworakach chodzą, a na dwóch nogach, udając człowieka. – Marszałek rzucił w przestrzeń niezrozumiałą myśl i niespodziewanie uśmiechnął się, zadowolony widać ze swojej oceny. – A tyś, młodzieńcze, widzę mało pokorny i nie ma w tobie lizusostwa powszechnego na salonach. Tuś mi, bratku, będziesz potrzebny, choć wiem, że pułkownik – wskazał oczami na dziadka – nie skacze z tego powodu z radości.

Dziadek tylko wzruszył ramionami.

– Dobrze, robimy przerwę i niech nam podadzą herbaty.

Dziadek wyszedł, by wydać polecenia, a marszałek zapalił papierosa, usiadł na krześle i zmusił do tego samego Janka. Usiadł sztywno, nie przyzwyczajony do obcowania z osobą, która wśród żołnierzy postrzegana była niczym grecki bóg na ziemi.

– W Warszawie pasożyty elit, nadal wspominają carat – Piłsudski zmienił nagle temat, wydmuchał dym, a Janek odniósł wrażenie, że prowadzi monolog sam ze sobą. – Głędzą o Kościuszcze, gęby nim wycierają, mielą ozorami o jego ideałach, a on już nie żyje i nie ma jak się bronić. Każdy z tych pajaców czyni to bezkarnie, bez konsekwencji, bo oni wiedzą lepiej, co dobre dla Polski. Brylują na przyjęciach, łądactwa i szachrajstwa, ale do wojska zapisać się, to już nie. – Zamilkł, ale po chwili utkwiał oczy w Janku i dodał z jakąś zaciętością w głosie: – Kto solidaryzuje się ze mną, musi płacić wysiłkiem, męką, trudem, ofiarą z wolności, z życia, bronić ojczyzny, gdy czerwona zaraza zaczyna nas zalewać.

Umilkł ponownie, a Janek nie wiedział, jak się zachować i o co chodzi marszałkowi. Ćwiczy jakieś przemówienie? Bada jego inteligencję? Nie znajdując odpowiedzi już chciał się poderwać i wyjść, ale marszałek wrócił do rzeczywistości i ponownie skrzywił usta w uśmiechu.

– Takie to moje utrapienia, nie zwracaj chłopcze na to uwagi. Dziadek mi o tobie opowiadał. Znamy się z nim od dawna, to duma, że cię tak ze stryjem wychowali. Jak cię nazywa Vakhtang? Już pomnę, Vakho, wilcze szczenię, ładnie, romantycznie. – I nagle spytał: – A nie bałbyś się wrócić za front?

Janek nim pomyślał, poderwał się i wyrzucił z siebie:

– Na rozkaz, panie marszałku.

I dopiero po tym dotarł do niego sens pytania. Za front? Przecież tam bolszewików więcej niż mrówek w kopcu. To niemal samobójstwo.

Trwał wyprostowany, czekając, aż usłyszy bliższe wyjaśnienie. Przez głowę mu przelatywało, co ten starszy mężczyzna, chyba rówieśnik dziadka, ma takiego w sobie, że czuje się przy nim, jak kilkunastoletni chłopiec złapany na kradzeniu jabłek w ogrodzie i trzaska obcasami, choć to do tej pory było mu to zupełnie obce.

– Siadaj, siadaj, bo mi się tu nadwyrężysz. – Na twarzy marszałka cały czas gościł kpiący grymas, a w oczach pojawiły się bliki rozbawienia. – Twoi żołnierze nadali ci tytuł pułkownika, ponoć zafascynowani opowieścią o Kmicicu. To prawda?

– Melduję...

– Nie melduj, a opowiadaj, przed generałami będziesz dygał, ja tylko pytam.

– Tak jest, tyle że nie ja im opowiadałem, a mój brat, Alik. A oni, prości ludzie, chłopci, pewnie nie przeczytali w życiu żadnej książki, to i osoba Kmicica bardzo im się spodobała. – Przerwał niepewny, czy nie za bardzo się rozgadał, ale zobaczył w oczach marszałka zaciekawienie. – Dla nich Szwedzi i ich okrucieństwo kojarzy się z bolszewikami, a że niemal każdy kogoś z ich rąk stracił, to zostałem w ich oczach pułkownikiem. Umownie, oczywiście, bo nie mam żadnego doświadczenia, tyle, co...

– Ot, co, tyle co, to aż nadto – marszałek mu przerwał. – Tu mamy wielu utytułowanych szarż, co prócz pagonów niczego nie reprezentują. Zapominają w zadufaniu, że każdy żołnierz może zostać oficerem, jak również każdy oficer może zejść do szeregowców, czego oby nie było. A z tego, co mi Sylwester opowiadał, masz nadzwyczajną intuicję i zwariowane pomysły. No i dobrze, ale do rzeczy. Wieniawa, mój młody adiutant, też taki popędliwy, jak ty ... – Zawiesił głos, oczy zmrużył i pogładził wąsy. – Oficjalnie mianowałem cię pułkownikiem Wojska Polskiego. A niech to, ukręcimy nosa kilku pyszałkom. Znajdą się tacy, co będą drwili, ale nie przejmuj się, należy ci się, ale nic za darmo. Coś

musisz dla nas zrobić, ryzykując życiem. Stosowne papiery odbierzesz u generała Iwaszkiewicza – Rudoszańskiego, bo on tu dowodzi, a jak dziadek wreszcie przyniesie tę herbatę, wprowadzi cię z sedno. Tylko mi się spisuj, Vakho, bo bez wilczego sprytu, nie podołasz.

Zamilkł, popatrzył gdzieś w dal, jak gdyby trawił jakąś myśl, po czym dodał:

– Wyznaję taką zasadę, którą wypowiedział największy człowiek na świecie, Napoleon: Sztuką łamania przeszkód jest sztuka niezauważania tego lub owego za przeszkodę. I coś mi się widzi, że podobna przyświeca tobie, jest więc szansa, że ci się uda.

Zamilkł i podpalił kolejnego papierosa, po czym spojrzał na Janka nie jak dowódca, a bardziej wzrokiem, jakim czasami patrzyli dziadek i stryj.

– W was młodych cała nadzieja, bo ci wiekowi, to tylko mielił ozorami bez potrzeby. A ty, ze swoją naiwnością i jednocześnie intuicją, dobrze rokujesz. Znam podobnego, nawet jest w twoim wieku, Leopold Lis-Kula, był w moich legionach, zdolna bestya, brał udział w odsieczy Lwowa przeciwko wojskom ukraińskim. Jego za dokonania mianowałem majorem, co stare pryki też nie mogły zdzierżyć. To wy zbudujecie Polskę, a przynajmniej mam takie przeświadczenie.

* * *

To było kilka dni temu. Zadanie wydawało się niewykonalne, a wyprawa za front, niemal samobójstwem. Małym pocieszeniem była informacja, że operować będą w regionie, gdzie pozostał dziadkowy dwór, a więc na terenie dobrze mu znanym.

Miał zabrać ze sobą oddział złożony z 30 żołnierzy i tu Janek postawił warunek, że sam sobie ich dobierze. Generał Iwaszkiewicz, gdy mu go przedstawił, wzruszył tylko ramionami:

– Źle wybierzesz, głową zapłacisz i to oby tylko, ale czyń, jak chcesz. Ja mam cię tylko wyposażyć, choć pewnie, skoro przedarlicie się przez front tracąc minimum ludzi, nie tak wiele ci trzeba. Ot, z pewnością rosyjskie mundury, czapki, jakieś inne drobiazgi, aby was za szybko nie rozpoznano.

POEZJA

Aneta Gawriłow

Absolwentka filologii polskiej na UMK w Toruniu, od 1995 r. mieszka w Szczecinie, gdzie pracuje jako nauczycielka języka polskiego w szkole podstawowej.

Poza literaturą lubi wycieczki piesze i rowerowe, przebywanie na łonie natury, humor Monty Pythona i fotografię poświęconą detalom.

Na dorobek literacki składają się utwory:

- 2016 – w antologii limeryków, lepiejów i innych form żartobliwych „Lepiej gdybać...”,
- 2016 – w antologii ekfraz „Ciemnorzeki”,
- 2017 – w antologii „W stronę haiku 2”,
- 2022 – w antologii „Metafora współczesności”,
- 2017-2020 ilustrowany przez Anetę Gawriłow siedmioksiąg „Świnek” – powieści napisanych wspólnie z Marcinem Niziurskim: „Świnka co się zowie”, „Świnka jak się patrzy”, „Świnka na schwał”, „Świnka po same uszy”, „Krzynka świnek”, „Alfabet świnek”, „Album świnek”,
- 2020 – „Haiku” – autorski tom,
- 2023 – „Lotna substancja” – autorski tom poetycki.

W 2021 r. jej wiersz „sanatorium” otrzymał tytuł wiersza zauważonego w VI Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Józefa Burszewicza „O Złotą Metaforę” 2022, wiersz „zbrodnia w afekcie” nagrodę Prezesa szczecińskiego oddziału ZLP w V Turnieju Jednego Wiersza „Od Morza do Tatr” i „Od Odry do Renu”, a wiersz „zbity dotyk” wyróżnienie w VII Turnieju Jednego Wiersza „Od Morza do Tatr” w roku 2023.

historia modyfikacji

*historia modyfikacji to historia myśli
zapis chwili
przełądającej się w lustrze wieczności*

*to wielka odpowiedzialność zostawić słowa
w określonym porządku
i interlinie
one
jednym przykładają do ust palec milczenia
innym szept wzmacniają do krzyku*

*pada za oknem
w świecie
który nie wie nic o walce
trwającej na kartce*

pozwól mi odejść

*nie wystarczy nam sił
na kolejne rozstanie
gdy ona wróci*

*znów
odłożysz w pół słowa telefon
z wyznaniem
wepchniętym do gardła*

*i podasz jej chleb
którego nie mogłabym
przełknąć*

*pozwól mi odejść
nim obok postawisz masło*

sanatorium

*w sanatorium
dla chorych
na miłość
czekam powrotu*

śłońca i barw

piasek w klepsydrze
którym odmierzam
samotność
start się na pył

na udzie
niewielka plama
po słowach miłości
spisanych
czerwoną szminką
zanim
wyjechałeś na długo

w szafie sukienki

niepotrzebne
jak ja

święty mojego dzieciństwa

święty mojego dzieciństwa
miał czternaście lat
słaby wzrok
zęby na chybotce
i głuchy był jak pień

wydawało mu się dużo
a mógł wszystko

nawracał mnie jednym spojrzeniem
przez bielmo oka
cedził mądrość istnienia

z jego uścisku każdy podnosił się lepszy

stary pies

studnia tajemnic
oaza cierpliwości
źródło miłości
świętość aż po koniec ogona

zbity dotyk

*zachwycający jest
szybki serwis smartfonów*

*wyczerpana bateria – naładujemy
kłopot z pamięcią – powiększymy
nieaktualna książka kontaktów – uporządkujemy
śmieciowe wiadomości – usuniemy
zbity dotyk – wymienimy*

*gdybym tak
ja
była wszechstronnie naprawiona
może wtedy zechciałbyś mnie
nosić
w kieszeni na sercu*

Helena Jarska Pilarska

Poetka, prozautorka, malarka, autorka wierszy dla dzieci, ilustratorka książek.

Z zawodu ekonomistka, na emeryturze. Mieszka w Policach. Należy do Regionalnego Stowarzyszenia Literacko-Artystycznego w Policach i do szczecińskiego oddziału ZLP.

Jest Autorką 14 książek poetyckich. Debiutowała w 2003 r. tomikiem wierszy *W imię szarotki*. Wydała trzy tomiki wierszy dla dzieci: *Jasiełki*, 2004; *Jasiełki i Julki*, 2006; *Mają być rymy*, 2012 oraz tomy poezji: *Zwyczajna radość słów*, 2007; *Sonety dla bliskich*, 2008; *Moje drzewa i moje ulice*, 2009; *Z tysiąca splątanych powodów*, 2011; *Moja struna*, 2014; *Dla tych z mojej wioski*, 2014; *Powroty w obrazach i słowach* (album poetycki), 2016; *Sonety z... twarzą*, 2017; *Przemijam tu sama*, 2017 oraz *Zapisać choćby na skrawku papieru*, 2019.

starzy i młodzi poeci

(wieczór pokonkursowy)

*Młodzi
nie czekają w napięciu
Są pewni*

Starzy poeci
mają wątpliwości
czy się odnajdą w rozdzielniku nagród
U nich treść i forma –
skamieliny czasu
U młodych
bez względu na ostrość i zgrzyt
użytych wyrazów –
jest jasne oblicze
i gładkość powłoki
po której wszystko
z łatwością się toczy
Starzy poeci...

Police, 27.10.2006

* * *

Kiedy czytam Różewicza
to tak
jakbym czytała
moje własne wiersze
nienapisane
Wiersze które mam w sobie
które mnie bolą
i budzą nadzieję
Mam dla nich
czułość aksamitną
wymieszaną z lękiem
jak kiedyś...
Jak dla moich dzieci
które nim przyszły
przecież miałam
w sobie

7.10.2006

* * *

Chciałabym
by wiersz który piszę

jeśli już nie ocali
to
niech mi sił doda
bym mogła przejść
na drugi brzeg
gdzie się wszystko
zaczyna od nowa
3.01.2011

* * *

moja struna
nastrojona tak
by żaden dźwięk
nie zabrzmiał fałszywie
by
niczym
ani słowem
ani gestem
nie zadać bólu
By nie pękła –
nie naciągam
więcej

kiedy nie śpię...

W nocy kiedy nie śpię
powinnam powtarzać wiersze
Te już napisane i te co w zamyśle
Nie dlatego że są lub będą najlepsze
ale że są i będą moje
Zamknąwszy powieki
zamiast pacierza odmawiam
to co przyswoiła pamięć:
Polowanie na cietrzewie – Grochowiaka
Sonety Kijonki Staffa Kasprowicza
Sonety Krymskie Mickiewicza
Testament mój Słowackiego
Szymborską Miłosza

Brzechwę Gałczyńskiego
a nawet Yopha Żabińskiego
bo mnie w świat twórców
wprowadził

17.09.2015

Magdalena Bukowska

Urodziła się 17.05.1979 r. w Choszcznie. Magister historii, specjalność społeczno-samorządowa. Od 2007 r. zaangażowana w działalność społeczną na rzecz osób niepełnosprawnych, m. in. w Ogólnopolskim Stowarzyszeniu Rodzin Osób Niepełnosprawnych „Razem możemy więcej”, społecznej inicjatywie Wykluczonych Opiekunów Osób Niepełnosprawnych. W roku 2008 na stażu w lokalnym „Moje Miasto” w Szczecinie, od 2013 r. współredagująca i współzałożyciel czasopisma „Obserwator Szczeciński”. W 2014 r. za reportaże poruszające tematykę zdrowia i funkcjonowania osób niepełnosprawnych w społeczeństwie nominowana w kategorii „Dziennikarski Debiut Roku”. W tym samym roku nominowana do tytułu Mecenas Osób Niepełnosprawnych w Szczecinie. Członkini Stowarzyszenia Dziennikarzy RP Pomorze Zachodnie, sympatyk Związku Literatów Polskich w Szczecinie. Od 2017 r. żołnierz zawodowy Wojska Polskiego. Kilkukrotna wicemistrzyni Wojska Polskiego w pływaniu, instruktor pływania, instruktor personalny, aktualnie w trakcie studiów pielęgniarских.

Wszechstronne zainteresowania wpływają na wielowymiarowe spojrzenie na świat i przedstawianie swoich przeżyć w wierszach. Wielokrotna finalistka konkursu literackiego Wojskowych Manewrów Artystycznych. Jej wiersze są zauważane i wyróżniane w konkursach literackich (*Ikarowe Strofy*, *O Złotą Metaforę*, *O Skrzydła Anioła* i in.).

Prywatnie żona i matka trojga dzieci.

Z cyklu: wojna – moim przyjaciółom z Ukrainy

czekoladki z Winnicy

*czekoladki z Winnicy
chronione w cieniu przed lipcowym słońcem
zachowały swoje kształty
wzór
i kolor nawet
zamiast spłynąć
powietrza lepkiem
szatem
rysują okopy
wściekłej goryczy
czekoladki z Winnicy...*

*czekoladki z Winnicy
przeżykam wytrwale
rozcieram na podniebieniu
skażone śmierci plonem
poparzony klątwami język
nienawiścią płonie
przesuwa je niczym
złorzeczeń
korale
czekoladki z Winnicy...*

*w buncie niemym moje ciało krzyczy
zostawiam
odcisk zębów
wypełniony piołunem
jestem wiedźmą magikiem
chcę być katem!
to wszystko czuję jedząc*

czekoladki z Winnicy..

czekoladki z Winnicy 2

*Lot zaczął się wiosną
między drzewami
lawirował szukając żywego celu
Wrogie rakiety
beztroskę zabrały
spaliły ziemię
wraz z marzeniami*

*Rakiety jesienne blisko Was upadły
pejzaż z kraterów
świadków niewidomych
Czekoladki z Winnicy !
Hasłem się stały
Myślmy wciąż o Was
uczuciem złączeni*

*My, jak czekolada ... Tak mi napisałaś
– choć serce przykryte
wyuczonym uśmiechem
– Ona się nie stopi,
my się nie poddamy !!!!
Czekoladki z Winnicy
tak twarde choć miękkie..*

modlitwa człowieka 21 wieku

*przed doświadczeniem świata
w którym wojna toczy się
online
uchroń nas panie...*

*przed dźwiękiem czołgu
miażdżącego w środku miasta
elektryczne auta
osłoń nas panie..*

*zadużeni w sobie
technologicznie zaszliśmy tak daleko*

by cywilizacyjnie spaść tak nisko
wybacz nam panie..

obowiązek człowieka 21 wieku

moim obowiązkiem poznawać

więc czytam
a każda litera sztyłem

oglądam
nie rozumiejąc
co czyni bestia

nie rozpoznaję
w rozdartym na pół łachu
dziecka

jestem wam wszystkim winna
pamięć
i wiedzę

kobieta 21 wieku

kobieta 21 wieku
sączy jak co rano
sojowe latte kawę

stukając w klawiaturę
czerwieni paznokci
miętko oparta o poduszki
przełyka cykutę
wszechobecnej informacji

uciekając od filmu
w którym trup nie wstanie
i
nie będzie drugiej sceny
szepcze :
kochanie, przytul się do mnie
posłuchamy muzyki
pooglądamy spalone czotgi

chorą ciekawością uciszymy
krzyk
umierających neuronów

Małgorzata Nowak-Żukiel

Pisarka, malarka, twórczyni sztuk teatralnych. Janikowianka, urodzona w Strzelnie w 1974 roku, mieszkająca obecnie w Szczecinie. Ukończyła Historię w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Bydgoszczy i Podyplomowe Studia Prawa Europejskiego w Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Laureatka Nagrody Pracy Organicznej im. Marii Konopnickiej (2015), odznaczona Medalem Milczewskiego–Bruna przez RSTK w Bydgoszczy. Opublikowała zbiory wierszy i almanachy poetyckie: *Polska nam Papieża dała* (1993, 1994-1996, 2003); *Lotem myśli* (1994), *Bursztynowe liście* (1994); *Zniknąć w Tobie* (1994); *Strofy do Popiela* (1994, 1995); *Pejzaże wspomnień* (1996); *Znaki dnia* (1997); *Sięgnąć Nieba* (1998); *Hortulus* (1998); *Strofy dla Kujawskiej Ziemi* (1998, 1999); *Wirydarz* (2000); *Dojrzewanie w miłości* (2000); *Śpiew kolibrów* (2001); *Z krzyku dłoni* (2001); *Wybór wierszy Konkursu Poezji Religijnej* (2001, 2002, 2003); *Spojrzenia czasu* (2008); *Słowiańska woda pamięci* (2012); *Spacer po moim mieście* (2015); *Podręcznik aforyzmów "Na każdy dzień" Kobiety dla kobiet* (2021); *Antologia wierszy przeciw wojnie. Ocalone* (2023). Poezje i prozę publikowała w antologiach i periodykach literackich, w tym w „Okolicy Poetów” i „Temacie”. Uczestniczka wielu imprez i festiwali literackich, między innymi Portu Poetyckiego. Wieloletnia członkini Związku Literatów Polskich. Miłośniczka podróży, dobrej książki, muzyki, malarstwa i fotografii.

* * *

Tacie
wciąż świeże
lśnienie Twoich oczu
przed zmrokiem
szept
w uwięzionym oddechu
dłoń pochwycona
przed odejściem
i słowa ostatnie
będę czekał

* * *

Mamie
Mamo
tak bardzo
Ciebie brakuje ...
w Twojej nieobecności
ból stąpa
po ścieżkach serca
słysząc
jak pył wspomnień
opada
na podłogę ciszy

CZERWONE SANDAŁY

Oświęcim 6.08.2011

Moim Ukochanym Rodzicom poświęcam

Żar słońca
dojrzewa na rampie
kurz przenosi czas...
w stłoczonym wagonie
bez okien
odór odbiera oddech
walizka
lodowate palce strachu...

Nagłe szarpnięcie rozwiera otchłań
wrzątku oślepiającego światła
porywa fala tłumy
w stronę rampy
depcząc czerwone sandały

Wydarto dobytek
odarto z człowieczeństwa
twarz
z uśmierconą nadzieją w oczach
jeszcze tylko warkocze
ścięte

chrzęst pryczy
pod powiekami ci których odebrano
krzyki
oddech ostatni pod prysznicem

Za szybą w baraku
wśród tysięcy uwiędłych butów
sandały w czerwieni
podobne do moich

* * *

Mężowi

jeszcze mgnieniem popatrzę
na czekoladową iskrę
Twojego spojrzenia
na Twoje ramię
znikające
za drzwiami pociągu

* * *

Mężowi

z wiatrem
wystraszonych fal
z niebem
rozpalonym zachodem
chwytam
każdy puls czasu
z dłonią wtuloną
w Twoja obecność

* * *

Spacer po zabytkowym cmentarzu w Poznaniu, 10.4.2018

Mężowi

Na nagrobkach
palce mchu
położył czas...

Oderwane z Ziemi

*miękkiej od kwiatów
dusze uleciały
z ozdobnym śpiewem skrzydeł
w otwarte światłem Niebo
Zgubione pióra Aniołów
szepciem spadały
na nasze ramiona
zdziwione*

Monika Miłośz

Urodziła w 1984 r. w Gorzowie Wielkopolskim. Mieszka w niewielkiej wsi w gminie Dobiegniew. Absolwentka Liceum Agrobiznesu w Strzelcach Krajeńskich, studentka Zarządzania Logistycznego i Zarządzania Produkcją. Zawodowo związana z logistyką i planowaniem produkcji.

Jej wiersze ukazały się na łamach „Ziemi Strzeleckiej” (2000r) oraz w dwóch antologiach poetyckich – „W rytmie poezji 2” (Fundacja Kamena Łódź, 2022), „Niosąc pomoc Olusiowi” (Edu-Art, 2023, antologia charytatywna).

Laureatka szczecińskiego Turnieju Jednego Wiersza „Od Morza do Tatr” 2023. W tym samym roku jeden z jej wierszy został wyświetlony na ścianie kamienicy przy ul. Brackiej w Krakowie w ramach projektu „Wiersze na murach”.

W czasie wolnym lubi otulać się ciszą, delektować pięknem przyrody i wierszem oswajać codzienność.

Pisząc wiersze kieruje się myślą Milana Kundery – „Powołaniem poezji nie jest olśniewanie zaskakującą ideą, lecz sprawienie, że chwila bytu staje się niezapomniana i godna nieukojonej tęsknoty”.

Moja Wenecja

*Naiwność
Rysuje się światłocieniem
Na mojej twarzy

Rozmyślam

Kiedy zamglony błękit
Zanurza się w kroplach wody
Cisza doskwiera najbardziej*

Każdy ma jakąś Wenecję

*Zmoknięte domy
Stoją w tym samym deszczu
Choć słonym*

Uśmiech zaszedł ze słońcem

*Tylko gondole niewzruszone
Odbijają się od brzegu
Szukając w wodzie gwiazd*

*Jak ja
Odbicia
W twoich oczach*

Moje jest piękne

*Przepraszam
Że nie wyszłam skrojona na miarę
Spod ręki mistrza wirtuoza skrawania*

Przepraszam

*Że nie mam tego co mieć miałam
Gdy do użytku zostałam oddana*

Przepraszam

*Że jestem sobą ponad miarę
Z niefortunnych skrawków
Pozszywana skrzętnie*

*Przepraszam
Że kocham tak w szaleńczym szale
Wszystko co moje
Bo moje to piękne*

Poranione domy

*poranione domy
przystaniają radością okna
zakładają kolorowe franki
od frontu*

*tulą zagubione milczenie
rozsypane echem
po kątach
u nich zawsze drzwi są otwarte
a w oknach pali się światło
nie widać wnętrza*

*poranione domy
tynkują swoje twarze
uśmiechem
zawieszają kolorowe girlandy
wyuczonych żartów
często stoją dumnie pomimo
choć w środku nie został już
kamień na kamieniu
czasem toną w deszczu
wytrwale dopóki
nie wykruszy się tynk*

W cieniu skrzydeł

*Najpiękniejsze motyle
Mają zbyt kruche skrzydła
By latać*

*Uplecione z lęku
Trzepoczą w popłochu*

*Osamotnionym drżeniem
Przysiadają na kwiatach
Oswajając strach*

Przed (od)lotem

Najpiękniejsze motyle
Zranić najprościej
Wszak zrani je choćby wiatr

Najpiękniejsze motyle
Usychają w samotności

Zbyt piękne by znaleźć śmiałość
Zbyt kruche by wziąć je w dłonie
Zbyt sobą by życie brać

Najpiękniejsze motyle
Umierają w cieniu własnych skrzydeł

Choć kocha je cały świat

(out)let's love

Bo przecież zdarzają się i takie
Bez instrukcji
Zrozumienia

Skomplikowane

I te
Brzydko mówiąc
Wy(brak)owane

Lalki o krzywym uśmiechu
I oczach zalanych łzami
(Po)targane

Przez los

Niewiadome
Nieświadome
Nieważne

One czują najwięcej

Takie kochajmy najbardziej

RECENZJA

Karol Alichnowicz

Przypowieść o Innym

1.

Bejdak Artura Justyńskiego stanowi oryginalną z pewnością opowieść, która sięga i do tradycji kultury ludowej, jej postaci oraz motywów, i tradycji literackiej, sygnowanej chociażby przez B. Leśmiana za sprawą powołanych przez niego do istnienia różnych „oddaleńców” (ale też postaci z innego kręgu kulturowego, jak np. Kaspar Hauser). Ta podwójna perspektywa pozwala autorowi czerpać inspirację z tych dwóch źródeł, ale zarazem stworzyć dzięki nim własny wariant synkretycznej formy zawdzięczającej w swoim fabularnym sztafetu trochę i klechdzie, i podaniu, i bajce ludowej. Można by rzec, że wzorem romantyków, dostrzegłszy w tych konwencjach literackich duży potencjał, przekształcił je i uwspółcześnił, aby tchnąć w nie nowe życie. W największym jednak stopniu, jak się wydaje, pisarz odwołał się do założeń przypowieści i osi jej fabuły uczynił losy tytułowego bohatera. W konsekwencji jeśli chcemy przyłożyć do *Bejdaka* kryteria tradycyjnie rozumianego realizmu (mimo że akcja rozgrywa się po części na polskiej wsi), to musimy pamiętać, że fabuła i kreacja literacka służą tu innym celom (i Innemu), dlatego nie realizują zasad estetyki mimetycznej. Wydaje się, że dla pisarza najważniejsze jest przekazanie prawdy moralnej i w tym spełnia się istota opowieści o owej niezwykłej tytułowej postaci.

Bejdak to bowiem bohater szczególny, na poły realny, na poły zaś fantastyczny. Róża Czerniawska-Karcz we wstępie do opowieści Justyńskiego

zwraca uwagę, że pisarz wskazuje konkretny trop i na pytanie, kim ona jest, „częściowo daje już odpowiedź, odsyłając do... zamieszczonych jako motto, strof piosenki o Bejdaku, autorstwa Adama Ziemiańskiego. To w nich namalowany jest obraz – »bejdaka, człowieka łagodnego serca i pogodnej twarzy, któremu bliżej do ptaków i obłoków, a nawet do żab mu po drodze bardziej, niż do ludzi. Najczęściej jest samotnikiem... (...) Bejdak to środkowe i najważniejsze ogniwo w wielkiej galerii dziwolągów, których Bóg nam zesał. (...) bejdak-dziwak pełen zadumy, liryzmu i refleksji« to... takie, już według mnie, stworze boże, na które Pisarz stawia najmocniejszy akcent w swojej opowieści. A sama nazwa: »jest po trosze wymyślona na użytek poezji. Bejdak to taki nieudacznik życiowy, szarak, bidak (sic!), ale nie złośliwy, nie nachalny. Mnóstwo takich jest na świecie, nad którymi się nikt nie pochyla (...)« – jak objaśnia kreację balladowego bohatera, autor muzyki do tekstu krakowskiego poety, Krzysztof Myszkowski, ze Starego Dobrego Małżeństwa”.

W przywołanej charakterystyce tytułowej postaci jest Bejdak, mimo literackiej proveniencji tego słowa, uosobieniem pewnego typu ludzkiego. Na bohatera Justyńskiego należy spojrzeć jednak ze szczególnej perspektywy, która podkreśla jego indywidualność, pisarz bowiem przydał mu cech wyjątkowych. Przywołane w opowieści losy postaci, począwszy od jej narodzin, a skończywszy na tragicznej śmierci, to losy kogoś, kto jest kimś więcej niż człowiekiem, a przez to jego doświadczenia są odmienne niż wszystkich ludzi. Istotnie, Bejdak jest „stworzeniem z pogranicza ludzi i stworzy, który z pradawnymi bogami rozmawia tak jak z ludźmi, czy zwierzętami”. Wcześniej osierocony – wypada chociaż w skrócie podać kilka fabularnych szczegółów – wychowywany jest najpierw przez



(rys. Marta Holak-Justyńska)

bóstwa leśne (Leszy, Swarożyc), rusałki i wity. Dlatego sam o sobie mówi, że jest leśnym ludkiem, który daje ludziom zapomnienie (ci w jego obecności zapominają o swoim nieszczęściu, widząc w nim, można rzec, uosobienie większego nieszczęścia). Tym samym świat ludzi jest dla Bejdaka zawsze „światem drugim” (innym niż doświadczany pierwotnie), w którym życie toczy się poza idyllą natury i jej sprawiedliwych, nieskalanych złem praw.

Bohater Justyńskiego przypomina trochę postać Kaspara Hausera, tajemniczego chłopca z Norymbergi, który pojawił się w tym mieście w święto Zielonych Świątek 26 maja 1828 r. Nie wiemy, kim był, i zapewne nigdy się nie dowiemy, o Bejdaku natomiast jako czytelnicy wiemy znacznie więcej, nie mniej ów rys tajemnicy, towarzyszący przybyszowi, jak gdyby z innego świata, w pewien sposób określa również postać stworzoną przez polskiego pisarza. Pewnego rodzaju podobieństwo można też dostrzec w tym niezwykle ścisłym związku bohaterów z naturą i otwarciem na sferę transcendencji, jeśli przypomnimy sobie fragmenty *Piosenki o Kasparze Hauserze* Georga Trakla:

*Naprawdę kochał słońce, co purpurą schodzi ze wzgórza,
Ścieżki w lesie, czarnego śpiewającego ptaka
I radość zieleni.
Dostojne miał mieszkał w cieniu drzewa
I jasne czoło.
Bóg przemawiał do jego serca jako płomień cichy i wolny [...]*

(przeł. A. Pomorski)

Ale jest także zasadnicza różnica: Hauser umiał wypowiedzieć zaledwie kilka zdań, Bejdak zna mowę ludzką i mowę bogów czy stworzy (inspirujący neologizm ukuty przez autora). O ile więc postać chłopca z Norymbergi odnosiła się do wówczas popularnego mitu „dzikich”, „wilczych dzieci” wychowanych poza cywilizacją i kulturą, to mit ten w przypadku bohatera Justyńskiego ulega pewnemu przetworzeniu – Bejdak jest postacią, jak już wiemy, z pogranicza, tyleż ze świata ludzi, co ze świata nie-ludzkiego, mowy pozaludzkiej i ludzkiej.

2.

Pisarz konsekwentnie tym samym kreuje swoją postać jako Innego, żyjącego tu i teraz, a zarazem gdzieś indziej, w czasie i poza czasem (fabuła nie jest linearna, czas czasami przyspiesza), mieszkańca dwóch odmiennych światów,

„oddaleńca”, świadomego wyznaczonej mu roli, który staje się mimowolnie swoistym pośtańcem pradawnych bogów. Pośtańcem w świecie ludzi, który ma przypomnieć im o prawdzie najprostszej, że życie powinno mieć swój punkt odniesienia w tym, co życie przekracza i jest od niego silniejsze – w sferze transcendencji, boskiego porządku. Zapewne dlatego pisarz uczynił z niego postać krystaliczną, niewinną, w innym bowiem przypadku nie mógłby być przeciwieństwem ludzi – skażonych przez nieprawość. Co jednak najistotniejsze, inność staje się tu synonimem obcości, odmienności budzącej nieufność, bądź agresję (inność podlega zresztą podwójnej stygmatyzacji, gdy chłopcu na torsie zostaje wypalone słowo ŻYD, które ze względu na antysemitki stereotyp nie jest, niestety, neutralne). Boski pośtańiec jest zatem kłopotliwym intruzem, który burzy ustalony ziemski porządek, a raczej uzmysławia, że ten porządek, dawniej oparty na etyce czy moralności, wartościach wyższych zakorzenionych w wierze, przestał istnieć.

W jednej z kluczowych scen opowieści Bejdak, zaznawszy już wiele cierpienia, zastanawia się nad atrofią człowieczeństwa: „Przypominały mu się wszystkie złe rzeczy, jakich od ludzi doświadczył, a na jakie w żadnej mierze nie zasłużył. Dlaczego ludzie tacy są, dlaczego na smutek, strach i niedolę innego człowieka reagują tak jak nie powinni reagować? Dlaczego nie okazują współczucia, dlaczego nie pochylają się nad czyjśm nieszczęściem, a jak już zdobędą się na pocieszenie, to jest ono nieszczerze. Zamiast współczucia jest, nie zawsze skrywana, radość z czyjśm cierpienia, zamiast pochyleń nad cierpieniem jest szyderstwo, a zamiast pocieszenia, poniżenie i śmiech. Czy są ślepi? Czy są głusi? Czy są upośledzeni? Czy czynienie zła ich uszczęśliwia, a oznaka dobra czyni słabymi? Czy boją się współczuć? Czy nie potrafią, bo nikt im nie współczuje? Czy nie potrafią czynić dobra, bo nikt im dobra nie świadczy? Czy wszystko można zrzucić na ich nieokieźlną chciwość i wrodzony egoizm, czy może przyczyna tkwi w ich naturze bazującej na pierwotnych instynktach?”

Ocena wystawiona przez Bejdaka ludzkości jest druzgocąca, i to Bejdak właśnie, owo stworzenie z pogranicza ludzi i stworzy, przypomina tej znikczemniałej ludzkości, czym jest prawdziwe człowieczeństwo. I mimo że Justyński nawiązuje do kultury ludowej w jej pierwotnym sensie (tzn. rozumianej jako kolebka prastarych tradycji i wierzeń, swoistej mitologii, ale też wiary chrześcijańskiej), to swojej opowieści nadaje cechy przypowieści o szlachetności i dobroci zwyciężonej niestety przez zło. Zbrodnia okazuje się być pozbawiona sankcji kary, bo człowieczeństwo zatraciło swą naturalną, nieskalaną niewinność. Bejdak jest ofiarą ludzi (świata ludzkiego, chociaż nieludzkiego; to,

co nie-ludzkie, jest waloryzowane w opowieści Justyńskiego dodatnio, inaczej niż ludzkie), chociaż mógłby zostać pośrednikiem między światem bogów i ludzi, naturą a kulturą. Jednak nie ma dla niego miejsca w tu i teraz, w świecie pozbawionym sankcji (nieświętym świecie ludzi), który utracił swoją pierwotną więź z naturą – uosobieniem *sacrum* (świętym nie-ludzkim światem). Dlatego los takiego pośłańca jak Bejdak musi być przesądzony.

POETYCKIE IMPRESJE i INTERPRETACJE

W czwartej edycji „Pryzmatu Literackiego” otwieramy nowy cykl noszący tytuł „POETYCKIE IMPRESJE I INTERPRETACJE.” Ten nowy rozdział ma na celu przedstawienie interpretacji (impresji) utworów poetyckich przez samych autorów, jak to się dzieje w przypadku wierszy: Edyty Rauhut „enter”, Magdaleny Sowińskiej „Irpień” oraz Roberta Florczyka „Mare Dambiensis”.

Alte inni twórcy też interpretują wiersze autorów naszego środowiska, jak w utworze pt. „POSZUKUJĄC SNU POPADAM W BEZSENNOŚĆ”, napisanym w interakcji sztucznej inteligencji z poetkami i poetami: Małgorzatą Hrycaj, Magdaleną Sowińską, Leszkiem Dembkiem oraz Zbigniewem Jahnzem. Autorem tej interpretacji jest Robert Rudiak i chyba jest to pierwsza w Polsce podjęta taka próba analizy wiersza, gdzie współautorem utworu poetyckiego jest algorytm. O tym nowatorskim doświadczeniu pisaliśmy już w poprzednich numerach naszego periodyku.

Nie stronimy też od przedstawiania twórczości innych autorów, w tym zagranicznych, jak to ma miejsce w przypadku wiersza e.e.cummingsa „may i feel said he”, a interesującej interpretacji tego utworu dokonał Andrzej Tchórzewski. Warto zaznaczyć, że kiedyś należał do redakcji bardzo cenionego, już nieistniejącego pisma „Poezja”.

Można powiedzieć, że ten cykl rozpoczyna się znaczącym akcentem, mając na uwadze pierwszą (?) interpretację wiersza, gdzie autorem utworu jest sztuczna inteligencja. Przy tej okazji należy przypomnieć, że o naszym eksperymencie z udziałem SI dużo pisały poznańskie „Rewiry” (nr 7/2022). Zachęcamy do zapoznania się z tą tematyką, która poddana jest tam szerszej dyskusji i analizie.

Leszek Dembek

Doświadczenie i posiadanie

(analiza wiersza e.e.cummingsa
„may I feel said he” [„daj pomacać Rzekł on])

*may i feel said he
i'll squeel said she
just once said he
i t's fun said she
may i touch said he
how much said she
a lot said he
why not said she
(let's go said he
not too far said she
what's too far said he
where you are said she)
may i stay said he
(which way said she)
like this said he
if you kiss said she
may i move said he
(is it love said she)
if you're willing said he
but you're killing said she
but it's life said he
but your wife said she
(now said he)
ow said she
tiptop said he
don't stop said she*

oh no said he
go slow said she
cccome? said he
ummm said she
you're divine! said he
you are Mine said she

(Przekład „przybliżony”)

Daj pomacać Rzekł on
zrobię raban Odparta
raz chociażby Rzekł on
to zabawne Odparta
dotknę tylko Rzekł on
ale ile Odparta
ociupinę rzekł on
czemu nie Odparta
(no to jazda Rzekł on
nie za bardzo Odparta
co za bardzo Rzekł on
no z tą jazdą Odparta)
daj poczekać Rzekł on
(po co zwlekasz Odparta)
tak pomału Rzekł on
to pocałuj Odparta
nie chcę wyjść Rzekł on
(czy to miłość Odparta)
Skoro chcesz tak Rzekł on
jak morderstwo Odparta
a to życie Rzekł on
żona przyjdzie Odparta
(ona tu Rzekł on)
auu Odparta
to jest prima Rzekł on
nie zatrzymuj Odparta
co też znowu Rzekł on
zwolnij trochę Odparta

sz...sz... szczyt? Rzekł on
psst Odparta
jesteś boska! Rzekł on
to mam Chłopca – odparta

Intencje wyboru tekstu

Interesując się od 1956 r. twórczością poetycką e.e.cummingsa po pewnym czasie musiałem zauważyć, że ten *malarz czcionek*, skrajny awangardzista i ekscentryk ma w swoim dorobku kilka tekstów łatwiejszych, zrozumiałych i jakby przetłumaczalnych¹⁹⁴. Do grupy tej – nieopatrznie – zaliczyłbym cytowany wyżej wiersz. Jego atrakcyjność dodatkowo podkreślała tematyka wiersza. „Bohaterem lirycznym” wiersza jest... stosunek seksualny. Wynika to jasno z angielskiego oryginału. Polski przekład przekonał mnie, że tekst jest nieprzetłumaczalny, a jego prostota zwodnicza. A przecież w oryginale nie ma typowego dla autora naruszenia norm językowych czy reguł zapisu. Przeciwnie; język tego wiersza jest potoczny, kolokwialny, doskonale nieprecyzyjny. Pokawałkowane, prawie monosylabowe fragmenty zdań, niekiedy wykrzykniki (oh!) markują dialog, którego istotą jest milczenie. Zasadę „najmniej słów” określa tu sytuacja. Konieczność przełamania milczenia kultura. Trudno sobie wyobrazić stosunek odbywany w całkowitym milczeniu lub powodzi słów. Milczenie jest niestosowne, pusta bezsensowna gadanina – niewspółmierna do ważności chwili. Stąd, od czasu do czasu, jakaś drobna uwaga, wypowiedziana tak, aby – z pozoru – nie dotyczyła działań. Zachowanie to zapewnia ludziom klimat hieratycznej powagi i skupienia niepozbawionego swoistej naturalności.

Wersyfikacja

Na wiersz składa się sekwencja dialogowa i dwa zwroty o charakterze didaskaliów; „powiedział” (said he) i „powiedziała” (said she). „Didaskalia” te jednoznacznie przyporządkowują wypowiedź, a jednocześnie powtórzone na końcach co drugiego wersu stanowią monorym (he-she) organizujący warstwę dźwiękową wiersza.

Dialog bohaterów, który zawiera tylko tzw. wypowiedzi doraźnie znaczące (najważniejsza to przyczyna nieprzetłumaczalności tekstu) też się rymuje. Są

194 Ślad tego znajduje się w „amerykańskim” numerze „Współczesności” z 1957 r.

to jakby rysy „wewnętrzne” i zarazem prawdziwe (np. feel – squeel), rzeczywiste w relacji do „formalnego” i jakby pozornego monorytmu. W wersyfikacji arabskiej całość tej kunsztownej konstrukcji współbrzmień nosi nazwę redifu (dosłownie „siedzący za jeźdźcem”). W poezji anglojęzycznej redif występuje rzadko i to głównie w przekładach z poezji orientalnej. Wybór, więc, takiej formy to nie przypadek, a świadoma robota artystyczna, w której element zabawy odegrał, zapewne, dość ważną rolę.

Pamiętając o zasadniczej (akcentologicznej) różnicy między polską a angielską klasyfikacją rymów, zauważmy najpierw, że „wewnętrzne” rymy typu aa, bb zawsze łączą za sobą końce wypowiedzi „Jego” i „Jej”, a następnie stwierdzimy, że ponad 70% tych rymów to rymy męskie.

Naturalnie, sama nazwa ma charakter metaforyczny. Typy współbrzmień nie niosą żadnych informacji estetycznych o dominacji „pierwiastka męskiego”, co najwyżej potwierdzają dobrą markę zabawy podjętej przez autora.

Bez kontekstu, pozor dialogu

Z lingwistyki strukturalnej wiadomo, że tekst określa kontekst, a nie odwrotnie. W poezji jest znacznie gorzej; tekst zaledwie „w zarysach” projektuje kontekst. W tym ważny udział na niedopowiedzenie. Wypowiedź doraźnie znacząca, a szczególnie tak fragmentaryczna, jak dialog bohaterów wiersza, może być odczytana jedynie przez wyraźne określenie kontekstu, scenerii, podania niezbędnych informacji itd. Tymczasem tekst mówi tylko, że istnieje „on” i „ona”. Między nimi pozornie nic się nie dzieje. Padają słowa, strzępy zdań, sygnalizujące reakcje.

Ale ludzie nie reagują, nie zadają pytań, nie krzyczą, jeśli nic się nie dzieje. Skoro reagują, coś musi się dziać. To coś jest zastonięte. Znajduje się poza „sceną wiersza”. Niejednoznacznie może być odtworzone przez „reakcję” (opis reakcji) bohaterów i całkowitą fantazję – ... domysł czytelnika.

Jedyny kontekst wiersza poprzedzający pierwsze słowa (My i feel? – Czy mogę pomacać?) to sugestia sceny „striptizu”, demonstrowania swych wdzięków przez kobietę. I zdumienie, zachwyt, oszołomienie, zainteresowanie, niedowierzanie, wyraźna reakcja emocjonalna. Stąd pytanie „Czy mogę pomacać?”. Pierwsza i jedyna jednoznaczna propozycja. Dalej autor komplikuje, a nie wyjaśnia. Używa słów wieloznacznych, zapisuje zwroty, które jednocześnie mają znaczenie „normalne” (lecz niezbyt precyzujące) i przenośne. Nie buduje żadnego kontekstu. Toczy się – niepozbawiony swoistej metafizyki

– fragmentaryczny dialog w przerwie między działaniami. Linearność wypowiedzi sugeruje „linearne” zwyczajowe, rutynowe postępowanie bohaterów¹⁹⁵.

Zapis czyli układ graficzny wiersza nigdy nie jest arbitralny. Nie uwzględnia mechanicznie wszystkich reguł interpunkcji ani a priori nie wyklucza stosownego użycia znaków przestankowych.

Myślący poeci już od dawna zauważyli, że tradycyjny zapis z dużymi literami na początku każdego wersetu rozbija płynność tekstu, a konsekwentnie stosowanie wyłącznie małych liter i całkowite odrzucenie ogranicza samą wypowiedź artystyczną, zmienia przesłanie lub wizję zastępuje rebusem. Dlatego każdy stosuje własny, indywidualny zapis, w dodatku zmieniający się z wiersza na wiersz, bo przecież dopasowany do treści.

Mistrzem indywidualnego zapisu był e.e.cummings. nie uznawał nawet własnej rutyny.

Analizowany wiersz tylko z pozoru ma budowę stroficzną, tylko z pozoru jest redifem i nie zawsze ma formę wypowiedzi dialogowej. Stroficzność wiersza rozsadzają nawiasy. Ich rozmieszczenie nie pokrywa się z układem zwrotek. Wszystkie wersety (9-12) trzeciej zwrotki są opatrzone nawiasem. Następny nawias funkcjonalnie łączy ze sobą wersety czwartej i piątej zwrotki (14-18). Piątą i szóstą łączy też nawias (20-23), nawiasy „modulują” układ stroficzną. Wyodrębniają trzecią zwrotkę jako jedyną pozbawioną wypowiedzi „beznawiasowej”, wskazują na skomplikowaną budowę (silniejsze „strukturalizowanie”) – w piątej. W ten sposób autor kieruje naszą uwagę na treść zwrotki trzeciej i piątej. Co oznaczają te nawiasy? Zanim odpowiemy na to pytanie, przetłumaczymy wypowiedzi bohaterów nieujęte w żaden nawias i spróbujemy określić miejsce nawiasu w topologii wiersza.

ON: czy mogę pomacać? ONA: zabawne ONA (sic!): Dlaczegoż by nie? ON: Mogę poczekać ON (sic!): Jeśli chcesz. Ona: Au! (lub „oj”, ang. ow = ouch!). ONA (sic!) Powoli. ON: Jesteś cudowna.

195 e.e.cummings 150 wierszy, przełożył Stanisław Barańczak, WL Kraków 1983, s. 360 Początek analizowanego tu wiersza w wersji Barańczaka (s. 161 op.cit.) brzmi następująco: „przytul no się powiedział/dam po nosie powiedziała...” Tymczasem w oryginale nie ma mowy o przytulaniu ani o „dawaniu po nosie”. Pomijając semantyczną wynalazczość, źródłem skażenia polskiego wiersza jest nieporadne za długie słowo i niejako wymuszone przez gramatykę rozróżnienie „powiedział” (3 sylaby) i „powiedziała” (cztery sylaby). W oryginale Said He/saide she po dwie sylaby. „Rzekł on” (dwie sylaby) i „Odparła” (3 sylaby), a więc zastosowanie dypodii i trypodii w *didaskaliach* brzmi naturalnie i nie narusza rytmu. Tłumaczenie Barańczaka jest wbrew autorowi, nie tylko na płaszczyźnie semantyki.

Intuicyjnie odczytując kod wiersza przypuszczaliśmy, że najważniejsze wypowiedzi to te, które nie są opatrzone nawiasami. Pierwszy werset rozpoczynający całą „akcję” i następujący tuż po niemej scenie striptizu nie ma nawiasu, podobnie jak przyzwalająca „odpowiedź” bohaterki. Nie ma też nawiasu pytanie: Czy mogę poczekać (tj. „powstrzymać”, powstrzymać się od ruchów frykcyjnych pewnie w celu koncentracji psychicznej lub krótkiego kontemplanowania urody partnerki).

Z teorii wiersza wiemy, jak ważny jest pierwszy werset. Dlaczegoż by, więc, inne podobnie zapisane, nie były również znaczące, nośne, ważne?

Wypowiedzi pozbawione nawiasów stwarzają określony klimat. Sygnalizują erotyzm. Stanowią ramy całej „akcji” wiersza. To one zadecydowały o tym, że uznaliśmy, iż „bohaterem lirycznym” utworu jest akt kopulacji. Szukając w międzysłownej przestrzeni wiersza aluzji do zdarzeń, które doprowadziły do takiego finału, musimy zwrócić uwagę nie na zapis (formę), ale na kształt wypowiedzi.

Jak już wspominałem, wiersz ma postać regularnego dialogu toczonego między „NIM” a „Nią”. Wypowiedzi bohaterów są podane w tzw. mowie niezależnej (reported speech) i jednoznacznie uporządkowane przez didaskalia („Said He” – rzekł, „Said she” – rzekła). W tej sekwencji nie ma żadnych przerw: po słowach „bohatera” następuje wypowiedź „bohaterki”. Każda kończy się średniówką, dwie sąsiednie wypowiedzi łączy rym. Prawdziwy, wierszowany dialog. Pod warunkiem, że nie respektujemy nawiasów.

Gdy wyodrębnimy ważniejsze wypowiedzi (nieopatrzone nawiasami), okazuje się, że nie jest to dialog, że tekst ma zewnętrzną budowę dialogu, a w rzeczywistości jest pozorem rozmowy, w planie ważności formalna struktura dialogu zostaje trzykrotnie naruszona; po słowach kobiety (w. 4) znów następują słowa kobiety (w.8), po pytaniu mężczyzny (w. 13) – zdanie warunkowe wypowiedziane przez mężczyznę (w. 19), po „Jej” okrzyku bólu (w. 24) – „Jej” ostrzeżenie „powoli”, tzn. nie tak szybko, nie spiesz się – w. 28.

W wypowiedziach ważnych mężczyzna tylko raz narusza założony formalny porządek. Kobieta czyni to dwukrotnie. Jest bardziej emocjonalna? Gadatliwa? Aby odpowiedzieć na to trzeba rozpatrzyć niektóre wypowiedzi mniej ważne, tj. zawarte w nawiasach. Tymczasem przedstawmy matrycę kwestii ważniejszych, tych beznawiasowych, pamiętając, że trzecia zwrotka jest cała opatrzona nawiasem. Pod względem ważności, wypowiedzi bohaterów są jednakowo istotne. Cztery ważne zdania wypowiada On, cztery Ona. Można

mówić o idealnym *partnerstwie*. Jeśli jednak, linearność sekwencji dialogowych wyraża linearny charakter czasu, w którym dzieją się zdarzenia nieznanne nam w szczegółach, to prawdziwe „partnerstwo” istnieje tylko na początku (pierwsza zwrotka zawiera po jednej ważnej wypowiedzi Jego i Jej. Później są momenty przewagi psychicznej Jej (wyraźne przyzwolenie w wersecie 8), Jego (podziw czy koncentracja w wersecie 13), Jego stwierdzenie faktu „jeśli tak uważasz”, jeśli tak sądzisz, jeśli tak chcesz mniemać (werset 19), Jej (krzyk bólu lub rozkoszy – w. 24), Jej podyktowanie tempa, zachęta do zwolnienia „akcji”, może powodowane obawą (ale wyraźnie rozkazujące – w. 28) i Jego (uznanie, komplement – w. 31). Jest to, oczywiście, pewien sposób interpretowania matrycy, której symetryczność już stwierdziliśmy. Wiersz nie kończy się na słowach bohatera: „jesteś boska” (tzn. cudowna, wspaniale „to” robisz), ale na psychicznym przywłaszczeniu dokonanym przez bohaterkę: „Jesteś mój”, należysz już do mnie.

Metafizyka motywów i rozwodowe realia, dywagacje

Początek i koniec wiersza wskazują na różnicę motywów i postaw. Mężczyzna angażuje się powodowany chęcią zdobycia (nowego) doświadczenia, spróbowania (wątek „odmowy”) i te intencje ujawnia. Słowami lub zachowaniem. Zadowolony nie kryje też swojej satysfakcji, chociaż wyraża ją nieporadnie; kliszą językową, banale. Kobieta nie ujawnia swoich „władczych” zapędów i w gruncie rzeczy wybiera strategię „mini-max”, starając się nie okazywać prawdziwych rozmiarów swego zadowolenia (czy niezadowolenia).

Podobne prawdy wyraża e.e.cummings i w innych utworach, umieszczając się w pewnej tradycji kulturowej, związanej z latami dwudziestymi i trzydziestymi. Być może wojujące feministki oskarżyłyby poetę o tzw. męski szowinizm. Wprawdzie nadal nie wiadomo, co to jest, ale zarzut brzmi dostatecznie groźnie. W życiu prywatnym wielki artysta był nieudacznikiem. Trzy małżeństwa świadczą o rozpaczliwej obronie swej niezależności. Owo „tyś mój” przeżało go. Dlatego złowieszczy zaimek napisał z dużej litery.

Wróćmy jednak do potocznego, mniej istotnego, formalnego tekstu zapisanego w nawiasach. Co oznaczają nawiasy i jaką funkcję pełnią w wierszu? Niestety – jak już stwierdzałem – nie budują kontekstu, nie wskazują na działania, nie stanowią akcji... są faktyczną częścią dialogu. Formą podtrzymania „rozmowy”. Te wypowiedzi „uzależnione” cechuje większa wieloznaczność, niż wszystkie beznawiasowe deklaracje. A przecież o „bohaterach” wiersza nie

wiemy niczego. Z wyjątkiem płci. Tajemnicą pozostaje wiek, wykształcenie, warstwa społeczna i sceneria...

Do dalszej interpretacji musimy znać kilka szczegółów. Czy akcja „wiersza” rozpoczyna się na ulicy, czy w „buduarze”? Kim jest bohaterka; prostytutką rozpinającą futro i ukazującą „pełnię” swoich wdzięków, czy młodą nieśmiałą dziewczyną, która przyprowadziła do domu przystojnego mężczyznę (młodzieńca), idzie do łazienki, kąpie się i tryumfalnie wchodzi do living-roomu w przejrzystym peniuarze, rozpiętym szlafroku, rozpoczynając nie tyle strip-tiz, co *one-woman show*... To wszystko musimy wiedzieć, aby zrozumieć tekst zawarty „w nawiasach”. Tymczasem przetłumaczymy go wraz z możliwymi okolicznościami.

ONA: Zacznę pisać (żarg. „Podniosę wrzask”, „Złożę donos”, „podkapuję”),
ON: Tylko raz („jeden, jedyny raz”, „Raz na zawsze”). ONA: To zabawne („A to ci heca”, żarg. „Nie ma mowy”). ON: Mogę dotknąć. ONA: Ile (razy) lub „Za ile” (wyraźna aluzja do zapłaty). ONA: Trochę. ON: Zaczynamy (albo „Jedźmy”, albo „Idźmy”). ONA: Byleby nie za daleko. ON: Co to znaczy za daleko. ONA: No, tak jak teraz. ONA: W jaki sposób? ON: No, w taki. ONA: Jeśli pocałujesz. ON: mogę zacząć (resp. Mogę poruszyć się, mogę przesunąć się). ONA: To już miłość. ONA: ale mnie zabijesz (resp. „To gwałt”). ON: Takie jest życie. ONA: A zaraz, co? ON: Teraz? Tu? ON: Pierwsza klasa (resp. To szczyty! Co za „raj”). ONA: Nie przerywaj. ON: Ach, nie. ON: Czuczujesz? ONA: Tyś mój.

Naturalnie ową wieloznaczność, dokładniejsza translacja jeszcze mogłaby spotęgować. W zależności od interpretacji w innym miejscu wiersza rozpoczyna się *coitus*. Jeśli przyjmiemy hipotezę „nieśmiały kochanek w buduarze”, rozpoczęcie stosunku markuje zwrotka trzecia. Jeśli pod równoważniki zdań podstawimy obraz prostytutki idącej lub jadącej do klienta (lub do siebie), wówczas trzeba uznać, że strofa IV sygnalizuje grę miłosną, piąta – stosunek.

Przy drugiej hipotezie sporo trzeba pofabularyzować. Ale i pointa wiersza jest groźniejsza. Tak mogłaby mówić Esmeralda z „Doktora Faustusa”! Albo kobieta świadomie zarażająca Wyspiańskiego. Nieobecna sceneria wiersza wskazuje na to, że to rzecz między piekłem przypadku a słodkim sentymentalizmem. Możliwości odczytań jest wiele. Śmiały, awangardowy krytyk, nie przejmując się zbytnio drugim wersem szóstej strofy (ale twoja żona powiedziała), bez trudu stwierdziłby, że cały wiersz jest prywatną, poetycką wizją biblijnej przypowieści o Adamie i Ewie, w której seks i kobieta występują jako siły przekłete, niszczące sielankę raju.

Cały kłopot polega na tym, że każda z tych interpretacji jest bezpodstawna.

Wiersz dla czytelników, nie dla krytyków

Wprowadziwszy nawiasy, które jeszcze bardziej komplikują odczytanie i w swej istocie – wbrew adnotacjom („Powiedział”, „powiedziała”) – nie zawierają prawdziwych wypowiedzi, rzeczywistego dialogu, ale myśli, „dialog wewnętrzny”, strzępy różnych strumieni świadomości, zwerbalizowane wrażenie „Jego” i „Jej”, autor uniemożliwił jakkolwiek interpretację wiersza. Zadrwił sobie ze wszystkich. Ale najbardziej z krytyków... Interpretując muszą bowiem rozstrzygać, kim są „On” i „Ona”, co dzieje się w przestrzeni międzysłownej wiersza. Muszą rozstrzygać, korzystając ze... zwykłej fantazji, czystego domysłu. Intelktem tu nic nie wskazują.

Zazwyczaj przedstawia się krytyka jako bardziej wnikliwego, świadomego rzeczy odbiorcę, intelektualnego plenipotenta czytelników. Jego pozycja jest szczególnie wyróżniona, zawsze dodatnio.... Analityczny umysł i znajomość warsztatu pisarskiego, mają rzekomo sprawiać, że krytyk widzi w sztuce więcej relacji i problemów, aluzji czy sugestii niż zwykły czytelnik. A przecież to nieprawda – pokazuje e.e.cummings. Wobec świadomej poezji, celowości i bogactwa autorskiego zamysłu, wszyscy jesteśmy jednakowo bezradni. Możemy się poddać i własną fantazją uzupełnić sugestywny dźwięk wiersza. Innej szansy nie mamy. Istnieją teksty przekraczające reguły literatury, teksty o najprostszyc sprawach tak sugestywne, że zrozumiałe dla „prostaczków, „ubogich duchem” czy zwyczajnych zgrywusów. Skąd taka nierówność szans?

Zanim odpowiemy na to pytanie musimy uzasadnić pogląd, że wypowiedź zawarta w nawiasach wbrew adnotacjom („Said” – powiedział powiedziała) stanowi sekwencję monologów wewnętrznych, zapis myśli, słów niedopowiedzianych, reakcji przeżytych. Rzeczywiste pytanie pierwszego wersetu, kwestia wypowiedziana brzmi: May I feel? (Czy mogę pomacać?). Wewnętrzne, przemyślane, nigdy nie wyrażone pytanie piątego wersetu to „May I touch? (Czy mogę dotknąć?) Nieprzypadkowo autor używa synonimów: „Feel” i „touch”. Bohater wyraża się prostacko, ale myśli przejrzyście. Ba, w myśli dokonuje korekty swoich słów. Takie zachowanie może doskonale wyrażać odpowiednia mina. Prawie wszystkie zwroty z nawiasów dadzą się wyrazić gestem. Zwłaszcza, jeśli uświadomimy sobie, że chodzi tu o parę kochanków i scenę, która nie potrzebuje zbyt wielu słów.

Nawet to znakomite „cccome” („doszło?”, „czujesz?”) sygnalizuje przede wszystkim zmieszanie, skonfundowanie mężczyzny, jego reakcję nad głośno wypowiedzianą: „Powoli, nie spiesz się”. Nikt nie chce być pouczany podczas stosunku, ale słowa, a właściwie monosylaby są potrzebne do osiągnięcia minimum niezbędnego zrozumienia. Tak tę scenę odbierze prosty człowiek, konkretyzując tekst literacki poprzez przywołanie doświadczeń życiowych. W poglądzie krytyka płaszczyzna izomorfizmu stanowi część uniwersum kultury, a przedstawia inne utwory, a to oznacza całkowitą dowolność interpretacji. Jedyne *close Reading* nastawione na erotykę i jej sygnalizowany przekaz nie oddala nas od tekstu.

Zauważmy pewną „obyczajowość” poety widoczną w wydzieleniu trzeciej zwrotki wiersza, jedynej, której zapis zawiera się między nawiasami, co zgodnie z ustaleniami lektury, świadczyłoby o milczącym charakterze sceny. Jeśli przyjmujemy hipotezę „buduaru”, to musimy stwierdzić, że ta strofa sygnalizuje bliżej nieokreślony „początek” stosunku (petting i „pierwsza chwila”). Towarzyszy temu pełna dyskrecja autora (tekstu). Całkowite milczenie.

Skoro zaś uznamy, że „Ona” jest zwykłą prostytutką, powinniśmy interpretować „milczącą” zwrotkę jako moment obopólnej zgody, porozumienia, dobicia „targu”. Równie ważny jak sam stosunek i dlatego osłonięty tajemnicą. Mamy tu dwa różne rozumienia intymności. Normalny akt seksualny staje się dla postronnego obserwatora równie niedostępny, jak dojszcie do porozumienia w transakcji „erotycznej”. To, co najważniejsze pozostaje niedostępne zarówno postrzeżeniu zewnętrznemu, jak i świadomej refleksji, ale seks sprzedajny nie zna intymności albo: raczej jego *intymnością jest pieniądz*.

Przedstawiliśmy dwie odmienne koncepcje interpretacyjne. Ale krytyk (tłumacz, aktor) „musi” wybrać tylko jedną z nich. Całkowicie bezpodstawnie, bo „akcja” wiersza rozgrywa się w domyśle odbiorcy. Odmieinni odbiorcy reprezentują różne poziomy lektury wiersza. Można to wyjaśnić przez odwołanie się do filozofii pragmatyzmu w jego najczystszej „peircowskiej” postaci¹⁹⁶. Krytyk czyta tekst i porządkuje swe wrażenia. Ma jakieś przekonania (believes),

196 Od nazwiska Charlesa Sandersa Peirce, amerykańskiego filozofa i logika – twórcy tzw. Pragmatyzmu, teorii uznającej doświadczenie za podstawę wszelkiego poznania. „May I feel?” („Czy mogę pomacać?”, „z badać” „sprawdzić”, „poczuć...”) to jakby wyznanie zadeklarowanego pragmatysty, który swoją aktywność poznawczą kieruje na partnerkę. O tym, że nie chodzi tu wyłącznie o zgodę kobiety, świadczy użycie słowa „May” zamiast zwyczajnego „can” oraz zastosowanie wieloznacznego czasownika „feel”. Należy pamiętać również o „starotestamentowym” znaczeniu słowa „poznać” („poznać” = odbyć stosunek), co w kontekście całego wiersza zamienia „wyznanie pragmatysty” w szczerą deklarację prawdziwych zamiarów i przydaje pytaniu dodatkowej pikanterii.

które wyraża (fixation of believes). Wypowiadając jedne, odrzuca inne. Często nawet bezwiednie. Tłumacz może przedstawić kilka odmiennych wersji przekładu. Jego działalność zawodowa nie wyklucza takiego postępowania. Również aktor modulujący tekst, po latach inaczej grający tę samą rolę, budzi powszechną sympatię. Zmienność „poglądów” aktora czy tłumacza świadczy o ich głębi, powadze, skłonności do poszukiwań. Bywa na ogół oceniana pozytywnie. Krytykowi tylko teoretycznie przysługuje prawo do zmiany poglądów. W istocie zmiana oznacza bądź rejteradę, bądź osiągnięcie dojrzałości i potwierdzenie dawnej niedojrzałości. Jest oceniana raczej negatywnie.

Dobrze, kiedy taka ocena dotyczy czasów minionych, źle, gdy wyraża aktualny stan rzeczy. Pokrewne rodzaje (z pozoru) działalności (krytyk, tłumacz, aktor), które np. w poundowskiej teorii kultury są trzema typami przekładu lub trzema rodzajami komentarza, różnią się między sobą sposobem wyrażania przekonań (fixation of believes), językiem, zapisem idei. Jawna dyskursywność wypowiedzi krytycznych, arbitralny wybór przekładowych możliwości, tonacje głosu niejednoznacznie markujące odmienność interpretacji, to w istocie trzy różne reguły interpretowania.

W praktyce rzecz sprowadza się do odmiennego ujawniania poprzez „tekst” zasad konstytuujących określoną interpretację. Dadzą się one jednoznacznie wyprowadzić tylko z tekstu „krytycznego”. Tekst „aktorski” odbierany w pełni intuicyjnie, „nie pozwala” wyodrębnić reguł interpretacji. Inaczej jest z przekładem. Jego analiza wymaga wiedzy, kompetencji językowych, żmudnych porównań. Krytyk, tłumacz, aktor odmiennie wyrażają swe przekonanie „zawodowe”, podglądy krytyka są najbardziej dostępne werbalnemu doświadczeniu postronnego obserwatora i dlatego najczęściej narażone na odrzucenie.

W przeciwieństwie do krytyka i jego kolegów uczestniczących w translacyjnym obiegu kultury, zwykły czytelnik nie musi wyrazić swoich przekonań ani dbać o ich spójność. Jego niespójne sądy, uzupełnione fantazyjnymi obrazami, są bliższe rzeczywistości, bogatsze. W jego, prawie borgesowskim pojmowaniu tekstu, mieści się i scena striptizu w buduarze i targ „erotyczny” na ulicy. Fragmenty jednej i drugiej interpretacji mogą się wzajemnie przeplatać, tworząc nową, bardziej skomplikowaną rzeczywistość; ogród pełen rozwidlonych ścieżek, drzewo, którego konary i gałęzie biegną w różne strony.

Życiowe doświadczenie podpowiada czytelnikowi, że przecież nie ma niczego niezwykłego w tym, że w jakimś *living roomie* czy sypialni rozgrywa się scena pełna nieśmiałości i zachwytu, a i parę kroków dalej kobieta uliczna,

bliźniaczo podobna do „dziewczyny z buduaru”, wabi klienta demonstrowaniem uroków swego ciała. Mając na względzie różnicę doświadczeń, odmienność zadań i statusów „zawodowych” łatwo stwierdzić, skąd pochodzą odrębne interpretacje tekstu oraz dlaczego zwykły czytelnik jest lepszym egzegetą wiersza e.e.cummingsa.

Trzeba bowiem pamiętać o słowach Charlesa S. Peirce’a „Człowiek tak bez reszty zamyka się w prawdopodobnych granicach swojego praktycznego doświadczenia, a jego umysł w takim stopniu stał się narzędziem realizacji życiowych potrzeb, że istota ludzka nie może nawet pomyśleć o czymś, co wychodziłoby poza te granice”¹⁹⁷.

Tekst był publikowany pierwotnie na stronie <https://www.salon24.pl/u/obok-literatury/658073,daj-pomacac-rzekl-on-po-co-zwlekasz-odparla>.

Edyta Rauhut

enter

Lisbeth Salander jest fikcyjną postacią, bohaterką cyklu *Millennium*, która zainspirowała mnie do napisania wiersza pod tytułem *enter*. Należałoby najpierw wspomnieć, że wiersz ten wpisuje się w cykl utworów *Liryczne sabaty czarownic*, który publikowałam na swoim blogu. Dlaczego mowa o czarownicach? To właśnie nimi często nazywało się przedstawicielki płci pięknej, które potrafiły używać swojej wiedzy, były silne pomimo przeciwności, albo – jak niektórzy wolą – wiedźmami. Dzisiaj wiele z pań prezentuje się jako kobiety niezależne, ale wszystko ma swoje początki.

Rola kobiety zarówno w życiu społecznym, jak i rodzinnym zmieniała się. Jednak do tych przemian prowadziła ciężka droga w świecie, który niegdyś w garści trzymali mężczyźni. Czy coś po nim zostało? A zastanawialiście się kiedyś, dlaczego feminatywy „psycholożka”, „profesorka”, dla niektórych

197 Charles S. Peirce, *Collected Papers*, Cambridge 1960, t. V, s. 536

wydają się śmieszne? A przecież nie śmiejemy się już z kucharki, pokojówki, gospodyni. Dlatego właśnie poświęciłam ten cykl utworów kobietom, choć inspiracjami były zarówno postacie realne, jak i fikcyjne, a także te pochodzące ze starych podań.

Sama Lisbeth powstała w wyobraźni Stiega Larssona, który był szwedzkim dziennikarzem i pisarzem. Zmarł nagle na atak serca w listopadzie 2004 roku. Było to krótko przed ukazaniem się pierwszej części wspomnianej trylogii (*Millennium. Mężczyźni, którzy nienawidzą kobiet*). Twierdził, że skonstruował postać Lisbeth na wzór dorosłej Pippi Pończoszanki. Dodatkową inspiracją miała być siostrzenica pisarza, Therese. Dlaczego wybrałam właśnie tę bohaterkę książki Larssona?

Wiersz rozpoczynam od wersów: *strategicznie przemykam między słowami/ realizowanymi maszynowo przez// przewrotny zapach codzienności kalecząc życie/ o wystające ogonki młodzieńczego losu (...)*. Bohaterka powieści Stiega Larssona ma za sobą ciężkie, traumatyczne dzieciństwo. Wydarzenia z jej przeszłości miewają w fabule wpływ na teraźniejszość. Ponadto jest introwertyczna. Nawiązywanie znajomości i przyjaźni sprawia jej trudności. Zresztą trudno się temu dziwić. Jednak mimo wszystko potrafi znaleźć w sobie siłę, by realizować swoje cele. Przy każdym z nich wciskała metaforyczny enter i parła do przodu, pomimo przeciwności, a tych nie brakowało w jej życiu.

Nie jest postacią ani idealną, ani do szpiku kości dobrą. Ma swoje za uszami. Jednak ta niedoskonałość sprawia, że jest ciekawa. Jest zdolną hakerką, która z łatwością zdobywa informacje, co ceni jej pracodawca. Szybko się też uczy. Bardzo wrogo jest nastawiona do mężczyzn znęcających się nad kobietami, co pokazała nieraz. Jako dziecko widziała, jak jej ojciec pobił matkę. Nie pozostała mu dłużna.

W swoim wierszu operowałam również metaforami nawiązującymi do pisania, przychodzą mi one naturalnie. Inspiracją była w końcu postać stworzona przez pisarza. Pierwsze trzy tomy serii napisał Stieg Larsson, autorem kolejnych trzech (kontynuacji) jest David Lagercrantz. Pierwsza część kontynuacji nosi tytuł *Co nas nie zabije*. Przychodzi Wam do głowy kontynuacja tego zdania? Ja kończę swój wiersz wersami *co cię nie skreśli/ to rozpisze*.

enter

*strategicznie przemykam między słowami
realizowanymi maszynowo przez*

*przewrotny zapach codzienności kalecząc życie
o wystające ogonki młodzieńczego losu*

*przeliterowanego pod kłapkami na wierszu
ale koniec każdego zdania*

*rozpoczyna kolejną
opowieść*

*pozostaje tylko enter
by skrócić o nie*

nieszczęście

*– co cię nie skreśli
to rozpisze*

5.08.2022

Wiersz z cyklu *Liryczne sabaty czarownic* inspirowany postacią Lisbeth Salander, główną bohaterką trylogii *Millennium* stworzonej przez Stiega Larssona (*Mężczyźni, którzy nienawidzą kobiet*; *Dziewczyna, która igrała z ogniem*; *Zamek z piasku, który runął*). Kontynuację napisał David Lagercrantz (*Co nas nie zabije*; *Mężczyzna, który gonił swój cień*; *Ta, która musi umrzeć*).

Robert Florczyk

Mare Dambiensis – impresja poetycka

Jeziro Dąbie to jedno z największych jezior w Polsce i ma swoje uroki, jak i swoją legendę, której towarzyszy także tajemnicza mapa.

Legenda Mare Dambiensis (Morza Dąbskiego) powstała w latach 1949-1950, gdy ze względu na panującą tyranię stalinowską wprowadzono

ograniczenia w uprawianiu żeglarstwa. Jezioro Dąbie stało się jedną z nielicznych obszarów, po których można było swobodnie pływać. Ale przecież rejsy są ciekawe, jeśli dotyczą nieznanymi czy egzotycznymi mórz. Od tego jest wyobraźnia i tak powstały krainy i miejsca w Mare Dambiensis, do których żeglowano: Ziemia Umbriagi, Morze Sargassowe, Parvo Mare, Ptasia Wyspa, Meduzostan, Svante, Przylądek Czterech Szkieletów, Przylądek Białego Słońca (PBS), wrak Usambary, Trójkąt Bermudzki i stonogę.

Pewnego dnia września, kiedy jeszcze dostęp do Jeziora Dąbie na plaży w dzielnicy Dąbie nie był reglamentowany, przyszedłmy we dwóch podziwiać zachód Słońca. Na tle błękitu nieba powstawały różne odcienie czerwieni, także żółte i pomarańczowe barwy zmieniające się z każdą chwilą opadającego Słońca. Między taflą jeziora a niebem było miasto Szczecin, czerniejące z dumnymi wieżami kościołów, wysokich budynków, koronami drzew i portowych dźwigów.

Cały ten spektakl barw otaczała niesamowita cisza, był to taki okres między kończącym się dniem a przystępującą do miasta nocą. Tafla jeziora stała się ekranem, w którym się odbijało pomarańczowe niebo, nie marszczyła się żadną falą, ani smagnięciem wiatru. Z miasta także nie dochodziły żadne dźwięki. Na chwilę zatrzymał się czas, poczucie obcowania z teraźniejszością było przejmujące.

Mój towarzysz pod urokiem tej chwili postanowił wejść w Jezioro, stać się częścią otaczającego nas spektaklu. Z każdym jego krokiem za nim załamywała się oś czasu, pomarańczowa poświata dnia, który odchodził, ustępowała czerni nadchodzącej nocy. Zdecydowałem się ostrożnie zrobić dokumentację fotograficzną tej chwili, aby nie zaburzyć istniejącej harmonii przejścia dnia w noc, przeszłości odpychanej przez teraźniejszość i rodzącej się za horyzontem przyszłości.

Zawsze w takiej chwili myślę o Koperniku, złudzenie że to Słońce od nas odchodzi towarzyszyło ludzkości przez setki tysięcy lat, Kopernik uświadomił mi jak potężny może być ludzki umysł. Myślałem – stoję na olbrzymiej kuli, która się obraca, a ja tego nie mogę w żaden inny sposób poczuć, jak tylko umysłem. Wrażliwość tej konstatacji potrafi przyprawić o intelektualne drżenie nie tylko poetę oglądającego świat przez pryzmat swoich odczuć, ale chyba każdego, patrzącego na ten spektakl. Pomyślałem, że o tej chwili warto napisać wiersz, o tym miejscu na świecie, na którym umieścił mnie los – na brzegu Mare Dambiensis w środku lokalnego wszechświata, jakim jest Szczecin.

Czekałem cierpliwie na pływaka, który po minięciu linii zrównania dnia z nocą, gdy terażniejszość skurczyła się do dłoni, którą czerpał garść wody, aby bezpiecznie wrócić na brzeg Mare Dambiensis. Wracaliśmy w ciszy, tylko odbłyски kocich oczu w ciemnościach otaczających Mare Dambiensis wskazywały nam drogę do domu.

Pływak musiał odpocząć, jutro będzie musiał być w gotowości, jak my wszyscy. Ja patrzyłem w swoją wyobraźnię i zdjęcia, których nie podebrał abordażem niezgody przewrotny pirat z Mare Dambiensis – pozwoliło mi to napisać wiersz.

Dla miasta, dla Was, dla Mare Dambiensis.

Mare Dambiensis

*U podnóża nocy
która obejmuje dzisiaj
czule wszystkie kamienice
połyka asfaltowe ulice
gładzi szorstkie bruki
pieści zmarszczki miasta*

*U progu takiej nocy
przybywa pływak
który rozbija tafłę
mijającego dnia
stwarzając przeszłość*

*Dla niego dla miasta
zostało stworzone
Morze Bez Powrotu
Mare Dambiensis
z różą wiatrów
naszych śmiałych planów*

*O świcie wygra terażniejszość
ale
następnego wieczoru
pływak przybędzie czynić
z uporem
swoją powinność*

* * *

Dwudziesty czwarty lutego 2022 roku był dniem bardzo słonecznym. Jadąc do pracy przez szczecińskie ulice, przyglądałam się budynkom i drzewom oblanym złotym światłem, na których, pomimo wiosennych zwiastunów, nie zakwitły jeszcze liście. Z utęsknieniem czekałam na ich zieleń – symbol nadziei i odrodzenia w powtarzającym się cyklu życia. Pamiętam, że nie włączałam radia, chcąc delektować się ciszą i pięknem otaczającego mnie świata. Gdy dojechałam do specjalnego ośrodka szkolno-wychowawczego, w którym pracuję, uderzyła mnie konsternacja, z jaką zachowywali się uczniowie. Ten dzień nie był taki sam jak poprzednie. Panował dziwny popłoch, aczkolwiek nie panika. Powaga, daleka jednak od patosu. I chociaż był tłusty czwartek, a w takiej sytuacji nasi specyficzni uczniowie nie kryliby radości i niecierpliwego oczekiwania na wypieczone przez cukierników ze szkoły branżowej pączki, nikt z nich jeszcze mnie nie zagadnął, jakie lubię najbardziej. I to był wyraźny znak, że ten dzień jest zupełnie inny. Gdzieś w oddali mignął mi wojskowy mundur Kuby – ucznia zafascynowanego wojskiem polskim i naszą historią – a potem, w mgnieniu oka siedemnastolatek znalazł się przy mnie. Mówił coś o tym, że będzie mnie chronił i mam się nie bać, że wie, gdzie w Szczecinie znajdują się schrony i on mnie do któregoś zabierze... a na następnej przerwie między lekcjami, opowie dokładnie, co powinnam spakować. Nim zdołałam zadać jakiegokolwiek pytanie, Kuba znów zniknął w tłumie, jeszcze szybciej niż się z niego wyłonił. Zadzwoił dzwonek, a jego dźwięk zburzył – jak drewnianą wieżę z klocków Jenga – dopiero układające się intuicyjnie w mojej głowie myśli. Weszłam rozbita do klasy, przeczuwając coś, czego nazwać nie potrafiłam. Kurz unoszący się w słonecznym świetle, wpadającym przez szyby zamkniętego okna, mieszał się z niepokojem, powagą i tym specyficznym ponagleniem w sercu, które przygotowuje organizm do reakcji *walcz albo uciekaj*. Tworząc swoistą atmosferę, odczuwalną coraz bardziej w ciężkości oddechu i wąskotorowej koncentracji umysłu. Wtedy weszła Gosia, koleżanka, której klasa znajdowała się nieopodal tej, w której czekając na spóźnionego już ucznia, przygotowywałam się do rozpoczęcia zajęć rewalidacyjnych.

– Ty wiesz, że dziś nad ranem Ruscy zaatakowali Ukrainę? – spytała, nie czekając na moją odpowiedź – Nie mogę w to uwierzyć! Co teraz będzie?

W pierwszej chwili poczułam się jak widz, biorący udział w seansie filmowym, którego nie dotyczy fabuła przedstawianych zdarzeń. Dopiero kilka miesięcy wcześniej byłam na półwyspie Westerplatte. Schodząc schodami ze szczytu, na którym wznosi się Pomnik Obrońców Wybrzeża, patrzyłam z góry na ogromny, metalowy napis *NIGDY WIĘCEJ WOJNY*. Odczuwając wdzięczność i wzruszenie zarazem. Dla żołnierzy, ale i zwykłych ludzi, często bardzo młodych, którzy mieli przed sobą całe życie, a zostało ono przedwcześnie przerwane. Wszystkich Bohaterów, którzy walczyli o wolność Polski. Także z powodu tego, że koszmar II wojny światowej jest już rozdziałem zamkniętym w historii świata, choć wciąż niestety w niektórych jego rejonach toczą się krwawe walki. Odkąd pamiętam, w moim sercu zawsze żywe były pamięć oraz ból, którego źródłem jest ludzkie cierpienie wynikające z bestialstwa, jakie może okazać drugi człowiek. Zanim dotarło do mnie, że jako gatunek rzekomo rozumny, a na pewno stojący na czele innych stworzeń, niczego nie wynieśliśmy z lekcji nie tak dawnej przeszłości, spóźniony uczeń zdążył wejść do klasy. Nie musiał niczego mówić. I ja nie musiałam. Czytaliśmy ze swoich spojrzeń więcej niż przeczytać można z wypowiedzianych ustami słów. Ten dzień i kolejne nie były już takie same. Czy dla osób, które chcąc złagodzić swoje poczucie zagrożenia, tłumaczyły sobie, że Szczecin leży około tysiąca czterystu kilometrów od granicy z Ukrainą, a tysiąc osiemset z Moskwą... jakby mogło to chronić przed ich przekroczeniem kogoś, kto atakując obiekty cywilne już zmiążdżył te, wyznaczające człowieczeństwo. Bądź też dla tych, którzy swój niepokój próbowali rozbroić myślą, że przecież Polska należy do Unii Europejskiej i NATO.

W ten tłusty czwartek 2022 roku uczniowie nie uczestniczyli w lekcjach. Nawet jeśli cieleśnie byli obecni, ich umysły krążyły wokół tematu wojny. Prosił o włączenie radia, bo chcieli posłuchać wiadomości i upewnić się, że nasz kraj jest bezpieczny. Niektórzy z nich nieustannie o tym mówili. Byli i tacy, którzy co kilka minut płakali. Inni kulili się w sobie jak załęcznione żółwie, chowając w skorupie milczenia i denerwując na każdy gest wyciągnięcia ręki w ich stronę. Nauczyciele, dorośli przecież ludzie, mieli bardzo podobne reakcje, choć mniej skrajne. Prawie od razu również uruchomiono w ośrodku, tak jak i całym Szczecinie, pomoc dla ofiar wojny w Ukrainie, organizując różnego typu akcje. Cała nasza szkolna społeczność z każdym dniem coraz bardziej się angażowała. Odczuwało się silną wolę walki, nie ucieczki. Uczniowie i nauczyciele

przygotowywali posiłki dla uchodźców, którymi witano ich na Dworcu Głównym. Zbierano dary, robiono breloki i bransoletki, aby je sprzedawać i w ten sposób pomagać pokrzywdzonym... ale też, czasem zapewne nieświadomie, pomagać samemu sobie. Zająć się aktywnością, która sprawi, że nie ulegnie się pokusie popadnięcia w czarną otchłań poczucia niemocy wobec zdarzeń, na które pojedynczy człowiek nie ma wpływu. We mnie, co wcale nie jest charakterystyczne dla mojej twórczości, niemalże od razu dojrzewały wiersze. Jakby serie rozrywających słów odbijane rykoszetem od śmiertelnych pocisków, odbierających w Ukrainie życia nawet bezbronnym dzieciom. Były jak krzyk do świata, że przecież miało *NIGDY WIĘCEJ* nie być *WOJNY!* Że niedługo rozkwitnie zielenią wiosna – symbol nadziei i odrodzenia w powtarzającym się cyklu życia. Nie śmierci! Jako literatka czułam silną potrzebę zabrania głosu w imieniu tych, którym go brutalnie przerwano. Zazwyczaj, gdy powstaje jakiś mój utwór, piszę go pod działaniem natchnienia. Wylewam z siebie pierwszą myśl – nieuporządkowaną jeszcze, porwaną przez rwący nurt emocji. Potem odkładam go na jakiś czas, czekając aż afekt opadnie. Trwa to czasem kilka godzin, dni, tygodni lub nawet miesięcy. Gdy czuję się już gotowa, wracam do niego. Wtedy przychodzi czas na rzemiosło. Żmudną i najtrudniejszą pracę. Próbę ułożenia wszystkiego w logiczną całość. Tak aby pojawienie się każdego wyrazu znalazło swoje racjonalne uzasadnienie. Nie było jedynie przypadkową grą dobrze brzmiących słów. Jest to jak uspokajanie nurtu emocjonalnej rzeki, nadawanie jej kierunku i układanie w stabilnym korycie rozumowania. Jako że w swojej poezji posługuję się przede wszystkim metaforą, szczególną uwagę zwracam również na to, aby była skonstruowana w sposób, który poprowadzi wyobraźnię czytelnika tak, żeby był on w stanie namalować w swoim umyśle obraz tego, o czym czyta. Z wierszami o wojnie w Ukrainie było inaczej, zwłaszcza z tymi, które odnosiły się do śmierci dzieci lub kobiet. Tym drugim towarzyszyło często upodlenie ze strony żołnierzy. I chociaż jako przyszły psycholog, próbuję zawsze znaleźć przyczynę, nawet najgorszego ludzkiego zachowania, do tej pory nie potrafię w sobie pomieścić emocji, jakie to we mnie wywołuje. Poniekąd z powodu tego, że noszę w sobie wyidealizowany obraz żołnierza jako uczciwego, honorowego obrońcy słabszych, a poniekąd dlatego, że sama jestem kobietą i matką. Patrząc z tej perspektywy, trudno nabrać dystansu... o ile w ogóle można go mieć, nawet nie będąc kobietą. Uświadomiłam sobie po raz kolejny, że na przestrzeni wieków i toczących się w nich wojnach, są to powtarzające się, drastyczne historie, ukazujące, najgorszą ludzką twarz. Nawet nie można powiedzieć, że zezwierzęconą, ponieważ zwierzęta zabijają jedynie z głodu lub w obronie siebie bądź swoich młodych.

My, ludzie robimy to w wyniku niepohamowanych żądz zdobycia na wyłączność czegoś lub kogoś, targających naszymi nienasyconymi sercami. Nie tylko zabijamy, ale pastwimy się. Znajdujemy dziką satysfakcję w poniżaniu i maltretowaniu drugiego człowieka, by złudnie podnieść poczucie własnej wartości, sprawczości i władzy. Nie jestem feministką. Nie uważam też żadnej z płci za lepszą czy gorszą, a jedynie za różną od drugiej. Mimo to nurtowało mnie od zawsze pytanie, które odżyło po dniu dwudziestym czwartym lutego 2022 roku. Próbuję, jeśli nie z etycznego, to chociażby psychologicznego punktu widzenia, zrozumieć jak mężczyzna, który jest przecież synem jakiejś kobiety, najczęściej sam ma żonę, czasem i córkę, może tak bardzo sponiewierać inną kobietę. Zwłaszcza jeśli jeszcze jest dzieckiem. Tak jak te wszystkie kobiety i dziewczynki rozstrzelane w podkijowskim Irpieniu, po których potem przejechało czołgami. Ciało zagoi się lub umrze, przeminie... ale krzywda moralna i odczłowieczenie, będące jej następstwem, nie zniknie z upływem czasu, wraz ze zniknięciem agresora. Będzie płynęło w następnych pokoleniach jak zatruta krew, której odczyn jest dziedziczny. Dla jednych będzie trawiącą umysł żądzą zemsty i narastającymi uprzedzeniami do całego narodu, z rąk którego moje państwo doznało ataku. Dla innych pokoleniową traumą, której nie jest się w stanie wybaczyć, bo zniszczyła życia bliskich sercu osób. Wiersz *Irpień* powstał niemalże w jednej chwili, w której zakończyłam czytać artykuł o masakrze w tymże mieście. Nie byłam w stanie przeczytać na raz całości. Przerzywałam, bo musiałam się wyplakać... a może właśnie dać ujście wielowiekowemu bólowi, który odziedziczyłam w spadku po matce, babce i praprababce. Z samego faktu bycia kobietą. Ich opowieści o przemocy seksualnej, psychicznej i fizycznej są tak szokujące, że jako mała dziewczynka najbardziej bałam się właśnie wojny. Ponoć istnieje coś takiego jak pamięć komórkowa, która obejmuje także złe doświadczenia naszych przodków. Gwałty, obnażanie, torturowanie i uprzedmiotawianie kobiecego ciała, pozbawianie dzieci, które z bólu wydało na świat... aż tak głęboko nie może zostać dotknięty żaden mężczyzna. Być może dlatego historie tych kobiet bolą mnie jeszcze bardziej. Gdy pisałam wiersz *Irpień*, natchnienie, emocje i twardo stąpające po ziemi rozumowanie zintegrowały się we mnie, współistniejąc i współdziałając ze sobą... tak, żeby jak najszybciej stanąć w obronie kobiet i dzieci w Ukrainie, które jeszcze przetrwały, będąc ofiarami nieswojej wojny.

Tekst: Magdalena Sowińska

Przekład: Ksenia Borodin

IRPIEŃ

Zamiast czułych dłoni
po ich zabitych wcześniej ciałach
przetoczyły się
taśmy gąsienic i metalowe koła czołgów
Zamiast delikatnych pocałunków
na porcelanowe kokilki piersi
karmiące życiodajnym mlekiem synów
opadł ciężar opancerzonych pojazdów bojowych miażdżących serca
O zmierzchu
rozpaczliwy krzyk ocalałych
strąca ślepe drony gwiazd nad Iрпиem
i rozdziera na pół zastonę nieba
głuchego

Текст: Маґдалена Совінська

Переклад: Ксенія Бородін

Ірпінь

*Замість чутливих долонь
їхніми вбитими незадовго тілами
проїхалися
стрічками гусениць і металевими колесами танки
Замість ніжних поцілунків
порцелянові полумиски грудей
що годують життєдайним молоком синів
придавив тягар бойових панцирників, розчавлюючи серця
У сутінках розпачливий крик уцілілих
збиває сліпі дрони зірок над Ірпенем
і роздирає навпіл завісу неба
глухого*

NOWOŚCI WYDAWNICZE

Leszek Dembek

Wyjątkowa książka poetycka Eugeniei Karczewskiej

Eugenia Karczewska, z domu Łazuka, urodziła się 17 grudnia 1952 roku w Choszczynie. Tam też ukończyła Liceum Ogólnokształcące oraz Studium Laborantów Medycznych w Szczecinie. Pracowała jako laborantka w SPZOZ w rodzinnej miejscowości oraz w klinice Państwowej Akademii Medycznej w Szczecinie. W latach 1989-2021 mieszkała w leśniczówce Trzebień nad Iną (okolice Recza). Zmarła 26 czerwca 2021 r.



Poetka była związana ze szczecińskim środowiskiem literackim. Debiutowała w *Spojrzeniach*. Jej utwory były publikowane m.in. w antologii pt. „Próba wyobraźni”, Wydawnictwo Poznańskie, 1978.

Pragnąc przypomnieć jej twórczość, publikujemy kilka jej nieznanych utworów, które mają się znaleźć w przygotowywanym do druku przez Fundację Wspierania Kultury „Noc

Eugenia Karczewska (zdj. archiwum rodzinne)

Poetów” tomiku pt. „Podatek od życia”. Będzie to jej pierwszy i jedyny tomik wierszy wydany już pośmiertnie. Utwory poetki zostały przekazane do naszego Związku przez Władysława Łazukę, jej brata, znanego poetę.

Wrócić

Dojrzewającym zbożem wrócę
zapachem ryb na brzeg
modlitwy ptaków słuchać
przesypać piasek
w śmiech
ze ścierni promień
w dłoniach zaniosę
w mój dom z wiatru
i brzóz

* * *

Jak łatwo zamknąć życie
w klatce dnia
usidlić się we własnych
myślach
zgubić radość w milczeniu
powiedzieć miłości – żegnaj
być głuchym na odgłosy
szczęścia
nieczułym dla bijącego serca
Otwórz drzwi od siebie
ku życiu
niech wiatr wywieje
pustkę z serca

* * *

Zawróć gdy usłyszysz
śpiew ptaków
obejrzyj się
spróbuj zrozumieć
omszate kamienie.
Gdy wiatr poruszy drzewa

usiąść i wsłuchaj się
w ich szum
to siła istnienia.

* * *

Wzruszeni pamiętaniem
odległych nocy i świtów
w trosce o barwy kwiatów
każdego lata
tego co żyje
w oczach i sercach
bierzmy w dłonie
czystość wody
by na nowo zachwyć się
jej świeżością
odzyskać radość
życia

* * *

To wszystko jest poezją
co czytasz w moich oczach
nicią serca i marzeń
drogą krętą na wzgórze.
W twych ramionach
widzę głębię rzeki
w twoich włosach
gęstwę lasu
błądząc samotna
i szukam
siebie

MINIATURY LITERACKIE

Robert Florczyk

O syrenie z Goławia

Ta historia wydarzyła się w dawnych czasach. Tak dawno, że mało kto o niej pamiętał, oprócz jednego człowieka z Goławia, który już nikomu jej nie powtórzył. On właśnie kazał zrobić witraż z Syrenką, z zaklętą w niej historią. Skąd ja o tej historii wiem? Bo uwierzyłem, że jeśli umie się wypowiedzieć zaklęcie, to Syrenki potrafią opowiadać nawet, jeśli są ze szkła.

Wszystko co usłyszałem wydarzyło się zanim rybacka osada na brzegu Odry została nazwana Goławiem.

W tej osadzie mieszkał chłopiec...

...Sambor, sierota wychowywany przez dziadków, który lubił patrzeć, jak statki płyną w górę i w dół rzeki do miasta Szczecina, wioząc wiele towarów i zabierając najczęściej zboże. Osada składała się z solidnych checzy, a mieszkańcy utrzymywali się z połowu ryb.

Sambor, odkąd pamiętał, pływał z dziadkiem, zwanym starym Janem, przez kanały wśród wysepek i łąch na jezioro Dąbie, na połowy sieci albo zakładał sieci w kanałach.

Dziadek pozwalał mu także samemu na połowy wędką i znał wybornie tunele w zielonej, gęstej roślinności, gdzie lubił słuchać plusku wody o łódź, śpiewu ptaków, nurkowania perkozów, rechotu żab, a gdy go naszała jaka boleść albo myśl płocha, śpiewał z tęsknotą za matulą i ojcem, za podróżami dalekimi statkami, które widywał na Odrze.

Gdy trafił się dobry połów z dorodnymi rybami, to stary Jan brał Sambora do łodzi i płynęli na targ do Szczecina, sprzedając tam ryby i oddając najdorodniejsze szczupaki do kuchni księcia.

Pewnej późnej wiosny, gdy wystawiali swoje ryby na targu w Szczecinie, lśniące jeszcze łuskami, polewane obficie wodą i przekładane pokrzywami, by zachowały jak najdłużej świeżość, słychać było krzyki płynące z ust świty zamożnego kupca Nikodema:

– Zrobić miejsce dla czcigodnego Nikodema.

Z drewnianych półokrągłaków, wyłożonych na błociskach, rozstępowała się ciżba zgromadzona w dzień targowy, jak szuwały przed łodzią pchaną silnymi uderzeniami wiosła.

Nikodem był zamożnym i rzutkim kupcem, zasiadał w radzie miasta i wysyłał swoich ludzi na połowy śledziowe w Skanii.

Sambor spojrzął na dziadka zdziwiony, że ktoś taki idzie na targ rybny, zamiast wysłać swoich służących. Dziadek wzruszył ramionami, też nie wiedząc o co chodzi.

Nikodem, bogato ubrany, zatrzymał się na brzegu przy łodzi starego Jana:

– Dalej dobrze idą wam połowy, jak widzę, Janie – rzekł Nikodem, pokazując ułożone według wielkości dorodne ryby.

Stary Jan zebrał resztki pokrzyw z ryb i odpowiedział:

– Jaśnie panie, jeśli ci się podobają, możesz je zabrać.

– Nie o te ryby mi chodzi, ale wezmę – i zwracając się do sługi:

– Wybierz ryby, zapłać i weź do domu – ponownie zwrócił się do Jana:

– Widzę, że nie straciłeś szczęścia w połowach jak to w Skanorze i w Falsterbo bywało drzewiej.

Stary Jan nie zaprzeczał, ale też się nie przechwalał, słuchając co Nikodem mówi i rzekł:

– Gdy Bóg łaskawy, to i zdarzy się mieć pełne sieci, ale to nie zawsze tak jest, bo i każdy rybak wypływa od nas po to, by mieć pełne sieci i nakarmić rodzinę.

– Janie, nie będę tu się rozgadywał, bo i mnie zajęcia wzywają. Potrzebuję kogoś doświadczonego do załogi na łowiska śledziowe. Moi ludzie pchorowali się i nie mam kim obsadzić mojej maszoperii, a miejsca nie oddam nikomu.

Pływałeś kiedyś z moimi i wszystko wiesz jak robić, zapłacę dobrze i część zapłaty dam ci z góry.

Stary Jan pokiwał głową z zadumą. Dobra to była oferta, możni brali tylko swoich do połowów w Skanii, ale jak to młodzika Sambora zostawić na tyle miesięcy, to nigdy nie wiadomo, co się może wydarzyć w gorącej głowie. Sambor z kolei aż się podniecił na myśl, że mógłby popłynąć za morze na połowy śledzi, o których w zimowe wieczory opowiadał dziadek.

- Waszmości, wziąłbym pomocnika tego tutaj, sierotę Sambora.
- Nie za młody on jeszcze i nienawykły do takiej roboty?
- Dostanie taką pracę, którą będzie umiał wykonać. Może układać śledzie w beczkach, ma dokładne ręce, ale też silne i może pływać z łodzią do wozów ze śledziami.

Ta ostatnia uwaga o układaniu śledzi w beczce przekonała Nikodema. W Skanii prawo Hanzy przewidywało pod karą zakaz wsypywania hurtem śledzi do beczki, lecz ich dokładnego układania, by potem kupiec w Poznaniu czy w Krakowie miał pewność, że je dobrze przechowywaną rybę.

- Zgoda - rzekł Nikodem - jeśli będzie się sprawował dobrze, to może i w przyszłych latach będziemy go zabierać. Po czym kazał wypłacić z góry parę srebrnych monet i umówili się na dalsze ustalenia z końcem czerwca. Wrócił pod górę w stronę ratusza, a jego ludzie znowu krzyczeli do ciżby - Z drogi, pan Nikodem idzie do ratusza, z drogi - i znowu się rozstępowała ciżba niczym szuwały przed dziobem mocno płynącej łodzi.

Babcia Zofia, której opowiedzieli o całej przygodzie, gdy przybyli do checzy, cieszyła się i jednocześnie martwiła. Cieszyła się, że będzie im łatwiej przeżyć i że pewnie dostaną także swój przydział solonych śledzi na całą zimę i starczy na utrzymanie, ale martwiła się, że zostanie sama i będzie tęskniła do wnuka. Także Stary Jan przekonywał ją, że młodzik nauczy się dobrej pracy i ma szansę na kolejne lata na dobry zarobek, gdy oni już będą posunięci w latach.

Przygotowywali się do wypłynięcia. Stary Jan pływał do Szczecina, by ustalić wszystko, co należy z szyprem łodzi, na której mieli płynąć do Skanii i kupować różne potrzebne rzeczy na podróż i pracę przy śledziach. Robili też zapasy dla babci Zofii, suszyli złowione ryby, które miała mieć na zapas i obiecywali, że jeśli się uda w trakcie połowów przy płynięciu z dostawą do Szczecina, to na pewno do niej zajrzą.

Sambor, kiedy teraz patrzył na statki płynące Odrą, już nie wzdychał ze smutkiem za dalekimi wyprawami, ale aż drżał z radości, że niedługo sam będzie płynął za morze.

I przyszedł taki dzień, gdy z tobołkami Stary Jan i Sambor zamustrowali się na statek pełny pustych beczek i beczek soli na wyprawę przez morze do Skanii. Babcia Zofia machała im przy Odrze i ocierała łzy, a i Sambor nie mógł też powstrzymać łez. Pierwszy raz miało go nie być tak długo i tak daleko od domu. Stary Jan gładził ręką to brodę, to głowę Sambora i też się wzruszył.

Gdy dopłynęli do Falsterbo okazało się, że wszystko muszą przerzucić na wozy i dowieźć do wyznaczonej kwatery Fitte, gdzie było pełno szop, rozwieszonych sieci, ciągły gwar i ruch ludzi. Do tego jeszcze dochodzili ludzie z pobliskiego, olbrzymiego targu, gdzie handlowano czym się dało i ludzie mówili różnymi językami. Sambor, za pozwoleniem dziadka, po rozładowaniu przywiezionego sprzętu i beczek mógł obejrzeć te dziwy. Od tego mało nie dostał zawrotów głowy. Z początku nie mógł zasnąć, przewracając się z boku na bok, ale w końcu zmorzył go sen.

Od rana zaczęła się praca, a właściwie przygotowania do pracy, bo do połów był jeszcze krótki czas. Przygotowywano sieci, beczki, wozy i wszystko co było potrzebne przy śledziach. W morze wyjeżdżało się, powożąc duże wozy z olbrzymimi kołami, które mogły podjeżdżać ze względu na płytkość wody kilkaset metrów w głąb morza. Tam pływały łodzie, które wybierały na pełnym morzu sieci ze śledziami i wysypywały je do łodzi, albo nawet można było śledzie wybierać podbierakami, tak były gęste ławice.

Śledzie, zgodnie z nakazem Hanzy, można było w beczce tylko układać ręcznie i przesypywać solą, zabronione było wrzucanie podbierakami czy szuflami, bo okaleczone śledzie traciły na wartości i mogły się szybciej psuć. Praca była nużąca i dlatego Stary Jan przyzwalał Samborowi na zmianę pracy i chciał, aby poznał wszystkie zakamarki Fitte. Ale najbardziej Sambor lubił wy pływać łodzią, sprawdzać, czy już nadeszły śledzie. Wy pływał wtedy za olbrzymią łacę piasku, gdzie wylegiwały się foki, które też czekały na śledzie. Sambor kładł się na łodzi z podłożonymi pod głowę rękoma, patrzył w chmury i śpiewał swoje tęskne piosenki. Tęsknił za domem i za babcią Zosią, za swoimi ścieżkami wzdłuż Odry i rybami pluskającymi w wodzie. Foki przyzwyczyły się do jego pobytu i leniwie przyglądały się jego łodzi dryfującej wzdłuż pisakowych łac. Nie mógł długo tam przebywać, bo zajęć było bez liku, ale zawsze cieszył się z chwili wytchnienia. Z nudów liczył foki, ale było ich bez liku, więc gubił się

w obliczeniach. Przy łodzi widział także morświny. Opowiadał o tych dziwach dziadkowi Staremu Janowi, który kiwał tylko głową i ciągle był zajęty przy sprawach ze śledziami.

Aż śledzie ruszyły! Sambor nigdy nie widział takiego mrowia ludzi uwijających się przy pracy. Wozy jeździły w morze i wzdłuż brzegu, ludzie rozładowywali ryby w duże kadzie i sortowali. Do późna paliły się ogniska przy szopach. Coraz rzadziej Sambor wypływał na piaszczyste łachy, bo śledzie trzeba było układać ręcznie, a że dobrze mu to szło, do tej pracy brali go najczęściej. Za to w te dni, gdy pływał łodzią, zawsze chciał zajrzeć na piaszczyste łachy. Przyglądał się, przykładając dłoń do czoła, by skryć oczy przed słońcem i patrzył na całe focze rodziny, aż przetaił oczy ze zdumienia. Majaki jakieś? – pomyślał i wytrzeszczył oczy, a tu widzi, jak siedzi kobieta i czesze włosy. Podpłynął bliżej, ale tylko krople wody z plusku skaczących fok go ochlapały i w zasadzie zobaczył tylko jakieś niewyraźne ślady na piasku. To przez ten upał – pomyślał Sambor – to są takie zwidy, południce jakieś.

Wieczorem zmęczony kładł się na pościeli umoszczonej na wydmie przy szopie pod rozgwieżdżonym niebem i nakrywając się końską derkną powiedział do Starego Jana, który przyszedł do niego powiedzieć mu dobranoc:

- Dziadku, widziałem dzisiaj jakowyś zwid.
- Zwidy powiadasz? – zapytał Stary Jan, przykładając rękę do czoła – Ciężko pracujesz, dam ci odetchnąć jutro. Posiedzisz przy sieciach.
- Nie, dziadku, nie jestem zmęczony. Ale widziałem taką złotą kobietę, co czesała włosy tam na wodzie, za naszymi Fitte wśród fok, przecież to niemożliwe, ale ja ją widziałem!
- Jak jeszcze raz zobaczysz, to od razu mi powiedz – rzekł Stary Jan – A teraz śpij.

Kolejne dni mijały w ciągłej pracy na łądzie, aż jeden ze zbierających śledzie do łodzi zwichnął rękę i wyznaczyli Sambora. Trzeba wiedzieć, że Samborowi wyjątkowo dobrze szło, sprawnie wybierał sieci z dorodnymi śledziami, które zawsze miał pełne. Mało kto z doświadczonych rybaków miał takie sukcesy. Wszyscy mówili, że z Sambora będzie dobry rybak. W końcu, gdy na łądzie układacze śledzi w beczkach i solnicy mieli roboty w bród, Sambor zdecydował się popłynąć na piaszczyste łachy. Słońce już zachodziło i puszczało złote refleksy po migoczącej wodzie. Wśród fok siedziała kobieta i czesała włosy. Sambor aż wstał w łodzi, by lepiej widzieć i szepnąć do siebie:

– To nie może być zwid jakowys, bo przeciez to nie południca, to już zmierzchać będzie niebawem – i podpłynął bliżej do łachy.

Rozpędził wiosłami łódkę, a potem cicho płynął wyjąwszy z dulek wiosła. Widział coraz wyraźniej złociste włosy kobiety i usłyszał jej śpiew. Nucila jaką spokojną melodię. Łódź wbiła się dziobem w piasek i znieruchomiła, mimo chrzęstu i zgrzytu piasku o dno łodzi, kobieta nie przestawała ani nucić piosenki, ani czesać włosów. Sambor milczał wsłuchany w jej pieśń i sam zaczął po chwili nucić swoim głosem coś o szumie morza, słońcu i rozwianych włosach, co tam mu przyszło do głowy. Kobieta odwróciła się do niego wcale nie zaskoczona i powiedziała:

– Lubię, jak śpiewasz, słuchałam cię już od wielu dni, gdy tu przyptywałeś.

Sambor ośmielony zagajeniem chciał wysiąść z łodzi, ale kobieta powstrzymała go ręką z grzebieniem z żółwiej skorupy.

– Nie, nie wysiadaj, te piaski są zdradliwe, wciągną cię.

Sambor klapnął z powrotem do łodzi i już chciał powiedzieć, a jak ty tutaj weszłaś, gdy zobaczył, że kobieta jest oparta na ogonie! Ona ma rybi ogon! To syrena – przeleciały myśli przez głowę szybko jak sokoły i orły, które wypatrzyły ofiarę i rzucały się z jasnego nieba, jak przyglądał się wielokrotnie temu nad kanałami Odry.

To niemożliwe, czy to jakieś bajanie czy mam się bać? Muszę wracać do dziadka – przypomniał sobie, że dziadek go napominał, by przy kolejnej okazji zwidu południcy go powiadomić.

– Nie bój się, spójrz na mnie – powiedziała Syrena – podnieś głowę.

Sambor powoli podniósł głowę i trochę lękliwie, ale spojrzał w promienistą twarz Syreny otoczoną falami włosów, które to w promieniach słońca, to miedziane, to złote mu się wydawały. Nie widział w swoim życiu piękniejszej istoty.

– Słyszałam twoje śpiewy, pięknie śpiewasz, nie widziałam cię wcześniej tutaj wśród rybaków.

Sambor przełknął ślinę przez zaciśnięte gardło i powiedział:

– Pierwszy raz mnie mój dziadek wziął tu do pomocy.

– Tutaj przybywają z różnych stron, a ty z jakiej krainy przybyłeś?

– Mieszkam koło Szczecina przy Odrze, na której łowimy ryby.

– Masz sprawne ręce, obserwuję cię przy sieciach.

- Staram się pomagać, bo będzie zapłata godziwa, jak mówił mój dziadek.
- Jesteś z dziadkiem?
- Tak, mówią na niego Stary Jan.
- Stary Jan mówią, powiadasz, ze Szczecina...

Sambor kiwał potakująco głową, nie odrywając wzroku od Syreny.

- Wiem, że ciężko pracujesz, nabierając sieci, będę ci pomagać, jak dotąd to robiłam.

- Ty mi pomagałaś? - zdziwił się Sambor.

- Tak, słyszałam twój śpiew tutaj na tych piaskach i pływałam za tobą. Kiedy odpływałeś od brzegu zawsze pchałam w twoje sieci ryby, by łatwiej ci było łowić. Myślałam, że wtedy będziesz mógł tu przyplływać i śpiewać. Chyba się nie myliłam, skoro jednak tu przyplłyłaś.

- Dobrze, będę tu przyplływał, kiedy tylko będę mógł, ale ja lubię twoją melodię. O czym ty śpiewasz?

- Śpiewam o tym, co i ty, czyli o tęsknocie i o radości, o kryształowym pałacu mojego ojca na dnie Bałtyku, śpiewam z wiatrem i z chmurami.

Syrena zanuciła swoją melodię i pochylając głowę dalej czesała swoje włosy. Sambor położył się na dnie łodzi i gdy milkł śpiew Syreny, podejmował swoją melodię, aż w końcu zorientował się, że jest już późno, wyciągnął wiosła z płuskami, płosząc przy tym fokę, machnął na pożegnanie Syrenie i szybko wiosłował do brzegu. Dziadek wypatrywał go już niespokojny, nie pozwolił o niczym mówić, tylko podał kawałek chleba i kazał się położyć spać.

- Porozmawiamy rano - powiedział - Teraz czas już na odpoczynek, jutro też jest dzień pracy.

Rano przyszło tak szybko, że Sambor myślał, że oka nie zmrużył. Połykając kęsy jedzenia opowiadał dziadkowi o Syrenie na piaszczystych łachach, o śpiewaniu i o tym, że go chyba polubiła. Dziadek nie przerywał tej gadaniny tylko uważnie słuchał i rozglądał się, czy ktoś z boku nie słyszy tej opowieści, a na koniec, gdy Samborowi zabrakło tchu powiedział tak:

- Nikomu ani słowa o tym, co widziałeś. Nikomu! - i przytknął palec do ust, a potem dodał - Wrócimy do tego przy okazji, bo są na świecie różne dziwy. Oby z tego jakiego nieszczęścia nie było, dlatego trzymaj język za zębami i nie pływaj tam na te piaskowe łachy.

Sambor westchnął głęboko, bo zakaz mu się nie podobał, ale dziadka szanował, no i pomyślał, że skoro dziadek powiedział, że wrócimy do tej sprawy, to pewnie będzie sam chciał zobaczyć Syrenkę, a tylko Sambor wie, gdzie ona jest dokładnie, to popłyną razem.

Dni stały się podobne, pracy coraz więcej, bo śledzie przyływały coraz tłusciejsze i coraz więcej ludzi pojawiało się na brzegu, w morzu i na łodziach, a i na targowisku tumult był coraz większy. Przyjechali nawet z dalekiej Anglii, ale oni mieli zakazane połowy przez Lubekę i Hanzę i tylko snuli się po szopach, podglądając solenie i pakowanie ryb.

Samborowi przednie szło i układanie śledzi w beczkach, i połowy z siecią na śledziowym szlaku przez morze. Potrafił i dwa razy obrócić z łodzią do wozu zanim inni wybrali sieci. Wiedział dlaczego tak jest, bo czasami błysnęły mu wśród srebrno-niebieskich, śledziowych łusek złote błyski syreniego ogona. Była jak pies zaganiający stado owiec do zagrody. Nie mówił o tym nikomu, zgodnie z przykazaniem od dziadka.

Pewnego dnia po brzegu kręcili się ludzie ubrani z cudzoziemska i jacyś pochodoceni jęczmiennym piwem. Wymachiwali mieczami i dźgali ryby, jak potem opowiadał mu dziadek, zrobili zakłady ile śledzi nadzieje się na miecz za jednym uderzeniem. Brodzili w tej przybrzeżnej wodzie, aż któryś wsiadł do chyboczącej się łodzi i niebezpiecznie dźgał mieczem, coraz dalej odpływając w morze. W pewnym momencie się zakotłowało i pojawiła się na wodzie niebieska posoka. Od powstałej fali chybocząca łódź tak się przechyliła, że cudzoziemiec wpadł do wody. Sambor patrzył na to wszystko oniemiały, bojąc się, czy człek ten tak nieobyczajnie zachowujący się i przeszkadzający w pracy rybakom, zrobi jakieś nieszczęście i może – jaka to straszna myśl mu przyszła do głowy! – i może mieczem uderzył w Syrenę.

Dziadek Sambora, Stary Jan, obserwował to z brzegu. Szybko zepchnął do wody pustą łódź, którą właśnie smotował, złapał wiosło i płynął do Sambora, jednocześnie krzycząc do cudzoziemców, żeby wyszli z wody. Zrobił się rwetes na brzegu, oburzeni rybacy zaczęli szarpać nierozważnych poławiaczy z mieczami. Zamieszanie wykorzystał Stary Jan, który rozglądając się w wodzie odnalazł ranną Syrenę. Okazało się, że Syrenki muszą mieć niebieską krew, bo woda barwiła się na niebiesko.

– Trzeba ją stąd zabrać – powiedział Stary Jan, wciągając Syrenkę na łódź i przykrywając swoją koszulą – Musimy ją schować przy naszej szopie i przynieśmy ją nocą.

Stary Jan zostawił łódź na brzegu przy narzędziach do smołowania, poprawił koszulę i narzucił dodatkowe szmaty, które miał pod ręką. Sambor został na łodzi i dalej wybierał ryby z sieci, ale już mu ta robota nie szła dobrze jak poprzednio. Wszyscy już zaczęli się ociągać z robotą po awanturze z cudzoziemcami. Sambor też skończył szybko z połowianiem, bo nie miał kto odbierać od niego przy wozie śledzi, bo okazało się, że cudzoziemcy mieli być przesłuchani przed wójtem całej Fitte, czyli faktorii śledziowej z udziałem starszyny i wszyscy chcieli, jak to gapie, dokładnie to obejrzeć.

Stary Jan wytłumaczył Samborowi jaki ma plan, żeby uratować i wyleczyć Syrenkę.

– Syreny mają niebieską posokę i podczas leczenia rany muszą być polewane słodką wodą, wtedy szybciej wrócą do zdrowia.

Syrena słyszała wszystko co mówi Stary Jan i kiwała głową potakująco. Stary Jan położył palec na ustach, by Syrena się nie odzywała, kobiecy głos od razu by wzbudził zainteresowanie z sąsiednich szop połowiaczy.

Jak się Sambor dowiedział, następnego dnia o świcie odpływa z beczkami śledzi z ich maszoperii do Szczecina statek, na który Stary Jan chce załadować Syrenę, dla niepoznaki zamkniętą w dużej skrzyni. Załadowali ją na wóz i zawieźli na statek stojący przy głębokiej wodzie. Stary Jan cieszył się szacunkiem załogi i nikt nie zadawał zbędnych pytań. Skrzynię ustawiono tak, by stała na końcu statku. Stary Jan wyznaczył swoich zastępców na czas jego i Sambora nieobecności, zapowiedział powrót



(zdj. R. Florczyk)

za trzy, cztery dni przy dobrych wiatrach i popłynęli z ładunkiem do Szczecina. Gdy przepływali koło swojej chaty, Stary Jan wyjął ze skrzyni Syrenę, wziął ją na ręce i wrzucił do wody, każąc czekać w szuwarach, aż z Samborem przyjdą wieczorem i nią się zajmą.

Wieczorem opowiedzieli wszystko babci Zosi, kazali naszykować odpowiednich ziół i postanowili, po odszukaniu Syreny, zawieźć ją na drugą stronę Odry, gdzieś na wyspę z piaszczystą plażą od strony Jeziora Dąbia.

Syreny, mimo poszukiwań, nie było łatwo odnaleźć. Schowała się dla bezpieczeństwa gdzieś głęboko w szuwarach, ale gdy Sambor zaczął śpiewać swoją pieśń, to odpowiedziała swoim śpiewem, tym razem jednak bardzo smutnym. Babcia Zofia, Stary Jan i Sambor popłynęli tuż przed świtem z Syreną na drugą stronę Odry i kłucząc między wyspami, przepłynęli kanałami na mało dostępną plażę, gdzie znaleźli odpowiednie miejsce. Babcia Zosia opatrzyła ziołami ranę na ogonie Syreny, obwinęła czystymi, lnianymi płótnami i polewała wodą. Sambor w tym czasie zarzucił sprytnie sieci i złowiwszy parę ryb dał jej do zjedzenia.

– Musimy wracać do miasta i pomóc przy załadunku na powrót do Falsterbo – powiedział Stary Jan – Zostaniesz tutaj aż wydobrzejesz. Babcia Zofia jeszcze ci zmieni zioła, a potem musisz trzymać ogon w wodzie, tutaj jak widzisz jest słodka woda, to ci pomoże w gojeniu. Jak wyzdrowiejesz, to możesz ruszyć na północ, przez morze do swoich miejsc, skąd cię zabraliśmy. Tu jest spokój i nikt nie powinien ci przeszkadzać. Jak kogoś usłyszysz, to chowaj się w szuwarach albo do wody.

– Dziękuję wam, dobrzy ludzie, za ratunek. My Syreny nie znamy się na leczniczych ziołach..

– Połowy kończą się późną jesienią, nie zawsze będziemy mogli przyplłynąć w trakcie połowów. Będziesz zdana na siebie i oczywiście na pomoc babci Zofii. Pamiętaj, że do wygojenia się ran nie możesz mieć styczności ze słoną wodą. Ryby możesz chyba już łowić sama.

Stary Jan jeszcze jej powiedział, że jeśli nawet wydobrzeje wcześniej, to żeby nie płynęła już do Falsterbo, bo tam może się znowu wydarzyć jakieś nieszczęście.

– Dobrzy z was ludzie – powiedziała Syrena – mój ojciec, kiedy mu opowiem, jak mi pomagaliście, na pewno wam to wynagrodzi.

Stary Jan zaprzeczał i mówił, że tu nie o żadne wynagrodzenie chodzi, tylko o to, by wyzdrowiała.

Kiedy wrócili późną jesienią z połowów, dowiedzieli się od babci Zofii, że Syrena odплыnęła jeszcze przed jesiennymi sztormami. Szybko wydobrzała, mając spokój, słodką wodę i kojące zioła babci Zofii. Zapowiedziała, że czasami będzie ich odwiedzała na koniec lata, w późne, sierpniowe dni, by móc śpiewać z Samborem swoje pieśni.

I tak było przez kolejne lata. Przyływała Syrena przez Świnę albo Dźwinę z Morza Bałtyckiego i wysiadywała na piaszczystej plaży na odrzańskiej wyspie i razem z Samborem śpiewali swoje pieśni. Z czasem Syrena przyływała coraz rzadziej, odeszli Stary Jan i babcia Zofia, a Sambor się ożenił i miał dzieci, a jego dzieci też miały dzieci i Sambor stał się Starym Samborem. Lecz zawsze w sierpniowe dni brał swoje dzieci i opowiadał im tę historię. Czasami odnajdywali na piasku ślady jak po rybim ogonie, ale zazwyczaj młodzi tłumaczyli, że to albo wydra była, albo co rzadziej foka, która tak daleko doплыnęła z morza.

Syrenie spodobaty się okolice Jeziora Dąbie i często tutaj się wylegiwała oraz pływała, obserwując rybaków i pływające łodzie po jeziorze. Zdarzyło się też jej ujawnić swoją obecność rybakowi z Glinki, co nazywał się Boz.

Były straszne burze i cofki, Glinki to wioseczka nad Odrą, gdzie mieszkał Boz i niebezpiecznie było rybakować przez dłuższy czas i dlatego Boz spróbował poszukać szczęścia na Jeziorze Dąbskim.¹⁹⁸ Tak się napraszał sonej toni i tłukł włokami po zatoczkach, aż wybudził Syrenę, która zniecierpliwiona jego natarczywością, zapytała po wynurzeniu wystraszonego Boza:

– Czy ty nie wiesz, że wszystkie ryby skryły się na czas burzy i nie wyjdą wcześniej, aż ja im zezwolę?

Wysłuchawszy tłumaczeń Boza o głodnej matce starowince i innych szukających ratunku od głodu we wsi zlitowała się i kazała opuścić włok. Do wsi popłynął z najpiękniejszymi szczupakami, kleniami, okoniami, które ciskały się, lśniąc złotem i srebrem. Chyba na potwierdzenie, że to nie zwidy na wierzchu była ogromna złota płocica symbolizująca dobre serce Syreny. Ludziska cieszyli się z dobrego połowu Beza, a jego opowieść o spotkaniu z Syreną traktowali jak legendę rybacką, bo myśleli, że to ze zmęczenia i głodu Boz pomylił złotą, wielką płoc z Syreną. Byli też inni, którzy tajemniczo kładli palec na

¹⁹⁸ Ten fragment odnosi się do utworu Tymoteusza Karpowicza „O dąbskiej syrenie” umieszczonego w „Legendach pomorskich”, pierwodruk 1947 Szczecin.

ustach, bo przecież jak się pływa długo i często na wodzie, to można się i o sobie, i o podwodnym świecie wiele dowiedzieć.

Rybacka osada wyludniała się z rybaków, którzy wyjeżdżali za pracą. Tylko ze wzgórz jesienią mieniły się kolorowe liście winnic na wzgórzach, aż przyszedł czas, kiedy z dalekiej Anglii zaczęto przywozić węgiel i przemysłowcy zaczęli wykupywać grunty i stawiać domy i fabryki. Potomkowie Starego Sambora zaczęli rozmyślać, że i im też przyjdzie się gdzie tułać po świecie, bo ich ziemia była dzierżawiona. Kiedy starym zwyczajem pływali na wyspę z drugiej strony i rozprawiali o swoich kłopotach, a dzieciom przypominali historię z Syreną, jaką miał ich przodek Stary Sambor, któreś z dzieci krzyknęło, że jest ślad po Syrenie. Wszyscy ze śmiechem podeszli do rozentuzjzmowanego dziecka, które zaczęło patykiem dłużyć w odgnieceniu w kształcie rybiego ogona. I nagle pod rozgrzebanym piaskiem ukazały się złote monety. Był to skarb od ojca Syreny, z jego kryształowego pałacu na dnie Morza Bałtyckiego. Za złote monety wykupiono grunty i postawiono dom dla całej rodziny. Na korytarzu dziadek kazał zrobić przepiękny witraż, aby została pamiątka po Syrence, z którą zaprzyjaźnił się Stary Sambor, a Stary Jan i babcia Zofia uratowali.

I tak się okazało, z całej tej historii, że nie było tylko dwóch syren, z których jedna popłynęła do Warszawy przez Wisłę, a druga do Kopenhagi, lecz była także trzecia, która przypluwała Odrą do Szczecina i pływała w Jeziorze Dąbie. Niektórzy myśleli, że to historia jak z dawnej bajki, ale w któreś lato miasto obiegła wieść, że dziecko na Plaży Mieleńskiej zostało cudownie uratowane, gdy wypadło z łodzi. Dziewczynka opowiadała, że to była piękna pani z długimi włosami, z rybim ogonem, która objęła dziewczynkę rękoma i doплыnęła z nią na plażę. Któż by tam wierzył w bajanie dziecka, twierdzili najstarsi wędkarze ze wszystkich łowisk Szczecina. To musiał być sum, najstarszy i największy sum, co ma z 50 lat i ogromne wąsiska, które dziewczynka wzięła za włosy. A tego suma podobno nazywają profesorem.

Gdy dziewczynka stała się dorosłą kobietą i zobaczyła witraż z Goławia, pokiwała głową i się uśmiechnęła, bo poznała swoją wodną wybawicielkę.

A ja temu wszystkiemu przyglądałem się we własnych myślach, patrząc na witraż aż do późnej nocy w Willi Lentza, gdzie go wystawili, aby każdy mógł zobaczyć, jak piękna jest Syrena z Jeziora Dąbie. Siedziałem wpatrzony w przepiękny witraż, aż zmierzch nadszedł ze swoimi czarnymi palcami, co wodzi po włosach, a potem powiekach, gdy ciężko mi się głowa i usłyszałem....

...w osadzie mieszkał chłopiec, Sambor, sierota wychowywany przez dziadków...

Pod Mirosławcem

Technik Radwański przyszedł, jak zwykle, o siódmej do pracy i zaraz się zorientował, że ten dzień będzie inny, niż dotychczas. Pracował już na wielu budowach, także, przez jakiś czas, w biurze zarządu, a kiedy skończył mu się trzyletni nakaz pracy, wylądował na stanowisku kierownika laboratorium i uważał się za dosyć doświadczonego. Dziwnie skupione miny personelu i niezwykła o tej porze mrówcza praca wskazywały, że coś się szykuje. Wiązało się to, być może, z obecnością dwóch nieznanym obywateli, z których jeden zaraz wszedł do dyrektora i nie wychodził, a drugi przewracał papiery u personalnej. Rzeczywiście, Radwański zaraz został wezwany do głównego inżyniera, który, najwyraźniej zdenerwowany, zaczął wypytywać go o stan wyposażenia.

– Macie tam wszystko, co potrzeba? – Radwański potwierdził. Inżynier nie przestawał: – Bo jeszcze można by coś uzupełnić, ewentualnie. Sprawa jest poważna. Muszę was uprzedzić, że obowiązuje ścisła tajemnica służbowa.... nie, chciałem powiedzieć, państwową. Nikomu ani słowa, Radwański, nawet żonie, rozumiemy się? Weźcie delegację i w drogę. Liczę na was, od tego dużo zależy.

– Dokąd mamy jechać?

– Weźcie delegację. Jedziecie w pełnym składzie: Koska, dwóch monterów i kierowca.

Radwański wziął delegację, ale był na niej tylko numer budowy, nie było natomiast ani adresu, ani okresu przebywania. Jego ludzie dostali podobne papierki.

– Nic nie szkodzi – rzekł brygadzysta – Kierowca nas zawiezie, on już tam jeździł. Wyszli z biura do wielkiej ciężarówki z demobilu z blaszaną budą, pełną wszelakiego sprzętu. To właśnie było ich laboratorium. Kierownik usiadł przy kierowcy, a brygadzysta Koska wraz z całą dwuosobową brygadą umocili się z tyłu, między aparaturą. Samochód rżąc ruszył. Przejechał przez całe miasto, przepłynął przez most baileyowski na Odrze, potem przez

pro wizoryczny, drewniany, na Regalicy i puścił się pustą drogą na Stargard. „Puścił się” było przesadą, wyciągał może ze sześćdziesiąt na godzinę, większa szybkość groziłaby rozsypaniem się budy wraz z jej całą zawartością. Cholera – myślał Radwański, gdy minęli gruzy Stargardu – zapowiada się na daleko i długo, z pewnością wrócimy dopiero wieczorem, Irka się będzie niepokoić. Nie mógł w żaden sposób zawiadomić żony o tym wyjeździe, bo w odległej dzielnicy, w mieszkaniu, w którym zajmowali jeden pokój, nie było telefonu, nie było go ani w domu, ani w całym bloku mieszkalnym. Nie było telefonów prywatnych.

Droga ciągnęła się niemiłosiernie. Rzadko można było spotkać jakiś pojazd, jedynym urozmaicheniem były leje po bombach w nawierzchni, byle jak zapełnione, ale powodujące potężne wstrząsy, kiedy kierowcy nie udawało się ich w porę ominąć. Mijali opuszczone wioski i na pół zamieszkałe miasteczka, wreszcie szosa wsunęła się żmijowato w lasy, między jakieś dalekie jeziora, w krainę zupełnie bezludną i długo się w niej wiła i czółgała.

– Wygląda, jakby tu jeszcze był Wehrwolf – zagaił Radwański.

– Wehrwolf? Iii, to nie, ale ruscy... są – odparł kierowca beznamiętnie. Laboratorium wtoczyło się do jakiegoś miasteczka.

– To już Mirosławiec – oznajmił – Już prawie jesteśmy.

Rzeczywiście, po jeszcze kilku dłużeń się kilometrach krętej, bocznej drogi ukrytej w starodrzewiu, dojechali do celu podróży. Celem okazał się obiekt wojskowy. Kierowca pokazał wartownikowi przepustkę, załoga delegacje i dowody osobiste. Po chwili wahania szlaban poszedł w górę, a samochód powoli wjechał na teren nowego, niewykończonego jeszcze lotniska. Właściwie był to tylko długi pas startowy, którego koniec był tak odległy, że prawie niewidoczny, niepozorna wieżyczka z jego prawej strony, jakieś budki namierników i budynek stacji transformatorowej, pod którym się zatrzymali. Kierownik laboratorium spotkał kierownika budowy i zapoznał się z sytuacją. Za trzy dni ma nastąpić uroczysty odbiór, przyjedzie z Moskwy sam Marszał Malinowski i generalicja z Warszawy, a lotnisko nie ma jeszcze zasilania.

– Jak to? – Zdziwił się Radwański.

– Jest tylko prowizorka, niskie napięcie. Trzeba uruchomić stację.

– Dobra, to bierzemy się do roboty.

Koska i jego dwóch pomocników już wynosili z samochodu najcięższy sprzęt, Radwański zaopiekował się szkłem: wysokonapięciową lampą prostowniczą

i rurką, która po napełnieniu ją wodą destylowaną służyła jako meganowy rezystor. Jeszcze drążki i szcypce izolacyjne, rękawice, podesty, mierniki – całe laboratorium znalazło się w rozdzielni. Rozpoczęto badanie. Po kilku godzinach okazało się, że wszystko w nowej rozdzielnicy 15 kV było w porządku. Pomierzyli jeszcze, pracując do wieczora, oporności uziomów; kable zostały na jutro. Zanocowali w baraku budowlańców.

Stacja miała być zasilana z dwóch linii napowietrznych, które w pobliżu lotniska musiały być zastąpione kablami ułożonymi pod ziemią. Jeden z kabli miał z osiemset metrów, drugi, prowadzony skośnie pod płytą startową – około dwóch kilometrów. I ten właśnie najdłuższy, nazajutrz, po badaniu okazał się niesprawny. Gdzieś tam w nim występowało przebicie między żyłami. Załamany kierownik budowy przyznał się, że drugiego w ogóle jeszcze nie ułożono.

– W całym naszym Zjednoczeniu już nie było tyle kabla – powiedział.

Zwołano co prędzej naradę roboczą. Oprócz kierownictwa budowy przyszedł na nią dowódca jednostki w polskim mundurze, ale z silnym rosyjskim akcentem i oficerowie kwatermistrzostwa, spośród których Radwański wyróżnił zaraz dwóch, którzy zaczęli mówić o sabotażu i śledztwie. Jeden z nich zaatakował go, choć nie zwracał się do niego osobiście.

– I kogóż to przysyłacie na kontrolę – mówił – młodego, bez doświadczenia. Nie chce taki podpisać protokołu, bo się boi. Boi się, to słusznie. Kabel był w porządku? Był. Wy układaliście prawidłowo? Wy. No to kto odpowiada, że nie chcecie go podłączyć?

– To, pazwolicie, zostawimy na przyszłość – odezwał się dowódca – na teraz ważne oświetlenie płyty. Wymienicie ten... kabel? Jeśli nużna, dam batalion, raz-raz wykopią.

– Niemożliwe – bąkał kierownik – trzeba by zrywać płytę...

– Nu, a wy, młodoj czeławiek – dowódca zwrócił się do Radwańskiego po ojcowsku – Jest u was radar? Wpusticie radar w kabel, uwidicie gdzie poczynił.

– Nie mamy radaru – przyznał Radwański – Ale może uda się ustalić miejsce przebicia... inną metodą.

To pochopne oświadczenie odkorkowało nastrój. Sprawa, jak widać, była do uratowania. Honor Zjednoczenia, awanse wojskowe, karuzele najwyższych stanowisk, długoletnie wyroki więzienia, a być może, nawet wyższe sankcje – zawisły od pomysłu tego młodego czeławieka bez doświadczenia. Wszyscy na to przystali, przed nimi wszak były jeszcze dwie, prawie pełne doby. Czegóż to

nasi ludzie nie zrobią, mając tyle czasu! A jeśli się nie uda – będzie wiadomo, kogo pociągnąć do odpowiedzialności.

Od ślubu minęły dwa miesiące, kiedy Irena wprowadziła się do pokoju męża, a było to niedawno. Dokwaterowana do tego mieszkania obca rodzina nie budziła zaufania, charakteryzowała się bowiem stałą zmiennością panów domu. W dodatku Radwański nie uważał za stosowne, by przedstawić im swoją żonę, co spowodowało różne uwagi słyszane we wspólnej kuchni, a które dawały do myślenia, że ona sama, Irena, może być przez nich traktowana także jako jedna ze zmiennych pańienek tego pokoju. Jej dosyć zaawansowana ciąża nie była prawie widoczna. Gdy mąż nie wrócił na noc, poczuła się bardzo niedobrze. Postanowiła zadzwonić jutro z pracy do jego biura, by się czegoś dowiedzieć, nazajutrz jednak nie wstała z łóżka. Przyplątała się jakaś choroba. Leżała cierpiąc i miała teraz dużo czasu, aby myśleć o przypuszczalnych, byłych lokatorach pokoju i o tym, czy nie zostanie wkrótce zaliczona w ich poczet.

Sprawa ustalenia miejsca przebicia nie była prosta. Zwarcie następowało dopiero przy napięciu dziesięciu kilowoltów i ustępowało po obniżeniu napięcia. Nie powiodły się próby przepalenia miejsca zwarcia, które powodowały jedynie przepalanie się coraz mocniejszych bezpieczników na niskim napięciu. Prób tych w końcu zaprzestali, ratując tym prowizorkę. Radwański postanowił zaryzykować.

– Muszę pomierzyć oporność żył, na zimno i na gorąco, a mamy tylko mostek Thompsona – oświadczył i wszedł na podest. Podest budził zaufanie. Stał na czterech izolatorach. Każdy wytrzymał 30 kV. Postawił na nim stołek, na nim mostek i połączył go z kablem.

– Panie kierowniku – zaapelował brygadzista – czy pan wie, co pan robi?

– Niech pan włoży chociaż rękawice – upomniał któryś z monterów. Radwański puścił te uwagi mimo uszu. Zmierzył oporność; trwało chwilę nim wyzerował strzałkę przyrządu. Czy zdąży to zrobić podczas zwarcia? W grubych, gumowych rękawicach – na pewno nie.

– Panie Koska, niech pan teraz włączy napięcie i podnosi, ale powolutku. No, dalej, w imię ojca...

Koska przekręcił wyłącznik i zaczął przesuwac dźwignię autotransformatora. Napięcie rosnęło, dwa, cztery, sześć kilowoltów... Strzałka przyrządu nie drgnęła. Osiem, dzieś... galwanometr oszalał. Radwański usiłował go wyzerować, podczas gdy Koska utrzymywał zwarcie. Po sekundzie nastąpił błysk i trzask, światło w rozdzielni zgasło. Nic nie było widać.

- Żyje pan? – zapytał Koska.

- Żyję, ale niech się do mnie nikt nie zbliża – odpowiedział Radwański z po-
destu – zróbcie światło i najpierw trzeba kabel uziemić.

W ciągu tej sekundy zdołał wyzerować mostek, ale czy dokładnie? W każ-
dym razie miał nową wartość oporności, tym razem do miejsca zwarcia.
Sprawni monterzy szybko wymienili główny bezpiecznik placu budowy, Koska
drażkiem uziemił głowicę, Radwański zeskoczył na podłogę.

- Ja bym, kurde, tam nie wlaź!

- Nie bał się pan? – posypały się okrzyki.

- Nie – zaprzeczył.

- To czemu panu włosy stanęły dęba?

- Nieprawda!

Wszyscy trzej zapewnili go, że prawda. Wtedy poczuł się trochę nieswojo,
ale nie miał czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Wykonał obliczenia, wyszło
mu, że zwarcie było na dwieście szóstym metrze od rozdzielni. Blisko. Kie-
rownik budowy przypomniał sobie, że w tym miejscu była mufa. Odkopano ją
i otwarto. Zwęglona izolacja świadczyła dowodnie, że znaleźli miejsce awarii.
Załoga budowy rzuciła się do naprawy, a załoga laboratorium musiała zostać
jeszcze jeden dzień, by od nowa zbadać naprawiony kabel. W końcu stacja,
choć bez rezerwy, weszła do ruchu, długie szeregi lamp startowych zabły-
sły. Marszał Malinowski mógł spokojnie przeciąć wstęgę, a jeszcze zanim to na-
stąpiło, buda laboratorium, grzechocąc sprzętem wróciła do bazy. Radwań-
ski puścił ludzi do domów i sam szedł do żony z ciężkim sumieniem. Irena we
wczesnym dzieciństwie straciła ojca, a podczas okupacji, mając jedenaście lat
- matkę. Któregoś dnia matka po prostu nie wróciła z pracy. Irena dowiedziała
się tylko, że została złapana, zatrzymana i wywieziona. Nigdy nie dowiedziała
się, czy i gdzie zginęła. Radwański wiedział, że jego żona umiera ze strachu, je-
śli on nie wraca na czas z roboty. Nie przypuszczał jednak, że w domu ujrzy tyle
rozpaczy i szczęścia ze swojego powrotu. Długo przeproszał i pocieszał żonę,
która, to czyniła mu gorzkie wyrzuty, to całowała go, wybuchając płaczem.

- Nie pomyślałeś o mnie – mówiła – ani przez chwilę. Żeby mnie zawiado-
mić. Gdzie ty właściwie byłeś?

- Sam nie wiem. Gdzieś pod Mirosławcem.

- I co tam robiłeś?

– Nie mogę ci powiedzieć. To tajemnica... państwowa.

Nie uwierzyła. Jednak to, że wrócił, przeważało. Trzymała go za rękę. On myślał już o codziennych sprawach. Zawołać lekarza? Nic nie ma do jedzenia. Trzeba pójść coś kupić. Jadł coś? Już się lepiej czujesz? Patrzył na ich pokój z żelaznym piecykiem. Napalić? Cholerne mieszkanie. Cholerne lotnisko. Cholerne perspektywy.

Kończył się rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty czwarty.

TŁOK

Ludzie stali głowa przy głowie. Tłum nie poruszał się prawie.

– Czemu tak stoimy? – dopytywała się jakaś naiwna osoba. Dla wszystkich było jasne: chodnikiem przejść nie było można, bo remont, ulica w przebudowie, a w bramie wznosiła się pod strop góra makulatury, stąd trudności. Co prawda młodzi przebili trasę, którą podążali, wspinając się także mniej sprawni, ale szło to powoli. Podawano sobie ręce, podpierano panie, żartowano kiedy ktoś poślizgnąwszy się na gładkiej reklamówce zjeżdżał z samej góry wśród szelestu osypujących się gazet.

Na dole, wśród tłumu stał konduktor z kasą fiskalną w ręku i pobierał od najbliższych osób opłaty za metro.

– Czemu tutaj? – (Znów ta naiwna).

– Bo tu mu nie uciekną.

– No, ale jak ktoś nie chce jechać?

– To trudno, pani szanowna. Takie jest życie. Ja nie chcę, ale mi podatek Belki co miesiąc dwa grosze ściągają w banku...

– A ile ten konduktor pobiera?

– Czterdzieści osiem, pięćdziesiąt dwa.

– Czterdzieści osiem złotych?

– Aktualnie. W zeszłym tygodniu było czterdzieści siedem, dwadzieścia pięć. Ceny elastyczne, komputer oblicza. Nic, pani, nie poradzisz. No, drapmy się w górę.

– Ale ja nie chcę przejść, tylko wejść tu, do tego domu.

– Tak, czy tak, trzeba się wspinać.

Między panią naiwną i jej koleżankami przecisnąłem się także ja, bowiem tak się składało, że mieszkałem właśnie w tej kamienicy i sam się przyczyniłem do powstania makulaturowej góry. Znałem trasę. One też ją pokonały i weszły na schody. Obejrzałem się. Ze cztery panie ubrane z przesadną, małomiasteczkową elegancją szły za mną i tak się stało, że kiedy otworłem drzwi do swego mieszkania, weszły tam, przepychając się między sobą. Jedna otworzyła moją szafkę i wrzuciła do niej swoje torby.

– Co pani robi? – spytałem.

– Biorę ten pokój – odrzekła. Inne panie wyklócały się o drugi, który podnajmowałem studentom.

Wyjaśnianie sytuacji trwało długo i skończyło się na niczym. Poprzednia właścicielka mojego mieszkania, niejaka K...wicka, wynajęła je im bezprawnie, acz złośliwie. W jaki sposób zdołała to zrobić, pozostaje tajemnicą, bowiem dwie panie przyjechały z bliskich sobie Międzychodu i Międzyrzecza, ale pozostałe aż z Międzywodzia i Międzygórza. Nieszczęsne zostały oszukane, były zmęczone podróżą, oszołomione wielkim miastem, trudno mi było wyrzucić je z powrotem w tłum kłębiący się w bramie na makulaturze. Przypuszczam także, że nie dałyby się wypchnąć z zapłaconych z góry pokoi. Co jednak będzie, jak studenci wrócą z wykładów? Prawdziwy tłok.

Polowanie

Noc była jasna. Zdawało się, że coś kluczy po niebieskawym śniegu, nieznanne zwierzęta przebiegały pod oknami (mieszkam na drugim piętrze). Chwyciłem swój wysłużony rynsztunek: róg myśliwski, przybitki, skałkówkę, stempel i butlę jałowcówki. Cicho wkradłem się w panoramę miasta.

Śnieg leżał na latarniach gazowych, wyokrąglął łamane uliczki. Spod nóg uciekały mi małe gwiazdki, kicając i strzygąc promieniami. Czuję jednak grubszą zwierzynę. Rzeczywiście, zza rogu wyszedł na mnie księżyc. Dorodny, odpasiony, ustawił się bokiem. Zawahałem się. Ileż to już księżyców miałem na rozkładzie! Grubas skorzystał z mego roztargnienia. Skoczył na mur i rozchylwszy ośnieżone gałęzie wdrapał się na dach, gdzie schwytały go natychmiast dwaj młodzi, brodaci kłusownicy i wpakowali co prędzej do swoich wierszy. Wzruszyłem ramionami. Tej nocy wytropię coś lepszego, byłem tego pewny. Wśród wykusy, cieni metalowych szyldów i czarnych szyb zajaśniała się prawdziwa sarnioka poezja.

Zagłębiałem się w uliczki, za każdym rogiem słyszałem jej kroki, na ścianach spostrzegałem jej szafirowy cień. Składałem się i celowałem do latarni i blasków na śniegu, kropnąłem zręcznie tęczę zimową, która opalizowała na mej myśliwskiej flaszy. Udał mi się też dublet niespodziewany o tej porze roku: dwa zakochane koty, ocierające się łebkami i nucące piosenki. Nie byłem jednak zadowolony.

Oddałem koty młodym brodaczo, dokładając im bezinteresownie tęczę, blaski i latarnie gazowe. Uszczęśliwieni odeszli dumnie, malejąc w oddaleniu, podobni do śniegowych krasnoludków. Błąkałem się nadal w zimowym lesie kamieniczek, rynien i sopli, tropiąc nieznaną zwierzynę – puszystą i łagodną jak miłość. Nie znalazłem niczego prócz śladów. Niezrażony niepowodzeniem usiadłem na schodkach skrzących się od lodu i przyłożyłem do ust mój róg. Zacząłem wabić poezję chytrze dobranymi fragmentami symfonii Beethovena.

Gdy przestałem grać, powróciło do mnie echo, jak drwiący chichot. Dudniło w podcieniach bram, wreszcie ucichło. Zrozumiałem. Nie było jej tutaj. Ukryła się w innych panoramach, przebiegała abstrakcyjne lasy kosmicznych niepokojów, metaliczne zarośla nowoczesności. Aby ją zwabić, trzeba było muzyki elektronicznej, zbliżającej się do granic ludzkiego słuchu. By ją upolować – nie wystarczył stary, wysłużony rysz tunek myśliwski. Wracając, wlokąc za sobą skałkówkę, wracałem bez trofeum.

Do dziś nie wiem jednak, czy mógłbym podnieść strzelbę, gdyby wyszła na mnie niespodziewanie i spojrzała mi w oczy. Nie będę pewnie miał puszystego futra przed łóżkiem. (1962)

WYDARZENIA

Róża Czerniawska-Karcz

Spotkania Literackie czas zacząć...

...i podzielić się refleksjami na temat zaprezentowanych książek, już w 14. sezonie wieczorów W PAŁACU *literacko*...

Tak więc w aurze wcale jeszcze nie jesiennej, z babim latem i słońcem, październik zaglądnął w pałacowy kalendarz... i pozostawił zaproszenia na spotkania literackie zapisane w datach.

Pierwsze odbyło się już 5 października 2023 roku o godz. 17.30, w sali multimedialnej w Pałacu Młodzieży w Szczecinie, przy Alei Piastów 7, rozpoczynając 14. sezon spotkań z cyklu W PAŁACU *literacko*, 92. wieczorem, na którym swoją nową książkę poetycką *Wierszem przebij śniegi* promowała poetka i pisarka Barbara Sowińska-Adamczyk, członkini Regionalnego Stowarzyszenia Literacko-Artystycznego w Policach.

Akcenty na wiersze, które znajdziesz w sobie...

*O czym pisać? O wszystkim. O poezji zatem więc.
Bo wszystko jest poezją, każdy jest poetą. (...) Wszystko jest
poezją, a najmniej poezją jest napisany wiersz; każdy jest poetą,
a najmniej poetą jest piszący wiersze.*

Edward Stachura



Przestrzeń wiersza! Zdumiewa mnie każdy kolejny tomik, który trafia do moich rąk. Zadziwia swoją niczym nieograniczoną imaginacją miejsca i czasu. Każdy bowiem odśłania w sobie ową autorską niepowtarzalność ujęcia pór roku, dnia, chwili tu i teraz. Kreatywny świat słów pozwala wschodzić akcentom myśli, wydobywać znaczenia, przywoływać emocje, malować wrażenia, odpowiadać na znane pytania wciąż odkrywanymi na nowo odpowiedziami...

Wybrana poetka przestrzeń prezentowanego właśnie tomiku Barbary Sowińskiej-Adamczyk, polickiej poetki i baśniopisarki o *Królu leszczu* (symbolu regionu), niesie jej zaproszenie do miejsc znanych, a przecież nie do końca. Widziane oczyma Autorki tomu *Wierszem przebij śniegi...* i ubrane w odświeżone wersy – odśłaniają scenerię przefiltrowaną nie tylko przez naszą wrażliwość, a przez ogląd bohaterki lirycznej.

Są w tym tomie wiersze nowe, ale też te zadomowione już w poetyckim czasie teksty, które poddane poprawionej frazie i przemyślanemu zapisowi, jawią się jak stare fotografie, lekko podretuszowane, skupiają na sobie spojrzenie i uwagę czytelnika. Ot, choćby w wierszu

Taka uroda: Bujne lasy, rozległa woda... To jest dopiero Podgrodzia uroda! / A latem, ażurowe chmurki unoszą w dal moje smutki. //

Malują wersy ponownie pejzaż z Podgrodziem, nasycony nostalgią minionego...

Gdzie Podgrodzie z tamtych lat? Gdzie Podgrodzie z tamtych lat? To Miasteczko... / Gdzie Podgrodzie z tamtych lat? Czas zatart ślad... / Gdzie Podgrodzie z tamtych lat? Koloniści poszli w świat... / Kto wie, czy było tak? Kto wie, czy było tak? //

I wybrzmiewają parafrazą piosenki Petera Seegera.

Jest niewątpliwie Barbara Sowińska-Adamczyk realistką, obserwatorką, fotoreporterką uważną, objaśniającą swój świat wprost, bez podtekstów.

Znaczenia wyraża dosłownie, nie zabiega o skrywanie wrażeń za parawanem niedopowiedzenia. Woli teksty jak fotografie, szczegółowe w realizmie ujęcie, historie zapisane w pamięci, pochwycone z codzienności i utrwalone słowem wyrazistego epitetu czy nieozdobnego porównania. Obrazki rodzajowe, jak chociażby w limeryku *Rybak ze spiżu* rysuje lekkim piórkim satyryka i z sympatycznym uśmiechem:

*Z warpieńskim pomnikiem rybaka
nierozwiązywalna jest kwestia taka:
Mówią o nim na mieście,
że sprzedaje wciąż te same leszcze.
Ze spiżu są... więc co ma z nimi począć, bidaka?*

Nie przypadkiem też akcentuje dobitnie wierszem swoją „małą ojczyznę”, Podgrodzie koło Nowego Warpna. Poświęca mu teksty w rozdziale *...Pejzaż z PODGRODZIEM*. Jest bowiem poetką autorką cennej monografii o nim: *Miasteczko dziecięce. Monografia Podgrodzia 1952-1973* oraz *Suplementu* do tej publikacji. Zainteresowanie historią miejsca i czasu tamtego Podgrodzia, swoiste odkrycie i opisanie, ujawnienie *genius loci*, przełożyły się na teksty poetyckie w tychże klimatach... np.

Szkoda mi: Jachty przygina do fali... / Nowe Warpno, hen, w oddali... / Żeglarczy woła przygoda... Ach, wyjechać z Podgrodzia szkoda. //

Poza pejzażem sentymentalnym, są w wierszach poetki akcenty liryczne, wyznania osobiste jak to *Trzynastego w piątek*: *...Trzynastego w piątek może... nowy wiersz Tobie ułożę? //*

Z dużą dozą poczucia humoru, autoironią i z przymrużeniem oka... w limerykach, akrostychach czy groteskowych obrazkach wyraża swój stosunek do codzienności, szczególnie tej masowej, internetowej, komputerowej czy politycznej. Jest pisanie Barbary Sowińskiej-Adamczyk swobodnym notowaniem dni, w których toczy się życie to wewnętrzne bohaterki, nasycone emocjami, refleksjami i obawami o niepewne jutro, ale też miłością i radością, wdzięcznością chwil podarowanych, w rozdziałach: *Pejzaż z PODGRODZIEM*, czy *W moim DOMU*. Obok jest życie zewnętrzne... przedstawione w rozdziałach: „*co tam, panie w POLITYCE?*”, czy *...w poszukiwaniu ODPOWIEDZI*. Z wyrazem protestu przeciw wojnie, z obawami o przyrodę w wyniku *ekspansji miast*, czy z krytycznym osądem zachowań dewastujących świat ludzi. *W szponach*:

*Senny koszmar, / ale przecież nie śpisz nocami, / licząc chmury otulające
księżyc... / Przeznaczenie? / Może, może, może //*

Są w tomiku *Wierszem przebij śniegi* peretki liryzmu, gdy do głosu dochodzi Muza wierszem Sowy o świecie:

*Uczucia pragnienia i lęki / gniazdują we mnie. / Wylatują niekiedy nocą – /
jak sowy / w postaci wierszy. / A o świecie rozptywiają się / z poranną mgłą. //*

a nie tylko sprawność wierszowanego zapisu, podporządkowanego rymowi, rytmowi i konwencji strofy poety prowincjonalnego... *Orchidea*:

*Poezja / kwitnąca z dala od szlaków / przemierzanych przez luminarzy kul-
tury // Nie pytaj poety z prowincji / po co i dlaczego? / Po prostu tworzy... //*

W rozdziale *...pośród ARTYSTÓW* są też wdzięczne obrazki z życia poetów czy malarek... np. *W pracowni*:

*Tysiące minut przy sztalugach / Tysiące muśnięć pędzlem / Kwadratowe
metry płótna... i / Farby farby farby... / Kreski – kształty – barwy... / Pomysły
i zmysły! / I co? // OBRAZY OBRAZY // Chwalą wszyscy // Kupują nieliczni //*

Albo przestania tytułowe z wiersza *Przebij śniegi*:

*Wierszem przebij egzystencjalne lęki! / Strofy o wierze... nadziei... miłości...
/ Jak wiosenne kolory... zapachy i dźwięki – / Sprawią – że optymizm w tobie
zagości...*

Autorka tomu *Jak wilga...* próbuje czytelniczkę/czytelnika, a także swoją bohaterkę liryczną poprowadzić przez miejsca znane, ale i tajemnicze *W cichej toni*:

*Mieszkam na dnie wysokich drzew / jak na dnie malachitowego jeziora / Po-
dziwiam konary rozświetlone / wschodzące słońce / jak rybka unosi rozbły-
ski na powierzchni fal / Wysokie drzewa zamykają horyzont / Spojrzenie
wraca niby bumerang od zielonej ściany / Ale myśl szybuje swobodnie / to
w przeszłość... / to w przyszłość... //*
*W tej cichej toni / coraz więcej / niepokojących wieści ze świata... // niosą je
fale... eteru... //*

Nie przypadkiem tomik wierszy Barbary Sowińskiej-Adamczyk został podzielony na rozdziały, to one przecież sytuują teksty w czasie i przestrzeni, nadają im kształty i wpisują w tematy, które ilustrują grafiki Adrianny Rauhut, którą zaprosiła Autorka do współpracy przy kompozycji tomu. Młoda

graficzka oryginalnie przetworzyła zdjęcia autorskie poetki, oddając tym samym przesłania kontekstów i podtekstów prezentowanych wierszy. Symboliczna okładka z przebiśnigami oddaje charakter dosłowności wiosennego kwiatka z poetycką metaforą zimowego, a więc zamrożonego w swoim niedopowiedzeniu ukrytego sensu wiersza, przebijającego się do jaźni odbiorców. To każdy wiersz ma wywołać owo niepowtarzalne *Poruszenie*:

Mój biologiczny komputer / jest uśpiony zwyczajnym dniem. / Bardziej porusza neurony / cierpienie złość zawód / a nawet zachwyt radość i wzruszenie. / Naciskam wtedy „Caps Lock” / i krzyczę „wielkimi literami” //

I do tego sprowadza się generalnie każdy przekaz... gdy (...) *Wszystko jest poezją, a najmniej poezją jest napisany wiersz; każdy jest poetą, a najmniej poetą jest piszący wiersze*. Otwarcie o tym pisał Edward Stachura. I także z podobną wątpliwością co do naszej codzienności wypowiada się Autorka niniejszego tomiku wierszy... *Otwartość*:

Czy nie za daleko zabrnęliśmy w naszej otwartości? / Szczególnie pisząc o swojej miłości... zrzucając ją / brutalnie z piedestału / do internetowego Tartaru? //

Dzisiaj jak i kiedyś, w każdym miejscu i o każdym miejscu można było napisać wiersz. W każdym czasie i o każdym czasie można było wiersze pisać. I mógł to być każdy zapis, który piszący uznał za formę wyznania... od klasycznej fraszki, safickiej strofy, sonetu

czy ody, po zapisy wolnego wiersza, który rządzi się dzisiaj swoimi niekwestionowanymi, najoryginalniejszymi prawami. Regułą zapisu wiersza tu i teraz jest bowiem brak reguł w „wizji artysty”: „wszystko jest poezją”, więc „każdy jest poetą”. Poetą jest ten, który tworzy, ale też odtwarza światy na wzór czy podobieństwo... Ten, który pisze swoje poematy czy ballady, i ten od haiku czy *carmina figurata*; albo ten, któremu spod pióra albo klawiatury wyłania się „strumień świadomości” niekontrolowany, a jednak świadomy potok słów układający się w rytm, głos, muzykę wiersza... Pożądanym jest w nim sens, logiczny myślny ciąg, ale to też niekoniecznie... Surrealistyczny bowiem obraz albo zdumiewająca abstrakcja też staje się dziełem sztuki przecież... Wszyscy mówimy prozą (truizm), a niektórzy nawet piszą wiersze (też banał)...

Tak, tak, bo wszystko sprowadza się jednak do akcentu na wiersz! Czy odnalezienie własnego akcentu w wierszach poetki pomoże Ci wydobyć ich ukryte znaczenia, odstąpić piękne obrazy, sformułować własne idee, ponazywać

emocje, zatrzymać impresję chwili?... Jeśli nie, to poczytaj raz jeszcze tomik *Wierszem przebij śniegi*, Barbary Sowińskiej-Adamczyk i odkryj jego urodę. W przestrzeń i czas wiersza wchodzi się powoli...

Barbara Sowińska Adamczyk, *Wierszem przebij śniegi*, seria:akcent,
Wyd. hogben, Szczecin 2023

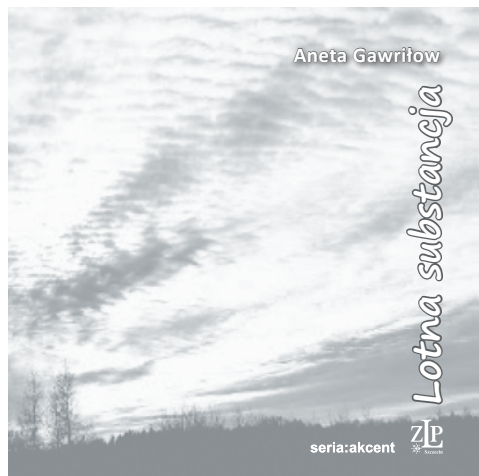
Drugie spotkanie sezonu – odbyło się w ostatni czwartek października, czyli 26.10.2023 r., jak zawsze o godzinie 17. 30 w Sali multimedialnej 106. Będzie to 93. wieczór, a w nim promocja książki Anety Gawriłow, *Lotna substancja*. Poteka działa w szczecińskim oddziale Związku Literatów Polskich.

Akcenty nielotne w substancji słowa jakże lotnej...

*Jest więc taki świat
Nad którym los sprawuję niezależny?
Czas, który więzę łańcuchami znaków?
Istnienie na mój rozkaz nieustanne?*

*Radość pisania
Możność utrwalania (...)*
Wisława Szymborska

WYCISZENIE... to pełne wymiarów słowo wprowadza mnie w aurę Krainy Łagodności, tym razem pełnej barw przewrotnie zamkniętych w... czarno-białej przestrzeni osiemnastu fotografii dopowiadających czytany tom wierszy. Paradoks!



A ja po raz osiemdziesiąty i trzeci, wpisywany w serię: akcent, i niezliczony też w czytelniczej rzeczywistości, przekraczam próg tego cudzego świata. Wchodzę w niedomówienia ciszy i zniżam głos... uspokojenie... blask i cień przefiltrowane przez Czas, w którym przeszłość jest wciąż terażniejszością, a... *wspomnienie człapie /*

noga za nogą / w przyszłość nieznaną / nieprzeszłość znaną. Tak... właśnie goszczę na zaproszenie Autorki, Anety Gawriłow, w jej nowym tomie wierszy *Lotna substancja*. Dzielę z nią pospołu jej „radość pisania”, a moją czytania/odczytywania. Towarzyszą mi w tej radości najznakomitsi – mistrzyni i mistrzowie od wiersza i słowa – Wisława Szymborska, którą poprosiłam o motto;

Norwid, co wiedzie poetów poprzez labirynty swoich literackich przemyśleń:

Ponad wszystkie wasze uroki, / Ty! Poezjo i ty Wymowo, / Jeden – wiecznie będzie wysoki: / Odpowiednie dać rzeczy – słowo!

Leśmian jest zaproszony niejako z pokrewieństwa ducha i materii, gdyż z jednego źródła piją Poetka i Autor *Łąki*... Mam wokół siebie wszystkich tych, którzy upewniają mnie o współodczuwaniu czasu jednakiego i miejsc z tego samego pobytu – od antyku po dzisiaj.

Dzięki, właśnie poznanej, bohaterce lirycznej z *Lotnej substancji*, wędruję po ścieżkach i gościńcach wydeptanych już, a nowych przecież. Zaglądam z nią do okien wieczorów i otwieranych właśnie drzwi poranków, zamyślam się w południu łąk i budzę nocą ciemną, by posłuchać jej zwierzeń z Samotności i nie tylko...

Prześwietlam wiersz

Od pierwszego czytania zdumiewa mnie odkrywana umiejętność oryginalnego przekazu, a w nim obrazowanie w *Lotnej substancji*. Odnaleziony własny, bardzo indywidualny styl, intymny świat, wzruszające emocje. Jedyne w swoim rodzaju, osobliwy sposób oświetlenia słowa w konfiguracjach unikatowych znaczeń. Ma Poetka szczególną zdolność opisywania świata za pomocą idiosynkrazji mowy, przez co uzyskuje niepowtarzalny efekt wypowiedzi lirycznej, bowiem mowa idiosynkratyczna to zasób słów charakterystycznych tylko dla tej i żadnej innej osoby. Tej jednej, jedynej, która do swojego prywatnego słownika włącza wszystko to, na co natrafia... i potrafi sformułować wypowiedź jak nikt inny. To pozwala Artystce na zorganizowanie jakże odmiennego świata. A ja próbuję podążać za nią.

Prześwietlić wiersz... to przeczytać go do dna, ale czy to możliwe? Przecież tyle kryje się już za tytułem... a tu zaraz pierwszy wers i następny... i strofa się wyróżnia, i kolejna... a do końca strony jakże daleko. Tam światło się zmienia, nowe cienie się kładą, odsłaniając skryty obraz, a na nim twarz

niespodziewaną... Wiersz, jak mityczny Proteusz, wiję się i zmienia w uścisku spojrzenia, przeobraża się na moich oczach w istoty coraz nowe, które wymykają się dobrze znanej intuicji, kpią z imaginacji, impulsami ulatniają się w idee... Zostają nagie słowa, które – „udają, że znaczą więcej, niż znaczą” – podpowiada mi Leśmian w swoim „Poecie”. A ja jeszcze wyławiam z jego wiersza frazę, by „ująć niepochwytność w dwa przyległe słowa” – i z ja lirycznym *stroić serce o serce...*, gdy wracam do gry w interpretację.

Czytanie *Lotnej substancji*

Tak czyta się *Lotną substancję* Anety Gawriłow. Nie wierzysz? To spróbuj powędrować za mną szlakiem dopiero co przetartym, bo moje czytanie, to jak rysowanie mapy, nieudolne może, ale odkrywam nowe znaki, stawiam przydatne kierunkowskazy, objaśniam (sobie przede wszystkim) legendę symboli..., bo wtedy łatwiej poruszać się w terenie. Tyle tego. W końcu Poezja to przecież owa Kraina Łagodności (jak bieszczadzkie połoniny czy krakowskie uliczki dla Jerzego Harasymowicza i nie tylko, bo Autorka też nimi zauroczona). Także Kraina WYCISZENIA wciąż jeszcze nieopisana do końca. Stąd każda wędrująca po jej traktach poetka ma coś do dodania, odkrycia, zapisania. Aneta Gawriłow robi to z pasją i wprawą, a jednocześnie z subtelną wnikliwością badaczki materii – stałej, płynnej czy lotnej. Swoje doświadczenia z przestrzeni HAIKU – z dyscypliną wersów, wyczuciem impresji chwili, kondensacją słów – skutecznie przenosi do wiersza wolnego, gdzie swobodnie i według jej woli perfekcyjnie toczą się zdania w wyważonych wersach, rozkwitają strofy, dynamizują emocje. Wolna myśl rozwija skrzydła, w podmuchu z nasionami dmuchawca rozsypuje się na czarnym tle fotografii w oczekujące na nią natchnienia, by wrócić znowu do wiersza. Jest wiersz – już wspólny, przefiltrowany przez Czas cudzych uczuć, wrażeń, doświadczeń czy przeżytych zdarzeń, odbity w lustrze wyobraźni i zapisany wyszukany zdaniem, przez co staje się zupełnie nowym, niezwykłym – w wykreowanych ujęciach zdjęć czy słów – bytem. Dla nas dzieje się magia poezji, alchemia słowa... Układa mi się tutaj plan dywagacji o *Lotnej substancji*, też z podpowiedzi Jana Parandowskiego.

Alchemia Słowa – trzy stany skupienia materii/substancji słowa

Słowo – substancja lotna – z myśli ...w oddechu ...w skojarzeniach ...w znaczeniach. Słowo – stan płynny – to potok słów, rzeka, ale też „lanie wody”, rozmywanie sensów... Słowo – materialne – wykute: na kamiennych tablicach biblijnego Dekalogu (tu kojarzy się słowo kamień – oskarżenie: kto jest bez

winy...); ...hieroglifami na kartuszach egipskich piramid, zapisane na papierach, tabliczkach glinianych czy woskowych, wydrukowane w książce właśnie! Słowo dźwięk, wypowiedź, śpiew; hymn, pieśń, piosenka utrwalona na płycie. Echo tych stanów w wierszu pociecha:

a potem dał ludziom słowa / których / szelest piór spomiędzy sylab / budzi do uśmiechu

Co potrafi *Lotna substancja* Anety Gawriłow? Otóż potrafi przypomnieć nam, że mamy skrzydła. Staje się instrukcją, jak te skrzydła rozwinąć i... poszybować z pierwszym oddechem wyzwolonego z więzów słowa... A z lotu spojrzeć na nas samych, na świat i zobaczyć go takim, jakim jest naprawdę, a nie tylko ten w okienku smartfonu, czy w karykaturalnym obrazie dezinformacji wszechobecnej. Na „radość pisania / możliwość utrwalania” noblistki dopowiada Aneta Gawriłow swoją historię modyfikacji:

historia modyfikacji to historia myśli / zapis chwili / przeglądającej się w lustrze wieczności / to wielka odpowiedzialność zostawić / słowa w określonym porządku / i interlinie / one / jednym przykładają do ust palec milczenia / innym szept wzmacniają do krzyku // pada za oknem / w świecie / który nie wie nic o walce / trwającej na kartce //

Aktu zamiany substancji lotnej w materialną dokonuje liryczna alchemiczka w wierszu pierwsze, ujawniając, co się może na tej kartce dzieć...

później tej kartki złożenie / w pół / bo przecież to przywitanie / po długim nieznanu / niedługie / być może / miejsca wystarczy / i na złożonej we czworo / (...) odchrząkiwanie przecinków / i zbyt wielu spacji / które wolno sptywały / z pióra //

Słowa klucze, czyli wytyczanie szlaku...

Odczytywanie mapy *Lotnej substancji* to swoiste rozszyfrowywanie tajemnicy wiersza, którego wierzchnia szata skrywa dopiero warstwy ulotne, czyli ducha. Słowa klucze to akcenty na te symboliczne znaczenia. Materia pisania, czyli warsztat: styl, język, idee – gdzie wprost wcale nie jest wprost; znaczyć wcale nie oznacza tego, co nam się wydaje, że wiemy, tylko co odczuwa podmiot liryczny; zbity dotyk nie oznacza rozbitego czucia, lecz objaśnia zamianę odniesień technologii do emocji... Zabawa, gra słów w wierszu zbity dotyk:

zachwycający jest / szybki serwis smartfonów, w których wszystko można wymienić – pamięć, książkę kontaktów, baterię, wiadomości...

i pointa zaskakująca:

*zbity dotyk – wymienimy // gdybym tak / ja / była wszechstronnie naprawio-
na / może wtedy zechciałbyś mnie / nosić / w kieszeni na sercu //*

Także panorama to nie tylko przestrzeń, a także pracownia, np. alchemika, w panoramie firm:

*nad nią słowa / od metalu piękniejsze / i lżejsze / (...) / wśród starych dębów /
kamienny warsztat kowalski / w nim od świtu i do świtu / wykuwam swoje /
JESTEM / ale mi się ciągle podwija / na brzegu //*

Ot i mamy całą symbolikę bytu i bycia – Życie w świecie dezinformacji, która przesącza się i do wiersza... Poetka odślania ten proces w wersach, a w nich inwersja, przerzutnia, przestawienie znaczeń, zmiana kontekstu, wszechobecny kontrast aż do oksymoronu włącznie, paradoks, gry słowne, powtórzenia i nieoczekiwane pointy, niedopowiedzenia czy długi na stronę zatrzymany oddech (w wierszu ból) tworzą poetycki stan skupienia, wielowymiarowy w swojej fizyczności zapisu treści... płynny w idei przestania. Charakterystyczne są tytuły z czasownikami w osobowej formie trybu rozkazującego: zaczekaj, odwróć albo oznajmujące zdarza mi się, cierpisz, zostań albo Zwieczorniało. One to tylko echa rysowanego tuszem wyimaginowanego świata... Ten prawdziwy, ukryty w głębi doświadczenia twórczyni oraz odbiorcy, czeka na penetrację i interpretację... Potrzebna mapa? Może tak, bo ja chętnie z takowych korzystam i nie są to GPS-y, ale stare znajome, mapy-książki, które z pomocą antycznej *mimesis* ilustrują rzeźbę znanego nam terenu, a który coraz nieudolniej zatrzymujemy w kadrze naszej wyobraźni. Dlatego takich map rysowanych wierszem nam trzeba, bo rządzą w nim prawa: prawa fizyki i prawa poezji, wciąż jeszcze mowy uczuć (na szczęście!). Te są niezmiennie, chociaż nieustannie modyfikowane, dlatego mogą dzisiaj łączyć to, co materialne z tym, co płynne czy lotne, by powstawał kolejny wiersz.

W naturalny sposób oswaja Poetka swoją przestrzeń, a w niej czas podzielony na pory roku, pory dnia – otoczenie materializuje się w wyznaniu i umyka w mglistą sferę snu, gdzie króluje noc i samotność. Samotność – to nić-myśl, która się przedzie w osnowie poetyckiej narracji *Lotnej substancji*, pojawia się i znika pomiędzy wierszami, obrazami czy prozą rozdziałów. Podział na rozdziały też wprowadza swoistą kompozycję tomu, bardziej podporządkowaną koncepcji Czasu czy emocji niż podziałowi formalnemu utworów... Rozdział I Już i w astronomii prozą ujawnia refleksję

(...) Życie pcha się w swej naturalnej postaci. Oby znajdować w tym pociechę, powody do uśmiechu. Sens.

Po drodze przez *Lotną substancję* prowadzą mnie kolejne drogowskazy rozdziałów: *Ze środy, Cykoria podróżnik, Maszyna do życia, Po nocy na świecie zimno* czy *Chyli się dzień ku zachodowi*, bym w ostatnim wierszu tomu mogła odkryć gorzką prawdę chwili... Życie to ruletka? Nieuchwytny los? A może jednak życie jest snem, jak u Calderona albo u Szekspira? Bo u Autorki HAIKU rozdział IV tak się jawi:

Zwieczorniało. *Noce tylko krótkie jakoś i sen prędkonogi... Ale niech śni się, niech skrzy pod powiekami! Może i tym razem zabierze mnie Morfeusz w krainy, z których wracać się nie chce? I tobie niech uchyli rąbka dobrych marzeń, niech wplata opalizującą kanwę między szczeble pamięci, niech tka się obraz za obrazem...*

Czysta poezja, prawda? A jest tego więcej!

Mistrzynie „alchemii słowa” ujawnia tajniki warsztatu... niewidzialne stają się widzialne, sympatyczny atrament uczuć pod wpływem ciepłych emocji czytającego odśłania tajemnice, ukryte kształty i znaczenia.

Pracownia „alchemii słowa” nie ma ścian, ograniczeń, lotne substancje dla swoich metamorfoz muszą mieć nieograniczoną przestrzeń i czas...żywioty wody i ziemi, ognia i powietrza muszą wchodzić ze sobą w swobodne konfiguracje, bo taka jest ich natura i kolej rzeczy. W pracowni, gdzie dzieje się alchemia, zwyczajne stają się niecodzienne. Tak, tak – dzieje się niecodzienna codzienność – to przepis na wiersz Anety Gawriłow. Iluminacja. Urzeczenie codziennością podnosi ją do rangi lejtmotywu. Pory dnia, pory roku po równo uprzywilejowane... z nich konstrukcja *Maszyny do życia*... a w niej owe poranki i wieczory, wiosny i zimy... Cisza jest pełna dźwięku, a krzyk niknie w oczekiwaniu na... Uroda przyrody dominuje, stąd fauna i flora przebogata w gatunki ptaków: ukochane żurawie, gęsi, kruki, wrony, gołębie, mewy, sroki i łabędź niemy, któremu lis uśmiercił żonę; zwierzęta: wiewiórka, ruda kotka Miła, pies-przyjaciel na zawsze – po tej i tamtej stronie Cienia... uwieczniony w wierszach na brzegu jeziora czy święty mojego dzieciństwa

*stary pies / studnia tajemnic / oaza cierpliwości / źródło miłości / świętość
aż po koniec ogona //*

Powtarzalne i wieloznaczne w swoim bycie lirycznym – jesiony, chabry, maki, osty i inne polne kwiaty, zioła, np. cykoria podróżnik, jabłka, a z nich jabłkowy, jabłczany, jabłecznik...

Zjawiska przyrody – wielokrotny motyw: **wiatr**

*wieczny wędrowiec / po kieszeniach ukryte ma słowa / strzępki tęsknot /
i nasiona dmuchawców /*

albo

*szumi wiatr rozdarty o ostre łodygi ostów / płatki maku spadają wprost pod
głowę //*

Słowo klucz – szron! Zachwytiło mnie wyrażenie Leśmiana godne – przekre-
ska szronu w wierszu ranek:

*piękne barwy wschodu przy niebie / od złota po heban / tylko u samego dołu
srebrna przekreska szronu / obrazek przez szyby grzeje serce / bo zimno
w galerii świata / pomieszkowanie wysokie / gołębie gniazdo w jesionie //*

Czy trzeba więcej? W **pełni szronu** powraca motyw jasnej i ciemnej strony księżycy, jak u Jerzego Harasymowicza: „Rzeczywiście / tak jak księżyc / ludzie znają mnie / tylko z jednej / jesiennej strony”. A u Anety Gawriłow tak:

*jaśniej / księżyc długich nocy / w pełni szronu / mam złudzeniem / bliskości
i światła // po mojej stronie ciemność / twarz samotnego wędrowca / tym
większa / im więcej rozpaczy w tęsknocie //*

Inne klucze? Są gwiazdy jak koty, jest peleryna niewidka w wierszu peleryna

jeżeli zdążę / skroję z niej pelerynę niewidkę / i stanę u wezłowania / marzę //

Albo w utworze **zakładnicy**

*zakładnicy wrażliwości / skryci za filarami dni / w pelerynach niewidkach
z cienia / zaklinają rzeczywistość / niech inni okażą się ludźmi //*

Czy trzeba objaśniać taką niewidoczność?

Obecny pośród rzeczy ważny motyw sukienki – w *szafie sukienki / niepotrzeb-
ne / jak ja /* – powracający w wierszach. A mnie znowu nie sposób oprzeć się ko-
lejnemu przywołaniu Wisławy Szymborskiej z jej fotografiami czy sukienkami:
„Mój wyścig z suknią nadal trwa (...) A jakby ona chciała przeżyć.” (Muzeum),
z fascynacją magii przedmiotów nie tylko z okazji *Urodzin*: „Tyle naraz stron
świata ze wszystkich stron świata”. U Anety Gawriłow ten sam zachwyty nad

odbitym światłem, cieniem w parku, samotnością jak elektron, naturą jak parawan... i ludzi spieszących za parawan codzienności, miejsca bezpieczne, pełne przyjaznych istot... ptaki, kwiaty, drzewa, także ci „inni” ze spotęgowaną wrażliwością – osoby niepełnosprawne.

Natura – to nie tylko ogród, las, park, łąka – one wszystkie są eksponatami w tej samej pracowni alchemiczki, kustoszki w muzeum dobrych chwil tego tomu. Alter ego Autorki dyskretne, ale mocno osadzone w przestrzeni, w której dokonują się przeobrażenia substancji poetyckiej, bo ta dzień i noc ewoluuje, zmienia stany skupienia; czasem nieoczekiwanie probówka wybucha (bezpiecznie!) tęczowym ogniem natchnienia, by za moment znowu jarzył się spokojny płomyk myśli krystalizujących się w słowa. Z nich wyłaniają się wizje czasu minionego, oświetlane są zakamarki, w których odpoczywa już przeszłość... jednak w światłach i cieniach rządzi codzienność. Trzeba zastrzec jednak, że nie trywialna ...u Poetki nic nie jest takie, jakim się wydaje w doświadczanej rzeczywistości.

Słowa obok obrazów...

Zdjęcia to osobny rozdział ulotności nieulotnej. Barwne jest czarno-białe, a monochromatyczna fotografia emanuje kolorami. Zdjęcie jest bowiem u Anety Gawriłow osobnym wierszem i wcale nie przypadkiem jest ono właśnie czarno-białe. To tylko inny zapis widzenia tego samego świata – linie, kreski, kontury, kształty – zbliżenia i perspektywa pozwalają Autorce narysować piórkiem spojrzenia zamieniającego się w piksele... ulotność dmuchawca, „miriady gwiazd” rzuconych na wodę przez słońce... czy policzyć z dokładnością mikroskopową słoje drzewa w ruletce, w którą gra z nami los. A te parki zamglone rozmytym zmierzchem, horyzonty zatrzymane w kadrze oddechu... prześwietlenia obłoków.

Takie cuda tylko w pracowni alchemiczki wiersza... czarno-białe obrazy pośród wersów lśnią kolorami liści jesionu, maków, chabrów, puchem mniszka czy przydrożnych ostów albo legendą cykorii podróżnika (tutaj znowu powraca wspomnienie z *Przemian* Leśmiana – maków, chabrów, ostów czy mgieł). Czasem rudą kitką wiewiórki albo kruczo-wronią czernią. Wrażliwość postrzegania jest u poetki fotografki wielowarstwowa – zwielokrotniona wysublimowanym zmysłem obserwacji szczegółu najdrobniejszego – kropki, kreski, punktu, pyłku... jak na obrazach stargardzkiego mistrza pędzelka, Edwarda Siekierzyńskiego, tak są u Anety Gawriłow zauważone i zapisane piórkiem niuanse znaczeń, drgnienia myśli, po wielekroć... przypomnianie *sobie / niebieskiego motyla*

/ co niespodzianie / przysiadł mi / na myśl. Szepty odnajdywanych słów, by wejść w zdumione sąsiedztwem frazy, konfiguracje point czy w melodię ciszy... i to na kartce niekoniecznie białej, ale właśnie écru.

I magia miejsca pomiędzy słowem a obrazem

Urzekła mnie magia miejsca wykreowanego w *Lotnej substancji*. Świat ujęty na czarno-białych zdjęciach jest odbiciem oszczędności środków stylistycznych, ale to tylko pozór, gdyż owo obrazowanie jest precyzyjnie przemyślane, dopracowane w szczególności właśnie, bogate w dyskretne metafory, które zaskakują swoją obecnością znienacka, porównania niebanalne zatrzymują uwagę, dominują personifikacje wsparte aluzjami, kontrastami, odesłaniami do wrażeń czy emocji, lubią się neologizmy z epitetami tyleż słonecznymi, co wędrującymi po wieczornych parkach, po sypialniach nocą, pełne domysłów wymykających się spod kontroli wyobraźni, spoufalające się z nocą. Pomiedzy codziennością a wspomnieniem/przeszłością są granice ulotne, obcowanie przedmiotów, pamiątek... rzeczy opuszczone:

jest bezruch i cisza / tyka tylko nadal / ulubiony zegarek / do którego nie ma już ręki //

albo fotografia w wierszu tamta

nie rozpoznaję siebie / w kobiecie / na piętnoletniej od dawna fotografii //

Bliskość – także ta erotyczna... Subtelny erotyk rosi się i personifikacja słowika:

podstuchuje nas słowik / pochwycone westchnienia / powtarza do rana/

Rozczarowanie ludźmi równie ulotne, co gorzka pamięć o nim trwała... w wierszu zasypianie, a ten jak piosenka (dlatego zachowałam strofę, by wybrzmiała próbka melodii całego wiersza):

*roztrzaskam się w łupinie szarych dni
przyjaciel poszedł każdy w swoją stronę
zlizuję z moich palców gwiazdny pył
z czarnego kruka się przemieniam w zwykłą wronę*

Nieuchwytnie są dla ja lirycznego uczucia, ale może je z abstrakcji wprowadzić w byt materialny za pomocą słów, co czyni:

czuję wtedy / poza słowami / wszystko // czego nie uchwyci język / i biorę dla siebie //.

Wątki osobiste, dotyki, smaki, wzruszenia, zapatrzenia... Gęsto od nich. Bohaterka liryczna bowiem czerpie z bogatego bagażu doświadczeń samej Autorki... I tu znowu Szymborska przychodzi mi w sukurs swoją frazą: „Tyle wiemy o sobie, ile nas sprawdzono...”. Tymczasem *alter ego* Poetki wyznaje w muzeum dobrych chwil:

*marzy mi się
muzeum dobrych chwil
z biletami nawet za duże pieniądze
odwiedzałabym sale
w których moje psy i koty
przychodzą na wołanie
od czasu do czasu patrzyłabym
jak w niedzielny ranek
kreślę pod gruszą ósemkę
swoim niebieskim rowerkiem
i wciąż wzruszałby mnie
pierwszy uśmiech syna*

I jeszcze ta niespodziewana, umieszczona nietypowo, przekornie dedykacja na stronie 22. i 23., która mile zaskakuje: ...tutaj lotna substancja myśli – zamienia się w słowo dla Ciebie... I piórko spod ręki Autorki tuszem narysowane. Taka miniatura intymności zaproszenia. Dla Ciebie, Czytelniczko/Czytelniku – w ulotnie nieulotną przestrzeń poetyckiego tomu zaprasza Autorka i zaświadcza, że stałaś się albo stałeś – szczęśliwym gościem magicznego świata Poetek i Poetów: „Jest więc taki świat, Nad którym los sprawuję niezależny? Czas, który wiąże łańcuchami znaków? Istnienie na mój rozkaz nieustanne?”

Aneta Gawriłow zaś zatrzymuje Twoją uwagę ulotnym słowem **zaczekaj**

tyle ci pragnę / powiedzieć // drży cisza / w której kształtuje się / słowo //

Aneta Gawriłow, *Lotna substancja*, ZLP seria:akcent, Wyd. hogben,
Szczecin 2023

Trzecie spotkanie w 14. sezonie wieczorów z cyklu *W PAŁACU literac-*
ko miało miejsce 16 listopada 2023 roku, oczywiście o godzinie 17.30 w sali

multimedialnej w Pałacu Młodzieży. Na 94. spotkaniu swoją drugą książkę poetycką *Wierszem życie napisać* zaprezentuje poetka ze szczecińskiego ZLP, Barbara Moraczewska-Jankowska.

Akcent na życie czy na wiersz? A może właśnie na sens obu?

Cóż wiersz? Słowa, słowa, słowa... z akcentem lub bez (staranność mowy!), wersy długie, z heksametrem włącznie albo krótkie jak fraszka czy epitafium... W nich sylaby policzone, obecnie częściej nie; spontaniczny potok słów w wersach, zdaniach, strofach... albo nie. Żmudna praca. Harmonia myśli w nim lub *cena zapisana chaosem, bo w skorupach chaosu / krucha trwałość / wypełniona czasem...* Och, ta nieustająca gonitwa za sensem, symbolem, ideą...

I tak niespodziewanie pisze się definicja naszej codzienności, życiem zwanej. I tylko zamyślenie: na ile uświadamiamy sobie, jak sami piszemy to życie? Wierszem, a może prozą? Tworzymy z niego heroiczny epos czy telenowelę? Próbujemy wyśpiewać w lirycznej balladzie, czy zamieniamy w tekst rodem z disco polo? A może sięgamy czasem do filozofii Wschodu, gdy na monitorze pojawia się japońskie haiku?

Tak, pytania, pytania, pytania... o akcent na życie czy na wiersz? Na ile ten nasz – założmy, że poetycki – zapis oryginalnym aktem twórczym się staje, a na ile marną imitacją innego wiersza... a może czyjeś życia?

Poetka poszukuje siebie. Pisze wiersze – odbicia lustrzane swojej codzienności.

Rzeczywistość = czas + przestrzeń + liryczne ja. Świat przedstawiony w wierszu to fakt czy tylko *mimesis*? A jeśli to *Nemesis*? A może to iskra wyobraźni rozpala obraz, który zapłonie w wierszu protestem:

*we mgle czerwone maki krwi
rozrzucone na zgliszczach
skulone płatki snów*

lub rozplynie się tylko między wersami jak *mgły wojny*?

Barbara Moraczewska-Jankowska wydaje swój drugi tom poezji *Wierszem życie napisać*. Autorka zbioru poetyckiego DO ROZWAŻENIA nieustannie obcuje z wierszem, nagina go do swoich potrzeb, kształtuje dla swojej *licentia poetica*. Zna smak *Bezradności*:

*wszystko dzieje się samo / a pisanie
o tym / jest odbitą w kałuży bezrad-
nością. Eksperymentuje z życiem...
i poszukuje jego akcentów w swoich
wierszach, które do tego życia po-
wołuje. Takie osobiste i artystyczne
sprężenie zwrotne. Ożywia bowiem
myśli, zamienia je w wizje, gdzie wraz
z noblistką, Olgą Tokarczuk*

*buduje most pojednania
materii z duchem*

*wizją świata
w metafizycznym wymiarze
wyobraźni ludzkiej
niczym nieograniczonej*

Materializuje marzenia i sny w *pasma mgieł ze snów i marzeń / niech się wło-
czą w przestworzach. I dalej*

*noc spięta palcami gwiazd
chroni włóczęgów i eremitów
w ciemności
własny świat ucieka w sen
ten wspólny
za dnia wymyka się
z zagłębienia dłoni
rusza w pogoń
za przemijaniem rąk*

Słowem zatrzymuje czas, który:

*płynie w nas jak chce
ten sam
bywa chwilą albo wiecznością*

Rozciąga szeroko krajobraz na przestrzeń, gdzie dzieje się przerażające...
tu i teraz... nasze życie uwikłane w wojnę, w pandemię, w konflikty, w chorobę
czy śmierć.



Czas – poszukiwany przez poetkę razem z Proustem – to nie zawsze przyjemne uczucie odkrywania samego siebie i gubienie..., bo jak napisał francuski pisarz – „(...) nie możemy się wydostać na zewnątrz, on unosi nasze myśli, słowa, pragnienia, nas samych, sam pozostając czymś nie do znalezienia.”

A zapisywanie emocji targanych bólem, który

*rozjarzony bielą dnia
uwiera i oślepia
lepką smotą
w ciszy nocy powleka oczy
czerwieni się o brzasku
pod wyschniętą powieką*

– jest jeszcze trudniejsze...

Piętrzą się więc akcenty na wiersze... rozkwita heroizm i krzewi pogarda, miłość walczy z niechęcią i nie zawsze zwycięża... Olimpijski laur nie ośladza cudzej przegranej...

Mienią się barwne odcienie życiowej codzienności w ulubionym ogrodzie impresjonistów. Cieszą nie tylko oko, skupiają też słowa w wierszu. Rośnie napięcie, wydobywa je obraz zamknięty stop-klatką Autorki – obraz za obrazem, za nim znowu obraz, pejzaże i twarze, wokół nas i pośród mijających nas zdarzeń.

Życie – w tomie Barbary Moraczewskiej-Jankowskiej – wydaje się być symbolem bytu wielowymiarowego... od groteski po *sacrum*. Wiersz jest przecież symbolem kryjącym symbole, bo według poetki to

*parabola poezji
poezja paraboli
ugięcie uległej ziemi
lepsza strona gwiazd
konstelacja Pegaza*

a *Skocznia* to nie tylko *carmina figurata*, ale i „szkatułkowy wiersz” (a może tarasowy) ze słowami kryjącymi na różnych poziomach kolejne alegorie, przenośnie, niedomówienia, podteksty... otwierający wersy i strony tomu w głąb, a te kryją albo wydobywają emocje, wrażenia, wzruszenia, życiowe wzloty i upadki... ot nasze „boskie komedie”, jakich wiele! A przecież też jedyne, niepowtarzalne „Nie-Boskie” – nasze: jej, twoje, moje...

Ten poetycki, autorski mikrokosmos *Wierszem życie napisać* może się dziać tu i teraz, gdy *kosmos wibruje / wiatr słowa plącze / dotyk chaosu*. Albo w odległej galaktyce o miliony świetlnych lat, gdzieś, kiedyś i nigdy..., bo poza symbolem jest też ten wiersz zapisujący chwilę:

jesteś o myśl / i świetlne lata / w opuszkach palca / zamknięty wierszem.

A ta chwila jest twoim (i moim też) – życiem... – życiem napisanym wierszem:

*napisać życie wierszem / rysować na liściu dłoni / pierwszy krzyk / ostatni sen /
zapisać tę przestrzeń / wzdłuż linii życia / śladami słów / kroplami dni / nim spłyną po szybie / zapomnienia*

Czy odnajdujesz już ten akcent? Na życie i na wiersz? Odpowiedz sobie, Czytelniku! I przeczytaj ponownie napisane wierszem życie...

Barbara Moraczewska-Jankowska, *Wierszem życie napisać*, ZLP
seria:akcent, Wyd. hogben, Szczecin 2023

* * *

Spotkania pałacowe odbywają się w ramach VII Szczecińskich Promocji Literatury 2023, projektu realizowanego przez szczeciński oddział Związku Literatów Polskich, a w tymże projekcie jest kontynuowane zadanie wydawnicze – już XII edycja serii:akcent. Sam projekt jest dofinansowany z budżetu Miasta Szczecin.

Izabella Rewcio

Zaczęło się od wiersza, czyli 10 lat minęło

– Jedziesz już? – przekrzykiwałam uliczny jazgot, zastaniając ręką część telefonu. Pod pachą, dumnie przeżyła się długa, czerwona róża, nie pozwalając

mi swobodnie manewrować między przechodniami. – Jak to rowerem? Jo, to przecież benefis! Aa, no tak, korki. To dobrze, że rowerem. Czekam na ciebie przy wejściu.

Matko ludowa, jak ja dawno nie byłam w tym miejscu. Chyba ze sto lat. A może nawet dwieście? Klub 12. Szczecińskiej Dywizji Zmechanizowanej mieści się przy ulicy Wawrzyniaka, nieopodal Bursy Szkół Artystycznych. Budynek Klubu jest duży i ceglasty w swojej formie. Czekając na Jo przed wejściem, mogłam spokojnie kontemplować zmiany, jakie zaszły w tej przestrzeni.

– Cześć, jak fajnie, że jesteś. – Usłyszałam za sobą charakterystyczny głos Ani Jakubczak.

Odwracając się do niej, po raz nie wiadomo który, pomyślałam, że jest najfajniejszym mikroprocesorem, jaki ostatnio poznałam. 18 kwietnia 2023 r. na Pierwszych Slamowych Mistrzostwach Szczecina w Piwnicy Kany, których organizatorem była nasza Fundacja Pozytywy, Ania wystartowała ze świetnymi tekstami. Dziewięć dni później, 27 kwietnia poszłyśmy świętować dziesięciolecie jej pracy twórczej. Szczerze mówiąc w głowie mi się nie mieści, że taka młoda dziewczyna jest uznaną poetką już dekadę. Szybko policzyłam w pamięci, ile lat minęło od mojego debiutu artystycznego i te 34 lata bardziej nie zmieściły mi się w głowie. Moje ego doznało globusa i musiałam je powachlować stwierdzeniem, że poezję zapisuje się szybciej słowem, niż kreską (nawet jeśli to nieprawda). Jestem ciekawa jej osoby, wierszy, których znam przecież tak niewiele, a które zrobiły na mnie wrażenie.

Zdążyłyśmy wymienić parę zdań, zanim zaczęli schodzić się pozostali goście, z tortem na czele. Po chwili nadjechała zdyszana Jo (na czas!) i zdejmując zbyt dużą kamizelkę odblaskową, pod którą miała eleganckie ubranie, szukała miejsca do przypięcia roweru. Widziałam, jak Ani błysnęły oczy w odpowiedzi na tę zabawną sytuację. Dziewczyna niewątpliwie ma poczucie humoru. Ale trzeba spieszyć na salę, bo pora zaczynać.

No i zaczęło się.

Kalejdoskop to mały pikuś przy tym, co udało się tej dziewczynie już przeżyć. Szybciej by było wymienić to, czego Anna nie robiła. Prowadząca spotkanie Agata Jagiełło musiała nieźle się napracować, by to wszystko ogarnąć. Od pierwszych inspiracji literackich, zaszczepianych małej Ani przez mamę, do debiutu literackiego nie minęło wiele czasu. Ta dbałość o rozwój, wyniesiona z domu rodzinnego i wspomagana przez mądrych nauczycieli, zaowocowała wieloma zainteresowaniami i aktywnościami. Anna jest przede wszystkim



Anna Jakubczak w środku z dyplomem (zdj. archiwum prywatne A. Jakubczak)

poetką, ale też publicystką i dziennikarką, animatorką kultury, miłośniczką marynistyki, prowadzi portale internetowe, audycje radiowe, spotkania autorskie eventy i performance. Ma za sobą sporo publikacji zarówno polskich jak i zagranicznych, w samych antologiach ponad 40. Jest laureatką wielu konkursów, zdobyła mnóstwo nagród. Doskonale radzi sobie na scenie i estradzie zarówno jako MC, jak i beneficjent. Jest osobą, która współtworzy historię Szczecina i myślę, że będziemy o niej słyszeć jeszcze nie raz.

Siedziałyśmy z Jo wbite w krzeselka. Z szeroko otwartymi oczami, słuchając tych niewiarygodnych rzeczy, obie doszłyśmy do wniosku, że pora zacząć uczyć się od młodych. Z takim potencjałem i samoświadomością, Ania zapewne poprowadzi za sobą nie jedną zagubioną duszę.

- Przynajmniej jest ktoś niższy od ciebie. - Jo podsumowała moje rozterki.
- Nie przesadzaj Jo, jestem równa wzrostem z tobą.
- Nie.
- Mogłaś być miła.
- Byłam.

Wróciłyśmy do oglądania.

Ania na scenie opowiadała o swoich wtopach zawodowych, czym rozśmieszała publiczność do łez. Za chwilę ta sama publiczność tonęła we łzach wzruszenia, słuchając jej tekstów poetyckich. Można było usłyszeć utwory Anny w roli piosenek, było również dużo zdjęć i opowieści o drodze życiowej. A na koniec był koncert Jacka Wójcikiewicza.

Super wieczór, pełen emocji. Jo zgubiła z wrażenia szal. Nie wiemy kiedy minęły dwie godziny. Wracaliśmy do domów, prowadząc ożywioną rozmowę, bo nie dało się nie komentować tego wszystkiego, co zadziało się na scenie. Rower prowadzony między nami, od czasu do czasu okazywał się przeszkodą w żwawej gestykulacji.

Piszę ten tekst kilka miesięcy po benefisie Anny Jakubczak. Jest późne lato. Za oknem żar leje się z nieba. Moja pracownia, jak zwykle tonie w papierach, płótnach, tuszach i wszystkich tych super fajowskich rzeczach, które zazwyczaj goszczą w pracowniach plastyków. Ale pośród tego są też kartki z wierszami Ani. Zapoznałam się z jej twórczością, znam życiorys. Nadal uważam, że jest osobą niezwykłą, a to co wypowiada w swoich wierszach, rezonuje z moimi własnymi światami.

Jestem plastykiem, materia moich prac jest kreska, nie słowo. Niefortunnym może się wydawać, żeby plastyk pisał o poezji. Ale plastycy o poezji wypowiadają się nieustannie od zarania sztuki. Obrazami najczęściej. Na temat poetów też się wypowiadają. Czasami nawet pochlebnie. Szczególnie kiedy w grę wchodzi kolaboracja z widokiem na profity. Z Anną Jakubczak nie miałam okazji kolaborować. Jeszcze. A mimo to uważam, że jest świetną poetką.

Ania słowem włada po mistrzowsku. W jej tekstach wybrzmiewają ludzkie emocje, opowiada w nich o pierwszym zakochaniu, o tym jak z czasem w miłości dojrzewamy, co nie znaczy, że sobie z nią łatwo radzimy. W jej tekstach pojawiają się również inne rodzaje miłości, nie tylko te o zabarwieniu romantycznym czy erotycznym, choć te stanowią lwią część wypowiedzi poetyckiej Anny. Z wersów płyną opowieści o akcie tworzenia i borykaniu się z brakiem wyboru, jaki za sobą niesie potrzeba wypowiadania się dla każdego twórcy. O tym, że budujemy materię naszych dzieł, oddając nas samych. Choćby w tekście z tomu „Ars Poetica”

Medicine

*wena płynie kroplówką
pot z czoła ociera chustką
tlen został podłączony*

siostra podała skalpel
cięcie
wycinam grafomańskie guzy
przeszczepiam nowy słowotok
puls w normie przeżyje
organy przyjęte
szkielet skorygowany
mięśniom zanikł patos
brakuje jeszcze serca
oddaję swoje

Ale też potrafi przyrównać tę naszą pracę do czynności, które same w sobie niosą kompletnie inną poetykę, ale sprawiają przyjemność. Jak w przypadku zabaw z naszymi pupilami. W końcówce wiersza „Płótno” Ania opisuje swoją pracę nad tekstem, jak pracę nad obrazem. Czym nawiązuje do bliskiej memu sercu idei o przenikaniu się słowa, obrazu, ruchu, zapachu i dotyku. Nieważne w jakim medium pojawi się efekt końcowy. To i tak zawsze jest poezja.

Płótno

Lubię bawić się słowem
w kotka i myszkę,
zamykać marginesem,
by nie zdążyło uciec.
Miło jest pogłaskać
metaforę pod włos,
usłyszeć jej donośne szczeknięcie
i zobaczyć, jak macha ogonem.
Podaje łapę.
Wychodzę na spacer,
niezależnie czy pogodzie
dopisuje humor.
Biorę stalówkę,
by namalować literami świat.
Maczam najpierw w bieli,
by na skraju przejść w czerń.
Nie starcza barw na dualizm.
Idę przez napisany las
swoimi ścieżkami.

Trudno jednak oprzeć się myśleniu o miłości w sensie romantycznym, kiedy czyta się poezję Ani. W „Rozmowach nocą”, rewelacyjnie ukazujących wszelakie odcienie namiętności, umieszcza dwa teksty, które w zestawieniu, jeden po drugim, przepięknie określają kierunek, w jakim wydaje się, że zmierzają ludzkie emocje. Karmieni dramami telewizyjnymi, żyjący w świecie wyobrażeń, zapominamy o najprostszych gestach budujących relacje. Tęsknimy za uniesieniami, a potrafimy jedynie załatwiać sprawy. Zastępujemy proste dobro rzeczami skomplikowane materialnymi. Miesza nam się odczuwanie poezji i prozy życia.

My

*z drugiej połowy XXI wieku
trochę dorośliśmy
tak o zero i pół albo i więcej
dalej brak nam czułych gestów
dalej nie wiemy jak żyć
usychamy z miłości
na wisielczym pocałunku polubień
upijamy się
twarzami od a do z
filtrujący
flirtujący
konsumpcyjni
w zapaści
przytulając się do entera
piszemy urywane autobiografie
post emo rzadko best
bo seller się skończył
a ziemniaki już dawno
wstawione*

Drama

*Nie jestem Szekspirem,
choć wokół miliony
potencjalnych Romeo i Julii.
Zbyt zabieganych,
zaślepiionych,*

rozczochranych.
Romeo i Julii,
którzy zapomnieli o miłości.
Nie kochają nawet czasu,
to czas kocha
wypruć im żyły.
Pusty balkon,
domknięty flakonik,
zmartwiona Verona.
I tylko cisza,
która nie zwiastuje burzy,
a kolejne obroty
humanosfery.

Na szczęście Anna pokazuje nam też, że da się budować związki, nie będąc doskonałym według „nauk”, jakie wpaja nam świat mediów, żywo propagujący patriarchalny model kultury.

Przestrzeń

wiesz lubię samotność
jest mi tak samo potrzebna do życia
jak wieszaki pełne twoich koszul
perfumy mieszające się z CO2 w płucach
dotyk już na zawsze zapisany w pamięci
taka miłość jak nasza zmienia DNA
w kolorowe spirale przywiązania
które splątały nam serca

Potrafi również zwrócić uwagę czytelnika na to, że uciekamy w panice przed rzeczami, których pragniemy najbardziej.

Przypadłość

zaraziliśmy ludzkość miłością
odizolowała się
zaczęła dezynfekować ciało
z wgranego wirusa
przyciskając do ust maski
karm czakr brudnego wnętrza
update na nowe wcielenie

*ta sama ludzkość
zostawiła nam puste ulice
migające od szaleństwa semaforów
a my nawet w tak
wolnej przestrzeni
nie znaleźliśmy drogi do siebie
umarliśmy za wszystkich
tej nocy*

Mogłabym tak cytować teksty Ani jeden za drugim. Każdy z nich niesie wielowątkowość, rodzi pytania i każe zastanawiać się nad własnymi wartościami. W moim osobistym odczuciu poezja ta wykracza daleko poza sferę miłości ludzkiej. Zarazem jest elitarna i egalitarna.

Pozwólcie, że wleję w cudzysłów, jak w shaker barmański, wyjęte z kontekstu, za to tkwiące mocno w mojej głowie i budujące obraz Anny, fragmenty jej utworów:

„nie napiszę wiersza w dziesięć przysłowiowych minut w kilka dni w rok/warto czekać choćby na tramwaj/ Lubię bawić się słowem w kotka i myszkę, zamykać marginesem, by nie zdążyło uciec./ Jak napisać o miłości, by nie rzekli – ale to już było. Jak, gdy tyle liści subtelnym opadło na kartkę./ wiesz lubię samotność jest mi tak samo potrzebna do życia jak wieszaki pełne twoich koszul/ Wolność nie wychodzi na ulice zamaskowana zabarykadowała się w domach/ rozproszyliśmy się tysiącami fotonów przemierzając ruchliwe ulice/ trochę dorośliśmy tak o zero i pół albo i więcej dalej brak nam czułych gestów dalej nie wiemy jak żyć/Powiedz mi, czy to prawda, że piękno istnieje tylko w bajkach? Chciałabym je kiedyś zobaczyć.”

A najlepiej tym wszystkim wstrząśnie:

Na litość boską – nie idź za głosem świata!

Koktajlem łącznie barwistanowym wznoszę toast: Aniu, pisz proszę. A wy czytacie.

Wiosenny konkurs „O Złotą Metaforę” nieco inaczej

W tym roku odbyła się kolejna, tym razem międzynarodowa edycja konkursu poetyckiego im. Józefa Burszewicza *O Złotą Metaforę*. Patron inicjatywy był współtwórcą grupy *Metafora*. Założył ją razem z Andrzejem Dzierżanowskim, Ryszardem Grabowskim i Januszem Krzymińskim. Jak przyznaje Barbara Elmanowska, przewodnicząca jury, we wstępie do almanachu pokonkursowego: *Konkurs literacki to szczególny moment dla poezji i jurorów. W żadnych innych okolicznościach nie czyta się tak wielu wierszy w tak bliskim sąsiedztwie, nie obcuje się z tak wieloma autorkami i autorami, tak wieloma tematami, tak wieloma poetykami. W żadnej innej sytuacji czytelniczej, nie doświadcza się tak oszałamiającej ilości tekstów. (...)*

Rozstrzygnięcie konkursu miało miejsce nie jak zawsze w szczecińskim Ogrodzie Różanym. Tym razem organizatorzy, jurorzy i uczestnicy spotkali się w ogrodzie Willi Lentza podczas *Śniadania na trawie*, którego gospodarzem był aktor Teatru Współczesnego, Konrad Pawicki. Było nieco inaczej, niż zwykle.

Organizatorem VIII Międzynarodowego Konkursu Poetyckiego im. Józefa Burszewicza *O Złotą Metaforę* jest szczeciński oddział Związku Literatów Polskich, który poprzez swoją bogatą działalność promuje słowo pisane, w tym poezję. Tego rodzaju inicjatywy są również szansą dla debiutantów, którzy mogą spróbować swoich sił w tworzeniu. W jury tegorocznej edycji konkursu zasiadało grono poetów i znawców literatury: Barbara Elmanowska z Uniwersytetu Szczecińskiego (przewodnicząca), Leszek Dembek, prezes ZLP w Szczecinie, poeta aktywnie działający na rzecz kultury literackiej, Krystyna Rodzewicz, poetka i prozatkorka, absolwentka studiów pisarskich na Uniwersytecie Szczecińskim oraz wiceprezeska szczecińskiego oddziału Związku Literatów Polskich, a także Małgorzata Hrycaj pisząca poezję i podejmująca liczne inicjatywy, mające na celu promocję twórczości poetyckiej i integrację środowisk literackich (sekretarz).

Wyniki konkursu ogłosiła Danuta Sepuco, poetka i dziennikarka. Pierwszą nagrodę przyznano Ewelinie Cis z Warszawy, drugą – Iwonie Danucie Startek z Biłgoraju, trzecią – Pawłowi Ślusarczykowi z Zakopanego. Wyróżniono trzech autorów: Dagmarę Strachotę, Mateusza Michalskiego i Iwonę Świerkulę. W kategorii „wierszy zauważonych” jury wybrało utwory: Joanny Adamczyk, Macieja Anczyka, Krzysztofa Arbaszewskiego, Małgorzaty Borzeszkowskiej, Magdaleny Bukowskiej, Magdaleny Cybulskiej, Tadeusza Dejneckiego, Rozalii Dmochowskiej, Magdaleny Dryl, Anny Gielas, Michała Głazczki, Anny Jakubczak, Martyny Jersz, Katarzyny Kadyjewskiej, Beaty Kamińskiej, Tadeusza Knyziaka, Mikołaja Konkiewicza, Pauliny Kotarskiej, Małgorzaty Kotłowskiej, Katarzyny Kudętki, Urszuli Lewartowicz, Doroty Lisickiej, Jerzego Marciniaka, Urszuli Mądrzyk, Agnieszki Mohylowskiej, Ireny Wandy Niedzielko, Feliksa Opolskiego, Małgorzaty Osowieckiej, Dariusza Krzysztofa Parczewskiego, Edyty Rauhut, Michała Szelepajło, Doroty Szewczak, Walerego Tichonowa, Adama Bolesława Wierzbickiego, Luizy Wilczyńskiej, Witolda Witkowskiego, Donaty Witkowskiej-Kowal, Zbigniewa Witośławskiego, Aniki Wojewskiej, Pauliny Wojciechowskiej, Anny Wojno, Andrzeja Ziobrowskiego. Specjalną nagrodę prezesa szczecińskiego oddziału Związku Literatów

Od lewej: Edyta Rauhut, Róża Czerniawska-Karcz, dr Barbara Elmanowska (zdj. J. Słowik)



Polskich, Leszka Dembka otrzymała Anna Gielas z Cambridge za wiersz pod tytułem *Żyjmy*.

Po wręczeniu nagród konkursowych w ogrodzie Willi Lentza rozpoczął się koncert słowno-muzyczny w reżyserii Zenona Lacha, który jest również poetą ze środowiska Związku Literatów Polskich. Tę część wydarzenia prowadził Przemysław Walich, aktor Teatru Współczesnego w Szczecinie. Wiersze laureatów konkursu przeplatały się z utworami muzycznymi w wykonaniu Michała Dąbrowskiego, absolwenta Wydziału Instrumentalnego Akademii Sztuki w Szczecinie, który grał na akordeonie. Poezję prezentowali Krystyna Maksymowicz, aktorka Teatru Współczesnego w Szczecinie, i Jan Kamiński, absolwent Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego w Szczecinie.

Jako pierwszy wybrzmiał wiersz *Zqb* Pawła Ślusarczyka, laureata trzeciej nagrody. Nie mogło zabraknąć twórczości laureatów pierwszej i drugiej nagrody: *tour de pielesze* Eweliny Cis i *gdy będziemy uciekali* Iwony Danuty Startek. Z podium przechodzimy do wyróżnień. Goście usłyszeli *domek bez drzewa* Dagmary Strachoty, *Rozwiązanie zimowe* Iwony Świerkuli i *17.03.2023* Mateusza Michalskiego. Między wierszami wybrzmiała muzyka, goście usłyszeli utwory takich kompozytorów, jak Yann Tiersen (*La Noyee, La valse d' Amelie*), Zoran Bozanic (*Toccata*), czy Yergeny Derbenko (*Rock Taccota*).

Spośród wielu wierszy zauważonych uczestnicy *Śniadania na trawie* mieli okazję usłyszeć trzy: *Ostatni taki talk show* Małgorzaty Osowieckiej, *Oddam* Aniki Wojewskiej, *ZBROJĄ NASZĄ JEST FASHION* Urszuli Lewartowicz. Przed ostatnim utworem poetyckim, Michał Dąbrowski zagrał kompozycję Vladislava Zolotoreya *Rondo capriccioso*. Jako ostatni na dwa głosy, czyli w wykonaniu Krystyny Maksymowicz i Jana Kamińskiego wybrzmiał wiersz *Żyjmy*. Następnie można było usłyszeć utwór pod tytułem *La Tempete* (Andre Astier). Tak zakończył się finał VIII Szczecińskiej Wiosny Poezji. Później przed gośćmi wystąpił Zespół Pieśni i Tańca Szczecinianie.

Na konkurs wpłynęło 411 wierszy nadesłanych przez 137 uczestników z Polski, Niemiec, Irlandii, Wielkiej Brytanii i Szwecji. Inicjatywa jest realizowana od kilku lat, ale dopiero w tym roku zyskała rangę międzynarodową, co umożliwiło uczestnictwo osobom z poza terenów Polski. Zarówno organizacja takich projektów, jak i uczestnictwo w nich daje wiele satysfakcji. Nie bez powodu też wiersz Anny Gielas zyskał Nagrodę Specjalną prezesa Leszka Dembka, niesie ważne przesłanie: *Żyjmy/ tak aby życie nasze nie/ mieściło się/*

*w jednym iPhone// Wybierzmy sobie nowe blizny/ Zaczepmy się/ o stopę Ikara/
i ruńmy// (...) Żyjmy wzrokiem na gwiazdach/ sercem między nimi// żyjmy sercem,
które nie tęskni/ lecz tworzy.*

Małgorzata Hrycaj

Turniej Jednego Wiersza 2023

Turniej Jednego Wiersza jest organizowany od siedmiu lat przez Związek Literatów Polskich Oddział w Szczecinie w ramach Szczecińskiej Wiosny Poezji. Współfinansuje go miasto Szczecin, jako integralną część SZCZECIŃSKICH PROMOCJI LITERATURY. Mogą w nim brać udział wszyscy twórcy pełnoletni tworzący w języku polskim. Od początku nosił tytuł „Między Morzem a Tatrami” i miał w założeniach prezentację najciekawszych osób piszących wiersze, rozbudzanie zainteresowań twórczością poetycką, popularyzację twórczości literackiej, a także wymianę doświadczeń poetyckich i integrację środowisk twórczych w Polsce i na świecie. Zadaniom tym podporządkowana jest również towarzysząca części konkursowej „Rozmowa Liryczna”, w toku której poetycka brać dzieli się słowem i wymienia poglądy na określony temat.

Poetyckie potyczki wraz z rozmowami lirycznymi, zgodnie z zasadą korespondencji różnych dziedzin sztuki, posiadają zawsze oprawę muzyczną, czasem również plastyczną.

Nagrodą dla twórcy wybranego przez jury wiersza jest specjalnie w tym celu wykonana kryształowa statuetka z cytatem Edwarda Stachury: „Wszystko jest poezją, każdy jest poetą...”. Z czasem wprowadzone zostały trzy wyróżnienia w formie dyplomów, a także w dwóch edycjach – Nagroda Specjalna Prezesa ZLP Oddział w Szczecinie.

Laureaci pierwszych trzech edycji mogli odebrać nagrody podczas Koncertu na Różance, wieńczącego Zachodniopomorską, w tym Szczecińską Wiosnę Poezji.

Pierwszy Turniej odbył się 3 czerwca 2017 roku. W duchu integracji przybyli do Szczecina poetki i poeci z całej Polski, wśród nich Leszek Lisiecki, poeta ze Skwierzyny, który wzbogacił wrażenia artystyczne wydarzenia śpiewem przy akompaniamencie gitary. Gości – uczestników konkursu powitali prowadzący Leszek Dembek – prezes ZLP Oddział w Szczecinie i Małgorzata Hrycaj. Laureatem konkursu został Jacek Sojan z Krakowa, prezentujący wiersz „Łyk ostatni”. Salę tarasową szczecińskiego Inkubatora Kultury, (nazwanego po kilku latach INKU Inkubator Sektorów Kreatywnych), gdzie miało miejsce poetyckie spotkanie, zdobiła, towarzysząca Turniejowi, wystawa malarstwa „Moje Miasto – Moja Przzystań” Zachodniopomorskiego Stowarzyszenia Twórców Kultury.

W drugiej edycji Turnieju – 23 czerwca 2018 roku, nagroda przypadła przybyłej z Opola Adrianie Jarosz za wiersz „Święty Bartuś od (głu)ptaków”. Oprócz Leszka Lisieckiego na scenie w Inkubatorze Kultury zaprezentowała się para poetów i muzyków z Nowego Sącza – Joanna Babiarcz–Szot i Janusz Szot. Gospodarzami i koordynatorami konkursu i rozmowy lirycznej byli Leszek Dembek i Małgorzata Hrycaj.

W roku 2019 III Turniej „Między Morzem a Tatrami” miał miejsce 22 czerwca, po raz kolejny w Inkubatorze Kultury z prowadzącymi Leszkiem Dembkiem i Małgorzatą Hrycaj. Wśród uczestników z całej Polski, najlepszą okazała się wiceprezes szczecińskiego oddziału ZLP – Krystyna Rodzewicz, nagrodzona statuetką za wiersz „Łzy”. Natomiast Jacek Sojan za wiersz „et ne nos inducas in tentationem, sed libera nos a mała” uhonorowany został nagrodą w postaci Listu Gratulacyjnego.

Całe wydarzenie uświetnił występ Joanny Babiarcz–Szot i Janusza Szota. Na koniec w sali kinowej wyświetlono etiudy filmowe, prezentowane wcześniej na Przeglądzie Literackich Impresji Filmowych (PLIF).

Rok 2020 przyniósł zmiany wymuszone pandemią koronawirusa, która pojawiła się i rozprzestrzeniła na całym świecie. Turniej, jak inne formy artystycznej działalności, mógł zostać zorganizowany jedynie online. Uczestnicy z całej Polski przysłali swoje wiersze utrwalone na nagraniach audio lub video. Ich prezentacja nastąpiła 21 listopada w sali kinowej Inkubatora Kultury. Najwyższe uznanie jury zdobył wiersz „Kartka” Edwarda Siekierzyńskiego, związanego ze szczecińskim oddziałem ZLP poety ze Stargardu. Tego roku lista laureatów konkursu rozszerzyła się o osoby wyróżnione dyplomami, byli to: Anna Czartoszewska za „Sonet z wadą serca”, Barbara Madejska za „Covid



Jury (od prawej): Danuta Sepuco, Krystyna Maksymowicz, Róża Czerniawska-Karcz (zdz. J. Słowik)

długi na cały kraj” oraz Wojciech Hubner za utwór „Legenda”. Po raz pierwszy Leszek Dembek przyznał Nagrodę Specjalną Prezesa ZLP Oddział w Szczecinie. Otrzymała ją Sylwia Kanicka recytująca na nadesłanym nagraniu wiersz „Niepoprawnie zakazane chwile”.

W internecie pojawił się pamiątkowy film, przedstawiający wiersze laureatów turnieju, przeplatane nagraniem w sali kominkowej Inkubatora Kultury piosenkami, śpiewanymi przez szczecińską artystkę Iwonę Waligórką, wykonującą poezję śpiewaną do własnej muzyki przy akompaniamencie gitary.

W 2021 roku V Turniej Jednego Wiersza przybrał formę hybrydową. Poetki i poeci mogli zaprezentować wiersze osobiście lub za pomocą nagrań. Turniej zaplanowano i zrealizowano 10 lipca, w sali teatralnej 12. Szczecińskiej Dywizji Zmechanizowanej. Nowością było przybycie zaproszonych przez Danutę Romanę Słowik (poetkę, prozatkę i malarkę ze Stargardu) gości z Niemiec, co stało się przyczyną zmiany jego nazwy na „Między Renem a Tatrami”. Role konferansjerek przypadły Magdalenie Sowińskiej i Małgorzacie Hrycaj. Znaczny wpływ na atrakcyjność przedsięwzięcia miał Damian Gralak, poeta i bard ze Stargardu poprzez stworzenie wyjątkowego klimatu i zaangażowanie wszystkich do wspólnego śpiewu. Zwyciężczynią Turnieju została Małgorzata Borzeszkowska z Lęborka, która dała się poznać poprzez przesłane na

konkurs nagranie audio wiersza „Rozważania żniwiarza pana Breugla”. Wyróżnienia przypadły: Ludmile Janusewicz z Koszalina za wiersz „Przepiórka”, Leonardowi Ptaszkowi za utwór „Dom – Marzenie” oraz Maciejowi Anczykowi z Krakowa za wiersz „Nocołap z kamienic”.

Tym razem Nagroda Prezesa szczecińskiego oddziału ZLP trafiła do szczecińskiej poetki Anety Gawriłow za wiersz „zbrodnia w afekcie”. Film upamiętniający przebieg wydarzenia oraz nagrodzone wiersze znajduje się na stronie zlpszczecin.pl.

Rok 2022 naznaczony został wojną na Ukrainie. VI Turniej Jednego Wiersza powrócił w formie nieograniczonego liczebnie spotkania do Inku Inkubatora Sektorów Kreatywnych. Poprowadziła go Małgorzata Hrycaj, a uczestnik konkursu – Damian Gralak, jednocześnie zadbał o jego oprawę muzyczną. W drugiej części spotkania, licznie zgromadzeni literaci z zaangażowaniem włączyli się w rozmowę liryczną dotyczącą kondycji człowieka i jego postawy wobec problemów współczesnego świata, wśród których niewątpliwie prym wiodą wojny.

Jury zdecydowało że kryształowa statuetka trafi do Edyty Rauhut, szczecińskiej poetki, członkini Związku Literatów Polskich, za wiersz *** (poeto powiedz przecie). Wyróżnienie przypadło także: Edycie Rozenfeld ze Świnoujścia, Damianowi Gralakowi ze Stargardu i Sebastianowi Rosie ze Szczecina.

Ostatnia edycja Turnieju miała miejsce w środę, 12 lipca 2023 r. w szczecińskim INKU Inkubatorze Działań Kreatywnych. Ze względu na sprzyjającą pogodę turniej odbył się w przestronnym ogrodzie należącym do INKU. Tam też wybrzmiały utwory dziesięciu poetek i dwóch poetów, przeplatane wierszami polskiej Noblistki – Wisławy Szymborskiej, wykonywanymi przez Iwonę Waligórką do własnej muzyki, przy akompaniamencie gitary. Zmagania uczestników oceniało profesjonalne jury, w skład którego weszły: Róża Czerniawska-Karcz (poetka, eseistka, polonistka, redaktorka serii: akcent, animatorka kultury), Krystyna Maksymowicz (aktorka Teatru Współczesnego w Szczecinie, doktor sztuki w szczecińskiej Akademii Sztuki, specjalizująca się w logopedii artystycznej) oraz Danuta Sepuco – sekretarz konkursu (pedagożka specjalna, dziennikarka, sekretarz redakcji „Pryzmatu Literackiego”).

W tym roku pretendenci do zdobycia głównej nagrody przybyli głównie z regionu zachodniopomorskiego, przeważnie z szeregów szczecińskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Pojawiła się również poetka z zaprzyjawnionego Regionalnego Stowarzyszenia Literacko-Artystycznego działającego w Policach. Jedna z uczestniczek turnieju przyjechała ze Stargardu, inna



Od lewej: Piotr Krzymieniecki, Aneta Hryckiewicz, Monika Miłoś, Aneta Gawriłow (zdj. J. Słowik)

z Dobiegniewa – dłuższą drogę od niej pokonała tylko poetka mieszkająca obecnie w Norwegii.

Dopisała publiczność, reagująca żywo zarówno na poezję recytowaną, jak i śpiewaną. Oprócz stawy dla ducha, w przerwie po części konkursowej wszyscy mogli raczyć się doskonałymi wyrobami cukierniczymi.

W tym roku autorzy wierszy zaprezentowali bardzo wyrównany, wysoki poziom zarówno ze względu na walory artystyczne utworów, jak i sposób ich wykonania.

Jury miało nie lada trudne zadanie, by wyłonić laureatów. Po emocjonujących obradach zwyciężczynią Turnieju została Monika Miłoś z Dobiegniewa, wykonująca wiersz „Kapłanka samotności”, a trzy równorzędne wyróżnienia otrzymali: Aneta Gawriłow ze Szczecina (za wiersz: „zbity dotyk”), Aneta Hryckiewicz z Oslo (za wiersz: „cierpliwość”) oraz mieszkający w Szczecinie Piotr Krzymieniecki (za wiersz: „cisza nasza”).

Publiczność nagrodziła wszystkich uczestników konkursu gromkimi brawami za ogromną dawkę wzruszeń i estetycznych doznań. Laudacje otrzymała również Iwona Waligórska za stworzenie wykwintnej oprawy muzycznej dla

poetyckich zmagañ. Wiersze przez nià spiewane stanowiły szczególnie mocny akcent ze względu na trwajàcy w³asnie rok Wi³awy Szymborskiej.

Podziękowania nale¿aty siê jury, ale równie¿ obecnym i nieobecnym osobom, wspomagajàcym co roku organizacjê konkursu, takim jak: Adrianna Rauhut (projekty graficzne plakatów i dyplomów), Zbyszek Jahnz (wydruk dyplomów i obwolut), a tak¿e g³ówny fotograf – Janusz S³owik, czy uzupe³niajàcy dokumentacjê Leokadia Szymañska i Robert Florczyk.

Turniej zakoñczy³ siê tradycyjnie pieñnià „Pamiêtajcie o ogrodach” do s³ów Jonasza Kofty, z muzykà Jana Pietrzaka. Wytrwali mi³oñnicy poezji mogli jeszcze zasià¿ w kręgu i wzià¿ udzia³ w Rozmowie Lirycznej, której niezwykle ciep³à i wzruszajàcà atmosferê nada³y wiersze zmarłego pod koniec grudnia 2022 roku Edwarda Siekierzyñskiego, przedstawione przejmujàco piêknie przez Różê Czerniawskà–Karcz.

Turniej Jednego Wiersza „Miêdzy Morzem a Tatrami” wpisa³ siê ju¿ nierozwalnie w dzia³ania artystyczne zwiàzane ze Szczeciñskà Wiosnà Poezji. Stanowi przestrzeñ, w której ³aczą siê poetyckie wizje poetów z róznych stron Polski i œwiata, a nawet z zaœwiatów. Wszystko to ku wzbogaceniu i wzmocnieniu tkwiàcej w poezji dobrej si³y, która siêgajàc w g³àb ludzkich sumieñ, mo¿e przynieœ¿ ich ocalenie.

Przyk³adem takiego wiersza jest utwór Moniki Mi³osz:

Kap³anka samotnoœci

*Opuszczone gniazda zaklinajà czas
Uplecione z têsknoty naiwnie chcà wierzyç
¿e jeszcze us³yszà tak znajomy gwar
Wyg³upów porannych wieczornych pacierzy*

*Po kàtach rozbitych skrawków dawnych spraw
W pajęczych ko³derkach jakiœ milion le¿y
Pod³oga nie skrzypi szczêœciem ju¿ od lat
Choç jeszcze pamiêta w powrót ju¿ nie wierzy*

*W zmęczonych futrynach zab³àkane gdzieœ
Szczebioty pisklaków chwilê przed odlotem
Gdy jeszcze myœla³y ¿e je bêdzie nieœç
Wiatr w obydwie strony by móc wróciç potem*

W nieprzejrzanym taflach odbiç jakoœ brak

*Może gdzieś utknęły z drugiej strony lustra
A może odeszły dorobkiem w świat
I ramie się przyjdzie godzić że jest pusta*

*Zranione huśtawki w cieniu starych drzew
Smagane tylko wiatrem skrzypią z utęsknienia
Jeszcze pamiętają czar przebytych dni
Lecz już rozumieją smutek porzucenia*

*Opuszczone gniazda opuszczają dach
Boleśnie poznając gorycz bezistnienia
Spod zamkniętych okien kapie jedna łza
Ushnie w samotności nikt jej nie ociera*

*Na werandzie cicho uśnie wiecznym snem
Ta co podkładała drewno do ogniska
W opuszczonym gnieździe opuszczona tak
Wyśni snem ostatnim że znów jest im bliska*

Robert Florczyk

Daglezja TADEUSZ

Drzewa potrafią wędrować, samodzielnie albo z pomocą człowieka, albo z pomocą poezji. W poezji albo dzięki poezji wszystko jest możliwe.

W ogrodzie Willi Lentza przy Alei Wojska Polskiego 84, podczas spotkania z kulturą wysoką „Śniadanie na trawie”, 3 czerwca odśtoniliśmy drzewo daglezji, które przywędrowało do Szczecina z ogrodu Tadeusza Różewicza. Jak to się wydarzyło?

Daglezja symbolizująca obecność Tadeusza Różewicza w Szczecinie dotarła do ogrodu przy Alei Wojska Polskiego dzięki łańcuchowi ludzi dobrej woli,

którym wrażliwość na poezję i twórczość Tadeusza Różewicza była inspiracją do tej podróży z Wrocławia do Szczecina. Szczecin zaistniał w życiu Tadeusza Różewicza już w 1947 roku, kiedy przybył tu z mostem dla Odry Zachodniej jako reportażysta. Potem opisał nasze miasto z tych lat, patrząc na rozlewiska Odry i Jezioro Dąbskie, na Hutę Szczecin, ruiny Starego Miasta i Katedry św. Jakuba. Przede wszystkim jednak w pamięci Tadeusza Różewicza Szczecin jawił się jako piękne miasto zieleni, drzew i urokliwej dzielnicy Głębokie, gdzie często bywał. Tadeusz Różewicz już w pierwszych słowach tak reagował na hasło Szczecin: *Czy nadal na Głębokim jest tak pięknie?*

Jaka jest historia drzewka, które przyjechało do Szczecina? Na początku rośło w ogrodzie Różewicza we Wrocławiu. Wiosną 2013 roku poeta poprosił swojego wieloletniego redaktora i wydawcę – Jana Stolarczyka – by wspólnie wykopali sadzonkę. Daglezja trafiła na 10 lat pod opiekę przyjaciela.

– Aż poznałem pana Florczyka ze szczecińskiego oddziału ZLP i pomyślałem sobie, że zaproponowane przez niego rozwiązanie jest idealne. Niech to drzewko pojedzie do Szczecina, w którym po wojnie Tadeusz Różewicz często bywał i był emocjonalnie związany z tym miastem poprzez swoich przyjaciół poetów. Myślę, że będzie nie tylko ozdobą, ale i pamiątką po naszym wielkim poecie. Niech to będzie drobny prezent dla Szczecina – powiedział Jan Stolarczyk, gdy zdecydował się podarować daglezję naszemu miastu.

Dzięki łańcuchowi ludzi dobrej woli drzewko bezpiecznie przybyło do Szczecina i przeszło aklimatyzację w naszym szczecińskim klimacie na Prawobrzeżu.

(zdj. R. Florczyk)



Na ścięciu drzewa

Tadeusz

DREW mechaniczne
 na ścięciu
 białym makiem
 zaślady
 jeszcze oddychało
 liście drzewy widły
 konary i gałęzie
 rozpryski się
 w odpyły iście szmury

w strefie koron
 panuje nieustanny „niepokój”

drzewa nie przenoszą się
 z miyka na miyka
 w porzuceniu pokarmu
 nie mogą uciec
 przed ręką wroniska
 przed toporem
 piły

ugodzone w bok
 uwalilo się
 runęło w runo
 przysiatając
 mętym cieżarem
 trawy słonki ziota
 jajołyc
 blade wołka odwołki
~~strzały pajęczyny~~
 rurem z drzewem
 został stracony jego cień
 drzewiarzyny fenetocypły
 obraz drzewa
 pojawiający się
 w świetle słońca

Ścięcie drzewa
 to egzekucja porobiona
 ceremonialna

mechaniczne piły
~~mechaniczne~~ blyskawiczne
 wchodzą w konę
 miąż rdzeni z głębi drzewa

pool ziemię
 pracowite korzenie
 jeszcze nie przerywają pracy
 nie przemierzą
 straty pania
 i korony

powoli dociera naciśniona
 śmierć drzewa do podziemnej
 krainy tutaj ~~złoty korony~~

dr
 za
 pi
 si
 e

C.
 i

Dzięki Arturowi Danielowi Liskowackiemu, znanemu szczecińskiemu literatowi i pani Jagodzie Kimber, dyrektor Willi Lentza, znalazło się godne miejsce i całkiem zgodne z prawdą historyczną, bowiem Tadeusz Różewicz wędrował pieszo pomiędzy Głębokim i śródmieściem Szczecina do Klubu Literacko-Artystycznego, do Polskiego Radia – wszak te instytucje są przecież przy Alei Wojska Polskiego.

W wierszu Tadeusza Różewicza *Na ścięciu drzewa* znalazłem te słowa:

razem z drzewem
 stracono jego cień
 przezroczysty
 wieloznaczny
 obraz
 znak
 pojawiający się
 w świetle
 słońca księżycy

Jak się okazało oryginał wiersza Tadeusz Różewicz

Kopia oryginału wiersza „Na ścięciu drzewa” Tadeusza Różewicza (zdj. archiwum prywatne J. Stolarczyka)

podarował Janowi Stolarczykowi na znak dobrej współpracy pomiędzy poetą i wydawcą, ale przeciął kartkę z wierszem na połowę, jedną połowę zachowując dla siebie. Dzięki tej informacji obecność drzewa z Ogrodu Różewicza nabrała kolejnego wymiaru, wymiaru troski o nasz świat, o nasze środowisko. Poezja nigdy nie była i nie jest obojętna na sprawy bliskie człowiekowi. Współczesny człowiek chroni przyrodę, dba o nią, jest w niej zakorzeniony i z niej się wywodzi. Poezja nie może milczeć, gdy drzewo ginie i to wyraził w swoim wierszu Tadeusz Różewicz.

W 1956 roku szczecińska Grupa *Metafora* opublikowała Manifest, szczecińscy poeci napisali w nim:

Poezja jest dla nas siłą, która walczy o codzienne, ludzkie sprawy poprzez piękno nowych metafor, skojarzeń i wzruszeń. Jest ona dla nas czynnikiem, bez którego trudno sobie wyobrazić drogę przez zakamarki życia. Jest konieczna jak miłość. Poezja i miłość, to te z nielicznych elementów, obok malarstwa i muzyki – które swoją mocą potrafią zabić drzemiący w człowieku lęk – lęk przed śmiercią. Poezja niby stare drzewo wypuszcza wciąż nowe pędy – jej zieleń jest zawsze świeża.

Kiedy patrzymy na świeże pędy Drzewa Tadeusz w ogrodzie Willi Lentza utwierdzamy się, że nie ma przypadków, to są znaki. Znaki, które szczecińscy poeci i ludzie kultury potrafią odczytać.

Połowę oryginału wiersza „Na ścięciu drzewa” Tadeusza Różewicza publikujemy dzięki uprzejmiej zgodzie Jana Stolarczyka.

Ważne tematy wersów w Galerii Jednego Wiersza

Związek Literatów Polskich Oddział w Szczecinie od wielu lat patronuje projektowi pod nazwą *Galeria Jednego Wiersza*, realizowanemu w Książnicy Pomorskiej im. Stanisława Staszica w Szczecinie. Inspiracją do powstania inicjatywy była *Galeria Jednego Wiersza* znajdująca się w Klubie 12. Szczecińskiej Dywizji Zmechanizowanej. Początki prezentacji utworów poetyckich w holu Książnicy Pomorskiej sięgają roku 2016, kiedy to miała miejsce pierwsza Szczecińska Wiosna Poezji. Jako pierwszy prezentowany był wiersz współzałożyciela grupy *Metafora*, Józefa Bursewicza pod tytułem *Wiosna*. Inicjatywa kontynuowana jest po dziś dzień. Czytelnicy odwiedzający bibliotekę mają okazję czytać, co jakiś czas inny wiersz. Poznają także poetki i poetów związanych ze Związkiem Literatów Polskich Oddziałem w Szczecinie. Poznają ich spojrzenia na otaczającą nas rzeczywistość ubrane w wersy.

W roku 2023 prezentowane były wiersze dwójki twórców słowa pisanego: Zenona Lacha-Ceraszyńskiego i Magdaleny Sowińskiej. Utwór *Szczecin miasto Muz* pierwszego z wymienionych autorów znajdował się w holu Książnicy Pomorskiej od 12 czerwca do 4 września. Zadeedykował ten wiersz wszystkim kochającym stolicę Pomorza Zachodniego ze wzajemnością lub bez. Nie zabrakło wątku patriotycznego w jego słowach. Czytamy: *tu wtedy nastąpiła/ i dzieje się Polska// w mieście zharatanym/ pożogą wojny/ zniewolone Muzy/ szukały schronienia// jeszcze w tańcu poległych/ w pijanym uniesieniu/ zmierzaty Ku Słońcu/z modlitwą o Dzisiaj// ocalone magią słów/ światłem barw i dźwięków/nadal mogą karmić i pić/ czarodziei jutra// niesione metaforą/ Muzy tańczą w Szczecinie// na skrzydłach Trzech Orłów/ wiruje ich trzynaście/ a może.../ może jeszcze więcej.*

W tym utworze znajdują się wszystkie charakterystyczne dla Szczecina krajobrazy, obrazy pamięci: piętno odcisnięte na naszym mieście przez wojnę, ulica Ku Słońcu i widok z niej na Cmentarz Centralny. W dwóch wersach (...) *niesione metaforą/ Muzy tańczą w Szczecinie* (...) można się doszukiwać kolejnego

elementu szczecińskiej historii. Czy to nie właśnie w Szczecinie powstała grupa poetycka *Metafora*? Muzy inspirowały poetów należących do niej, inspirują również dzisiaj wielu twórców. Kolejne wersy i kolejny obraz: pomnik Trzech Orłów. A może to są właśnie nasze muzy? Znajdziemy ich w naszej małej ojczyźnie z pewnością jeszcze więcej.

Nie zabrakło w przestrzeni bibliotecznej sylwetki poety. Zenon Lach-Ceraszyński zadebiutował wierszem *Jesteś moją Polską* na łamach miesięcznika Pomorskiego Okręgu Wojskowego *Fakty i Wydarzenia*. Publikował swoje utwory w almanachach, antologiach i periodykach. Oba jego tomy poezji zostały wydane w serii: *akcent*, której redaktorką jest Róża Czerniawska-Karcz. Noszą tytuły: *piąte koło u słowa, ...z piątego wymiaru*. Uczestnik wielu przedsięwzięć szczecińskiego oddziału Związku Literatów Polskich od 2013 roku. Autor scenariuszy i wojskowych programów estradowych. Swoje teksty piosenek poetyckich zamieszczał w programach Zespołu Estradowego Wojsk Kolejowych i Drogowych Filary – laureat Festiwalu Zespołów Estradowych Wojska Polskiego – *Połczyn Zdrój'74, Kołobrzeg'74, Połczyn Zdrój'76*. Również zajmował się scenariuszami i reżyserią wszystkich dorocznych koncertów słowno-muzycznych w szczecińskim Ogrodzie Różanym w ramach Zachodniopomorskiej



(zdj. H. Karcz)

i Szczecińskiej Wiosny Poezji. Tegoroczna edycja wydarzenia odbyła się w czerwcu, w ogrodzie Willi Lentza.

A teraz przeniesiemy się w przestrzeń kolejnej odsłony Galerii Jednego Wiersza. Od 25 października do 22 grudnia w holu Książnicy Pomorskiej im. Stanisława Staszica w Szczecinie znajdował się utwór członkini Związku Literatów Polskich, autorki czterech tomów poetyckich i bajek terapeutycznych, Magdaleny Sowińskiej. Czytelnicy mogli przeczytać wersy zatytułowane *Irpień: Zamiast czułych dłoni/ po ich zabitych wcześniej ciałach/ przetoczyły się/ taśmy gąsienic i metalowe koła czołgów// Zamiast delikatnych pocałunków/ na porcelanowe kokilki piersi/ karmiące życiodajnym mlekiem synów/ opadł ciężar opancerzonych pojazdów bojowych/ miażdżących serca// o zmiernych/ rozpaczliwy krzyk ocalałych/ strąca ślepe drony gwiazd nad Irpieniem/ i rozdziera w pół zasłonę nieba// głuchego.*

Irpień jest miastem na terenie Ukrainy, w obwodzie kijowskim. Temat agresji Rosji na Ukrainę jest nam bardzo bliski. Utwór Magdaleny Sowińskiej przypomniał mi o bitwie o Irpień stoczonej w lutym i marcu 2022 roku. Wydarzenie to było częścią dużej ofensywy Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej,

która miała na celu okrążenie Kijowa. Każdy konflikt zbrojny przynosi ból, cierpienie i wiele ciężkich wspomnień. Poetka wręcz precyzyjnie dobierała słowa, by to oddać w swoim wierszu. Kontrast wynikający z zestawienia delikatnych, ciepłych czynności wynikających z bliskości z miażdżącymi obrazami wojennymi sprawił, że siła przekazu jest o stokroć mocniejsza. Przykład mamy już w pierwszej zwrotce, gdy czułe dłonie spotykają się z taśmami gąsienic i metalowymi kołami czołgów.



(zdj. R. Florczyk)

W kolejnej strofie delikatne pocałunki z miażdżącymi serca opancerzonymi pojazdami. Karmienie piersią, które zdaje się być nieodłącznym elementem macierzyństwa w kulturze i ofiarowywania życia, tworzy ciężki kontrast z wojną, która to życie odbiera. Niebo z ostatniej zwrotki zdaje się być właśnie sercem wszystkich cierpiących, współodczuwających, ale też tych obojętnych na ludzką krzywdę.

Autorka wiersza *Irpień* ma na koncie następujące tomiki poezji: *Krzyk światła*, *Transfuzja białej ciszy*, *Unboxing serca*, *RETROspekcja*. Zostały wydane również w serii:akcent. Jej wiersze publikowane były także w wielu antologiach. Jest pedagogiem specjalnym, pracuje w specjalnym ośrodku szkolno-wychowawczym jako nauczycielka przysposabiająca do pracy. Wraz z uczniami wykonuje rękodzieło i prowadzi koło filmowo-fotograficzne. Laureatka II Przeglądu Literackich Impresji Filmowych, zorganizowanego w ramach IV Szczecińskiej Wiosny Poezji. Pasjonuje się wokalistyką, tworzeniem impresji filmowych, rękodziełem artystycznym i dekoracją wnętrz.

W Galerii Jednego Wiersza w 2023 roku znalazły się utwory, które poruszały tematy niewątpliwie ważne. Wybrzmiał patriotyzm lokalny w utworze Zenona Lacha-Ceraszyńskiego, a także współodczuwanie, przeżywanie bólu, cierpienia w kontekście agresji Rosji na Ukrainę w wierszu Magdaleny Sowińskiej. Ten projekt zajmuje ważne miejsce na mapie kulturalno-literackiej Szczecina. Jest owocem współpracy Książnicy Pomorskiej i szczecińskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Miejmy nadzieję, że będzie kontynuowany.

Małgorzata Hrycaj

Poszukiwanie Panny P.

Kim jesteś Panno P.? To pytanie padało już wielokrotnie w przestrzeni 13 Muz, szczecińskiego Domu Kultury z wieloletnimi literackimi tradycjami. Tym razem tajemnicza panna, której rysopisu nie udało się jak dotąd ustalić, nawoływana

była ze sceny w Sali kominkowej, gdzie w poniedziałkowy wieczór, 20. listopada 2023 r. miała miejsce druga odsłona Epi-Li-Dry, spektaklu muzyczno-lirycznego, w oparciu o scenariusz Leszka Dembka.

Troje młodych wykonawców – studentów Akademii Sztuki w Szczecinie: Anna Martyna, Maria Kurowska i Sebastian Laskowski, pod kierunkiem artystycznym Krystyny Maksymowicz, zmierzyło się z prozą poetycką i z poezją poetów województwa zachodniopomorskiego, związanych ze szczecińskim oddziałem Związku Literatów Polskich.

Zgodnie z założeniem przedstawienie miało formę performatywnego czytania wierszy przeplatanych prozą poetycką oraz poezją śpiewaną, z muzyką Grzegorza Haciskiego.

Siłę artystycznego wyrazu, w myśl korespondencji sztuk, podkreśliła oprawa graficzna autorstwa Zbigniewa Jahnza i zdjęcia Anny Niemiec.

Czytanie performatywne z definicji polega na przedstawieniu utworów publiczności w ustalonej wcześniej kolejności, zgodnie z intuicją interpretatorów. Podczas spektaklu wybrzmiały wiersze wielu poetek i poetów, próbujących odsłonić oblicze poezji, choćby dotknąć jej tajemnicy. Młodzi artyści poprzez ekspresyjnie ich wykonanie wzmocnili siłę sprawczą słowa, wywołującą w odbiorcach, poprzez poruszanie najczulszych strun wrażliwości, odpowiedni skutek. Troje młodych wykonawców – studentów Akademii Sztuki w Szczecinie: Anna Martyna, Maria Kurowska i Sebastian Laskowski, pod kierunkiem

Od lewej: Anna Martyna, Sebastian Laskowski, Maria Kurowska (zdj. J. Słowik)



artystycznym Krystyny Maksymowicz, zmierzyło się z prozą poetycką i z poezją poetów województwa zachodniopomorskiego: Wojciecha Czaplewskiego, Róży Czerniawskiej-Karcz, Leszka Dembka, Andrzeja Marii Dzierżanowskiego (obecnie mieszka we Wrocławiu), Piotra Figasa, Roberta Florczyka, Anety Gawriłow, Zdzisławy Gierszal (obecnie mieszka w Poznaniu), Małgorzaty Hrycaj, Zbigniewa Jahnza, Eugenii Karczewskiej (1952-2021), Zenona Lacha, Władysława Łazuki, Moniki Miłosz, Edyty Rauhut, Sebastiana Rosy, Mariana Yoph-Żabińskiego (1947-2009), związanych ze szczecińskim oddziałem Związku Literatów Polskich.

Poszukiwanie poezji w słowach składających się na przesycone filozofią literackie rozważania potwierdziły od dawna wyrażany przez twórców pogląd na jej nieuchwytny, niedający się jednoznacznie zdefiniować charakter. Ale choć „słowa nigdy nie dorównają doświadczeniu, jakie opisują” (Charles Simic), to jednak postępujemy się próbami nadania formy poezji, która jest „tworzeniem piękna za pomocą słów” (Edgar Allan Poe), w myśl tego, że „jedyną rzeczą, która może uratować świat jest odzyskanie świadomości o świecie, a to właśnie czyni poezja.” (Allen Ginsberg).

W końcowej części widowiska dochodzimy do wniosku, że poezja ukrywa się między wierszami i nie pozwala się jednoznacznie określić, a poetki i poeci niosą ją jak światło między tych, którzy zechcą i potrafią je przyjąć. Róża Czerniawska-Karcz przywołuje obraz dzwonu, który bez poezji jest jak bez serca, ale przecież bić powinien na alarm przeciwko panoszącemu się złu. Leszek Dembek, godząc się na obcowanie z nienazywalną panną P. poprzez „zwyczajne” piękno natury, w tym Człowieka, parafrazuje słowa Józefa Czechowicza: „...chwała temu, który bodaj jednym ziarnkiem, jednym wierszem w całym życiu swoim, przyczynił się do pomnożenia piękna świata tego.”

Z takim przesłaniem uczestnicy spektaklu, zarówno jego twórcy (nagrodzeni solennymi brawami oraz laudacjami) jak i odbiorcy, rozeszli się, niosąc w sobie magiczny dotyk Panny P.

Infra-Port | sp. z o.o.



PORT SZCZECIN-ŚWINOUJŚCIE



Kurier
szczęciński

INKU



dialogi
miesięcznik pedagogiczny